

CYKL TEATR WĘZY

DWIE KARTY



**Robert M.
Wegner
poleca!**

AGNIESZKA HAŁAS



AGNIESZKA HAŁAS

CYKL TEATR WĘZY

DWIE KARTY

Tom I



Dom Wydawniczy REBIS

*Give me what I'm deep in need of
A sanctuary beyond this cruel world
A peerless cure-all to recover
Like lithium and a lover*

(Sirenia, Lithium and a Lover)

Wstęp

Pisanie wstępu do książki to ciężka robota. Właściwie można to zrobić tylko z perspektywy czytelnika, który ma za sobą własne wrażenia, garść przemyśleń i tego czegoś, co każda dobra książka zostawia nam w sercu. Ale gdy poproszono mnie, bym napisał kilka słów wstępu do tej książki, ucieszyłem się jak diabli. Od razu przypomniałem sobie Krzyczącego w Ciemności, którego pierwszy raz spotkałem w śp. Fenixie, przy czym nie mam tu na myśli banalnego wspomnienia o jakiejś tam postaci, którą piąte przez dziesiąte kojarzę z jakimś cyklem fantasy. Nie. Brune Keare zapadł mi w pamięć tak jak Kane z cyklu Wagnera, Ged z Ziemiomorza, Karenira z Grombelardu czy ten cholerny Geralt Riv. Był charakterystyczny, tajemniczy, mroczny i bezwzględny, ale też na swój sposób honorowy i uczciwy. I od samego początku, gdy spotkałem go w mrocznych podziemiach zamieszkałych przez złodziei, bandytów, odmieńców, ludzi skażonych i odepchniętych przez „lepszą” część świata, od pierwszego spojrzenia budził zaciekawienie i chęć poznania jego historii.

Pamiętam, jak przyszedł do mnie w gości, rozsiadł się i zaczął snuć swoją opowieść.

A tylko z pozoru była to zwykła historia, jakich wiele. O bogach, którzy walcząc w obronie świata, przelali zbyt wiele krwi i stracili serce dla swoich dzieł, o Zmroczy, którą podarowali porzuconemu światu, by chroniła go przed tymi, którzy chętnie wzięliby w posiadanie taki leżący odłogiem skarb – duchami, demonami, żywiołakami i innymi bytami, oraz o magii, srebrnej i czarnej – dwóch szalach wagi, które muszą pozostawać w równowadze, jeśli świat ma ocaleć.

I była to też historia o ludziach, a może właśnie przede wszystkim o ludziach i o tym, jak potrafią każdą rzecz spieprzyć.

Polubiłem drania za to, że nie rozczulał się nad sobą, nie udawał kogoś, kim nie jest, że był naturalny i niezmanierowany, co jest grzechem większości postaci literackich, którym twórcy usiłują nadać rys „prawdziwości”, oraz za to, że kierował się swoim własnym, prywatnym kodeksem. I nie przeszkadzała mi ani jego oszpecona gęba, ani tajemnicza przeszłość, ani mrok, który go otaczał.

Bo Krzyczący w Ciemności przyszedł do mnie jako czysta karta, ktoś bez przeszłości, z pamięcią wymazaną tak dokładnie, że można by na tej bieli wyrysować dowolny obraz – bohatera, zdrajcy, łotra albo świętego – i zarazem przyszedł jako postać z krwi i kości, żywa, czująca, budząca zaciekawienie – jako człowiek jednym słowem. A to wielka sztuka narysować kilkoma zdaniem kogoś, kto jest człowiekiem, choć nie wiemy o nim nic poza tym, że jest, żyje i cierpi.

Brune tylko na pierwszy rzut oka wydaje się archetypem mrocznego twardziela z zasadami, któremu można bez wahania pożyczyć pieniądze, tak jak świat stworzony przez Agnieszkę Hałas tylko na pierwszy rzut oka wydaje się prostym światem z podziałem na pozornie dobrą srebrną magię i zepchniętą do defensywy, poddaną czarnemu – nomen omen – PR-owi czerń. Ten świat ma zbyt wiele odcieni, zbyt wiele subtelnych, często zaznaczonych ledwo kilkoma słowami barw, by dało się go łatwo zasufladkować. Tętni bogactwem niczym Baśnie z tysiąca i jednej nocy, zadziwia patentami rodem ze steampunku, igra z demonologią z różnych stron świata i z różnych czasów. I wszystko to znakomicie ze sobą współgra. Magowie, demony, istoty z innych planów egzystencji, żywiołaki i zwykli ludzie poruszają się w nim w skomplikowanym tańcu, do którego przygrywa im orkiestra mająca zamiast nut plansze ze skomplikowanymi wykresami nie tylko ludzkiej ambicji, chciwości, podłości i obłudy, ale też – choć rzadziej – miłosierdzia, uczciwości i prawości. Nic tu nie jest takie, jakie mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, a kto spróbuje użyć do odnalezienia się w tym świecie prostych schematów, takich jak dark fantasy, będzie regularnie czuł się zbity z tropu.

I o to właśnie chodzi. To wyróżnik opowieści przez duże „O”, wymykającej się schematom, zmuszającej do koncentracji, lecz jednocześnie zapadającej w pamięć i pozostającej z nami długo po zamknięciu książki. Podskórnie czujemy, że autorka zabrała nas do świata podobnego do naszego, gdzie dylematy moralne nie

sprowadzają się do banalnego wyboru między jasną a ciemną stroną mocy. Tutaj każdy zysk okupiony jest czyjąś stratą, łatwo jest przegrać wszystko, trudno wspiąć się na szczyt, a szczeble społecznej drabiny są śliskie od krwi i łez. Głębia tego świata nie ogranicza się tylko do metafizycznej Otchłani, w której demony knują swoje intrygi, bardziej dotyka ludzkich dusz i umysłów, bo żadna z postaci nie daje się jednoznacznie sklasyfikować jako dobra czy zła.

I ten świat poznajemy właśnie dzięki Krzyczącemu w Ciemności, postaci na tyle charakterystycznej, że trudno o niej zapomnieć. Spotykamy go jako pozbawionego pamięci wyrzutka i wraz z nim odkrywamy krainy ukryte pod Zmroczą. I dzięki niemu poznajemy innych bohaterów, drugo- i trzecio- planowych, z których niejeden zasługuje na osobną opowieść. Widzimy blichtr, który po zdrapaniu odsłania ropiejące wrzody, piękne maski, zza których wyglądają przeżarte trądem, beznose twarze i bezwzględność udającą prawość. Ten świat jest piękny jak niektóre gatunki egzotycznych kwiatów, wabiących przepychem barw i kształtów, lecz gdy się nad nimi nachylić, w nozdrza uderza nas odór zgniłego mięsa. Ale świat ten zasługuje, by go poznać, zanurzyć się w nim, posmakować. Nie jest wydmuszką albo kawałkiem, wybaczcie kulinarne porównanie, ryżowego wafelka, jest mięsisty w najlepszym, literackim znaczeniu tego słowa, oferuje sycącą ucztę, po której zostaje w nas olbrzymia satysfakcja, że nie zmarnowaliśmy czasu.

I chęć ponownych odwiedzin.

Polska fantasy doczekała się kilku znakomitych uniwersów, a świat stworzony przez Agnieszkę Hałas właśnie się do nich zalicza. Żyje, oddycha i krwawi, a my wraz z nim. Nie zadowala się łatwymi rozwiązaniami ani banalnymi odpowiedziami, zabiera nas w ciekawą i wyczerpującą podróż, z której wracamy oszołomieni lub zniesmaczeni, przybici albo zachwyceni. Ale nie obojętni. A to kwintesencja dobrej opowieści.

Polecam.

Robert M. Wegner

Prolog

Dawno temu światem rządziło dziewięciu bogów.

Władali mocą żywiołów, przemawiali językiem gwiazd, byli potężniejsi od upływającego czasu. To oni powołali do życia pierwszych ludzi, a potem nauczyli ich, jak uprawiać ziemię i wznosić domy. Ofiarowali śmiertelnikom ogień i pismo.

Dawno temu, kiedy świat był młody, panowała w nim harmonia. Wszystkie żywe istoty były posłuszne rozkazom swoich stwórców. Ludzie żyli w dobrobycie, bo ziemia rodziła obfite plony. Budowali bogom świątynie, składali im ofiary, a kiedy umierali, ich dusze ulatywały do świetlistych krain poza gwiazdami.

Lecz nadszedł czas, gdy harmonia została zburzona. Z odległych wymiarów nadciągnęło zło pod postacią potwora, potężnego smoka o wielu głowach. Był on tak wielki, że mógł połknąć słońce i przesłonić niebo. Chciał zniszczyć świat, ponieważ niszczenie stanowiło cel i sens jego istnienia.

Rzucił wyzwanie bogom, a ci podjęli walkę. Wojna trwała przez wiele wieków i żadna ze stron długo nie mogła uzyskać przewagi. Dla ludzkości był to mroczny czas, czas zagłady. Woda w rzekach przemieniła się w krew, morza wystąpiły z brzegów, a z nieba lał się ogień.

W końcu zło zostało unicestwione i świat zaczął powracać do dawnej postaci. Słońce i księżyc zaświeciły na nowo, wody mórz powróciły na swoje miejsce. Z chmur znowu spadł czysty deszcz, a tam, gdzie jego krople wsiąkły w jałową, wypaloną ziemię, wyrosła świeża zieleń. Ocalali ludzie wyszli z ukrycia, by na nowo zasiedlić ruiny wiosek i miast. A gdy na ziemi wszystko powróciło już do dawnego ładu, bogowie poczuli, że są znuzeni.

Zapragnęli poszukać ukojenia poza granicami świata. Wiedzieli jednak, że jeśli odejdą, ludzkość pozostanie bezbronna, wydana na łup

demonów oraz wszelkich innych wrogich sił, jakie mogą nadciągnąć z głębin nieskończoności. Dlatego postanowili przekazać śmiertelnikom w pożegnalnym darze część własnej boskiej mocy.

Ze światła i ciemności, z ognia i wody, piasku i wiatru utkali Zmrocę, Sha'r; następnie zaś tchnęli w nią życie, aby odtąd osłaniała materialny świat, oddzielając go od sfer zamieszkałych przez duchy, larwy i żywiołaki. I ofiarowali ludziom magię, która bierze swój początek ze Zmroczy, tak jak roślina wyrasta z ziemi.

Dziś to my, śmiertelnicy, jesteśmy strażnikami tajemnic stworzenia, a wybrani spośród nas władają mocą równą boskiej. Są dwie barwy magii, srebro i czern. Magowie rozkazują żywiołom, podróżują do świata snów i przepędzają demony.

Lecz na początku, u zarania dziejów, ludzkość nie знаła magii, światem rządziło bowiem dziewięciu bogów, którzy stali na straży wszystkiego, co piękne i dobre. A imiona ich brzmiały: Haran, Eresh, Araya, Leleya, Proserpis, Merauke, Ilmar, Sabel i Tanaya.

Święta Księga, wstęp do Starych Kronik

Dwie są barwy magii. Srebro i czern.

Na początku było srebro. Srebro pochodzi od bogów i celem jego jest doskonałość.

Lecz tak jak światło rzuca cień, tak ze srebra zrodziła się czern. Za sprawą demonów, dzieci chaosu, dar bogów został skażony. Słuchajcie moich słów: oto światło zostało wydane na łup ciemności. Czern budzi się w duszach ludzi i przemienia ich w swoje narzędzia.

Przeklęty niech będzie duch zatruty przez nią, skażony, by odradzać się wciąż na nowo i w każdym ze swych wcieleń czynić zło. Nie będziecie mieli litości nad tymi, w których obudził się czarny dar, ponieważ zagrażają oni boskiemu dziełu stworzenia.

Święta Księga, Księga Skazy

1. Królowa cierni

Pełgający płomyk kaganka oświetlał ponure wnętrze celi i mężczyznę, który siedział na pryczy z pochyloną głową.

Jaspin Souret, szlachcic, erudyta i znawca nauk ścisłych, absolwent słynnej akademii w Ri Talma, popełnił w życiu kilka poważnych błędów.

Młody i ambitny, chciał zrobić karierę w środowisku dworskim i wpadł w pułapkę życia ponad stan, a później zakochał się w kurtyzanie, która zrujnowała go do reszty. Wtrącony do więzienia za długi, zdołał uciec za granicę i rozpocząć nowe życie pod przybranym nazwiskiem. Skuszony wizją błyskawicznego zdobycia majątku, zajął się fałszowaniem pieniędzy. Interes z początku szedł kwitnąco, ale po dwóch miesiącach Soureta wsypał zazdrosny współnik.

Kara śmierci przez zanurzenie we wrzącym oleju, poprzedzone łamaniem kości i szarpaniem ciała rozpalonymi obcęgami, nie stanowiła miłej perspektywy. Nawet jeśli pogrążone w śmierdzącej ciemności więzienie przywodziło na myśl otchłanie piekieł. W ciągu miesiąca, oczekując na proces, Souret wychudł, zęby zaczęły mu się chwiać, a z brudu nabawił się wrzodów w różnych nieciekawych miejscach. Czuł się żałosny jak ostatni nędzarz.

Od wilgotnych murów odbijało się echem podzwanianie łańcuchów oraz jęki chorych. W izbie na przeciwległym końcu korytarza dozorca i jego pomocnik grali w karty, klnąc co drugie słowo.

Jaspin wpatrywał się w tatuaż na przedramieniu. Przed wtrąceniem do lochów strażnicy obszukali go i obdarli ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Jednak rysunek na skórze nie zwrócił ich uwagi. Był przecież tak niepozorny. Kilka napuszczonych czarną farbą znaków.

Imię.

Dawno temu, jeszcze na studiach, Jaspin po pijanemu dał się namówić na ten tatuaż i zapłacił za niego złotem. Gdy wytrzeźwiał, przeraził się do tego stopnia, że natychmiast spróbował usunąć rysunek, przypalając skórę świecą. Bez skutku – po kilku dniach rana zagoiła się bez najmniejszego śladu i tatuaż pozostał na swoim miejscu. Wtedy Jaspin przestraszył się jeszcze bardziej i zaniechał dalszych prób. Nigdy nie próbował też wykorzystać mocy zaklętej w znakach. Bał się. Nawet wtedy, kiedy go uwięziono, z dwojga złego wolał czekać na wyrok, łudząc się, że zostanie ułaskawiony.

Lecz teraz nie miał już nic do stracenia.

Zaczerpnął głęboko tchu i potarł tatuaż wskazującym oraz małym palcem prawej dłoni, tak jak uczono go przed laty.

– Kouremosie! – szepnął. – Kouremosie, przybądź!

Wstrzymał oddech, bo powiało przenikliwym zimnem. Pośrodku celi zaczęły gęstnieć kłęby dymu czy mgły, które szybko przybrały kształt postaci. Po chwili przed więźniem stanął demon z głową ibisa, odziany w bogate szaty.

– A więc po tylu latach wreszcie odważyłeś się mnie wezwać, Jaspinie Sourecie – przemówił chrapliwie. – Jesteś nierozsądnym tchórzem. Mogłem ci pomóc wiele razy, ale teraz już za późno. Nie pomagamy ludziom, którzy są tak słabi, że zwracają się do nas dopiero wówczas, gdy nie mają innego wyjścia.

W akademii w Ri Talma można było potajemnie uczyć się przedmiotów, których nie wykładano legalnie na żadnej uczelni. W tym demonologii. Minęły lata, ale Jaspin Souret nadal pamiętał różne rzeczy z wykładów starego, kulawego mistrza Laurentiusa. Na przykład to, że Otchłań, świat demonów, istnieje i rośnie w siłę, pochłaniając dusze śmiertelników. Takich, którzy dobrowolnie oddali się w niewolę, bądź takich, którzy zostali zabici przy zachowaniu pewnych zasad. Demony mają jeden główny cel – zdobywać jak najwięcej dusz, dlatego są mistrzami manipulacji i podstępu. I stale poszukują sojuszników. Agentów.

Mając w pamięci tę wiedzę, Jaspin Souret uśmiechnął się chytrze.

– A gdybym poprzysiągł wam posłuszeństwo na wieczne czasy... Mógłbym się okazać przydatny. Studiowałem, trochę jeździłem po świecie, mam znajomości...

Demon zmierzył go wzrokiem z niejakim powątpiewaniem, ale

widać było, że się zastanawia.

– Chciałbyś zostać naszym sługą w materialnym świecie, człowieczku? O tym musiałaby zdecydować moja pani, Sul-Berith.

– A więc zabierz mnie do niej.

Kouremos uśmiechnął się drapieżnie.

– Skoro tego sobie życzysz....

Dotknął jego czoła końcem pazura i Soureta ogarnęła ciemność.

Strażnicy, którzy nazajutrz rano weszli do celi, żeby zabrać skazanego na miejsce kaźni, zastali na pryczy martwe ciało. Lekarz więzienny postawił diagnozę – apopleksja.

* * *

– Nie musisz się tak trząść, człowieczku. Trzymam cię. Na jad mojej pani! Czemu wy, śmiertelni, jesteście tacy tchórzliwi?

Kouremos dzierżył Soureta w żelaznym uścisku. Niebo nad nimi przypominało skłębiony dym. Lecieli z wielką prędkością ponad czarną równiną, na której wznosiły się drzewa wyższe niż jakakolwiek wieża na ziemi, pozbawione liści, o poskręcanych jakby w męce konarach. Wisieli na nich jęczący potępieni, jeden przy drugim, niczym owoce.

Pośrodku równiny wznosił się pałac o wielu wieżach, czarny jak obsydian. Otaczał go potężny żywopłot ze splątanych ciernistych pędów, wysoki na kilkadziesiąt stóp. Po murach przechadzali się zakuci w zbroje strażnicy o pyskach bestii. Kouremos, nadlatując, pozdrowił ich przeraźliwym ptasim krzykiem.

Wylądowali na dziedzińcu i po niedługim oczekiwaniu zostali wprowadzeni do zamku. Strach zaćmił zmysły Jaspina do tego stopnia, że szlachcic niewiele zapamiętał z otoczenia. Blask pochodni, czarne marmury, jakieś upiorne postacie.

Zaprowadzono ich do olbrzymiej sali o sklepieniu podpartym kolumnami, gdzie na podwyższeniu, pod baldachimem w kształcie smoczego skrzydła, stał tron z ciemnego metalu. Po obu jego stronach trzymały straż istoty podobne do olbrzymich żuków ze stali, o świecących czerwono oczach.

Sul-Berith, władczyni Doliny Cierni, najlepiej czuła się pod postacią młodej ludzkiej kobiety. Zwodniczo piękna i krucha, w sukni

wyglądającej jak utkana z pajęczyn, od niechcienia bawiła się berłem w kształcie pęku kolczastych pędów. Dwie służące o głowach ptaków wachlowały ją.

– Co masz mi do zaoferowania, Jaspinie Sourecie? – spytała głosem podobnym do szemrania wody.

Szlachcic zaczerpnął tchu.

– Chciałbym zostać waszym sługą w materialnym świecie, o pani.

Roześmiała się melodyjnie.

– Przykro mi, Jaspinie. Jesteś słaby, tchórzliwy i źle sobie dobierasz przyjaciół. Nie mielibyśmy z ciebie żadnego pożytku. –

Skinęła na strażników. – Zabierzcie go i znajdźcie mu miejsce na równinie, na drzewie.

– Zaczekajcie! – zawołał Souret. Doznał bowiem olśnienia spowodowanego strachem. – Wiem o czymś, co może się wam przydać!

Sul-Berith uniosła brew.

– Mów, śmiertelniku.

– Rok temu, podróżując, zawędrowałem do Shan Vaola nad Zatoką Snów. W oberży przypadkiem podsłuchałem rozmowę dwóch kupców. Opowiadali, na jakie dziwy można się natknąć w tym mieście. Jeden z nich stwierdził, że zna zbieracza osobliwości, który prócz innych niezwykłych przedmiotów ma w swej kolekcji szklaną kulę. Wewnątrz niej dawno temu uwięziono stado ognistych ifrytów. Gdyby zakłęcie prysło, mogłyby zniszczyć nie tylko dom właściciela, ale i całe miasto, ale właściciel kuli uważa ją po prostu za interesujący artefakt. Gdybyście odnaleźli te ifryty i je uwolnili, mogłyby dla was zdobyć dziesiątki, jeśli nie setki dusz.

– Dziękuję ci, przyjacielu. To interesująca informacja. Sprawdzimy ją. – Sul-Berith skinęła berłem i strażnicy podeszli, chrzęszcząc blachami. – Zabierzcie go na równinę.

– Nie! – rozpaczliwie wrzasnął szlachcic. – Jak to? Nie możecie!

Kouremos parsknął.

– Dobrowolnie oddałeś się w naszą władzę, człowieczku, więc możesz mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Strażnicy wywlekli Soureta za drzwi. Jego krzyki ucichły w oddali.

– Żałosna istota. Ale co się tyczy informacji, które podałeś... Warto je sprawdzić. – Władczyni w zamyśleniu splotła szczupłe dłonie. – Potrzebny mi Vermigeris.

Wezwano nadwornego wróżbitę.

Godzinę później na posadzce sali tronowej widniał wyrysowany kredą pentagram, wewnątrz którego płonął zielony ogień. Vermigeris, odziany w szatę ze złotogłowiu, intonował kolejne zaklęcia.

Rozległ się trzask i w pentagramie ponad zielonymi płomieniami rozbłysły inne – czerwone jak krew. Przybrały kształt niedużego stworzenia, jaszczurki o szkarłatnych łuskach i wielkich złotych oczach. Salamandra. Ściągnięta daleko od swego macierzystego wymiaru, wiła się w męce. Żywiolaki niechętnie poddawały się rozkazom demonów.

Vermigeris cofnął się i skinieniem dał znak władczyni.

– Sprowadzono cię tu, żebyś odpowiedziała na pytanie – przemówiła Sul-Berith, stając tuż przy krawędzi pentagramu. Oczy salamandry rozszerzył strach. Żywiolaki miały bystry wzrok i widziały więcej niż tylko pozory stwarzane przez cielesną powłokę. – Słuchaj uważnie. Powiedziano nam, że w świecie ludzi, w Shan Vaola na zachodnim krańcu Zatoki Snów, uwięziono stado ifrytów. Jesteś w stanie stwierdzić, czy to prawda?

– W Shan Vaola, na zachodnim krańcu Zatoki Snów – powtórzyła posłusznie salamandra. Jej głos brzmiał jak skwierczenie oliwy. Zamknęła oczy, a płomyki pełzające po jej skórze przygasły. – Tak. Czuję je... Odcięte dawno temu. Uwięzione.

– Kto je uwięził i gdzie?

– Nie umiem ci tego powiedzieć, pani. Nie wiem.

Sul-Berith odwróciła się do Vermigerisa.

– Czy jest jakiś sposób, żeby zdobyć dokładniejsze informacje? Najlepiej sprowadzić wizję...

Mag potrząsnął głową.

– Potrzebne byłoby coś, co do nich należało. Pióro, pazur...

– Błagam, o potężni, uwolnijcie mnie – zaszepotała salamandra. – Lada chwila zgasnę, tu... jest tak zimno...

– Wypuść ją – rozkazała Sul-Berith. Nie było potrzeby narażać się królestwu ognia.

Mag skinął dłonią i żywiolak rozplątał się w chmurze dymu, powracając do swojego wymiaru.

– No proszę. Kto by pomyślał. – Władczyni pstryknęła palcami. – Kouremosie!

Demon o głowie ibisa skłonił się nisko.

– Słucham, Wasza Wysokość.

– Ty i twój brat Nebbu wyruszyście niezwłocznie do świata ludzi.

Odszukajcie te ifryty i uwolnijcie je ku chwale Doliny Cierni.

2. Niedobry wiatr

Pierwsze oznaki zachwiania ujrzano w Shan Vaola po zachodzie słońca. Na ciemniejącym niebie zapłonęły smugi czerwieni, purpury i fioletu. Powiał lodowaty wiatr, psy zaczęły wyc, a ludzi ogarnął niepokój.

Minęło ponad osiemset lat, odkąd bogowie opuścili świat śmiertelników. Zmrocza, ostatnie stworzone przez nich dzieło i ostatni dar, jaki ofiarowali ludzkości, z upływem czasu osłabła i stała się kapryśna. Niegdyś była równie stabilna, co porządek niebios, zgodnie z którym noc następuje po dniu, a pory roku zmieniają się w ustalonej kolejności. Teraz równowaga jej prądów stała się tak chwiejna, że w każdej chwili mogły ją zakłócić wydarzenia na ziemi.

Podczas zachwiania słabły bariery wokół materialnego świata. Zwykle nieszczelności nie były duże i przenikały przez nie co najwyżej pomniejszych duchy – złośliwe kręciele z wymiaru powietrza, pojedynczy umarli, jedna czy druga larwa. Jednak zdarzały się i gorsze przypadki. Domy przerzucone w całości do wymiaru ognia, ludzie opętani przez demony, które przybyły znikąd. Dlatego srebrni magowie uważali za swój obowiązek czynić wszystko, co możliwe, żeby chronić równowagę Zmroczy, określaną przez nich górnolotnie jako Ekwilibrium.

Zwykli śmiertelnicy w swej ignorancji nie zawsze byli im wdzięczni za te wysiłki. Jednak magowie nie potrzebowali i nie oczekiwali ludzkiej wdzięczności. Postępowali po prostu tak, jak nakazywał kodeks Elity, bractwa srebrnego pentagramu.

Z portu w Shan Vaola przy dobrej pogodzie można było rozróżnić w oddali zarys skalistego wybrzeża Wyspy Salamander. Znajdujące się tam laboratoria Elity były miejscem, gdzie srebrni magowie podczas zachwiania odprawiali rytuały mające przywrócić Ekwilibrium. Śpiewali pieśni, przelewali krew zwierząt ofiarnych, a także –

wprowadziwszy się śpiewem w trans – własną, kalecząc swe ciała srebrnymi nożami.

Czasem zachwiania dawały się wyrównać stosunkowo łatwo, lecz nie tym razem. Łuna świeciła przez całą noc, głucha na wszelkie zaklęcia, zaś o świcie nad miasto przypląnęły chmury, z których spadł najpierw deszcz o gorzkim smaku, a później grad robactwa i żab.

* * *

Zbliżało się południe. Niebo wciąż jeszcze mieniło się podejrzanymi barwami, niczym ścieki z farbiarni.

Trzej zbieracze śmieci z rodziny odmieńców – Psiogłowiec, Krzywulec i Znajda – szli plażą w kierunku odległego cypla. Mieli nadzieję, że natrafią tam na drewno wyrzucone przez fale, jak zwykle po nawałnicy. Morze było wzburzone, wiatr szarpał rozwieszane na palach rybackie sieci. Tu i ówdzie na piasku leżały zdechłe żaby.

– Patrzcie, wiara, to z tej porannej ulewy – stwierdził Krzywulec. – Nie jest dobrze. Kiedy żaby lecą z nieba, to znaczy, że wielmożnym magom coś się schrzaniło na potęgę.

Kolejny podmuch wiatru przyniósł smród zgnilizny – nieopodal znajdowało się ujście jednego z miejskich kanałów. Z obmurowanego otworu w porośniętej chwastami skarpie lał się strumień brudnej wody. Ścieki uchodziły do płytkiej zatoczki, której brzeg pokryty był szlamem i odpadkami. Dookoła z wrzaskiem krążyły mewy. Kilku obdartych chłopców grzebało patykami w cuchnącym błocie – nie wyglądało to na zabawę, raczej szukali monet i drobiazgów, które można sprzedać.

– Patrzcie, braciszku, rośnie nam konkurencja. – Psiogłowiec wyszczerzył zęby, następnie zaś gromko zaryczał, udając, że chce rzucić się na dzieci. Te rozbiegły się w przestkach, a odmieniec zarechotał. Do straszenia miał, nie dało się ukryć, idealne warunki: barczysty, długouchy i porośnięty rozkudłaną sierścią, zwisającą w pozlepianych kłakach.

Krzywulec z kolei, niski i przysadzisty, straszył szczeciniastym, przypominającym ryj obliczem. Miał krzywy kręgosłup, garb na łopatce i zniekształcone nogi. Tylko Znajda był zwyczajnym, zdrowym chłopcem – sierotą, którego odmieniec przygarnęli i odchowali.

Drobny i chudy, nie wyglądał na swoje trzynaście lat. Był niemiłosiernie brudny i – podobnie jak jego towarzysze – uważał to za coś oczywistego, część życia. Nosił imię odmieńca, bo nikt mu nigdy nie nadał innego. Nie pamiętał swoich prawdziwych rodziców i prawie nigdy o nich nie rozmyślał; czasem tylko zastanawiał się, po kim odziedziczył kręcone rude włosy, niezbyt często spotykane nad Zatoką Snów.

Herszt śmieciarzy, Siny, był skłócony z dozorcami miejskiego wysypiska, dlatego familia prowadziła swój zbieraczy proceder na ulicach i podwórzach. Czasem zdarzało się, że jej członkowie brali za to ciągi od straży miejskiej. Żyli podle, ubierali się w znalezione łachmany i żywili się odpadkami. Ale Znajda nie znał innej egzystencji, dlatego uważał, że jego los nie jest najgorszy. Przynajmniej miał przyjaciół.

– O proszę, opłaciło się przyjść. – Psiogłowiec podniósł wielki, mokry kawał drewna i wrzucił go do worka. – Jest tego więcej. Zbieramy.

– Spójrzcie na te chmury. – Krzywulec wskazał niebo. Znad zatoki nadciągał skłębiony ciemny wał. – Ciekawe, czy zaraz lunie.

– I ciekawe, co z nich lunie. – Znajda też schylił się, żeby podnieść ułamany konar, i nagle zamarł. – Hej... chłopaki, chodźcie tu – zniżył głos do szeptu.

– Co jest?

– Patrzcie.

Na piasku pod kępą krzaków siedział bez ruchu wynędzniały, zarośnięty mężczyzna w podartym ubraniu. Nawet nie drgnął, słysząc ich głosy, tylko wpatrywał się w przestrzeń szklistym wzrokiem.

– To świr – skonstatował Krzywulec. – Widywałem już takich. Pewno rodzina go wykopała na bruk. Kiepsko wygląda, nie da się ukryć.

Ciemne, sięgające ramion włosy nieznajomego zwisały w strąkach. Nie sposób było stwierdzić, czy jego cera jest śniada z natury, czy to brud. Prawy policzek pokrywały paskudnie wyglądające strupy.

– Zostawcie go, jest trędowaty. – Psiogłowiec skrzywił się z obrzydzeniem, ale Krzywulec prychnął pogardliwie.

– Gdzie masz oczy, nieuku? To tylko zapaprane rany. Ciekawe, co go tak poharatało. Albo kto.

Pod warstwą strupów istotnie dało się rozróżnić trzy zasklepiające się już cięcia. Wyglądało to tak, jakby skórę wokół ran pokryły pęcherze, przechodzące miejscami w czarne plamy martwicy, a teraz to wszystko się goiło, powoli i z trudem.

Znajda trącił Krzywulca łokciem.

– Spójrz na jego ręce. To wygląda, jakby mu puszczano krew, prawda?

Psiogłowiec niecierpliwie przytupywał w miejscu.

– Już dość się nagapiliście. Świr jak świr, też mi sensacja. No, ruszcie tyłki, zimno jest. I zaczyna padać.

O piasek istotnie uderzyły pierwsze krople deszczu. Nagle z wiatrem przypłynął przenikliwy, chichoczący krzyk, ni to ptasi, ni ludzki.

– Kręciele – rzucił nerwowo Krzywulec. – Cholera! Tylko tego nam było trzeba!

Powietrznych straszyleł powszechnie się bano, bo zsyłały choroby, a jeśli miały taki kaprys, mogły człowieka porwać i rozszarpać ostrymi jak stal szponami.

W górze ponownie zabrzmiał złowrogi wizg i chichot, powiało zimnem. Na plaży z łopotem wylądowało kilka pokracznych stworzeń o kształtach ni to ptasich, ni nietoperzych, o czarnych skrzydłach i jarzących się ślepiach. Krzywulec zwinął się w kłębek, zasłaniając głowę płaszczem. Psiogłowiec zawarczał groźnie, unosząc pięści. Znajda ścisnął w rękę kij.

Raptem jeden ze stworów wrzasnął ostrzegawczo i kręciele wzbiły się z powrotem w powietrze. Nastąpiło to tak szybko, że gdy przyjaciele ochłonęli, na ziemi walało się już tylko kilka czarnych piór.

Psiogłowiec i Znajda popatrzyli na siebie, nie wierząc własnemu szczęściu. Po dłuższej chwili Krzywulec odważył się wstać.

– Poleciały?... – spytał, wytrzeszczając ślepie. – Jak to możliwe?

Szelest za plecami sprawił, że wszyscy trzej odwrócili się jak na komendę.

Nieznamy poruszył się. Patrzył teraz na nich – pustym, budzącym dreszcz wzrokiem.

– Ee... jak się nazywasz? – zaryzykował Znajda, pamiętając, żeby mówić jak zwykli ludzie. Nie należało się spodziewać, że obcy będzie rozumiał żargon odmieńców, składający się w połowie ze słów, a w

połowie z gestów.

Mężczyzna otulił się kurtką, jakby było mu zimno, i nadal wpatrywał się w nich, nic nie mówiąc.

– Lepiej go nie zagaduj, mały – mruknął Psiogłowiec. – A nuż to zbiegły morderca.

– Co za bzdury! – obruszył się Znajda. – Pewnie wy dostał się ze szpitala dla obłąkanych.

– Nie wiadomo. Z tego, co słyszałem, tam pacjentom goli się głowy. I w ogóle coś mi tu nie pasuje.

– A ja chyba nawet wiem, co ci nie pasuje – rzucił cicho Krzywulec. – Faktycznie, to dziwne.

– Co?

– Ma buty. I przypatrz się dokładnie, jak jest odziany.

– He?

– Psiogłowiec, stary tumanie. Spójrz no tu. – Krzywulec dotknął rękawa swojej tuniki, sztywnej od brudu i tak połatanej, że trudno było dociec, z jakiego materiału ją wykonano. – Jesteś śmieciarzem i nie potrafisz dostrzec różnicy między moimi łachami a porządnym ubraniem, które ktoś zniszczył, sypiając w nim po krzakach? On się nie tuła długo, jakem odmieniec.

– Mógł dostać to ubranie od kogoś. Albo ukraść.

– Myślisz?

– Cholera wie. Może być sprytniejszy, niż wygląda. Z wariatami nigdy nic nie wiadomo.

Krzywulec znowu popatrzył z namysłem na nieznanego.

– Chodź, przyjacielu – stwierdził, ku zdumieniu towarzyszy ujmując go za ramię. Obłąkany wstał posłusznie, chwając się trochę na nogach. – Pójdiesz z nami.

Psiogłowiec wytrzeszczył ślepie.

– Zwariowałeś? Co Siny na to?

– Nie wiem. Ale nie godzi się go tu zostawić. Jest zachwianie, grasują kręciele i w ogóle. Co tak patrzycie?

– No... – Psiogłowiec poskrobał się po kudłach. – W sumie, może to nie taki zły pomysł. Jakby dało się go przyuczyć do roboty, to wuj Siny jeszcze nam podziękuje.

Obłąkany zamamrotał coś.

– Tak, tak. – Krzywulec uspokajająco poklepał go po plecach. –

Wszystko będzie dobrze. Zaopiekujemy się tobą.

* * *

Bogate Shan Vaola, pełne pięknych kamienic i brukowanych placów z fontannami, posiadało też swoją brzydszą stronę. Podziemia.

Prastare lochy ciągnęły się daleko w głąb otaczających miasto wzgórz. Nikt nie wiedział, jak głęboko sięgają, bo niebezpiecznie było zapuszczać się tam, gdzie przejścia groziły zawaleniem, a w zakamarkach korytarzy gnieździły się zdziczałe homunkulusy, polujące na szczury i siebie nawzajem, ale niegardzące też człowiekiem, jeśli się trafił.

Większość mieszkańców Podziemi wolała się trzymać blisko powierzchni. Najwyższe poziomy stanowiły niejako część miasta i toczyło się tam miejskie życie. W dogodnie położonych, suchych i przewiewnych kryptach kupcy składowali towary; rzemieślnicy, których nie było stać na urządzenie warsztatu na powierzchni, mogli rozważyć przeniesienie się do lochów. Osobnymi, zamkniętymi korytarzami płynęły ścieki. Położone na uboczu przejścia stawały się schronieniem bezdomnych i kryjówką przestępców. Ale im niżej, tym bardziej niepodzielnie królowały ciemność i cisza, z rzadka mącona szmerem spadających ze sklepienia kropel.

W Podziemiach nie lubiano wilgoci. Pleśniały od niej pościana, a ludzie chorowali. Ale miała ona jedną zaletę. Na zawilgoconych murach i skałach, zwłaszcza tam, gdzie wysypano śmieci, rósł fosforyzujący mech. Wystarczyło zeskrobać garstkę i rozgotować w wodzie, by uzyskać świecąca niebieskawo maź, którą należało tylko wlać do szklanego naczynia, żeby powstała lampa. Mieszkańcy lochów nazywali tę substancję po prostu świeciwem. Była tańsza i praktyczniejsza w użyciu niż pochodnie i kaganki, tym bardziej że swoje właściwości zachowywała przez długie miesiące.

Krypta śmieciarzy, położona na czwartym poziomie od góry, nie była przyjaznym miejscem. Dymiące ogniska, barłogi ze szmat, ciągnący od ścian wszechobecny ziąb. Ale żyło się tam lepiej niż na ulicy, pod gołym niebem.

– Nie bój się – powiedział uspokajająco Znajda, kiedy obłąkany zawahał się w progu. – Jesteśmy w domu.

Ledwie weszli, drogę zastąpiła im Kurzajka – sędziwa, utykająca odmianka, druga po Sinym, jeśli chodzi o pozycję w rodzinie.

– Co to ma być? – zapytała ostro, biorąc się pod boki. – Kiedy się przychodzi? I odkąd sprowadza się przybłędów?

Krzywulec, jękając się nieco, zaczął wyjaśniać. Przerwała mu w pół słowa i oznajmiła, że wszyscy trzej są durniami, a potem że Siny śpi i nie lza go budzić.

– Nie ma dziś ciepłej stawy, bo mnie plecy bolą – oznajmiła na koniec. Psiogłowiec od razu zmarkotniał.

– A chleb jest?

– Jest. Chociaż ciebie przydałoby się przegłodzić, kałdun ci za duży rośnie. – Szturchnęła kudłacza w brzuch. – Chodźcie, co tak stoicie? Dam wam.

– Tylko tyle? – obruszył się Krzywulec, kiedy dostali swoje porcje. – A dla niego?

– Wyście go przyprowadzili, to się z nim dzielcie.

– Skąpa jęcza – mruknął Znajda.

Wyłożyli z worków przyniesione drewno, żeby się suszyło, a następnie usiedli przy ognisku, rozkoszując się ciepłem. Obląkany nadal milczał, ale na widok ognia wyraźnie się ożywił i też wyciągnął zamarznięte ręce w stronę płomieni.

– Pochrupek, chodź tu – zawołał z cicha Znajda. Z kąta wyjrzał stworek wzrostu dwuletniego dziecka, ze spiczastą, szczurzą mordką. Pisnął i podbiegł do chłopaka. Znajda odłamał kawałek ze swojej kromki i rzucił mu. Resztę chciał podać obląkanemu, ale Krzywulec go powstrzymał.

– Jedz, mały, ty jeszcze rośniesz. Niech zje mój, nie jestem głodny.

– Hej, Pyszczek, ślicznotko, pójdziemy w miasto się zabawić? – rzucił Psiogłowiec, kiedy podeszła do nich dziewczyna z głową kota, ubrana w męską roboczą tunikę i spodnie. Jej ciało porastała delikatna szara sierść.

– Nie masz za co – odpaliła Pyszczek.

Jak przystało na istotę o kociej aparycji, wyglądała czyściej od pozostałych, a jej legowisko znajdowało się w pewnej odległości od reszty. Przyłączyła się do rodziny zaledwie przed kilkoma tygodniami i wiedzieli, że nie zabawi w Podziemiach długo. Na powierzchni pracowała jako tancerka, naraziła się komuś i postanowiła na jakiś

czas zniknąć z widoku.

Znajda ją lubił. Była miła i nie zadzierała nosa.

– Hej, młody, co ja widzę? – zagadnęła, siadając przy ogniu. – Znalazłeś sobie brata? Bogowie, co mu się stało w twarz?

– Nie wiemy. Siedział na plaży. Nie mogliśmy go tam zostawić, jest zachwianie, kręciele, no wiesz – wyrzucił z siebie chłopiec jednym tchem. – Może Siny się zgodzi, żeby został z nami.

Obłąkany podniósł głowę, jakby rozumiejąc, że mówią o nim. Nagle jego wargi poruszyły się.

– Pysz-czek. – Powiedział to cicho, ale wyraźnie.

– Tak, zgadza się – odpowiedziała życzliwie odmianka. – Nazywam się Pyszczek.

– Pyszczek. – Przez jego twarz przemknął uśmiech. – Miau.

Jej wąsy drgnęły, widać było, że stara się nie roześmiać.

– Miau, biedny chłopcze. Widzisz, na co ci przyszło? Przygarnęli cię śmieciarze.

Sięgnęła na swoje posłanie, podniosła jedną z derek i narzuciła mu na ramiona.

– Trzymaj, jeszcze tego brakowało, żebyś spał na zimnych kamieniach. Mam tylko nadzieję, że Siny cię stąd nie przepędzi.

– Siny śpi. – Krzywulec machnął ręką. – Jutro z nim pogadamy.

* * *

Nad miastem zapadał wieczór. Ławice chmur odpłynęły, odsłaniając księżyc. Krwawe smugi na niebie stopniowo gasły.

Na dziedzińcu starej świątyni Harana, władcy bogów, panowała cisza. Ciężkie odrzwia były zamknięte na kłódkę – otwierano je już tylko z okazji wielkich świąt, dwa razy do roku.

Na schodach siedziała kobieta o długich, rozpuszczonych jasnych włosach, ubrana w biel. Srebrna czarodziejka Iglendis ar Vanth w zamyśleniu spoglądała na miasto.

Marmurowe stopnie schodów były spękane, a w szczelinach rosły chwasty. Minęło ponad osiemset lat, odkąd bogowie odeszli, i ich kult pomału wygasał. Zamiast modlić się do wielkich nieobecnych, ludzie woleli obdarzać czią pośledniejszych nieśmiertelnych, takich jak Matki Żywiołów, król gór Eremus, tajemniczy leśny stwór Koźlonogi

albo Protheus, zmiennokształtny morski starzec. Nie potrafili lub nie chcieli pojąć, że od czasu odejścia bogów jedyną siłą, jaka naprawdę się liczy, jest Zmrocza, Sha'r. Potężna, a zarazem jakże niedoskonała w swej kruchej równowadze.

Ze wzgórza widać było morze dachów, a dalej zatokę. Gdy Iglendis zamknęła oczy, wewnętrznym wzrokiem maga nadal widziała miasto, teraz jako drgającą mozaikę światła i cienia. Miało własną aurę, niewiarygodnie złożoną, bo składały się na nią odrębne aury każdego z mieszkańców, każdego domu, każdego kawałka ulicy. Zdarzenia, myśli, emocje. Miasto żyło.

Czarodziejka wyjęła z fałdów szaty błękitny kryształ w srebrnej oprawie i dwukrotnie puknęła weń małym palcem lewej dłoni. Wewnątrz kryształu pojawiło się oblicze siwobrodego starca.

– Zachwianie wyrównuje się, mistrzu Demetheosie – oznajmiła Iglendis. – Aura miasta odzyskała stabilność. Nie ma już żadnego zagrożenia.

– Doskonale, moja córko – zabrzmiał z kryształu nieco zniekształcony głos. – Dziękuję ci. Możesz wracać do swoich obowiązków.

* * *

– Zobacz, zasnął.

– I dobrze. – Krzywulec flegmatycznie wystukał popiół z fajki. – Może jak się zbudzi, będzie przytomniejszy.

– Ciekawe, co mu właściwie jest.

– A co za różnica? Wariat to wariat. Świat jest ich pełen.

Znajda, wsparty na łokciu, patrzył na obłąkanego z troską.

– Jak sądzisz, czy Siny się zgodzi, żeby z nami został?

– Co ma się nie zgodzić? Śpij, mały. Za dużo myślisz, to szkodzi zdrowiu. – Krzywulec ziewnął, aż mu chrupnęło w szczęce, i wyciągnął się na posłaniu.

Tuż przed zaśnięciem Znajda przypomniał sobie jeszcze wrzaski kręcieli. Co chciały przekazać? Miotaly groźby czy ostrzegały przed zachwianiem? A może po prostu naśmiewały się z ludzi, którzy nie potrafili latać z wiatrem w zawody? Usnął z tą myślą.

W siedzibie śmieciarzy było coraz ciszej. Szeptane rozmowy

umilkły, ogniska przygasły. W końcu w krypcie rozbrzmiewały już tylko miarowe oddechy i chrapanie.

Wtedy obłąkany otworzył oczy.

Chwilę trwał w bezruchu, patrząc w przestrzeń. Potem wyczołgał się spomiędzy śpiących, nie budząc nikogo. Zabrał derkę i swym niepewnym, chwiejnym krokiem opuścił kryptę.

Gdyby odmieńcy mogli go teraz zobaczyć, wiedzieliby już na pewno, że coś tu się nie zgadza. Obłąkany nie potrzebował światła. Szedł powoli, ale nie po omacku, nie potykał się. Po krótkim błądzeniu odnalazł schody prowadzące w górę.

Choć na powierzchni panowała noc, na pierwszym poziomie Podziemi jarzyły się lampy i kręcili ludzie. Tu przez całą dobę coś się działo.

Przy wyjściu na ulicę Świątynną odmieniec o białej skórze i wypukłych czarnych ślepiach, pogwizdując, zamiatał posadzkę. Dwoje obdartych dzieci drzemało we wnęce na posłaniu ze szmat. Bosa dziewczyna w spódnicy szytej z kolorowych łątek oferowała na sprzedaż kadzidełka i ciastka.

Przy samych schodach stary szczurołap Veljanov rozmawiał ze szpakowatym mężczyzną w czarnej szacie z dwoma białymi pasami u dołu. Bernard Savin był lekarzem i na co dzień praktykował swój zawód raczej w zamożnych mieszczańskich domach. Ale zgodnie z obowiązującym w Shan Vaola prawem, członkowie cechu medyków mieli obowiązek pomagać ubogim i bezdomnym. Na przestrzeni dwudziestu lat Bernard zdążył dobrze poznać społeczność Podziemi, a oni traktowali go do pewnego stopnia jak swego.

– Patrząc już nie mogę na to, co się dzieje w mieście, doktorze – stwierdził Veljanov, nie wyjmując fajki z ust. Wzięło go na monologowanie na tematy polityczne, jak zwykle, kiedy był w podłym nastroju. – Z każdym rokiem, cholera, jest gorzej.

Bernard, który dobrze go znał, mruknął coś nieokreślonego.

– Wiecie, jaką dziś mamy rocznicę?

– Nie.

– Ha! Wy jesteście za młodzi, ale ja pamiętam dokładnie. Dziś mija czterdzieści osiem lat, odkąd doża przekazał władzę w ręce srebrnych magów w zamian za ocalenie miasta i dworu od zarazy. Niech skonam, czasem sobie myślę, że lepsza byłaby zaraza niż oni. Ustalają

prawa, jak im się podoba, zmieniają je wedle kaprysu. Straż miejską okroili o połowę, w zamian nahodowali golemów, ale niech mnie mór udusi, jeśli pojmuję, jaki pożytek z tych przeklętych kukieł. – Wskazał brunatny zaciek na murze. – Ot, nie dalej jak wczoraj zbiry zadźgały w tym miejscu chłopaka, pod samym nosem patrolu. Co zrobiły golemy? Nic.

– Przecież znacie prawo. Jednoocy interweniują tylko wówczas, gdy wymaga tego Ekwilibrium.

– Ekwilibrium – powtórzył z obrzydzeniem szczurołap. – Jestem prosty człek i mówię wam: gównu, doktorze. Piękne słowo, które nic nie znaczy. Co nam po Ekwilibrium, kiedy sprawiedliwości brak? Co to za sprawiedliwość, jeśli jednego dnia złodziei się wiesza, drugiego puszcza wolno? Kto to pojmie?

– Nie nam sądzić magów, Veljanov.

– Nie nam? A komu? Obaj mieszkamy w tym mieście, doktorze, obaj wiemy, jak ono wygląda. Biedy i przestępstw jest tyle samo, co za dożów, może nawet więcej, ale srebrnych nic to nie obchodzi. Wolą gapić się w gwiazdy, tworzyć golemy, hybrydy i cholera wie co jeszcze. Nasz miłościwy Najdostojniejszy to też przecie żaden człowiek, jeno kukła wyhodowana w kadzi. Po co w ogóle srebrnym Najdostojniejszy? I tak wiadomo, że to oni rządzą.

– Do pioruna, uważajcie na to, co mówicie – powiedział cicho Bernard. – Te mury mają uszy.

Veljanov tylko wyjął fajkę z ust i splunął.

W pobliżu rozległ się stuk, potem zaskrzypiało. To sprzedawczyni bułek ostrożnie sprowadzała po schodach wózek pełen świeżych wypieków. Pomogli jej.

– A może rogalika? – Uśmiechnęła się, pokazując spróchniałe zęby. – Dobrze są. Z kapustą albo z soczewicą.

Szczurołap potrząsnął głową, ale lekarz sięgnął do kieszeni po pieniądze.

– Ja poproszę jednego z kapustą. Veljanov? Na pewno nie?

– Nie trza. – Stary poskrobał się po nieogolonym podbródku. – Doktorze, ja do was jeszcze jedną sprawę mam.

– Jaka?

Veljanov rozejrzał się, zniżył głos.

– Adelmo zaniemógł. Ten kulawy czyściciel kanałów, wiecie. Leży w

gorączce. Boim się, czy to nie ospa.

Bernard westchnął w duchu. Był zmęczony i nie miał ochoty schodzić do kolejnej śmierdzącej izby, do kolejnego brudnego i zawszonego pacjenta.

– Zbadam go. Ale jeśli to ospa, będę musiał powiadomić władze cechu.

– Zabierzcie go do szpitala i będziecie leczyć tym palącym skórę świństwem?

– Takie jest prawo.

Veljanov przygryzł wąsa.

– Zaprowadź mnie do niego – polecił Bernard. – Jeśli to ospa, lepiej, żebyśmy się dowiedzieli wystarczająco wcześnie, zanim zapadnie na nią połowa dzieciaków w Podziemiach.

Oddalili się, nadal rozmawiając przyciszonymi głosami. Wyminęli obdartego, zarosniętego człowieka ze strupami na twarzy, który nadszedł chwiejnie z głębi korytarza, niosąc na ramieniu derkę.

Białoskóry odmieniec na jego widok odstawił miotłę i zagwizdał.

– Ej, ty! Co ci się stało w gębę?

– Daj mu spokój – rzuciła karcąco dziewczyna od kadzidełek.

Obłąkany zbliżył się do schodów, zadarł głowę. Widoczne w górze niebo z czarnego stało się ciemnoniebieskie – znak, że wkrótce zacznie świtać.

Stał tak chwilę, potem usiadł na najniższym stopniu. Szepcząc do siebie, wodził dłonią tam i z powrotem w powietrzu, jakby chwycił niewidzialne pajęczyny. Staruszka od bułek i rogalik popatrzyła na niego ze współczuciem.

– Pewnie jesteś głodny, synku, co? Chodź, dam ci coś.

* * *

Godzinę przed świtem na ulicach jeszcze panowała cisza, okiennice były pozamykane. Na placu przed ratuszem, pod studnią, drzemał bezpieczny kundel. Kiedy z zaułka wyłoniło się dwóch mężczyzn, tylko przelotnie zastrzygł uchem i spał dalej.

Dwa demony dopiero co przybrały śmiertelne ciała. Kouremos przyjął postać korpulentnego mężczyzny z czarną brodą, Nebbu – szczupłego młodzieńca. Zakamuflowali się perfekcyjnie; nawet srebrni

magowie nie umieliby teraz rozpoznać ich prawdziwej natury.

Byli ubrani przyzwoicie, ale tak, żeby nie przykuwać uwagi. Ot, przyjezdni. Idąc, rozmawiali przyciszonymi głosami, oczywiście nie w narzeczu Otchłani, tylko w mowie imperium Nedgvaru. Znali wszystkie ziemskie języki, a do Shan Vaola przyjeżdżało wielu nedgvarskich kupców.

Nagle Nebbu zaklął, bo wdepnął w końskie łajno. Z obrzydzeniem obejrzał but i spróbował go wytrzeć o bruk.

– Dość tu brudno, nie sądzisz? Jak na miasto, którym rządzą srebrni magowie...

– Od razu widać, że rzadko bywasz na ziemi. To – Kouremos zatoczył krąg ręką – jest cywilizacja jak się patrzy, mój młody przyjacielu. Brukowane ulice, rynsztoki, akwedukty. I prawie nikt nie wylewa nocników przez okno.

– Trzeba przyznać, że architekturę mają niczego sobie. – Nebbu zadarł głowę, żeby przyjrzeć się płaskorzeźbom na fasadzie najbliższej kamienicy. – Więc jaki mamy plan na najbliższe dni?

– Cóż, w pierwszej kolejności trzeba się wywiedzieć, ilu magów aktualnie przebywa w mieście.

– Srebrnych czy czarnych?

– Jednych i drugich. Musimy sprawdzić ich siedziby. Na drugi ogień pójdą amatorzy, ci wszyscy ekscentryczni arystokraci, którzy potajemnie zabawiają się gusłami i kolekcjonują niebezpieczne osobliwości. Trzeba też będzie oczywiście rozejrzeć się po rynku zakazanych cudeniak. Kramy z amuletami, sprzedawcy ksiąg, te sprawy.

– To wszystko zajmie trochę czasu.

– Cierpliwości. Ostrożność i dyskrecja przede wszystkim.

3. Familia

Obudziło go zimno i ćwierkanie ptaków. Przetarł oczy.

Nad sobą zobaczył bezchmurne niebo, różowiejące na wschodzie.

Siedział na trawie, oparty plecami o coś twardego. Okazało się, że to fragment zniszczonego muru, w którym ział czarny otwór, chyba zejście do piwnic.

Obłąkany zadrżał. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Przeszłość była matnią zamazanych wrażeń. Krzyki... szum morza... mgła...

Był owinięty w derkę i trzymał w ręku rogała z jakimś nadzieiem. Nie pamiętał, jak zdobył jedno i drugie. Pomyślał, że chyba nie chce tego wiedzieć.

Nie miał gorączki. Chociaż tyle. Ostrożnie dotknął twarzy i przekonał się, że stan zapalny ustąpił, spod strupów już nie sączył się wstrętny wysięk. Rany nareszcie się goiły.

Nagle uświadomił sobie, że jest piekielnie głodny. Odgryzł kawałek rogała i przekonał się, że brązowa breja w środku to soczewica.

Żując, rozejrzał się, i stwierdził, że znajduje się na łagodnie nachylonym zboczu, gdzieniegdzie zarośniętym krzakami. Poniżej rozciągały się łąki, zasłane poranną mgiełką. Trochę dalej leniwie toczyła swe wody szeroka rzeka. Na drugim brzegu majaczyły zabudowania.

Jeśli ufać pierwszym wrażeniom – przyjazne miejsce.

Zmrużył oczy. Na przełaj przez łąki szła postać, niosąca wędkę i wiklinową plecionkę z rybami. Przyjrząwszy się dokładniej, mimo woli poczuł dreszcz.

To nie był człowiek, lecz... stwór. Miał nieproporcjonalnie długie kończyny i zupełnie łysą głowę, zwężającą się na czubku w szpic.

Obłąkany pomyślał, że może powinien się ukryć w krzakach, ale było za późno. Odmieniec dostrzegł go już; przyspieszył kroku i zamachał ręką na powitanie.

Z bliska wyglądał jeszcze bardziej odrażająco. Spod żółtej jak siarka skóry sterczały gdzieś kawałki chrząstki, a w miejscu nosa ziała podłużna szpara, która otwierała się i zamykała w rytm oddechu. Resztę ciała spowijały brudne łachy.

Szczerzył przyjaźnie zęby, jak do starego druha.

– Tum cię znalazł! Żyjesz, sokole?

– Ty mnie znasz?

– Jakżeby inaczej. Nocowałeś wczora u nas. Myślelim, żeś jeden z tych, no... co rozum mają nie całkiem tego. Znikłeś, gdyśmy spali, a tera tu sobie siedzisz jakby nigdy nic! Jelegancko żeś nas nabrał, brachu. Naćpany byłeś czy jak? A zresztą, do biesa z tym; dobrze ci z oczu patrzy. Jam jest Czapla, a ciebie jak zwą?

– Brune – obłąkany wypowiedział pierwsze imię, jakie podsunęła mu pamięć. – Brune Keare.

Odmieniec powtórzył to sobie po cichu kilka razy.

– Takie sobie miano – stwierdził autorytatywnie. – Wynajdziem ci lepsze.

Nad rzeką tymczasem wzeszło słońce. Mgły opadły. Pierwszy promień ozłocił wodę, padł na zbocze i mur.

Brune nagle zorientował się, że światło razi go w oczy. Przymknął powieki, ale nie odsunął się. Był zmarznięty, zatęsknił za słonecznym ciepłem.

Przykro się zawiódł. Prawie od razu uderzyło go nieprzyjemne gorąco, jakby usiadł za blisko ognia. Czym prędzej usunął się w cień, ale było za późno. Prawa połowa twarzy już boleśnie swędziała. Poczul, że kącik ust i powieka zaczynają drgać. Odmieniec zmarszczył czoło.

– Słońce ci szkodzi?

Pokiwał głową, wciąż bezskutecznie starając się zapanować nad tikiem. Czapla namyślał się przez chwilę, potem pociągnął go za rękaw.

– Wstawaj. Trza ci naleźć schronienie. – Nie czekając na odpowiedź, schylił się i wpełził do otworu w murze.

Brune przełknął ostatni kęs, otrzepał ręce i wstał, zwijając derkę. Popatrzył z niesmakiem na swoje ubranie – wyglądało niewiele porządniej niż szmaty, które miał na sobie beznosy. Trudno, na razie nie miało to znaczenia.

Machinalnie powiódł palcami wzdłuż zagojonych śladów na nadgarstku. Potem ruszył w ślad za pokraczynym stworzeniem, zagłębiając się w mrok.

* * *

– Psiogłowiec! Znajda! Przyprowaździłem wam zgubę! – Czapła promieniał. – Oprzytomniał! Powieździiał mi, jak się nazywa!

– Eee tam, nabierasza nas. – Pyszczeek ziewnęła.

Czapła odwrócił się.

– Brune! No, powieździ im, jak masz na imię!

Obłąkany tylko szeptał coś do siebie. Jego spojrzenie znów było szkliste, nieprzytomne. Czapła posmutniał.

– Chodź – powieździiał Znajda, biorąc przybysza za rękę. – Siąźdź przy ogniu, zmarzłeś. Po co odchodziłeś? Tu z nami jesteś bezpieczny. Damy ci jeść i w ogóle.

– O, co to, to nie! – wykrzykneła Kurzajka. – Nie będę go karmić, chyba że Siny się zgodzi! Zresztą możecie go zaraz spytać o pozwolenie, właśnie wstał!

Istotnie, ciężkie, szurające kroki zwiastowały nieomylnie, że zbliża się herszt rodziny.

Jego imię wzięło się od sinawej, pokrytej plamami skóry. Z trudem włókł swoje masywne cielsko, co chwila chrząkał i odkasływał.

– No, dziatki, oto mamy kolejny piękny dzień – wychrypiał. Nagle zatrzymał się jak wryty, bo spostrzegł nieznanajomego. – A to co? Co to, do pioruna, za jeden? Rozmnożyliście się przez noc?

– Nie patrz na mnie, tatk, to oni go przyprowaździli – oświadczył natychmiast Czapła.

– Ach tak. – Siny chrząknął ciężko. – No, chłopcy, co mi powiecie?

Psiogłowiec i Znajda popatrzyli wymownie na Krzywulca. Ten w zakłopotaniu przestąpił z nogi na nogę.

– Sam mówiłeś onegdaj, wuju, że przydałoby się powiększyć rodzinę – bąknął. – Zmiotucha już nie ma z nami, świećcie mu bogowie. Kurzajka niedomaga, Pochrupek jest za wątły, żeby chodzić z workiem, a Czapła nic, tylko ryby by łowił...

– Ale to człowiek! I w dodatku taki jakiś... nie bardzo. Pijany? Brał jakieś świństwo?

– Ma, zdaje się, coś z głową – odezwał się Znajda.
– Ale ręce w porządku – wtrąciła Pyszczek. – Warto się chyba zastanowić, wuju.
– Hmm. – Siny znowu chrząknął, krytycznie przypatrując się przybyszowi. Brune stał z apatycznie zwieszoną głową, nie reagując na to, co mówili. – Chudy, że szkoda gadać. Choruje na co paskudnego, jak myślicie?
– Nie. Wygląda na to, że jest zdrow, tylko z rozumem coś... nie całkiem. – Psiogłowiec wymownie stuknął się w czoło.
– Mówił do mnie – przypomniał Czapla. – Powiedział, jak się...
– Dobrze, dobrze – uciszyła go Pyszczek. – Wiemy.
Pochrupek pisnął, wspinając się na palce.
– Hrrrmf! – stary odmieniec odkaszlnął jak z głębi beczki. – Niech zostanie. Ręce ma zdrowe, może pracować. A głowa... Do naszej roboty wiele rozumu nie potrzeba. – Poklepał kudłacza po plecach. – Jesteś tego chodzącym dowodem, Psiogłowiec.

* * *

Znów śniły mu się niezrozumiałe obrazy.

Burza. Płonący zamek.

Dzwony biją głucho, żałobnie. Na ulicach tlą się stosy. Dym podnosi się, przesłania wszystko...

Wyspa pośród wzburzonego morza. Jałowe, skaliste wzgórza.

Loch, kajdany na rękach i nogach. Mam gorączkę i mrok przybiera dziwne kształty – widzę oblicza potworów, skrzydlate demony, węże...

Kręciele krzyczą wśród mgły. Świt srebrzy wody zatoki; u jej krańca widać wzgórza i miasto położone u ich stóp. Potem rzeczywistość rozstępuje się jak zasłona, ukazując schody prowadzące w dół. W ciszę i ciemność.

Kiedy Brune się ocknął, w krypcie było pusto. Ogniska wygaszono, zwinięte koce leżały pod ścianą. Przygarbiona, kulejąca odmianka zamiatała posadzkę. Jej pokryte brodawkami oblicze mogłoby należeć do jakiegoś stwora z moczarów. Kurzajka, przypomniał sobie, tak brzmiało jej imię.

– No, wreszcie żeś oprzytomniał – stwierdziła gderliwie, nie przerywając swojego zajęcia.

– Gdzie są wszyscy? – spytał Brune. Cicho i ochryple, ale zrozumiale.

– A gdzie mają być? Poszli w miasto, jak co dzień.

– Znajda...

– Znajdy nie ma. Znajda w mieście. Ech, bido ty, niewiele pojmujesz, co? – Kurzajka z westchnieniem odstawiła miotłę. – Chodź. Dam ci jeść. Siny pozwolił.

Zaprowadziła go w kąt, gdzie obok paleniska stało trochę garnków, dwa wiadra i osmolony kociołek. Dostał kawałek podeschniętego chleba oraz ochłap zapleśniałego paskudztwa, które kiedyś przypuszczalnie było serem. Pokręcił głową na znak, że tego nie chce.

– Nie to nie. – Kurzajka wzruszyła ramionami i sama nadgryzła ser. Oddaliła się, żując. Brune napił się wody z wiadra i bez entuzjazmu zaczął jeść chleb.

Po jakimś czasie Kurzajka wróciła. Przez ramię miała przewieszony pęk starych, dziurawych ubrań.

– Chodź. Będiesz sortował łupy, ktoś musi. Weź latarnię.

Posłusznie poszedł za nią do mniejszej krypty, szepcząc niezrozumiale pod nosem. Pomieszczenie wypełniały sterty śmieci, piętrzące się aż pod sklepienie.

Śmieciarze umieli spożytkować praktycznie wszystko, co wpadło im w ręce. Stare zardzewiałe narzędzia, patelnie, podkowy i wszelkie inne żelazne przedmioty trafiały do kowala. Potłuczone szkło – do szklarza. Garnki, jeśli się dało, drutowali. Znaczące źródło zarobku stanowiły ubrania; z dwóch czy trzech dziurawych starych kaftanów przy odrobinie zacięcia można było wyczarować jeden cały. Naprawione sztuki trafiały do handlarza używaną odzieżą, który prał je i wystawiał na sprzedaż. Z gałganów szyli derki, których używali sami.

Zniszczone meble, ramy okienne, słomę z sienników, niedopalone szczątki drewna i węgla – to wszystko przeznaczano na opał. Z mebli starannie wyciągano przedtem gwoździe i zdzierano obicia, jeśli tkanina jeszcze się do czegoś nadawała. Kości, gdy nagromadziło się ich dostatecznie dużo, sprzedawano człowiekowi, który wytwarzał z nich klej.

Pomysłowość zapewniała przetrwanie.

Kurzajka usiadła na stołeczku, rozłożyła sobie na kolanach podartą dziecięcą sukienkę i wyjęła ze swojej chusty wpiętą tam igłę z nitką.

– Możesz się na początek zająć tą stertą w rogu. Szmaty kładź tutaj. Kości tam. Szkło do tego wiadra. I przestań mamrotać! Działasz mi na nerwy.

* * *

Spod uniesionej pokrywy kotła buchnął kłęb pary. W całej krypcie zapachniało obiadem, ten i ów niecierpliwie przełknął ślinkę.

– Oho, dzisiaj z omastą – ożywił się Psiogłowiec.

Kurzajka sprawnie rozdzieliła zawartość kotła do kilku garnków, które właściciele następnie zabrali, i familia zaczęła się pożywiać. Psiogłowiec, Krzywulec, Pyszczek oraz Znajda jak zwykle jedli razem w pełnej zgodzie. Jęczmienna kasza chrzęściła w zębach.

– Hej, Znajda – odezwała się nagle Pyszczek, zerknąwszy przez ramię. – On znów... – Wymownie dotknęła skroni.

Znajda z pewnym żalem odłożył łyżkę i wstał.

– Zostawcie nam trochę, dobra? – poprosił. Podszedł do obłąkanego, który siedział nieruchomo na swoim legowisku, patrząc w przestrzeń.

– Hej, dobrze się czujesz?

– Zostanie tylko popiół – powiedział cicho tamten. – Tylko popiół...

– Nagle zrobił gest, jakby chciał się osłonić przed ciosem, a potem znów zastygł w bezruchu.

Znajda potrząsnął go za ramię.

– Brune? Obudź się! Jest obiad, chodź, zjemy razem!

Ale Brune tylko szeptał do siebie niezrozumiałe słowa. Niespodziewanie jego twarz wykrzywił tik, tak mocno, że przez chwilę przypominała zniekształcone oblicze odmienca.

Znajda poczuł się nieswojo. Nie mówiąc nic więcej, wstał i wrócił do przerwane go posiłku.

– A on? – spytała półgłosem Pyszczek.

– Nie chce. Trudno, najwyżej poproszę potem Kurzajkę o trochę chleba.

Skończywszy jeść, wszyscy czworo wyciągnęli się wokół ogniska. Znajda okrył się derką i przymknął oczy. Pyszczek zaczęła się

wylizywać po kociemu. Brune nadal siedział bez ruchu i patrzył na swoje ręce, czarne od brudu po dniu grzebania w śmieciach.

– Zostało jeszcze trochę, będziesz to jadł? – zagadnął go Psiogłowiec, pokazując garnek z przyklepionymi na dnie pozostałościami kaszy. Jedyną reakcją było puste spojrzenie. – Pytam, czy będziesz to jadł.

Ponieważ Brune nadal nie odpowiadał, kudłacz, wzruszywszy ramionami, zabrał się do swojego ulubionego zajęcia, czyli dojadania resztek.

Krzywulec wyciągniętym z ognia węgielkiem zapalił fajkę.

– Oho, i tyleśmy mieli spokoju – stwierdził nagle, bo właśnie przykuśtykała do nich ciężko Kurzajka.

– Obiboki, lenie parszywe! Nic, tylko by żarli, a ty, babo, męcz się sama! – Z rozmachem postawiła na ziemi puste wiadra. – Leć mi który po wodę!

Psiogłowiec, nadal żując kaszę, trącił Brune'a w ramię.

– Hej, przybłędo! Zasuważ do studni, choć tyle pożytku będzie z ciebie.

– Nie trafi – skrzywił się Krzywulec, nie wyjmując fajki z ust. – Przecie to świr.

– Nie nazywaj go tak! – obruszył się Znajda, siadając. Brune tymczasem drgnął, przetarł rękawem twarz i popatrzył na nich przytomniej, jak obudzony ze snu.

– Mam iść po wodę?

Wyjaśnili mu, jak trafić do studni. Zabrał wiadra i wyszedł. Nie było go dość długo.

– Hej, Znajda, weź zobacz, co on tam robi – rzucił w pewnym momencie Krzywulec, wystukując popiół z fajki. – Utopił się czy co?

– Nie, właśnie wraca. – Pyszczek zachichotała. – Patrzcie go, jaki panicz!

Brune postawił pełne wiadra pod ścianą i podszedł, żeby usiąść przy ogniu. Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy. Włosy i koszulę miał mokre, wyglądał czyściej, ale drżał z zimna.

Narzucił na ramiona koc i wyciągnął ręce w stronę płomieni. Znajda patrzył na niego z podziwem i przestrawem.

– Pogięło cię? Rozchorujesz się!

– Nie oczekujcie rozsądku od wariata – skwitował Krzywulec.

* * *

Egzystencja w ludzkim ciele, pod wieloma względami kłopotliwa i męcząca, miała też swoje plusy.

W kominku przyjaźnie trzaskał ogień. Kouremos rozsiadł się wygodniej w fotelu, opierając nogi na stołeczku. Upił z kielicha łyk wina i wsunął do ust miodowe ciastko.

On i Nebbu nawet nie pomyśleli o wynajęciu pokoju w jakiejś oberży. Wyszukali sobie dostatnią kamienicę, której właściciel, kupiec nazwiskiem Mertens, wyjechał w długą podróż w interesach. Zostawił w domu żonę i służbę, ale wystarczyło delikatnie ogłupić ich umysły, by zyskać doskonałą kwaterę.

Rozległo się pukanie i do sypialni zajrzała żona kupca, pulchna, schludnie ubrana kobieta.

– Czy jaśnie pan jeszcze czegoś sobie życzy?

Zaprzeczył i odprawił ją ruchem ręki. Kupcowa, skłoniwszy się, odeszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Kouremos w zamyśleniu dopił wino.

Mogliby z Nebbu zniewolić uprzejmą panią Mertens na przeróżne sposoby, znane i nieznanne ludziom. Mogliby doprowadzić dom kupca do ruiny. Ale nie było takiej konieczności. Potrzebowali tylko bezpiecznego i wygodnego schronienia na jakiś czas.

Zegar nad kominkiem melodyjnie wybił północ.

Kiedy przebrzmiał ostatni kurant, Kouremos wyjął z kieszeni lusterko w złotej, bogato zdobionej oprawie i chuchnął w nie. Wewnątrz lusterka pojawiło się oblicze władczyni.

– Jakie wieści? – zapytała.

Kouremos odchrząknął.

– Dokonaliśmy wstępnego rozpoznania. Mamy listę przebywających w mieście srebrnych magów oraz *ka-ira*. Od jutra zaczynamy sprawdzać ich siedziby, rozpytamy się też dyskretnie w środowisku.

– Bardzo dobrze. – Sul-Berith cmoknęła z aprobatą, po czym zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem. – Kouremosie, nadeszły kolejne wieści od naszego szpiega w Dolinie Złota. Wygląda na to, że Charooz zwerbował nad Zatoką Snów nowego agenta. Lub też agentkę, nasze źródło nie zdołało odkryć płci.

– Interesujące. To potwierdzona informacja? Mamy pewność, że

źródło się nie myli?

– Na tym etapie pewności mieć nie sposób, ale wszystko wskazuje, że nie. Kouremosie, posłuchaj mnie. Nie traćcie czasu na tropienie tego agenta, nie warto angażować w to sił, dopóki nie dowiemy się szczegółów. Gdyby jednak wasze ścieżki przypadkiem się przecięły, wyeliminujcie go... lub ją... z gry.

– Rozkaz. Uczynimy, co w naszej mocy. – Kouremos uśmiechnął się brzydtko.

* * *

Targowisko Loss Fomar, mieszczące się w długiej amfiladzie krypt na najwyższym poziomie Podziemi, było miejscem jedynym w swoim rodzaju. Stanowiło obszar półmroku, gdzie spotykali się przedstawiciele legalnych i mniej legalnych profesji, by wymieniać towary, usługi i wieści.

Było tam gwarno i nieco strasznie, jak w miejscu ze snu. Zawieszane na łańcuchach oliwne lampy dymiły, melanz nie zawsze przyjemnych woni przyprawiał o zawrót głowy. Wytwórcy symbiotycznych masek, nazywani przez pospólstwo złodziejami twarzy, rozkładali na płachtach swój budzący dreszcze towar, obok straganów z żywnością i przedmiotami codziennego użytku. Handlarze głośno zachwalali towar, żebracy jęczeli, uliczni artyści demonstrowali swój kunszt. W tłumie nie brakowało zakapturzonych, złowrogo wyglądających postaci oraz odmieńców o zniekształconych obliczach. Brune zwoleń kroku, rozglądając się z zainteresowaniem. Znajda na wszelki wypadek mocno chwycił go za rękę, myśląc jednocześnie z odrobiną smutku, że w podobny sposób pilnowałby dziecka.

– Ty, nowy, przypatrz się dobrze – odezwał się Psiogłowiec. – Tu można kupić i sprzedać prawie wszystko. Żarcie, broń, prochy, co tylko dusza zapagnie. Nas, rzecz jasna, na nic nie stać, a wuj Siny nie pozwala kraść. – Mrugnął porozumiewawczo. – Ale Siniego tu z nami nie ma, braciszku. Dlatego Psiogłowiec zaraz pokaże wam sztuczkę.

– Nie wygłupiaj się. A jak nas złapią? – przestraszył się Znajda. Wskazał głową dwóch żołnierzy w srebrzystych hełmach i

półpancerzach, którzy rozmawiali z kramarzem. – Sam zobacz, ludzie Elity. Oni są jeszcze gorsi niż straż miejska!

Elita. Słyszac tę nazwę, Brune wzdrygnął się, choć sam nie wiedział czemu.

– Daj spokój, tchórzysz jak baba. Idźcie powoli przed siebie i nie oglądajcie się. Ja zaraz do was dołączę. – Psiogłowiec zniknął w tłumie, nie czekając na odpowiedź.

– Żeby go zaraza – syknął Znajda. – Co za dureń! Przecież Siny tyle razy powtarzał... Nie, pani, nie, dziękujemy bardzo – spłoszył się, kiedy podeszła do nich skąpo odziana dziewczyna, zalotnie kołysząc biodrami. Zapraszającym gestem wskazała budę, której zasłonięte kotarą wejście oświetlały czerwone lampiony. Syknęła obelżywie, kiedy nie wykazali zainteresowania.

Nagle ponad gwarem rozległy się cztery donośne uderzenia dzwonu. Brune drgnął, przestraszony.

– Spokojnie – powiedział Znajda. – Wybiła czwarta, to wszystko. O tam, w górze, popatrz.

Pośrodku targowiska znajdowała się kolumna z czarnego marmuru, u szczytu której umieszczono zegar o złoczonej tarczy, podświetlony przez dwie wypełnione świeciwem lampy, również pozłacane. Cokół kolumny pokrywały płaskorzeźby i inskrypcje. Brune przystanął, by się im przyjrzeć.

– Przecież i tak nie przeczytasz, co tam napisano – westchnął chłopak. – Chodź.

W tej samej chwili łomot kroków sprawił, że ciżba rozstała się. Brune i Znajda cofnęli się pod kolumnę. Z bocznego korytarza wyłoniła się grupa topornych białych sylwetek. Naokoło zrobiło się wyraźnie ciszej, ludzie oglądali się lękliwie.

– Jednoocy – szepnął Znajda. – Żeby to szlag...

Golemy były coraz bliżej. Każdy z nich nosił na napierśniku ten sam symbol, srebrny pentagram. Na widok nieforemnych obliczy z jednym okiem pośrodku czoła Brune schylił głowę, żeby włosy zasłoniły mu twarz. Zwalczył impuls, żeby uciekać na oślep, ukryć się.

Jeden z Jednookich wydał osobliwy mechaniczny świergot. Żołnierze przerwali rozmowę i dołączyli do oddziału, który wycofał się równie szybko, jak się zjawił. Gwar i ruch targowiska stopniowo wróciły do normalnego natężenia. Brune odetchnął, rozluźnił

zaciśnięte pięści.

– Hej, chłopcy, skąd te ponure miny? – Psiogłowiec wyrósł przed nimi, szczerząc kły w uśmiechu. – Wszystko jest cacy, kochani. Może obwarzanka? – Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął spod kapoty cały pęk wypieków, nanizanych na sznurek.

– Kretyn z ciebie, futrzasty – syknął Znajda. – Popisujesz się bez sensu.

– Oj, nie marudź już. Słowo daję, jesteś gorszy niż Kurzajka.

Chciał dodać coś jeszcze, ale w tym momencie drogę zastąpił im obdarty chłopiec, potrząsając pękami zasuszonych roślin.

– Nie, mały, nie chcemy twojego zielska – rzucił Psiogłowiec. – Lucyferia – wyjaśnił, odwracając się do Brune'a. – Jedni to żują, inni piją napar. Daje niezłego kopa, ale jak się uzależnisz, możesz skończyć jak ten frajer, o tam.

Wskazał wychudzonego człowieka z wrzodami wokół ust, który siedział pod murem, potrząsając glinianą skorupą na pieniądze.

Kawałek dalej, między straganami, grał na flecie uliczny muzyk w połatanej kapocie. Prosta, melancholijna melodia momentami ginęła w ogólnym zgiełku.

Brune zatrzymał się. Jego twarz wykrzywił grymas, ręce zaczęły się trząść. Zajęczał niezrozumiale, na tyle głośno, że kilka osób się obejrzało.

– Co mu jest? – przestraszył się Znajda.

– Jeszcze pytasz? – Psiogłowiec wymownie postukał się w czoło. – Skaranie boskie z takim! Lepiej zabierajmy się stąd, zanim ktoś się do nas przyczepi.

Nazajutrz, gdy członkowie rodziny się zbudzili, okazało się, że przybysz zniknął.

– Zwiął, tym razem na dobre – skonstatował Psiogłowiec.

– Nie żartuj! – Znajda wyglądał, jakby strzelił w niego piorun.

– Zostawił koc – zauważyła Pyszczek. – Może jeszcze wróci.

– Jak wróci z pustymi rękami, nie dostanie żreć – warknęła Kurzajka. – Nie będziem karmić darmozjada.

Brune pojawił się w porze, gdy zbieracze wracali z łupem. Jak gdyby nigdy nic wsunął się do krypty śladem pozostałych. Na ramieniu niósł worek.

– Gdzieś ty chodził? – wykrzyknął na jego widok Znajda. Brune w

milczeniu podał worek Sinemu, który wytrząsnął jego zawartość. Na posadzkę posypały się rozmontowane fragmenty zardzewiałej ozdobnej kraty. Stary odmieniec gwizdnął.

– Byliśmy na niższych poziomach, co? Mam dla ciebie jedną radę, chłopcze. Nie kradnij urn, bo wtedy umarli zrobią z tobą porządek. Pojmujesz?

– Posłuchaj – powiedział błagalnie Znajda, kiedy siedli przy ogniu, czekając, aż Kurzajka zawoła, że strawa czeka. – Nie możesz sam chodzić po niższych poziomach, przecież to szaleństwo. Grasują tam upiory, drapieżne homunkulusy... i w ogóle...

Brune tylko patrzył w płomienie, szepcząc do siebie. Psiogłowiec prychnął.

– Zostaw wariata w spokoju. Jak jesteś taki troskliwy, możesz jutro iść z nim.

– Zwariowałaś? Boję się.

– Pochrupek łązi po niższych poziomach i żyje.

– Ale Pochrupek umie gadać z homunkulusami...

Pyszczek, która wygrzewała się obok, zwinięta w kłębek, podniosła głowę.

– Może Brune też umie, kto to może wiedzieć? Nie zamartwiaj się tak o niego, Znajda. Najwyraźniej jest sprytniejszy, niż nam się zdaje.

* * *

Fosforyzujące ślepie otwały się w mroku. Nieokreślony niepokój wyrwał odmiankę ze snu.

Pozostali członkowie rodziny chrapali w najlepsze, lecz jedno z legowisk było puste. Pyszczek nasłuchiwała chwilę, potem bezszelestnie zaczęła się skradać, wymijając śpiących.

W krypcie ze znaleźskami panowały nieprzebite ciemności. Ale jej czujne uszy wychwyciły szmer oddechu, jeden czy drugi cichy szelest. Wyjęła zza pazuchy słoiczek ze świeciwem.

Brune siedział w głębi krypty, między stertami rupieci. Oczyszczył buty z zaschniętego błota i właśnie smarował je oliwą; kradzioną, jak należało przypuszczać.

Drgnął, kiedy podeszła, ale nie próbował się kryć z tym, co robi. Wzruszył tylko przepraszająco ramionami, jakby chciał powiedzieć:

„nie chcę niezadługo chodzić bosą”.

Pyszczek uśmiechnęła się.

– Nie taki z ciebie świr, co? Nie bój się. Nic nie powiem Sinemu. –
Zniżyła głos. – Nie powiem mu też, że widzisz po ciemku lepiej ode
mnie.

Patrzył na nią bez słowa. Przekreślona szramami twarz nie
wyrażała żadnych uczuć. Nagle Pyszczek poczuła ciarki. Źrenice
obląkanego lśniły żółto, tak jak jej własne.

– Bez obawy – powtórzyła. – Nie wydam cię.

* * *

Nazajutrz w porze pobudki już nikt się nie zdziwił, kiedy okazało się,
że legowisko nowego członka rodziny jest puste.

Pięć poziomów niżej przestraszone szczury umykały przed
odgłosem kroków. Brune ostrożnie schodził po popękanych, śliskich od
wilgoci schodach, zmierzając w stronę obwarowanych kratami krypt, z
których wionęło zimnem i nieuchwytną wonią grobu.

Nad Zatoką Snów od dawna wiadano, że dusze umarłych nie
zawsze ulatują w zaświaty – że można na różne sposoby sprawić, aby
trzymały się blisko krainy żywych, niematerialne, ale jednak
zachowujące cień dawnej tożsamości i woli. Po wsiach z dawien dawna
istniał obyczaj, aby po spaleniu zwłok kogoś bliskiego zebrać prochy i
pochować je pod polepą domu, w nadziei, że w ten sposób zmarły
zapewni rodzinie ochronę i dobrobyt. Idąc za radą swojego
nadwornego czarodzieja, jeden z dawnych dożów Shan Vaola
postanowił wypróbować coś podobnego, tyle że w większej skali.
Rozkazał, aby urny z prochami zmarłych odtąd składano nie na
cmentarzach, ale w Podziemiach, w kryptach opatrzonych specjalnymi
inskrypcjami, zakładając, że dzięki temu duchy przodków będą
chronić miasto.

Czyniono tak przez cały okres panowania tego doży, jego syna oraz
wnuka – dostatecznie długo, aby niższe poziomy Podziemi zaludniły
się umarłymi. Snuli się, niedostrzegalni dla zwykłego oka, lecz
wyczuwalni jako niemiła, zimna obecność. Szeptali o różnych
ponurych rzeczach. O chorobach, starości. O śmierci, która nie
przyniosła wybawienia. O szarej krainie bez wody i bez radości, gdzie

przyszło im egzystować, tęskniąc do świata żywych, który mieli w zasięgu wzroku, chociaż wiedzieli, że tęsknią na darmo.

Brune nie obawiał się duchów. Bez lęku mijał krypty, gdzie stały rzeźbione kamienne grobowce. Nie zdawał sobie sprawy, że budzi zainteresowanie umarłych, którzy wyłaniali się z ciemności i szybowali jego śladem, szepcząc między sobą.

W końcu dotarł do celu. Jedna z krypt, które odkrył poprzedniego dnia, była zdewastowana. Kraty leżały na ziemi, powykręcane i połamane, zaś z grobowców zostało jedynie rumowisko.

Roztrzaskane kraty wykonano z dobrej, choć zardzewiałej stali i Brune nie zamierzał przepuścić takiej okazji, nawet jeśli oznaczało to konieczność mozolnego rozmontowywania ich na mniejsze elementy bez pomocy narzędzi. Ukląkł i zabrał się do pracy. Umarli obserwowali go bacznie.

Naraz zaklął, bo skaleczył się w rękę zaskakująco ostrym szpicem jakiejś kutej ozdoby. Pod wpływem bólu kłębiąca się w jego głowie mgła na chwilę opadła. Z pamięci wypłynęły obrazy, niewyraźne, jak ze snu.

Zamek wśród gór porośniętych świerkowym lasem...

Zarzucona pergaminami pracownia na poddaszu...

Popielista równina od horyzontu po horyzont.

Aż się zatoczył, oszołomiony i przerażony. Oparł się o mur, pomału odzyskując spokój. Popatrzył na swoje brudne ręce, jakby na nowo uświadamiając sobie, że przecież jest człowiekiem, nie odmieńcem, więc czemu mieszka wśród śmieciarzy?

Ostrożnie dotknął na wpół zasklepionych cięć na policzku. Nie rozumiał, czemu w głowie ma jedynie strzępy wspomnień, czemu nie potrafi się dłużej skupić na jednej myśli. Mgliście zdawał sobie tylko sprawę, że dawniej prowadził normalne życie na powierzchni ziemi. Że kiedyś nie musiał unikać słońca.

Otrząsnął się, wracając do rzeczywistości. Skaleczona dłoń bolała. W jego umyśle pojawił się ciąg skojarzeń, uruchomiony przez wspomnienie jątrzących się ran na twarzy. I Brune wstał, nagle zupełnie przytomny.

Jak pamiętał z poprzedniej wizyty na dole, kilka rozwidleń dalej

znajdowało się źródło – szczelina w skale, z której ciurkała woda. Poszedł tam i przemył skaleczenie, a przy okazji napił się i ochlapał twarz.

Raptem poderwał głowę, zaalarmowany odgłosem, który brzmiał jak cichy tupot. Czy mu się zdawało, czy też dostrzegł znikający w mroku nieduży, wielonożny kształt?

Lochy trwały w ciszy. Nie zdradzały chętnie swoich tajemnic.

* * *

Mało kto z mieszkańców Shan Vaola o tym wiedział, lecz na najniższym poziomie Podziemi, w samym sercu labiryntu, kryło się jądro z marmuru, szkła i błyszczącej stali. Należące do Elity koszary, magazyny oraz laboratorium, gdzie powoływano do życia Jednookich. Golemy należało konstruować i kwaterować pod ziemią, światło słońca było bowiem dla nich zabójcze. Na ulice miasta wysyłano je tylko nocą.

Kouremos wiedział, że nie ma żadnych szans, by przedostać się niepostrzeżenie na teren kompleksu, obwarowanego przez potężne czary ochronne, pilnowanego przez żołnierzy i spętane zaklęciami żywiołaki. Jednak nie było takiej potrzeby. Chciał zdobyć tylko jedną informację, a żeby ją uzyskać, wystarczyło podejść tak blisko koszar, jak na to pozwalał układ korytarzy.

Aby odnaleźć drogę, nie potrzebował mapy, kierował się instynktem. W końcu zatrzymał się w ślepych zaułku. Wyraźnie czuł srebrną aurę, emanującą poprzez mury – pod jej wpływem krew krążyła szybciej w żyłach jego materialnej powłoki, po plecach pełzły ciarki.

Wyjął z zanadrza woreczek i szepcząc w narzeczu Otchłani magiczne słowa, sypnął w powietrze zaklętym popiołem. Ten jednak opadł po prostu na spąg – wróżba dała negatywną odpowiedź. A zatem uwięzionych ifrytów należało szukać gdzie indziej.

Za ścianą, w jednym z pomieszczeń laboratoryjnych, dwa golemy służebne – toporne gliniane stwory o obliczach bez rysów – mozolnie rozmontowywały uszkodzony korpus Jednookiego. Iglendis ar Vanth, w szarej roboczej tunice narzuconej na białą szatę, wydawała im instrukcje.

Nagle uniosła głowę. Golemy, wyczuwając jej niepokój, zamarły.

Iglendis skupiła się i sięgnęła wewnętrznym wzrokiem poza mury laboratorium, lecz nie wyczuła niczego podejrzanego. Mrok, stęchlizna lochów i odległe szepty umarłych, czyli to, co zawsze.

– Kontynuujcie pracę – rzuciła sucho do swoich sług.

* * *

Dwa stworki przycupnęły we wnęce, węsząc. Samotny, nieuzbrojony człowiek momentalnie przykuł ich uwagę.

Należały do najbardziej niebezpiecznej z kilku odmian homunkulusa, jakie można było spotkać w Podziemiach. Nieduże, o białej skórze, kruchych kończynach i wielkich oczach. Wyglądały niegroźnie, lecz ich kły zawierały jad.

Zawsze stosowały tę samą taktykę. Zaczaić się w jakimś ciemnym kącie, skoczyć z nienacka, ukąsić. Potem ściągnąć resztę grupy. Do tego czasu trucizna unieruchomi ofiarę.

Były głodne, lecz nadchodzący człowiek miał w sobie coś dziwnego, niepokojącego. Homunkulusy wyczuły to instynktownie. I pozwoliły mu bezpiecznie przejść.

Nieświadom ich obecności, Brune rozglądał się, pobrzękując zawartością worka. Odłamki szkła, trochę kości niewiadomego pochodzenia oraz spory fragment zbroi golema – oto, na co można było natrafić w nieoświetlonych korytarzach.

Wyszedł na placyk, gdzie stało kilka lamp. Z jednej, pękniętej, wylała się część płynu, tworząc na murze wielki, fosforyzujący zaciek. Nieopodal wałało się trochę łachmanów i kilka pustych butelek. Brune schylił się, żeby je pozbierać.

– Hej, ty! – usłyszał nagle ochryply okrzyk. – Gdzie leziesz, to nasz teren!

Podszedł do niego gruby mężczyzna w postrzępionej kapocie, śmierdzący alkoholem i rynsztokiem.

– Pokaż no, co tam masz! – Wyrwał mu worek z ręki. Gdy ujrzał zawartość, splunął. – A idź ty, co za gówno... Z czego wy żyjecie, śmierdziele, zrecie błoto?

Otaksował młodszego mężczyznę spojrzeniem i nagle się uśmiechnął. Jego zęby wyglądały tak samo paskudnie, jak cała reszta

postaci.

– Wyskakuj z trepów!

Brune stał, nie rozumiejąc. Gruby wymierzył mu kuksańca.

– Co, łachu, po ludzku nie kapujesz? Oddawaj buty!

Nagle światło lamp zamigotało i przygasło na sekundę. W tym samym momencie z bocznego przejścia wyłonił się, zapinając spodnie, drugi typ.

– Hej, Powl, do kogo ty gadasz? – zdziwił się.

– Co, do stu... – Gruby zamrugnął, przetarł oczy. Rozejrzył się w osłupieniu. – Gdzie on się podział?!

Kumpel klepnął go w ramię.

– Stary, może nie pij dziś już więcej.

Kilka poziomów wyżej Brune otworzył oczy. Stał na Loss Fomar, pod murem, w cieniu jakiegoś kramu. Sam nie wiedział, co właściwie zrobił – był oszołomiony, trochę kręciło mu się w głowie.

Rozejrzył się czujnie, ale w ścisunku i gwarze targowiska jego nagle pojawienie się nie przykuło niczyjej uwagi. Doskonale. Skoro już tu jest, równie dobrze może się trochę pokręcić.

Przechodząc obok jednego z wielu straganów ze starociami, zauważył swoje odbicie w zaśniedziałym, pękniętym zwierciadle. Przeczesał dłonią włosy, krzywiąc się. Na powierzchni wzbudziłby natychmiast czujność każdego kramarza, ale tu nie rzucał się aż tak bardzo w oczy.

Uśmiechnął się do czarnowłosej dziewczynki, która pokazywała sztuczki z parą tresowanych białych szczurów. Odpowiedziała uśmiechem.

Nieopodal znajdowały się stoiska z żywnością. Jak zwykle śmierdziało tam paskudną zupą z flaków i przypalonym olejem, lecz unosiły się też przyjemniejsze wonie – smażonych ryb, fasoli w sosie z przyprawami, bigosu z mięsem. Brune zwolnił kroku. O ciepłym posiłku mógł raczej tylko pomarzyć, ale w skrzynkach piętrzyły się suszone owoce i wędzone serki, a w koszach stało szczerstwiałe pieczywo, oferowane po niższej cenie. I jak zwykle kupujących nie brakowało, więc uwaga sprzedawców nie skupiała się cały czas na towarze...

Może później. Teraz uwagę Brune'a przykuł stragan z bronią. Było to jedno z okazalszych i lepiej zaopatrzonych stoisk na targowisku.

Trzy zawieszona na łańcuchach latarnie oświetlały towar; płomień migotał w wypolerowanej stali. Dwóch barczystych mężczyzn w krótkich kolorowych kaftanach oglądało rapiery, spierając się półgłosem. Wąsaty sprzedawca zachwalał jasnowłosej, czarno odzianej dziewczynie zalety noży do rzucania.

Nagle wszyscy podnieśli głowy, zdziwieni, bo zrobiło się wyraźnie ciemniej.

– Hej, panie Friss! Latarnia wam zgasła! – zawołał ktoś.

Sprzedawca podniósł długi drąg z hakiem na końcu i odczepił latarnię od łańcucha.

– To dziwne, jest pełna oliwy – stwierdził, kręcąc głową.

Brune już osiągnął, co chciał. Odchodząc, dotknął rękojeści sztyletu ukrytego w rękawie.

Czuł się lepiej, mając przy sobie broń.

4. Nowe imię

Znajda! Krzywulec! Ruszcie tyłki! – Psiogłowiec wpadł do krypty jak burza. – Pyszczek, wstawaj! Od alchemików pociekło!

Pyszczek, którą to wołanie wyrwało ze snu, usiadła, przecierając ślepie.

– Że jak? Co się dzieje?

– Jak to co? Zarobek! – Znajda poderwał się. – Chodźcie prędko! Brune, na co czekasz?

– On też? – Psiogłowiec spojrzał z powątpiewaniem, potem wzruszył ramionami. – No dobra, tylko się nie guzdrajcie! I weźcie latarnie!

Niedługo potem wszyscy czworo spieszyli korytarzem, starając się nadążyć za rażno pogwizdującym kudłaczem, który na ramieniu niósł pożyczony od Czapli sprzęt wędkarski – dwa podbieraki plecione z wikliny i konopnych sznurków.

Za pierwszym skrzyżowaniem skręcili w lewo. Po jakimś czasie korytarz, którym szli, stał się wyraźnie węższy, a ze sklepienia coraz intensywniej kapało. Do zapachu stęchlizny dołączyła nowa, nieprzyjemna nuta, jakby zgnilizny i amoniaku.

– Hej, dokąd właściwie idziemy? – spytała podejrzliwie Pyszczek.

– Przekonasz się. – Psiogłowiec wyszczerzył zęby. – Ostrożnie, stopnie.

Krętymi schodkami wspięli się poziom wyżej. Drażniący odór nasilił się. Przywodził na myśl wyziewy z garbarni.

– No, jesteśmy – odezwał się kudłacz, wskazując ciemniejące przed nimi okute drzwi.

– Co tak śmierdzi? – Kociogłowa odmianka zmarszczyła brwi. – Co jest po drugiej stronie?

– A co ma być? Kanał. – Krzywulec wyjętym zza pazuchy wytrychem nie bez trudności otworzył zardzewiałą kłódkę. – Nie

stójcie tak, pomóżcie mi!

Wspólnymi siłami pchnęli ciężkie odrzwia, które rozwarły się z przeciągłym skrzypieniem. W twarze buchnęła im fala smrodu, od którego aż łzawiły oczy. W kanale pieniała się zielonkawa ciecz.

– Ja tam nie wchodzi! – zawołała Pyszczek. – Nie ma mowy! Nie będę brodzić w gównie!

– To jest czysty kanał. – Krzywulec wzruszył ramionami. – Gówno rzadko kiedy tu trafia.

– A co trafia?

Garbus wskazał okratowany otwór w ścianie. Mur poniżej jego krawędzi pokrywały jadowicie żółte i zielone wykwity osadu. Po drugiej stronie kraty było widać węższy korytarz, biegnący stromo do góry.

– Jesteśmy akuratnie pod siedzibą cechu alchemików. Bywa, że wylewają do kanału różne rzeczy. Odpady te, no, produkcyjne.

Psiogłowiec odłożył podbieraki, ukląkł i ostrożnie zanurzył koniuszek palca w zielonkawej cieczy.

– Dobra, nie jest żrące. Można włązić.

– Pogłupieliście? – spytał gwałtownie Brune. Nie odzywał się od poprzedniego dnia, więc teraz wszyscy popatrzyli na niego ze zdziwieniem. – Skąd wiecie, że te ścieki nie są trujące?

– A tam trujące. W gorszym syfie już brodziłem i żyję. – Krzywulec ściągnął tunikę przez głowę i powiesił ją na kracie. – No, wiara, zakasywać portki.

W cuchnącej toni coś leniwie plusnęło. Kilka banieczek pojawiło się na powierzchni i pękło.

– Czego wy tam chcecie szukać? – spytała sceptycznie Pyszczek. Tym razem odpowiedział jej Znajda.

– W tym, co wylewają alchemicy, trafi się czasem niedojrzały homunkulus. No wiesz, taki jeszcze malutki, prawie przezroczysty. Są tacy, co dobrze za nie płacą, pod warunkiem, że złapiesz żywego.

– Bzdury – stwierdził Brune, który usiadł tymczasem na kamieniu i patrzył na nich przytomnie jak rzadko kiedy. – Żaden homunkulus nie pożyje długo w takim bagnie.

– Ale! Ostatnim razem złapaliśmy trzy. Jeszcze się ruszały. Rahid zapłacił nam za każdego po trzydzieści leri, co nie, Psiogłowiec?

– Trzymaj język za zębami, durniu! – warknął kudłacz. – Łap

podbierak i do wody, szkoda czasu!

– Ja wracam! – oświadczyła Pyszczek. – Sami się chlapcie w tym paskudztwie! Brune, idziesz?

– Zastanówcie się! Trzydzieści leri za jednego homunkulusa. Toż to kupa forsy... – jęknął błagalnie Znajda, ale Psiogłowiec machnął ręką.

– Zostaw ich. Nie chcą, to nie. I tak mamy tylko dwa podbieraki.

Znajda otworzył usta, żeby zaprotestować, ale wystarczyło jedno spojrzenie na minę kociogłowej odmianki, żeby wzruszywszy ramionami, zabrał się do podkasywania spodni. Psiogłowiec i Krzywulec już brodzili w kanale, przepatrując mętną wodę.

Pyszczek chwyciła latarnię.

– Chodź, Brune. Nic tu po nas.

Znajda, Psiogłowiec i Krzywulec podejrzanie długo zwlekali z powrotem. Pojawili się dopiero po wieczornym posiłku, kiedy cała rodzina układała się na spoczynek. Wsunęli się do krypty chyłkiem, jakby nie chcąc się rzucać w oczy.

– A wam co?! – przeraziła się Pyszczek, gdy zobaczyła ich z bliska. Wszyscy trzej wyglądali jak dotknięci ospą. Ich ręce i nogi pokrywała brzydka czerwona wysypka, gdzieś tam przechodząca w bąble. Miny mieli bardzo niewyraźne.

– Ta woda w kanale była jednak jakaś dziwna – mruknął Psiogłowiec. – Wszystko mnie swędzi jak jasna cholera.

– No i co teraz? Widzicie, macie za swoje. Na drugi raz myślcie, moi drodzy. To nie boli.

– Dobrze już, nie musisz się wymądrzać – warknął Znajda, drapiąc się wściekle w ramię.

– Może do jutra przejdzie – stwierdził z nadzieją Krzywulec, układając się ostrożnie na legowisku.

Ale nazajutrz sytuacja nie przedstawiała się ani trochę lepiej. Męczyli się przez cały następny tydzień. W najgorszej sytuacji był Znajda, może dlatego że odmienicy mieli grubszą skórę. Chłopakowi od ciągłego drapania porobiły się ropiejące rany. Wyglądało to tak paskudnie, że reszta rodziny zaczęła go omijać łukiem.

– Zróbcie coś ze sobą, ofiarno, bo patrzeć na ciebie przykro! – ofuknęła go któregoś dnia Kurzajka. Siny, który akurat był w pobliżu, usłyszał. Podszedł, flegmatycznym spojrzeniem ocenił stan Znajdy i zamokał.

– Na powierzchni, w szpitalu za Rybią Bramą leczą biedaków za darmo – powiedział. – Idź tam, może ci pomogą. Jak Garbaty Marvin, ten z Krzywej Alei, dostał niedawno parchów, to go wyleczyli i grosza nie wzięli.

– Szpital? – przeraził się Znajda. – Na powierzchni? O nie, za nic tam nie pójde! Oni kroją trupy i sprzedają nowo narodzone dzieci czarownikom!

– Spokojna głowa, ciebie nie pokroją ani nie sprzedadzą. Dostaniesz maść albo jakie proszki, i tyle.

– Wszystko jedno! Nie pójde, boję się!

– To idźcie we dwóch, ty i Brune. Tak będzie nawet lepiej. Powiesz im, że się zajmujesz obłąkanym bratem. Naściemniaj ile wlezie, jęcz i proś. Zobaczysz, pomogą ci. Brune, chodź tu!

– Słońce mu szkodzi – przypomniał Znajda, chwytając się ostatniego argumentu.

– No to co? Akurat dziś jest pochmurno.

* * *

Po deszczowej nocy wstawał mglisty świt. Miasto pomału budziło się do życia, lecz brudne uliczki Północnej Dzielnicy trwały jeszcze we śnie. Tu i ówdzie dawało się dostrzec zapóźnionych birbantów, których dopiero światło dzienne wyгнаło z szynków i szulerni.

Brune rozglądał się, mrużąc oczy. Dziwnie było znowu oglądać świat w blasku dnia.

– To chyba tutaj – mruknął Znajda, spoglądając lękliwie na zaniedbany szary budynek, otoczony ogrodzeniem z żelaznych prętów. Nad wejściem kołysał się szyld przedstawiający dwa węże, znak cechu medyków.

Brama była uchylona, więc weszli na dziedziniec. Stało tam kilka wozów i suszyły się rozwieszona na sznurach prześcieradła. Na tyłach budynku panował rozgardiasz. Pod murem zebrała się grupa oczekujących, w większości przedstawiających żałosny widok – obdarci, zgarbieni, niektórzy o kulach albo w brudnych bandażach. Znajda przełknął ślinę na widok leżącego na noszach mężczyzny z potwornie opuchniętą, siną twarzą. Obok służąca spokojnie obierała warzywa, a druga doglądała kotła, w którym bulgotał wrzątek.

Koło studni stała balia. Siedział w niej wątyły chłopak, zapewne upośledzony umysłowo. Gadał coś nieartykułowanie, ale nie próbował się wyrwać. Jeden posługacz podtrzymywał go, drugi ostrożnie mył.

Wśród tego całego zamieszania uwijała się drobna kobieta w czarnej szacie z dwoma białymi pasami u dołu, przewiązanej płóciennym fartuchem.

– Janis, zabierz tego dzieciaka z odłą na górę, słyszysz? – krzyknęła przez ramię dźwięcznym, dziewczęcym głosem. – I przynieś nam tu jeszcze parę czystych płacht! Z tych, co to wiesz!

– Oho, chyba przyjdzie poczekać – stwierdził markotnie Znajda.

On i Brune stali pod murem jakiś czas, dygocząc w porannym chłodzie i obserwując dziedziniec. W balii zmieniono wodę i przyprowadzono dwóch kolejnych pacjentów. Młoda lekarka na jakiś czas zniknęła w budynku. W końcu do grupki czekających podszedł szpakowaty mężczyzna, również odziany w czarną szatę z białymi pasami. Po kolei pytał, co komu dolega. Niektórych odprawił machnięciem ręki, innych badał dłużej i kazał im czekać. Gdy podszedł do dwójki przyjaciół, Znajda nabrał tchu i zaczął jęczeć jak zawodowy żebrak, opowiadając zmyśloną na poczekaniu historię o różnych nieszczęściach, ale lekarz przerwał mu w pół słowa.

– Starczy. Rozdziewaj się do koszuli. Haru, chodź tu, zerkniesz na jednego artystę z Podziemi. Cały w strupach i narzeka, że go śwędzi.

Młoda lekarka, która właśnie wróciła na dziedziniec, podeszła żwawo.

– Cośmy sobie wyhodowali? Pokaż no się. Taak. Piękna wysypka, zaropiałe rany od drapania, a do tego czarne ręce i wszy jak żółwie. Dam ci maść, ale wpierw pójdziesz do balii, jak tylko się zwolni. – Obrzuciła Brune'a krytycznym spojrzeniem. – Obu wam by się przydało, ale nie stać nas, żeby fundować kąpiel każdemu, kto się zjawi.

Znajda na samą wzmiankę o kąpeli skulił się z przerażeniem.

– Nie trzeba, ja może po prostu sobie pójde – szepnął.

– Tak, świetny pomysł! Pochodzisz jeszcze dwa tygodnie i dostaniesz zakażenia krwi! Jak tyś się w ogóle tak załatwił? Pewno chlapałeś się w kanałach! Masz szczęście, że nie zatarłeś oczu, bo mógłbyś oślepnąć. – Z obrzydzeniem podniosła w dwóch palcach jego kurtkę. – Oddasz ubranie i dostaniesz w zamian czyste.

– I tak za trzy dni będzie znowu zawieszony – rzucił przez ramię szpakowaty, który badał teraz człowieka leżącego na noszach. – Tych z Podziemi nie sposób czegokolwiek nauczyć.

Podbiegła do nich młodziutka, zadyszana służąca. Wyglądała na wystraszoną.

– Pani dochtór, z Wyspy Salamander przyjechali po tę obłąkaną dziewczynę. Z wozem i z golemami, i ze wszystkim.

– Ja się tym zajmę – stwierdził szpakowaty. Ruchem ręki przywołał posługaczy, dając znak, żeby zabrali nosze do budynku. – Obejrzyj dla porządku też tego drugiego.

Brune przygarbił się jeszcze bardziej, pozwalając, żeby włosy opadły mu na twarz. Choć zwykle nie przejmował się swoimi bliznami, teraz nagle zapragnął je ukryć, jakby były objawem choroby. Ale lekarka, która wyraźnie myślała już o czym innym, zaledwie rzuciła na niego okiem.

– Hm, ty nie wyglądasz źle. Pokaż ręce. Oczy ci nie ropieją? – Kiedy przecząco potrząsnął głową, nie troszczyła się, żeby to zweryfikować. – Wszy masz? Pewnie masz, ale od tego się nie umiera. Dobra, tobie nic nie dolega. Poczekasz tu na brata.

– Szczęściarz – mruknął Znajda. Wyglądał, jakby szykował się do wejścia na szafot.

* * *

– Muszę się napić – oświadczył Znajda, z obrzydzeniem obwąchując dłoń. – Na trzeźwo nie wytrzymam tego smrodu.

Wyszorowany, wysmarowany maścią i zabandażowany, intensywnie pachniał tranem. Bura wełniana tunika, w którą go ubrano w szpitalu, była tak obszerna, że wisiała na nim jak worek. Na odchodnym dostał od ciemnowłosej lekarki zawiniątko ze świeżymi bandażami, kawałek szarego mydła oraz garnuszek maści. I dokładne instrukcje, co z tym wszystkim robić.

– Przyzwyczaisz się.

– Łatwo ci mówić – jęknął chłopak, ale zaraz poweselał. – Słuchaj, mam pomysł. Wstąpmy na jednego do szynku starego Fensa, to niedaleko stąd. O tej porze powinno tam być pusto. Co ty na to?

Brune nie miał nic przeciwko temu, żeby zostać jeszcze trochę na

powierzchni. Na dworze nadal było szaro, niebo zasnuwały chmury, więc światło słońca nie drażniło jego blizn.

Znajda z każdą chwilą miał lepszy humor. Zastanawiał się, komu mógłby sprzedać bandaż oraz mydło, i czy któryś z odmieńców miałby ochotę pożywić się maścią, która składa się głównie z rybiego tłuszczu.

Szynk starego Fensa okazał się paskudną spelunką, mieszczącą się w piwnicach chylącego się ku ruinie budynku. Nieliczna klientela zlustrowała przybyłych podejrzliwie. Nieszczęsny Znajda skulił się, dobrze wiedząc, że wszyscy gapią się na jego opatrunki.

– Chcesz coś? – spytał, grzebiąc po kieszeniach.

– Nie.

Chłopak na szczęście pamiętał, żeby przed oddaniem starego ubrania zabrać wszystko, co miał pochowane w różnych kieszeniach i fałdach. Położył na kontuarze miedziaka, a gruby, niesympatycznie wyglądający szynkarz nalał mu szklaneczkę podłej anyżówki.

Znajda i Brune usiedli w kącie, przy pustym stole. Nagle drzwi lokalu otworzyły się i do środka weszło czterech niechlujnych zbirów. Stary Fens na ich widok wyprostował się i wyszczerzył w uśmiechu spróchniałe zęby.

– Szacuneczek, panie Riakin! – zawołał przymilnie. Jeden z przybyszy, dryblas w wytłuszczonej, niegdyś niebieskiej kurcie, bez koszuli i z przepaską na oku, zamachał do niego.

– Lej gorzałkę, Fens! I dawaj coś na ząb!

Podeszli do kontuaru, rozprawiając hałaśliwie jeden przez drugiego. Szynkarz nalał im wódki, wyciągnął półmisek wędzonej ryby.

– Jasna cholera – zaszeptał Znajda samymi wargami. – To ludzie Helshora. No wiesz, żebraczego króla. Tośmy dopiero wpadli...

– Czemu?

– Helshor nie lubi odmieńców. Żeby tylko mnie nie poznali...

W tej samej chwili jeden z typków, gęsto wytatuowany, obejrzał się przez ramię i trącił tego z przepaską na oku.

– Hej, Riakin, spójrz no! Kto to siedzi tam w kącie, trędowaci?

Znajda zamarł. Brune zachował spokój, jego dłoń ukradkiem dotknęła rękojęści sztyletu.

Zbiry otoczyły ich. Z bliska było widać, że ich oczy podejrzenie błyszczą od jakiejś odurzającej substancji.

– Przecież to ten rudy bękart od śmieciarzy – stwierdził ze złym uśmiechem Riakin. – Nie godzi się, żeby takie męty szły między porządnymi ludźmi.

Zrzucił ze stołu niedopitą anyżówkę, potem wziął zamach i trzasnął chłopaka w twarz.

– Wolnego! – zawołał Fens. – Jak chcecie wszczynać burdę, to na zewnątrz!

Żebracy zignorowali go. Riakin wykręcił Znajdzie rękę, aż w oczach chłopaka pojawiły się łzy. Zanim Brune mógł zareagować, ten z tatuażami złapał go za kołnierz.

– A ty, poharatany, co się gapisz! Upiększyć ci bużkę?

Zaraz jednak odskoczył jak oparzony i zaczął potrząsać ręką, krzycząc szaleńczo.

– Mrówki, kurwa, mrówki! Gryzą mnie! Gryzą! Aaaa!

Jego kumple patrzyli skonsternowani. Nagle Riakin skrzywił się i podrapał, najpierw w ramię, potem pod pachą. Zerwał czapkę i zaczął się czochrać z wyrazem narastającego przerażenia na twarzy.

Chwilę później wszyscy czterej miotali się w panice, na oczach oniemiałych świadków zdzierając z siebie odzienie i próbując łapać niewidzialne owady, które ich kąsały.

– Zmywamy się, prędko – syknął Brune, chwytając Znajdę za rękę.

Jakiś potężnie zbudowany typ zastąpił im drogę, unosząc pięści.

– Hej, ty...

Ale Brune miał już w ręku sztylet, a strach o siebie i o przyjaciela podziałał nań piorunująco. Typ zatoczył się na ścianę, brocząc krwią.

– Hej! Tędy! – Zamiast uciekać ulicą, Znajda skoczył w bok, w labirynt śmierdzących podwórek. Pomimo przerażenia zachował dość przytomności umysłu, żeby pamiętać, gdzie jest najbliższe ukryte zejście do Podziemi. Zaraz na sąsiednim podwórzu stała drewnutnia, a za nią, częściowo zasłonięty przez sięgające kolan pokrzywy, znajdował się wjazd.

– Pomóż mi – jęknął chłopak, siłując się z pokrywą. Wspólnie zdołali ją odsunąć. Z otworu wionęło znajomym zapachem stęchlizny; kręte schodki wiodły w ciemność. Znajda wyciągnął zza pazuchy butelkę ze świecącym płynem.

Kilka poziomów niżej przystanęli na skrzyżowaniu korytarzy, żeby złapać oddech. Naokoło panowała cisza.

– No, chyba jesteśmy bezpieczni. – Znajda otarł rękawem czoło. – Psiakrew, ależ mieliśmy szczęście! Musieli być naćpani jak nie wiem co. – Przystąpił niepewnie z nogi na nogę. – Ukradłeś ten nóż, prawda? Wiesz, że Siny tego zabronił...

Urwał, widząc, że twarz przyjaciela przybiera martwy wyraz – znak, że szaleństwo znowu przejmując nad nim władzę.

Brune stał bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń. Nagle jego oczy zapłonęły. Upiornie, żółto.

– Nie wygrasz, przeklęty władco! – krzyknął z wściekłością. – Nie będę grał w twoją grę!

Rąbnął się pięścią w twarz, raz, potem drugi i trzeci. Znajda patrzył na to, oniemiały.

W końcu Brune zwiesił głowę, oddychając ciężko. Na jego policzku nabrzmiewał siniec. Upiorny błysk w źrenicach zgasł, zastąpiło go znajome, puste spojrzenie.

Po długiej chwili Znajda odważył się podejść. Ostrożnie ujął przyjaciela za rękę.

– Chodź – szepnął. – Powoli.

* * *

– Niedobrze – cmoknęła Pyszczek, wysłuchawszy szeptanej opowieści. Była jedyną osobą, jaką Znajda zastał przy ognisku; Psiogłowiec i Krzywulec jeszcze nie wrócili z miasta. – Nie lza tego tak zostawić, młody. A nuż jest opętany albo co...

Siedzący na swoim posłaniu Brune podniósł głowę, jakby dosłyszał, co mamroczą, a Znajda poczuł dreszcz. Po posiniaczonej twarzy przyjaciela płynęła krew. Zasklepione już szramy ponownie się otworzyły.

– Powiem ci, co trzeba zrobić – syknęła kociogłowa odmianka. – Zabierz go na Krzywą Aleję, do Gorzcycy. Jeśli ktoś może tu pomóc, to tylko ona.

– Siny nie lubi Gorzcycy – przypomniał lękliwie chłopak. – I ma na pieńku ze starszyzną, przecież wiesz...

– Nic nie powiem Sinemu. Obiecuję. Na, trzymaj, bo sam pewno nie miałbyś czym zapłacić. – Wcisnęła mu w rękę kilka monet. Znajda wydukał podziękowanie. Pyszczek klepnęła go w ramię gestem

dodającym otuchy.

– Zabierz go do Gorzycy – powtórzyła.

Dręczyły ją teraz wyrzuty sumienia, że dotrzymała słowa i nie powiedziała nikomu o żrenicach przybysza. Ale czarownica z Krzywej Alei była stara i doświadczona.

Jeśli jest niebezpieczny, Gorzyca to pozna.

* * *

Każde dziecko w Shan Vaola słyszało o mieszkańcach Krzywej Alei, jakkolwiek mało kto tam chadzał.

Przed laty ulica ta nazywała się inaczej i stały przy niej wille zamożnych obywateli, otoczone ogrodami, z widokiem na wodę. Potem miasto nawiedziła zaraza, która najbardziej rozsrożyła się w dzielnicach położonych nad rzeką; wiele posesji straciło wówczas właściciele, a nieliczni, którzy w porę wyjechali, lękali się wracać. Następnej wiosny wezbrana woda przelała się przez wały, których nie było komu naprawić, zalała ogrody i podmyła fundamenty części opustoszałych domów. Rada miasta straciła zainteresowanie ruderami, do których nikt nie chciał się zbliżyć ze strachu przed morowym powietrzem. Nikomu więc nie wadziło, kiedy rozgościli się tam odmieńcy, do tej pory skazani na koczowanie poza miejskimi murami. Z zarazy mogli sobie kpić, bo ludzkie choroby się ich nie imały. Wokół zrujnowanych willi wyrosły szalasy i lepianki, a teren ogrodzono częstokołem. I tak Krzywa Aleja stała się królestwem potworków. Odmieńcy żyli tu spokojnie w swoich żalonych domostwach; niektórzy utrzymywali się z żebraniny, ale większość trudniła się rzemiosłem albo różnymi podłymi pracami, jak czyszczenie rynsztoków albo opróżnianie wychodków. Dopóki nie łamali prawa, nikt ich nie nękał ani nie prześladował.

Po przejściu przez bramę w częstokole Brune wyraźnie oprzytomniał. Rozglądał się z zainteresowaniem i nieco niepewnie. W świetle dnia Krzywa Aleja straszyla ruderami o wyłamanych okiennicach i dziurawych dachach. Na zarośniętych pokrzywami podwórkach piętrzyły się rupiecie – widocznie część rodzin zarabiała tu na życie w podobny sposób, co familia Sinego. Tu i tam spacerowały kury, w śmierdzącej gnojówką kałuży wylegiwało się kilka świń.

Przed domami bawiły się dzieci wyglądające jak potomstwo demonów; zdeformowane twarze, skóra pokryta sierścią, piórami bądź łuską, zniekształcone albo brakujące kończyny.

Jedna z na wpół zrujnowanych willi z daleka rzucała się w oczy, obwieszona była bowiem kolorowymi szmatami i pękami zielska.

– Tam mieszka starosta – wyjaśnił Znajda. – No, taki starosta dla picu, znaczy się. Gdy są jakieś kłopoty z władzami, starosta musi iść i gadać w imieniu wszystkich, ale powtarza tylko to, co wcześniej ustaliła starszyzna. Sprytny układ, uważasz. Na starostę zawsze się wybiera kogoś głupszego, a mocnego w gębie. Ci mądrzejsi nie lubią się zadawać z obcymi, a z Elitą w szczególności.

Podeszła do nich odmianka o złotych oczach i skórze pokrytej drobniutkimi, migoczącymi w słońcu łuskami.

– Kogo nam tu przyprowadziłeś, mały śmieciarski braciszku? – spytała z kpiącym uśmiechem, ale bez wrogości.

– On jest z rodziny Sinego, jak ja – wyjaśnił pospiesznie chłopak. – Choruje. Musimy się zobaczyć z Gorczycą.

– Znasz drogę?

– Nie...

– Chodźcie za mną.

Zaprowadziła ich do lepianki stojącej na zboczu wzgórza, w pewnym oddaleniu od innych domów. Na przyzbie siedziała staruszka o nienaturalnie wielkiej, wybrzuszanej na ciemieniu głowie, i łuskała groch. Nad jej ramieniem sterczał garb, a wątle dłonie miały po sześć palców.

– Oczekiwałam was – odezwała się niskim, chrapliwym głosem, na dźwięk którego Znajda wzdrygnął się lękliwie. – Wchodźcie, wchodźcie. Dziękuję, dziecko – zwróciła się do złotoookiej.

Obaj musieli się schylić, żeby przejść przez drzwi. W chacie Gorzcycy panował półmrok, bo błony w okienku przepuszczały niewiele światła. Dym z rozpalonego wprost na polepie ogniska unosił się leniwie, uchodząc przez szpary w strzesze. Pod powałą wisiały pęki ziół, a z kociołka zawieszzonego nad żarem dobiegał bulgot.

Gorczyca gestem poleciła, żeby usiedli przy ogniu. Sama zajęła miejsce naprzeciwko. Wyjęła zza pazuchy flakonik, odkorkowała go i wytrząsnęła do kociołka kilka kropel. Rozszedł się intensywny aromat, jakby zamorskich przypraw. Znajda kichnął raz i drugi.

Sędziwa odmianka w ogóle nie zwróciła na niego uwagi.

– Wiedziałam, że się zjawisz – przemówiła, wpatrując się w przeciętą szramami twarz Brune’a, jakby chciała przewiercić go wzrokiem na wylot. – Czy masz czym zapłacić?

– Ja zapłacę – odezwał się Znajda. Położył na polepie miedziaki, które dała mu Pyszczek. – Proszę. Więcej nie mamy.

– To wystarczy. – Gorczyca zgarnęła pieniądze. Nadal wpatrywała się w Brune’a. – Czego ode mnie oczekujesz, wężu? Nie przywrócę ci wspomnień i nie uwolnię cię od tego, co jest ci przeznaczone.

Brune nic nie odrzekł, przygarbił się tylko. Otulił się ciasniej złachmanioną kurtką, chociaż w chacie było ciepło, wręcz duszno.

– Czy możesz go uleczyć z szaleństwa? – spytał błagalnym tonem Znajda.

– Czy mogę? – Wiedźma bez pośpiechu posmarowała sobie olejkiem skronie. – On pyta, czy mogę cię uleczyć, wężu. No cóż, to zależy, o którą chorobę wam chodzi.

Zaśmiała się; brzmiało to jak szelest suchych liści. Potem nieoczekiwanie wyciągnęła rękę. Brune drgnął, kiedy dotknęła jego szram, ale nie próbował się odsunąć.

– To musiało boleć, o tak... Gdy zadano te rany, straciłeś też imię, a wraz z nim pamięć. Osłabiono w ten sposób twój umysł.

Dołożyła do ognia, po czym wsypała do kociołka garść proszku. Zasyczało, a gotująca się ciecz zaczęła fosforyzować zielonkawo. Znajda obserwował to zafascynowany, zapominając o strachu.

Gorczyca uklękła naprzeciwko Brune’a i spojrzała mu przenikliwie w oczy.

– Imię, które nosisz, ukradłeś. Wiem to, bo jestem wiedźmą. Zastąpiłeś nim utracony kawałek siebie, by uleczyć swoje ludzkie ja. Ale twoja wężowa natura też potrzebuje imienia. Imienia, które da jej kształt, a tobie siłę. Które będzie twoją tarczą i maską.

Ogień łakomie pożerał suche drewno. Kociołek bulgotał.

– Jestem odmianką, więc mogę ci ofiarować tylko imię odmieńca. Ale wpierw muszę zajrzeć w twoje myśli, dowiedzieć się o tobie troszkę więcej. Nie bój się.

Przyłożyła rękę do skroni Brune’a. W następnej chwili jęknęła i skuliła się jak uderzona.

Znajda zamarł. Przez mgnienie oka słyszał i czuł to samo, co

usłyszała i poczuła Gorczyca.

Czerń, nieprzenikniona, bezdena otchłań. Przeróżliwe zimno. Smród padliny, grobu.

I krzyk... Przerażony, rozpaczliwy krzyk kogoś miotającego się w ciemności, w której nie widać nic.

– Skąd tu przybyłeś?... – szepnęła drżącym głosem wiedźma. Brune tylko patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Otrząsnąwszy się, palcem umocznym w olejku nakreśliła na jego czole jakiś symbol.

– Przyjmij mój dar. Przyjmij nowe imię.

* * *

Wszędzie wokół rozlegało się chrapanie śpiących odmieńców. Brune siedział owinięty w koc i patrzył w mrok.

Czuł się tak, jakby zdjęto mu z oczu zasłonę, albo jakby mgła, w której do tej pory stąpał, rozwiała się. Dopiero teraz w pełni uświadomił sobie, ile luk ma w pamięci. Dręczyło go sto pytań bez odpowiedzi.

Lochy. Familia. Co było wcześniej? Nie pamiętał, a raczej – pamiętał oderwane obrazy, bez żadnej logiki.

Burza. Płonący zamek.

Rapier w dłoni, walka.

Bal, wdzięczące się kobiety o upudrowanych włosach. Kiedy to było? I gdzie?

Zakurzone księgi o pożółkłych stronicach. O czym traktowały?

Daleko na horyzoncie – miasto, nad którym snują się dymy...

A potem... już tylko czerń.

Ostrożnie dotknął szram na policzku.

W momencie gdy Gorczyca ofiarowała mu imię, odniósł wrażenie, jakby w jego umyśle otwarto drzwi, wcześniej zamknięte na klucz. Nagle w jego pamięci pojawiło się tyle dziwnych rzeczy. Traktaty, ryciny, definicje... godziny spędzone w pracowni... Wszystko mgliste, wszystko zamazane. Ale zaczynało się znowu spajać, układać w całość. Choć tak wielu kawałków brakowało... Być może nigdy ich nie odzyska.

Jedno wiedział ponad wszelką wątpliwość.

Jestem ka-ira, skażonym magiem. Żmijem. Ta myśl, chłodna pewność, wywoływała zarazem strach i podniecenie.

Szaleństwo na jakiś czas zmieniło mnie w ślepy talent, Zmroczą myślała za mnie. Tak często dzieje się z ludźmi, w których świeżo obudził się dar. Ale ja musiałem być już wcześniej szkolony w magii, skoro znam zaklęcia.

Przypomniał sobie incydent z poddanymi zebraczego króla. Prosty czar sprowadzający przerażenie... Wystarczyło się skoncentrować i wykonać odpowiedni gest.

Wiedział, że potrafi uczynić jeszcze więcej. Gdyby chciał, mógłby zajrzeć do umysłu każdego ze śpiących odmieńców i odczytać ich sny. Albo... albo ruchem ręki spowodować, że ledwie żarzące się ognisko buchnie jasnym płomieniem...

Skupił się i sprawił, że w powietrzu nad jego dłonią zatańczył płomycek, po czym zgasił go dmuchnięciem. Raz, potem drugi.

Widział w ciemnościach i pamiętał, że to zdolność charakterystyczna dla obdarzonych czarnym darem.

Dwie są barwy magii, srebro i czerń.

Drgnął na wspomnienie golemów noszących znak pentagramu.

Elita. Srebrni magowie. Odczytują przyszłość z gwiazd, rozkazują żywiołom, konstruują golemy. Sprawują władzę w pięciu miastach nad Zatoką Snów.

I tępią takich jak ja, bowiem zagrażamy równowadze świata.

Siedział, marząc trochę pomimo koca, patrzył w mrok i rozmyślał.

Daleko, daleko w innym wymiarze, w zamku pośrodku popielistego pustkowia, demon zakuty w spizową zbroję uśmiechnął się, słuchając relacji swojego szpiega.

– Krzyczący w Ciemności... Ma to pewien urok.

* * *

Z pozoru wizyta na Krzywej Alei niewiele zmieniła. Brune jak zwykle zniknął rano, pojawił się pod koniec dnia, w milczeniu oddał Sinemu worek.

Po wieczornym posiłku snuł się tu i tam, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca. W końcu, korzystając z tego, że Znajda akurat zagadał się z Psiogłowcem, niezauważenie wymknął się z krypty.

Kierunek wybrał bez zastanowienia. Po kilku zakrętach z mroku dobiegły niosące się echem pokrzykiwania i szczęk stali, a chwilę potem na murze pojawił się odblask łuczywa.

W pobliżu siedziby śmieciarzy mieszkało trzech odmieńców-wojowników: potężnie zbudowany Rybi Pysk o czerwonych jak krew ślepiach, niewysoki, lecz barczysty Rożek i niemłody już, porośnięty szarą sierścią Szczur. Wynajmowali się kupcom do pilnowania magazynów; zdarzało się też, wcale nie tak rzadko, że za stosowną opłatą robili z kimś porządek, jak eufemistycznie ujmował to żargon.

Z Sinyem pozostawali w dobrych sąsiedzkich stosunkach. W swojej krypcie na przestrzeni lat zgromadzili kolekcję broni, której część pochodziła ze śmieciarskich znalezisk. Siny dostarczał im też za pół ceny drewno na opał. W zamian wojownicy mieli oko na siedzibę śmieciarzy. Sama obecność zbrojnych do pewnego stopnia zabezpieczała przed nieproszonymi gośćmi.

Każdą wolną chwilę wykorzystywali na ćwiczenie swoich umiejętności. Teraz Rybi Pysk i Rożek fechtowali się pośrodku korytarza, w blasku pojedynczej pochodni. Szczur obserwował ich, rzucając od czasu do czasu komentarz czy wskazówkę. Brune usiadł nieopodal i patrzył na nich w milczeniu. W końcu Rybi Pysk go zauważył.

– Hej ty, śmieciarski pomiole! Czego tu szukasz?

– Jest was trzech – padła odpowiedź.

– No i co z tego, że trzech, półgłówku?

– Może przydałby się czwarty do poćwiczenia, jeśli macie zapasową broń.

– Wolne żarty! Zmykaj, pókim dobry – warknął zwalisty odmieniec, lecz Szczur uciszył go machnięciem ręki, wyraźnie zaintrygowany.

– Broń się znajdzie, jeśli naprawdę umiesz się posługiwać żelazem – powiedział powoli, przypatrując się przybyszowi.

– Nie zmierzyłbym się z tym śmierdzielem, choćby mi zapłacili – prychnął Rybi Pysk.

– Świetnie, w takim razie co powiesz na mały zakład? – podchwycił natychmiast Brune. – Dajcie mi jakiś porządny rapier albo szpadę, i niech twoi przyjaciele liczą do czterdziestu. Nie zranisz mnie ani nie rozbrosisz przez ten czas.

Rybi Pysk zawahał się, zbity z tropu.

– Nie masz o co się zakładać, lachmyto – sięgnął do ostatniego argumentu.

– Jeśli przegram zakład, oddam ci ten nóż. – Brune wyjął sztylet i obrócił go w dłoni. – Co ty na to?

– A jeśli wygrasz, chłopcze, co wtedy? – spytał z uśmiechem Rożek.

– Wtedy będę mógł od jutra z wami ćwiczyć.

– Co, chłopaki, mam się zgodzić? – Rybi Pysk zerknął niepewnie na Szczura. – Siny się nie wkurzy, jak zrobię krzywdę temu pajacowi?

– Takiś mądry, to spróbuj – stwierdził stary. – Co ci szkodzi? Tylko ostrożnie, na tęą broń. A ty, chłopcze, masz, załóż moje rękawice.

Brune spełnił polecenie. Zważył w ręku nieco zardzewiały rapier do ćwiczeń, który mu podano, po czym zgrabnie wywinął nim ósemkę. Rybi Pysk uniósł brwi.

Starli się. Rożek i Szczur liczyli głośno.

– A niech mnie zmora popieści! Słuchajcie, ten drań sobie całkiem nieźle radzi – stwierdził poirytowany Rybi Pysk, gdy już stało się jasne, jaki jest wynik zakładu.

– Widzę właśnie. – Szczur wstał i ujął broń. – Chodź, chłopcze. Teraz mnie pokażesz, co potrafisz.

Dość długo trwało, zanim stary odmieniec zdołał rozbroić przeciwnika. Zabrzmiały oklaski – u wylotu korytarza zdążyło się zebrać kilku ciekawskich, w tym Znajda, który patrzył na wszystko z rozdziawionymi ustami.

– Ładnie – stwierdził Szczur, opuszczając rapier. – Naprawdę ładnie.

Brune dyskretnie zacisnął i rozprostował palce prawej dłoni. Ręka mu drżała – zmęczył się bardziej, niż przewidywał.

– Szybki jesteś, kolego, tylko słaby w ręku jak dziewczyna. – Rożek mrugnął do niego życzliwie. – Nie martw się, zaradzimy temu.

* * *

Brune dołożył do ognia. Patrzył, jak płomień powoli pochłaniają kawałki starych desek i mebli.

Myślał o powrocie na powierzchnię. Zastanawiał się, czy to ma jakiś sens.

Jestem skażonym magiem, dokąd pójdę? Nie mam w tym mieście

przyjaciół. Na dobrą sprawę nie wiem, ile umiem. Słońce sprawia mi ból, na ulicach roi się od sług srebra. Co miałbym robić, do cholery? Kraść i zabijać?

Jego wspomnienia nadal przesłaniała mgła. Wciąż na nowo usiłował sięgnąć w jej głąb, przypomnieć sobie, kim był wcześniej. Bezskutecznie.

Do ogniska przysiadł się Znajda. Milczeli jakiś czas.

Znajdzie rzuciło się w oczy, o ile lepiej wygląda przyjaciel. Musiał się w ostatnich dniach przypodchlebić Kurzajce i pożyczyć od niej krawieckie akcesoria, bo z grubsza doprowadził do porządku swój obszarpany przyodziewek, a przy okazji przystrzygł zarost, przez co odmłodził w oczach. A co najważniejsze – jego spojrzenie nie było już błędne.

Dym unosił się powoli, porywany w górę prądem powietrza.

– Zdrowiejesz – odezwał się w końcu chłopak, ale bez radości w głosie.

– Może tak, może nie.

– Odejdiesz od nas niedługo. Umiesz walczyć, możesz zarobić na lepsze życie.

– Może.

Na sąsiednim barłogu podpity Psiogłowiec chrapał tak, że aż echo się niosło. W kącie Pyszczek przekomarzała się z Pochrupkiem, łaskocząc go po brzuszku.

– Odejdiesz, prawda? – powtórzył Znajda.

Brune milczał długo, zanim odpowiedział.

– Jeszcze nie wiem.

Zgarbił się, jakby myśli przygniotły go niewidocznym ciężarem, ale wyprostował się po chwili. Gestem pełnym niechęci odgarnął z oczu splątane włosy.

– Ta znachorka, u której byliśmy... – odezwał się, nie odrywając wzroku od płomieni.

– Aha?

– Muszę z nią pomówić po raz drugi.

– Nie wiem, czy będzie chciała z tobą rozmawiać. – Znajda wyglądał na przestraszonego. – Ale dobrze, pójdziemy do niej jutro.

– Chodźmy dzisiaj. – Jakby powziąwszy postanowienie, Brune wstał.

– Teraz?! Zmierzch zapada, zanim dojdziemy na Krzywą Aleję, będzie noc – tłumaczył Znajda, ale kiedy dokładniej przyjrzał się twarzy przyjaciela, również wstał. – Dobrze. Pójdziemy zaraz.

* * *

W chacie Gorzcycy paliło się światełko, widoczne przez błony w oknie. Wewnątrz na polepie leżała sterta wysuszonych pokrzyw i podbiału. Sędziwa odmianka przy blasku łożówki cierpliwie układała zioła w pęczki i wiązała je nicią.

– Wiem, co cię sprowadza – odezwała się, gdy Brune wszedł do izby. – Ale nie pomogę ci. Zrobiłam, co mogłam, ofiarowałam ci imię. Nie jestem w stanie uczynić nic więcej.

– Kim jestem? – spytał, patrząc jej prosto w oczy. Zaśmiała się ochryple.

– Przecież wiesz. A może nie?

Westchnął tylko.

– Kto mi odebrał pamięć?

– Nie wiem, wężu. Nawet ja nie wiem wszystkiego.

Wyczuł, że ona nie mówi całej prawdy, ale wyczuł również, że więcej się od niej nie dowie.

– Jak mam teraz żyć? – zadał pytanie, które nie dawało mu spokoju.

– Żyj – odparła staruszka, wzruszając ramionami. Potem wróciła do wiązania ziół. Rozumiejąc, że rozmowa została zakończona, Brune skłonił się i wyszedł z chaty.

Zrobiło się już prawie całkiem ciemno. Przystanął pośrodku zarośniętego chwastami podwórza. Niżej, w oddali, migotały niewyraźne światełka miasta; w górze rozciągało się milczące niebo, zasnuwane chmurami.

Stał tak, nie zważając na podmuchy zimnego wiatru, patrząc w dal, ku zatoce. Palce powoli odnalazły rękojęść noża, zacisnęły się mocno. Przypomniał sobie moment, kiedy znachorka dotknęła jego twarzy, nadając imię.

– W porządku – szepnął. – Skoro tak ma być.

Wrócił na ulicę, gdzie czekał Znajda, zmarznięty i nieco wystraszony.

– I co? – spytał chłopak. – Co ci powiedziała?
Krzyczący w Ciemności milczał.

5. Dziesięciu żebraków

Spójrzcie tylko, panie. – Sprzedawca antyków, kłaniając się, rozłożył zakurzony wachlarz. – Złota rączka, pióra bazyliuszka, wzór według wschodniej mody. Ten wachlarz należał kiedyś do...

– Nie, mości Antonusie. – Kouremos nawet nie raczył rzucić okiem we wskazanym kierunku. – Mówiłem już, nie przyszedłem tu, by oglądać byle co. Szukam jednej, konkretnej rzeczy. Opis znasz.

Antonus spochmurniał.

– Panie, prowadzę w tym mieście interesy od dwudziestu lat. Przysięgam na bogów, że nigdy nie widziałem takiego przedmiotu.

Kouremos westchnął w duchu. Jeszcze kilka dni bezowocnych poszukiwań, a władczyni straci cierpliwość.

– Zapomnij – rozkazał, wyciągając rękę. Oczy handlarza przybrały zdezorientowany, pusty wyraz.

Kiedy demon wyszedł na ulicę, niemal od razu zaczął go obdarty chłopiec.

– Panie, król ma dla was wiadomość.

– Jakąż to?

– Pragnie ją przekazać osobiście. Czeka w Podziemiach, zaprowadzę was.

Kouremos uniósł brwi. Bezczelność żebraków przekraczała wszelkie granice, ale uznał, że nie ma nic do stracenia. Gdyby w swym zadufaniu chcieli zwabić go w zasadzkę i obrabować... No cóż, niech spróbują.

Wszedł śladem chłopaka do zaniedbanej kamienicy. Dzieciak zaprowadził go do piwnicy, gdzie cuchnęło kiszoną kapustą i kocim moczem. Wyciągnął zza pazuchy butelkę ze świecącym płynem i szarpnął klapę w podłodze.

– Ostrożnie, patrzcie pod nogi – poradził przez ramię.

Rozchwiane drewniane schody istotnie nie budziły zaufania.

Kouremos z niesmakiem odrzucił czubkiem buta truchło szczura.

W końcu znaleźli się w korytarzu, gdzie świeciły lampy. To był jeden z bardziej cywilizowanych rejonów Podziemi – składowano tu towary. Ziarno, surową wełnę, tkaniny, przyprawy. Demon nadstawił ucha, kiedy zza rogu dobiegły gniewne okrzyki; jakiś kupiec rugał podwładnego za brakujące skrzyńki.

Przed wejściem do jednego z magazynów dwie obdarte postacie rozładowały wózek z drewnem. Kouremos zmrużył oczy. Wyższy z tych ludzi miał długie, splątane włosy i twarz przeciętą szramami, a jego aura z daleka uderzała czernią. Ciekawe.

– Tutaj – chłopiec skręcił w węższy, boczny korytarz. – W dół i na prawo.

Po kilkunastu minutach kluczenia Kouremos zaczął tracić cierpliwość. Zastanawiał się już, czy nie zacisnąć palców na gardle młodocianego przewodnika, celem uświadomienia mu, że sztuczki i podstępny mogą mieć niedobre konsekwencje. Ale właśnie wtedy chłopiec pchnął okute drzwi.

– Wejdźcie, panie. Król was oczekuje.

W krypcie panował półmrok. W nos demona uderzyła woń pieczonego mięsa, dymu oraz charakterystyczny, mdły odór brudu. Potężny mężczyzna w obszarpanym szkarłatnym stroju grzał się przy trójnogu wypełnionym żarzącymi się węglami. Na posadzce przed nim stał dzban piwa, kufel oraz półmisek z pieczoną kaczką.

– Oto jestem, mości Helshorze – oznajmił Kouremos. – Wezwaliście mnie, mniemam, że nie bez powodu. Jakie macie wieści?

Helshor jak gdyby nigdy nic skończył ogryzać kacze udko i cisnął kość w kąt.

– Najpierw zapłata – zażądał, oblizując palce z tłuszczu.

Kouremos zmierzył go wzrokiem. Zebraczy król nie miał świadomości, jak drogo mógłby w niesprzyjających warunkach zapłacić za bezczelność. Ale nie było potrzeby ściągać na siebie uwagi. Lepiej póki co udawać cierpliwość i uprzejmość.

Odpiął od pasa sakiewkę. Helshor pochwycił ją i wsunął w zanadrze.

– Pogadajcie z Rahidem. To taki dziwak, co sprzedaje różne paskudztwa, ma sklep na trzecim poziomie od góry.

Demon zmrużył oczy.

– Ta informacja nie jest warta ceny, której zażądaliście.

– Pogadajcie z Rahidem – powtórzył Helshor. – Jeśli nie osiągniecie w ten sposób celu, klnę się na bogów, że zwrócę zapłatę.

Kouremos sięgnął do półmiska, chwycił kawałek mięsa i ugryzł bez pośpiechu, demonstrując przy tym nie całkiem ludzkie uzębienie oraz spiczasto zakończony, czarny język. Z satysfakcją zauważył, że zebraczy król nagle jakby stracił pewność siebie.

Jeśli nie osiągniemy celu, ty śmierdząca góro sadła, będzie cię to kosztowało drożej, niż przypuszczasz.

Pieczeń, jak zauważył mimochodem, była nie gorsza od tej, którą zaserwowała mu w południe pani Mertens.

– W porządku – rzucił, przełknąwszy. – Dziękuję, mości Helshorze. A teraz ja podzielę się informacją, która być może was zaciekawia.

* * *

– Muszę się jakoś odwdziżyć tej lekarce – stwierdził Znajda, oglądając swoje ręce.

Kurzajka nie pozwoliła chłopakowi wywinąć się od kuracji. Przyłapała go, kiedy z Psiogłowcem oglądali garnuszek maści, zastanawiając się, czy jest jadalna. Najpierw bez namysłu przyłała mu miotłą, potem zmusiła, żeby powtórzył jej wszystko, co powiedzieli doktorzy. Cała familia kpiła z niego, kiedy przez następne dwa tygodnie codziennie szedł pod studnię, mył się i nacierał śmierdzącym specyfikiem, ale podziałało; wysypka zeszła, a rany od drapania zagoiły się.

Szli do Koguciej Krypty – nazwanej tak od walk kogutów, które tam urządzano – w nadziei, że spotkają starego szczurołapa, któremu Znajda był winien trochę grosza. Brune od niechcienia bawił się sztyletem, zręcznie podrzucając go i łapiąc.

– Jakby ci pozwolili, mógłbyś trochę popracować dla szpitala – zaproponował, a ponieważ właśnie dotarli na miejsce, wsunął sztylet do cholewki. – Narąbać drewno, pomóc w pralni, coś w tym rodzaju.

– Świetny pomysł – ucieszył się chłopak. – Tak zrobię, jeśli tylko Siny się zgodzi. Ejże, a to co? Skąd ten tłum?

W Koguciej Krypcie było dość jasno, bo pod jej sklepieniem wisiały liczne lampy wypełnione świeciwem. Panował tam ścisk – ludzie i

odmieńcy tłoczyli się ramię przy ramieniu. Znajda trącił jakiegoś mężczyznę w łokieć.

– Hej, dobry człowieku, co tu się dzieje?

– Fevrier – odparł zwięźle zagadnięty. Znajda klasnął w rękę.

– Chodź, popatrzemy.

Nie bez trudu przepchnęli się przez tłum, tak by znaleźć miejsce, skąd było cokolwiek widać.

Pośrodku krypty ustawiono kilka stołów, odgradzając niewielką pustą przestrzeń. Przechadzał się tam czarnowłosa mężczyzna o wyglądzie zawadiaki, z rapierem w ręku.

– To Fevrier – szepnął Znajda. – Patrz, krew na posadzce. Widocznie zdążył już kogoś załatwić.

– Zdążył załatwić dwóch – odezwał się stojący obok odmieniec o paskudnym pysku, podobnym do trupiej czaszki. – I to zanim jeszcze przesypała się połowa piasku.

Wskazał stół po lewej, gdzie stała nieduża klepsydra. Brune uniósł brwi.

– Jaki ma w tym cel?

– Pokazuje, że jest wart swojej ceny. To najemnik, ochrania bogaczy. Widocznie akurat szuka nowej posady. A dodatkowo zarabia na zakładach, bo są tacy, co obstawiają wynik każdej walki. – Znajda dyskretnie wskazał spojrzeniem grupkę mężczyzn w rogu krypty, którzy trzymali sakiewki i dyskutowali podniesionymi głosami, popijając z butelki krążącej z rąk do rąk.

– I władze się go nie czepiają?

– Nie wyzywa do walki na śmierć i życie. Trzeba tylko wytrzymać określony czas. A że mało komu się to udaje... no cóż, ich ból.

– Naprawdę jest aż taki dobry?

– Nikt nie wie. Niektórzy powiadają, że jego broń jest zaklęta.

Brune pokręcił głową, uważnie przypatrując się szermierzowi. W sieniej poświacie twarz Fevrier'a miała dumny i nieco okrutny wyraz. Rzuciło się też w oczy, że jest odziany zamożniej niż ktokolwiek z publiczności.

– No i co? – zawołał z drwiną; echo zwiłokrotniło jego głos do grzmotu. – Nie ma więcej chętnych?

Odpowiedziała mu cisza.

– Wystarczy wytrzymać tak długo, aż przesypie się piasek w

klepsydrze! Co, ofermi, lebiegi, maminsynki wy? Nikt więcej się nie odważy?

W burych oczach Brune'a pojawił się błysk.

– Znajda?

– Co?

– Potrzyмай mi kurtkę.

– Tyś chyba zgłu... – wyjąkał Znajda, ale jego przyjaciel już zdążył wyjść na środek pustej przestrzeni, podwijając rękawy brudnej koszuli. Tłum najpierw oniemiał, potem rozległy się śmiechy i gwizdy.

Nie przejmując się tym zupełnie, Brune wyjął z kieszeni rzemyk i związał włosy.

– Niech ktoś mi pożycz rapier! – zawołał w stronę cizby. Śmiechy i gwizdy przybrały na sile. Fevrier śmiał się razem ze wszystkimi.

– Nie będę z tobą walczył, chłopcze. Sumienie mi nie pozwala.

– Fevrier, może byś tak dał mi szansę? Jeszcze powiedzą później, że się bałeś.

Tamten drgnął, twarz mu się zmieniła.

– Uważaj na słowa, łachmaniarzu. Do czego ty właściwie zmierzasz?

– Rzuciłeś wyzwanie. Odpowiadam.

Szermierz patrzył na niego przez długą chwilę. Potem skinął głową.

– W porządku.

Tłum zawył.

– Ciszej, hołoto! – Fevrier potoczył wzrokiem po cizbie. – Niech ktoś mu pożycz broń! Nie, durniu, wypchaj się tym zardzewiałym rożnem! Ty tam, ty masz porządny rapier!

Brune ujął broń, ale tym razem nie wywinął nią ósemki na próbę, jak to miał w zwyczaju. Umyślnie trzymał też rapier nieco niezgrabnie, żeby jak najdłużej się kamuflować.

Fevrier odwrócił klepsydrę.

Pod czujnym wzrokiem tłumu uścisnęli sobie ręce. Cofnęli się, zasalutowali bronią i natychmiast się starli, tak szybko, że oko nie nadążało ze śledzeniem ich ruchów. Echo zwielokrotniło odgłosy walki, patrzący wstrzymali oddech, a Fevrier pojął, że ma do czynienia z godnym siebie przeciwnikiem.

W krypcie zapadła cisza jak makiem zasiał, słychać było tylko przyspieszone oddechy walczących i szczęk stali. I znowu, i znowu.

Finta, sztych z lewej, unik obdartusa i szybki sztych z dołu, zбитy dosłownie w ostatniej chwili. Fevrier zmełł w zębach przekleństwo.

Zaatakował znowu, ale przeciwnik wywinął się spod ostrza. Wskoczył na stół, Fevrier za nim. Wśród gapiów podniosły się oklaski, ale zaraz umilkły, bo wszyscy obserwowali walczących z zapartym tchem.

Szybka wymiana pchnięć; stół zadrżał. Znalazłszy się zbyt blisko krawędzi, Fevrier musiał zeskoczyć. Osłonił się przed cięciem z góry, znowu w ostatniej chwili. Tamten zeskoczył również, odrzucając włosy z twarzy, bo rzemyk zdążył się rozwiązać. Śmiał się, jakby pojedynek był tylko zabawą.

– Dalej, stać cię chyba na więcej! – zawołał.

W ciżbie zaszemrało. Fevrier zgrzytnął zębami, ale nie zareagował. Obaj walczący krążyli teraz, obserwując się, wstrzymując oddech.

Upatrzawszy odpowiedni moment, starszy szermierz zaatakował. Podstępny, niskim pchnięciem, mierząc w brzuch. Nie trafił, i nagle to on musiał się cofać.

– Stać! – krzyknął cienko Znajda. – Stać! Klepsydra jest pusta!

Inni podchwycili jego okrzyk. Podniósł się ryk i oklaski. Fevrier opuścił broń.

– No, no – stwierdził niechętnie. – Kto by pomyślał?

Brune skłonił się z uśmiechem. Oddał pożyczony rapier właścicielowi.

Oczywista, Fevrier oszukiwał. Nosił przy sobie amulet przynoszący szczęście w walce, najpewniej zakupiony za ciężkie pieniądze od czarnego maga. Cóż, trafiła kosa na kamień, bo żeby na czas pojedynku zneutralizować wpływ amuletu, Krzyżący w Ciemności nie musiał się nawet szczególnie wysilić.

Dawno się tak dobrze nie bawił.

Nagle od strony głównego korytarza rozległ się łomot ciężkich kroków i szczęk rynsztunku.

– Golemy, golemy! – zabrzmiał ostrzegawczy okrzyk. Podniósł się tumult. Kto mógł, czmychał w boczne przejścia, stoły przewrócono w zamieszaniu.

– Brune! – krzyknął Znajda, machając ręką. – Brune, tutaj! – Zaklął szpetnie, kiedy ktoś go popchnął i omal nie przewrócił. Butelka ze świeciwem wypadła mu zza pazuchy i roztrzaskała się na

kamieniach.

Cudem unikając stratowania, obaj przyłgnęli do muru. W krypcie już zaroilo się od białych, topornych sylwetek z jednym okiem pośrodku czoła.

Rozległy się metaliczne szczęknięcia. Brune schylił się odruchowo; tuż nad jego głową od ściany odbiła się maleńka stalowa strzałka. Obok, trafiony taką samą strzałką, mężczyzna w połatanej tunice jęknął i osunął się na ziemię.

– Tędy – wydyszał Znajda, łapiąc przyjaciela za rękę. Dopadli najbliższego z bocznych wyjść; w samą porę, bo o ścianę za nimi stuknęło kilka kolejnych pocisków. – Frajerzy, nie otoczyli krypty ze wszystkich stron... mamy szansę... Nie, nie tamtędy, to ślepy zaułek! Tymi schodami w dół, szybko! Cholera, ciemno tu jak w...

– Spokojnie. Ja widzę.

Odgłosy kotłowaniny i krzyki uciekających zostały za nimi, potem zupełnie ucichły. Dwa poziomy niżej zwolnili kroku.

– Parę zakrętów i jesteśmy w domu – mruknął Znajda, rozglądając się. Na całej długości korytarza panowały pustki, a światło odległej lampy nie ujawniało niczego niepokojącego. Obaj drgnęli, gdy koło nich smyrgnął szczur, którego spłoszyła obecność ludzi. – Słyszysz coś?

– Nie.

– To dobra nasza, chyba się udało. Teraz wiesz już, czemu tak nie lubimy Jednookich.

– Strzelali, żeby zabić?

Chłopak potrząsnął głową.

– Strzałki są posmarowane jakimś świństwem, które obezwładnia trafionego. Złapanych zabiera się na przesłuchanie.

– Czemu? Mówiłeś, że władze nie czepiają się Fevriera.

– A cholera wie, co im się tym razem nie spodobało. Może za duży tłum. A może akurat kogoś szukają. Mniejsza z tym. – Znajda wyglądał na zatroskanego. – Chodź, wracamy. Wuj Siny na pewno już wie o twoim wyczynie.

Jego przeczucia okazały się trafne. W krypcie zebrała się prawie cała familia, miny mieli przestraszone. Siny przechadzał się tam i z powrotem, pomrukując pod nosem. Wyglądał, jakby lada chwila miał eksplodować.

– Ty durniu! – ryknął na ich widok. Cały aż się trząśł. – Ściągniesz na nas uwagę srebrnych! I Helshora! I umarłych! I... i w ogóle! Ty...

Dwoma długimi krokami pokonał dzielącą ich odległość i chwycił Krzyczącego za kurtkę, zamierzając się pięścią. Brune nawet nie mrugnął, ale Siny zmitygował się nagle, puścił go, odstąpił.

– Żebyś mi się nigdy więcej nie ważył tak zabawiać! Zrozumiano? – warknął.

Do krypty wpadł zadyszany i przerażony Czapla.

– Idą tu, wuju – jęknął.

– Kto?

– Ludzie Helshora. Ten, jak mu tam, Riakin...

– Riakin przypomniał sobie o nas. – Znajda pobladł. – Wuju, opowiadałem ci...

W ciszy, która zapadła, wszyscy wyraźnie usłyszeli niesione echem pokrzykiwania. Siny spoliczkował Brune'a, aż trzasnęło.

– A nie mówiłem? Naraziłeś nas, ty przybłędo, ty... ty...

Krzyczący odruchowo potarł twarz. W jego oczach zapalił się zły błysk, ale stary odmieniec już odwrócił się do swoich pobratymców.

– Co się gapicie, durnie? Uciekajcie!

Jakby pękło zaklęcie utrzymujące ich w miejscu, członkowie rodziny rozpierzchli się na wszystkie strony. Sam Siny rzucił się do najbliższego wyjścia z prędkością zaskakującą przy jego tuszy. Na miejscu została jedynie Pyszczek.

– Nie znamy ich, nigdy ich nie widzieliśmy na oczy, pojmujecie? – wrzasnęła za uciekającymi. – Znajda, leć do wojowników, ukryją cię! A ty chodź! – Złapała Brune'a za rękę. – Prędej, na co czekasz!

Wypadli z krypty na korytarz i pobiegli śladem Sinego, w kierunku schodów. Za ich plecami nagle rozległ się przenikliwy gwizd i nawoływania.

– Dostrzegli nas – jęknęła odmianka. – W dół, szybko!

Schody były śliskie od wilgoci i tylko cudem nie połamali nóg, przeskakując po dwa stopnie. Na półpiętrze wyminęli zasapanego szefa rodziny. Siny obrzucił ich przekleństwami, ale Pyszczek nawet się nie obejrzała.

– Do jasnej zarazy! Tego tylko nam brakowało! – wybuchnęła piętro niżej, widząc, że przejście zagradzają zwały gruzu.

– Może da się przejść. – Brune ostrożnie wspiął się na rumowisko. –

Nie mamy chyba wyboru...

Pod samym sklepieniem pozostało nieco wolnej przestrzeni. Żeby się tamtędy przedostać, musieli pełznąć. Ich przyspieszone oddechy wydawały się ogłuszająco głośne. Gdy zdyszani, podrapani i ubrudzeni piachem znaleźli się wreszcie po drugiej stronie rumowiska, usłyszeli głosy – to ścigający stanęli przed przeszkodą.

– Jeszcze nas nie dostali – syknęła z zawziętością Pyszczek. – Spójrz, rozwidlenie.

Kawałek niżej schody rozdzielały się na dwie odnogi, z których prawa była wyraźnie węższa. Wionęło stamtąd smrodem ścieków.

Pyszczek pospiesznie odwiązała z szyi chustkę i rzuciła ją w głąb lewego korytarza.

– Przy odrobinie szczęścia może dadzą się nabrać. Dobrze, że tu nie ma błota – szepnęła przez ramię, gdy schodzili drugim odgałęzieniem, uważając, żeby stąpać jak najciszej po wąskich, stromych schodach. Ciągący z dołu odór przyprawiał o mdłości. Oboje odetchnęli z ulgą, kiedy pojawił się boczny korytarz. Tam powietrze było nieco świeższe.

– Jesteśmy na dziewiątym, może dziesiątym poziomie. To te zniszczone rejony, gdzie nie uświadczysz żywej duszy – stwierdziła Pyszczek, patrząc na pokryty popękany tynkiem mur, na którym widniały zatarte przez czas i wilgoć freski.

Choć wokół panował mrok i nic nie mąciło ciszy, nadal porozumiewali się szeptem.

– Będiesz wiedziała, jak potem wrócić na górę?

– To w tej chwili najmniejszy problem. – Odmianka zastrzygła uszami. Nagle jej ślepie się rozszerzyły. – Jeszcze im nie uciekliśmy, Brune! Schodzą tu, słyszę ich!

– Dawaj to! – Krzyczący wyrwał jej słoiczek ze świeciwem i schował do kieszeni. – Daj mi rękę, ja widzę.

Pobiegli przed siebie, ale wkrótce musieli zwolnić kroku. Korytarz był kręty i zdradliwy – na drodze co rusz napotykali bryły gruzu albo dziury po wyłamanych płytach. Brune prowadził potykającą się odmiankę, której kocie ślepie potrzebowały przynajmniej odrobiny światła. Dla oczu zmija nawet nieprzenikniony mrok nie stanowił przeszkody.

– Skręć tu – poleciła Pyszczek, gdy owionął ich zimny powiew ciągnący z bocznego przejścia. – Cały czas są na naszym tropie.

– Skąd wiesz? – spytał Brune, i w tym samym momencie echo przyniosło dźwięk głosów, a na murze pojawił się odległy jeszcze odblask pochodni. Pyszczek zakląła siarczyście, po żołniersku.

– Prędeż, nie oglądaj się! – Szarpnęła towarzysza za rękaw. – Cholera, jak to możliwe, że idą do nas jak po sznurku?

– Czy Helshor jest na usługach srebrnych magów?

– Jest zebraczym królem, więc podlega ich władzy. Czasem wypełnia ich rozkazy. Ale jeśli cię szuka, to raczej na własną rękę. Srebrni wysłaliby golemi. Tędy, tu jest otwór, może w ten sposób ich zgubimy...

Z rozległego wyłomu w murze powiało odorem zgnilizny. Gdy przechodzili na drugą stronę, spod ich stóp pierzchło kilka szczurów. W mroku zachrobotano, zabłyśły blade ślepie.

– Homunkulusy – szepnęła Pyszczek. – Tośmy się wpakowali...

– Nie ruszają nas. – Brune uspokajająco ścisnął jej rękę. Przystąpił rozsypane na ziemi kości, ciesząc się w duchu, że odmianka nie może ich zobaczyć.

U krańca krypty brały początek kolejne schody w dół. Nie było innej możliwości, jak tylko zejść nimi. Pyszczek liczyła stopnie.

– Czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt... Nie wiem, czy nie dotrzemy tędy na najniższy poziom – stwierdziła z niepokojem.

– Czekaj, jest korytarz. Skręcamy.

Żeby tam wejść, oboje musieli schylić głowy. Idący przodem Brune ze wstrętem odgarniał zwieszające się ze sklepienia pajęczyny. Odepchnął od siebie myśl, że gdy on i odmianka wylądują w ślepym zaułku, gonitwa się skończy.

– Robi się mokro – zauważyła po jakimś czasie Pyszczek, z obrzydzeniem otrząsając stopy. – I znowu śmierdzi, czujesz?

Za kolejnym zakrętem sklepienie obniżyło się jeszcze bardziej. Teraz w grę wchodziło już tylko czołganie się po posadzce pokrytej grubą warstwą szlamu.

– Nie na kolanach – syknęła odmianka. – Spodnie ci się przetrą i zedrzesz skórę do krwi. Och, żeby to wszystkie demony!

Po raz pierwszy wyczuł w jej głosie nutę paniki.

– Co się stało?

– Idą za nami – prawie zaszlochała. – Cały czas za nami idą, Brune. Krzyżący tylko potrząsnął głową, tak absurdalna wydała mu się

nagle cała sytuacja. *Ze też im się, cholera, chce.*

Pełzli dalej, nie mieli wyboru. Smród nasilił się do tego stopnia, że ciężko było oddychać. Potem usłyszeli plusk.

– Kanał – skostatowała Pyszczek.

– Korytarz się kończy – stwierdził po chwili Krzyczący. – Jest krata.

– Może da się ją otworzyć. – Odmianka przebiegła palcami wzdłuż zardzewiałych prętów. – Brune, tu jest kłódka, tylko jak ją...

– Pokaż.

Wystarczyło, że przez chwilę potrzymał kłódkę w ręku, i ta z jęśliwym metalicznym odgłosem rozpadła się na dwie części. Pyszczek gwałtownie chwyciła oddech.

– Ty jesteś... jesteś...

Wyczuł, że odsunęła się od niego na tyle, na ile było to możliwe w wąskiej przestrzeni.

– Owszem – westchnął. – Niestety.

* * *

– To bez sensu – stwierdził Riakin, zaglądając w wąski wylot korytarza. – Nie będziemy się uganiać jak za szczurami.

– Szli tędy. – Sabadius wyszczerzył poźółkłe zęby w wilczym uśmiechu. – Czuję to. Jesteśmy blisko, synkowie.

– No i pięknie. Ale ja mam już dość. Nalataliśmy się jak głupi, nie będziemy się tera tytłać w szlamie. – Riakin splunął. – Wracamy na górę, chłopaki.

– Helshor rozkazał, żebyśmy mu sprowadzili przekłętego – przypomniał Sabadius. – Co, tchórzycie, moi mili?

Towarzysze Riakina zamamrotali coś niechętnie, ale nikt nie odważył się odezwać głośniej.

Sabadiusa obawiali się nawet ludzie Helshora. Należał do tych *ka-ira*, których spala szaleństwo wywołane przez czarny dar. Pomieszkiwał w zrujnowanych korytarzach Podziemi, wychodził na powierzchnię tylko w nocy. Pił krew szczurów i gołębi, pożerał ich mięso na surowo. Czasem przyjmował zlecenia na klątwy, które zabijały ofiarę powolną, bolesną śmiercią. Kiedy nie miał nic do roboty, nie trzeźwiał tygodniami. Z niewiadomego powodu srebrni nie

uznali za stosowne zainteresować się nim, więc często można było się natknąć na pijanego w sztok Sabadiusa, siedzącego na schodach gdzieś między pierwszym a trzecim poziomem Podziemi i mamroczącego w mowie magów, podczas gdy wokół jego rąk tańczyły języki płomienia albo po murze za nim spływały krople krwi.

Nie sposób było określić jego wieku. Wyglądał niczym sęp – przygarbiony, o wychudłym, drapieżnym obliczu. Odziany w łańchmany, wyniszczony podłym życiem, lecz dzięki darowi wciąż jeszcze silny. Głęboko w jego kaprawych oczach tlił się czerwony błysk.

– Skoro nie chcecie iść tędy, spróbujemy inaczej – oświadczył. – Jesteśmy w Podziemiach, synkowie. Do każdego korytarza można się dostać więcej niż jedną drogą. A Sabadius zna jeśli nie wszystkie, to przynajmniej większość z nich.

* * *

Szli wolno w górę kanału, brodząc powyżej pasa w leniwie płynącej wodzie – na szczęście była to woda, a nie ścieki.

– O co im właściwie chodzi? – odezwała się Pyszczek. – Przecież wtedy w szynku tylko napędziłeś im stracha.

– Ha, żebym to ja wiedział. Może aż tak im niehonorowo, że za wszelką cenę muszą się odegrać.

– Jesteś *ka-ira*. Czy nie możesz... – Odmianka zawahała się. – Mógłbyś z nimi walczyć, prawda?

Brune machinalnie zacisnął i rozprostował palce. Miał w pamięci zaklęcia, ale nie wiedział, czy da radę ich użyć przeciwko ludziom, choćby i wrogom. To było jednak co innego niż walka za pomocą zwykłej broni.

– Nie wiem, na ile mnie stać – powiedział wymijająco. – Pamiętaj, że nie sam dar czyni maga. Straciłem pamięć, dopiero zaczynam ją odzyskiwać i nie mam pojęcia, ile umiem. Może bardzo niewiele.

– Więc nie udawałeś obłąkanego?

– Nie! – prawie jęknął. – Skąd ci to przyszło do głowy, dziewczyno?

– Przepraszam, głupie pytanie. – Pyszczek poklepała go po ramieniu. – Nic nie słyhać, może wreszcie zostali z tyłu – zmieniła temat.

Brune rozglądał się nieufnie. Wokół istotnie panowała cisza, ale czuł, że w mroku czai się zagrożenie.

– Pyszczku – szepnął. – Rozdzielmy się.

– Co ty gadasz? Nie zostawię cię...

– Wiem, co mówię. Uciekaj. To o mnie im chodzi.

Z ledwie słyszalnym trzaskiem na brzegu kanału pojawił się słabiutki czerwony błysk. Wymienili spojrzenia.

– Uciekaj – powtórzył Krzyczący. – Proszę.

Pyszczek pospiesznie wspięła się na palce, objęła go i polizała po twarzy, potem zanurkowała w wodę.

Dokładnie w tej samej chwili rozległ się huk i korytarz przesłoniła ściana ognia. Pyszczek płynęła co tchu przy samym dnie kanału i nie zdążyła już zobaczyć, jak Brune stoi otoczony niewidoczną sferą tarczy, a płomienie cofają się, nie wyrządzając mu krzywdy.

Tak jak wówczas w szynku, strach odblokował jego wiedzę. Krzyczący nagle uświadomił sobie, że pamięta formuły i gesty. Trwał wyprostowany, choć czuł, że zaklęcie tarczy osłabia go, i nie wiedział, jak długo tak wytrzyma.

Płomienie zgasły.

– Hej tam, braciszku! – zawołał skrzekliwy głos. – Jesteś otoczony! Podдай się, to nie będziemy ścigać dziewczyny.

– Czego chcecie?

– Ciebie, chłopcze. Nasz król ma do ciebie sprawę.

– Więc przyjdźcie tu i złapcie mnie – warknął w odpowiedzi. Widział już postacie na brzegu kanału. Dziesięć, dwanaście, trzynaście sylwetek. Miał nadzieję, że Pyszczek zdoła im się wymknąć.

Jeśli skupię ich uwagę na sobie, zwiększę jej szanse.

– No co? Strach was oblatuje? – zakpił. – A może ja mam was przysmażyć dla odmiany?

Blefował, dobrze wiedział, że każdy mag, który potrafi wygenerować ścianę ognia, potrafi też zablokować ten czar.

Coś zasyczało i wprost z wody strzeliły sine, sypiące iskrami płomienie. Krzyczący w ostatniej chwili zdołał wzmocnić tarczę. Wiedział, że nie wystarczy mu sił w nieskończoność, zaklęcia tamtego miały potężny ładunek czerni.

Siny ogień płonął i płonął. Gdy w końcu zgasł, Brune odruchowo, na

sekundę pozwolił, żeby zakłęcie tarczy osłabło. To był błąd.

Poczuł ukłucie, jakby wbito mu w kark lodowatą igłę, i wszystko zawirowało. Nie był w stanie zareagować, kiedy chwyciły go silne ręce.

– Ładnie, Sabadius – usłyszał z bardzo daleka, zanim odpłynął.

Gdy odzyskał świadomość, leżał na brzegu kanału i otaczały go ponure typy w łachmanach.

– Wstawaj, parchu. – Jeden kopnął go w plecy.

Krzyczący dźwignął się, zaciskając zęby. Stał chwiejnie, przemoczony od stóp do głów, umazany szlamem i krwią – szramy na policzku otworzyły się. Nie był pewien, co spotka go za chwilę, ale martwił się głównie o to, czy Pyszczek zdołała uciec.

Drgnął, napotkawszy spojrzenie mężczyzny starszego od pozostałych. Tamten wyglądał jak zapijaczony wrak człowieka, lecz emanował czarną aurą. *Więc to jest Sabadius. Dobrze wiedzieć.*

– *Ka-ira* wśród śmieciarzy – rzucił któryś z żebraków. – Cholera, tego jeszcze nie było.

– Trzymajcie go – rozkazał Sabadius. – Nie obroni się.

Riakin chwycił pojmanego za łokcie, unieruchamiając mu ręce z tyłu. Sabadius podszedł niespiesznie i uniósł mu podbródek.

– No, popatrz na mnie! Wiesz, że mógłbym ci wypalić te węzowe oczka?

Krzyczący wysyczał przekleństwo i cios pięścią w splot słoneczny pozbawił go oddechu. Zgiął się wpół, kaszląc.

– Trochę szacunku, śmierdzielu – wycedził stary żmij, zamierzając się po raz drugi. Ale w tym momencie echo przyniosło z oddali łomot kroków.

– Golemy – rzucił nerwowo Riakin. – Zwijamy się, wiara. Sabadius?

– Dobra, nie ma strachu. Ja poprowadzę. Pół godzinki i jesteśmy na powierzchni.

– A co z tym tu, przecież...

– Racja. – Sabadius dotknął twarzy więźnia, mamrocząc kilka słów. Krzyczący znów poczuł się dziwnie, jakby jego świadomość odpływała, opuszczała ciało.

– Czar posłuszeństwa – usłyszał jak przez mgłę. – Na niego nie podziiała długo, więc lepiej się pospieszcie, synkowie.

To, co nastąpiło bezpośrednio potem, Brune zapamiętał jak przez mgłę. Prowadzono go, popędzając szturchnięciami; szedł bezwolnie jak

marionetka. Po jakimś czasie zakłęcie posłuszeństwa osłabło; odzyskał częściowo kontrolę nad swoim ciałem i zaczął się opierać. Ale wtedy Sabadius znowu dotknął jego twarzy i wszystko rozmyło się w ciemność.

Kiedy Krzyczący odzyskał przytomność, znajdował się na powierzchni. Panowała noc, mżyło, a on siedział na trawie pod drzewem, na wysokim brzegu rzeki. Obok stała latarnia wypełniona świeciwem, a nieopodal siedział Sabadius, ćmiąc fajkę i popijając z butelki.

– Ocknąłeś się wreszcie? – przemówił, patrząc nieżyczliwie na jeńca. – Doskonale. Helshor czeka.

– O co tu chodzi? – spytał cicho Krzyczący. Bolała go głowa.

– O kwestie władzy i poddaństwa – zarechotał Sabadius. – Sam się zaraz dowiesz. Hej, synkowie! – zawołał głośniejszym głosem. – Chodźcie tu! Możecie go już zabrać do króla!

Podeszło dwóch drabów w śmierdzących kapotach, jeden garbaty, drugi z wrzodami na gębie. Szarpnięciem zmusili jeńca do wstania i poprowadzili go przez łąkę. Trochę wyżej, za krzakami, widać było blask ognia, rozbrzmiewały okrzyki, śpiewy i ochryple śmiechy.

Wielkie ognisko płonęło trzaskając, a wokół niego zebrał się szczególnego rodzaju tłum. Żebracy, franci, złodziejaszki i tanie dziwki. Starzy i młodzi, zdrowi i kalecy – w tłumie nie brakowało obandażowanych kikutów oraz paskudnie zeszpeconych obliczy. Kropiący deszcz nikomu nie psuł humoru. Raczono się zawartością kilku beczulek, palono odurzające zioła. Pannice w rozchełstanych koszulach chichotały piskliwie.

Na wszystko to spoglądał z miną władcy potężnie zbudowany brodac, siedzący na zaimprovizowanym tronie z dużego pniaka. Był ubrany w poszarpane szkarłatne odzienie, przez co kojarzył się z katem. Na jego czole i policzkach widniały wypalone piętna, a jedno z oczu zasłaniała czarna opaska.

Na widok więźnia uśmiechnął się drwiąco.

– Hola, kogo tu mamy? Ciszej, szczury! – zawołał grzmiącym głosem i zgiełk ścichł.

Krzyczący wyprostował się, przeklinając w myślach typa, towarzystwo i całokształt. Kolana uginały się pod nim, bynajmniej nie ze strachu – obezwładniające zakłęcia, którymi został potraktowany,

jeszcze nie całkiem przestały działać. Wiedział, jak żałośnie musi wyglądać, ale to akurat martwiło go najmniej.

– Czego ode mnie chcecie? – spytał hardo.

– Wiesz, kim jestem?

– Królem żebraków, jak się domyślam.

– Trafnie się domyślasz. – Mężczyzna w szkarłacie pogładził brodę.

– Zwą mnie Helshor, i radzę, zapamiętaj dobrze to imię. A ty podobno jesteś *ka-ira*, tak twierdzi mój przyjaciel Sabadius. I w ostatnim czasie trzykrotnie mi się naraziłeś.

– W jaki sposób?

– Po pierwsze, nie uznałeś za stosowne stawić się przede mną po przybyciu do miasta, a to do mnie należy decyzja, czy pozwolić ci zamieszkać w Podziemiach. Po drugie, zaatakowałeś moich poddanych w szynku starego Fensa. Po trzecie... wyglądasz jak półtora nieszczęścia, ale gadasz jak szlachecki synek, a ja nie lubię takich.

Ten i ów spośród patrzących zarechotał.

– Zaraz się przekonamy, czy jesteś magiem, czy zwykłym śmieciem – ciągnął żebraczy król. – Urządzimy tu małe teatrum. Staniesz do walki i jak przeżyjesz, to znaczy, że coś jesteś wart. Dziesięciu przeciwników, dla prawdziwego *ka-ira* to pryszcz, prawda, chłopcy?

Tłum zawył.

– Wiedz, że jestem władcą sprawiedliwym i miłosiernym. – Helshor uśmiechnął się krzywo. – Jak przetrwasz próbę, możesz bezpiecznie mieszkać w Shan Vaola po kres swoich dni. Sabadius!

– Jestem – odezwał się tamten, podchodząc.

– Dopilnujesz, żeby żadnemu z naszych nic się nie stało. I żeby go nie zabili za szybko.

– Z przyjemnością.

– Hej, chłopcy! – Helshor zaklaskał w ręce. – Potrzebuję jeszcze dziewięciu!

Rozległy się pomruki, ale w pierwszej chwili nikt nie podniósł się z miejsca.

– Co z wami, kundle? – wściekł się żebraczy król. – Przecież to tylko chuderlawy śmierdziel od Sinego! Bo zaraz każę Sabadiusowi dodać wam odwagi!

– Ja się nie boję. – Barczysty, rozebrany do pasa typ z podgoloną

głową odstawił kufel i wstał.

– Ja też nie.

– Ani ja.

Podeszło jeszcze dwóch rosłych zbirów z piętnami na twarzach, ale nikt więcej nie kwapił się do bitki. Helshor klasnął w rękę.

– Ty, ty i ty! I ty tam, bez ucha! I jeszcze wy dwaj! Tak, wy! Chodźcie tu!

Wskazani wstawali niechętnie.

– Wyprowadzić śmiecia na środek łąki, tak żebyśmy wszystko widzieli.

Brune odruchowo sięgnął do cholewki, ale sztyletu, rzecz jasna, tam nie było, choć nie pamiętał, kiedy mu go odebrano.

To już nie ma znaczenia.

Przygarbił się nieco, unosząc ręce przed twarzą. Zmrużonymi oczami powiódł po przeciwnikach. Dziewięciu mężczyzn uzbrojonych w pałki i noże, i Sabadius, trzymający się nieco z tyłu.

– Tylko go nie zdeptajcie – rzucił żebraczy król.

Odpowiedzią był chóralny ryk śmiechu. Helshor również zarechotał, pociągając z kufła.

Bydło – pomyślał zimno żmij, nagle bardzo spokojny. Czuł, że moc zaczyna się w nim budzić niczym wzbierająca wolno, lecz nieubłagane fala.

Helshor skinął kuflem, dając znak do rozpoczęcia walki.

Przeciwnicy nie spieszyli się. Nadchodzili wolno, szczerząc zęby.

Nie chciałem tego – przemknęło przez głowę Krzyczącemu i to była ostatnia trzeźwa myśl, zanim eksplodowała w nim czerń. Patrzący ujrzeni, jak jego oczy rozjarzają się żółto, a przecięta bliznami twarz wykrzywia się i zmienia w oblicze potwora.

Wszystko rozegrało się bardzo szybko. Jakby potężna zewnętrzna siła kierowała jego ciałem, ze straszną płynnością żmij wszedł pomiędzy atakujących. Żaden z ciosów nawet go nie musnął.

Sabadius zgiął pierwszy. Runął bez jęku, gdy wąski grot światła przeszył jego serce. Zwłoki po chwili zajęły się ogniem.

Brune przykląkł, czyniąc ruch, jakby przyzywał płomienie, potem skinął ręką i ogień rozbryznął się, dosięgając kolejnych przeciwników. Miotali się i upadali – wrzeszczące żywe pochodnie.

Wstając, Krzyczący prawie zderzył się z podgolonym, który właśnie

wznosił nóż, lecz ciosu nie zdążył zadać. Żmij chwycił go za ramiona i ciało przeciwnika rozpadło mu się w rękach jak topniejący śnieg. Krew ubarwiła trawę.

Odwrócił się i przeszedł przez płomień, a one opadły, nie tykając go.

– Kto następny? – krzyknął paskudnym, nieswoim głosem.

– Stać! STAC! – ryknął Helshor. – Cofnijcie się!

Na ziemi dopalały się zwłoki, czarne, ohydne. Brune potrząsnęła głową, przytomniejąc. Przełknął ślinę, widząc, że ma zakrwawione ręce. Mdlilo go od zapachu śmierci i od świadomości tego, co zrobił.

– Chodź tu – rozkazał Helshor.

Krzyżący powoli ruszył w jego kierunku, przestępując trupy. Ogniste zaklęcie osłabiło go bardziej, niż się spodziewał – nagle ogarnęło go obezwładniające znużenie, z trudem zmuszał się do stawiania kroków.

Żebracy rozstępowali się przed nim. Tym razem nikt nie odważył się go nawet dotknąć. Żmij zbliżył się do tronu Helshora, machinalnie wycierając ręce o ubranie.

Król żebraków przechylił się, patrząc na niego z namysłem.

– Brune Keare – odezwał się wolno. – Sabadius powiedział, że tak się nazywasz. I że nosisz też drugie miano, miano odmieńca. Krzyżący w Ciemności.

– Zgadza się. – Żmij uniósł hardo głowę.

– Keare. – Helshor wymówił to nazwisko z cieniem drwiny. – Widzę, że zdolny chłopiec z ciebie. Ośmiu z dziesięciu, w tym Sabadius. Kto by pomyślał? No cóż, posłuchaj, młodzieńcze. W tym mieście będziesz miał ciężkie życie, srebrni o to zadbają. Dlatego dobrze ci radzę, przystań do nas.

Brune rozejrzał się po otaczających go zbirach. Milczeli ponuro. Mógł bez trudu odczytać ich myśli. Wiedzieli dość o *ka-ira*, by zgadywać, że wkrótce osłabnie jeszcze bardziej, a wówczas stanie się łatwym łupem.

Nie zamierzał czekać, aż to nastąpi. Przywołał moc i ostatnim wysiłkiem spowił się ciemnością.

– Gdzie on się podział? – ryknął Helshor.

Z mroku dobiegł głośny plusk.

– Skoczył do rzeki – rzucił ktoś. – Szukaj tera wiatru w polu.

– Mogę wysłać chłopaków, żeby czatowali w Podziemiach – zaproponował Riakin, jednak zebraczy król potrząsnął głową.

– Widziałeś, co tu się działo. Niewarta skórka wyprawki. Poza tym... – Helshor uśmiechnął się z ironią. – Ostatecznie dałem mu słowo.

* * *

Kiedy lodowata woda zamknęła się nad jego głową, zadziałał strach i instynkt. Rzeczywistość zawirowała kalejdoskopem barw. Potem zmij zmaterializował się na powrót, ciężko dysząc i ociekając wodą, w nieprzeniknionych ciemnościach na zimnej, kamiennej posadzce.

Trud przeniesienia się pozbawił go resztek sił. Leżał, oczekując, że lada chwila coś się stanie, na przykład zjawią się golemy zwabione echem czaru. Ale wokół panowała cisza.

Brune wzdrygnął się, gdy pamięć po raz kolejny podsunęła mu obraz tego, co wydarzyło się na łące za miastem. Miał wrażenie, że wciąż jeszcze czuje smród spalenizny i krwi.

To nie moja wina, zmusili mnie do walki. Ale ta myśl wcale nie zmniejszyła wyrzutów sumienia. Aż za dobrze pamiętał swoje odczucia w momencie, gdy wybuchła w nim czerń, a przeciwnicy zaczęli umierać jeden po drugim.

Dzika radość, euforia jak od narkotyku. Zemdlilo go na to wspomnienie; przełknął ślinę, czując w gardle żółć.

Nie pora, by o tym myśleć. Trzeba wstać, nie mogę tu leżeć. Muszę się ruszyć!

Zacisnął zęby i dźwignął się chwiejnie, walcząc z zawrotami głowy. Oparł się o mur.

No dalej, dalej, muszę iść!

Nie uszedł daleko; nogi ugiwały się pod nim. Wstrząsany dreszczami, usiadł i skulił się, obejmując rękami kolana. Pomyślał przelotnie o ludziach, którzy zasypiają wśród śnieżycy. Ale nie miał już siły się poruszyć.

Zamknął oczy. Ciemność otuliła go jak przyjazny kokon.

* * *

– Jakie wieści? – Władczyni Doliny Cierni wyczekująco popatrzyła na podwładnego. Kouremos uśmiechnął się.

– Wasza Wysokość, wiemy już, gdzie jest kula.

– Najwyższy czas – stwierdziła cierpko Sul-Berith. – Coś jeszcze?

– Owszem. Zupełnie przypadkiem wypatrzyliśmy pewnego przekłętego, który wydaje się... interesujący.

– To znaczy? – Władczyni ożywiła się. – Podejrzewacie, że to on jest szpiegiem Charooza?

– Nie sędzę. Ale jest silny. Zaskakująco wręcz, jak na człowieka. Nadawałby się na agenta.

– Czemu tak uważasz?

– Nebbu widział go w akcji. – Kouremos pokrótce opowiedział o wydarzeniach nad rzeką. Kiedy skończył, Sul-Berith zamysliła się.

– Rzeczywiście, ciekawe. Ale to może oznaczać... – Zasyczała cicho, a Kouremos drgnął mimo woli, bo jej piękna twarz na mgnienie oka przybrała swój rzeczywisty wygląd. – To może oznaczać, Kouremosie, że nie tylko Charooz zwerbował ostatnio kogoś nad Zatoką Snów. Posłuchaj mnie. W tej chwili waszym najważniejszym zadaniem jest zdobyć kulę i uwolnić ifryty w takich okolicznościach, żeby ofiar było jak najwięcej. Sami zdecydujcie, jak to rozegrać, zostawiam wam wolną rękę. Ale miejcie tego *ka-ira* na oku. Gdyby wszedł wam w paradę, wyeliminujcie go.

– Rozkaz.

6. Zazel i Mazzarath

Przytomność wracała powoli, opornie, jakby wynurzał się z głębokiej toni.

Pociągnął nosem i skrzywił się, czując wstrętny odór padliny. Ale leżał na posłaniu, nie na kamiennej posadzce. Choć okryty, drżał z zimna. Jakiś ciężar przygniatał mu klatkę piersiową.

– No, chyba się nareszcie budzimy – usłyszał ochryply, nieprzyjemny głos. Brune z wysiłkiem rozkleił powieki.

Tuż nad sobą ujrzał brzydkie, pomarszczone oblicze z nosem jak purchawka. Cofnęło się ono pospiesznie, a ciężar zniknął. Coś z głośnym tupnięciem wylądowało na podłodze. Brune poderwał się, zrzucając przykrycie.

Na posadzce ujrzał głowę. Nie posiadała ciała, tylko osiem pajęczych nóg.

Poruszając się szybko jak prawdziwy pająk, potworek przebiegł przez całą szerokość mrocznej, zagraconej izby i nagle kocim susem znalazł się na stole, zrzucając niechcący trochę śmieci. Brune obserwował go, zafascynowany.

Z sucharkiem w zębach stwór uklonił się.

– Zazel, do usług – oznajmił, chrupiąc.

Brune rozejrzał się po pomieszczeniu. Wyglądało na skrajnie zapuszczoną pracownię aptekarza lub alchemika. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. W kominku żarzyły się węgle. Żmij leżał na sienniku, a koce, którymi został przykryty, sprawiały wrażenie brudniejszych od jego ubrania, wciąż jeszcze wilgotnego po skoku do rzeki.

– Zazel, ty żarłoku! Poczęstowałbyś naszego gościa.

W drzwiach stanął przygarbiony mężczyzna z latarnią pełną świeciwa. Miał na sobie obszerną, ciemną pelerynę oraz drewnianą maskę z długim dziobem, jak te używane przez medyków podczas

zarazy.

– Jak się czujesz, chłopcze?

– Lepiej. – Brune nie mógł oderwać oczu od Zazela, który odkorkował teraz butelkę i pił. Głowa potworka była większa niż normalne ludzkie głowy i zupełnie łyśa, o żółtawej skórze przywodzącej na myśl woskowe figury. Jego cienkie odnóża kończyły się chwytnymi łapami. Obrazu dopełniały czarne wąsiki, sterczące sztywno niczym czułki chrząszcza.

– Leż, nie wstawaj. Jesteś jeszcze słaby. Zaczekaj, dam ci coś. – Mężczyzna w masce odstawił latarnię na stół i zaczął szperać między rupieciami, aż znalazł kubek, z którego zdmuchnął kurz. – Zazel, dawaj tę flaszkę, zanim wychlejesz wszystko. Proszę, chłopcze.

Brune posłusznie przyjął kubek, ale wzdrygnął się, gdy uświadomił sobie, że to od mężczyzny w masce bije trupi fetor.

Zawartość kubka, lekko spieniona, pachniała winem i ziołami.

– Co to?

– Coś, co postawi cię na nogi – odezwał się Zazel. – Pij, nie bój się.

Brune zawahał się, ale męczyło go pragnienie, więc usłuchał. Trunek był gorzkawy, aromatyczny i rozlewał się ciepłem w gardle. *Lucyferia*, pamięć podsunęła mu nazwę. *To wino zaprawione lucyferią.*

Wypił połowę i odstawił kubek, czując z ulgą, jak napój rozgrzewa jego zmarznięte ciało.

– Gdzie jesteśmy? To znaczy, na którym poziomie?

– Trzecim od dołu – odrzekł stwór. – Sług srebra tu nie uświadczysz, nie zapuszczają się w zrujnowane korytarze. Nikt poza nami nie mieszka w tej okolicy, jeśli nie liczyć umarłych, homunkulusów i tym podobnego tałatajstwa.

– Jak tu trafiłem?

– Znaleźliśmy cię, leżącego bez przytomności prawie pod naszymi drzwiami. Nie pytaj mnie, skąd się tam wziąłeś, bo nie mam pojęcia. Sucharka? – Zazel zeskoczył ze stołu, trzymając w zębach woreczek.

– Kim jesteście?

– A co, nie widać? Ja jestem, nie chwaląc się, chowańcem, a ten pan to alchemik. Nazywa się Mazzarath. Przygarnął mnie po tym, jak zginęła moja pani Lucretia. – Stwór zmierzył Krzyczącego wzrokiem. Ślepa miał ciemne, wąskie i chytre. – A ty się nazywasz Brune,

prawda? Mieszkałeś do niedawna z odmieńcami Sinego. I jesteś *ka-ira*. Żmij. Przeklęty.

– Zgadza się.

– Skąd pochodzisz? Kto był twoim mistrzem, o ile miałeś mistrza?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

Brune zawahał się, ale uznał, że nie ma nic do stracenia. W paru słowach opowiedział, jak znalazł się wśród śmieciarzy.

– Jak on się uchował? – odezwał się Mazzarath. – Jakim cudem srebrni jeszcze go nie dorwali?

– Bo kontroluje dar. Nie wygląda mi na ślepy talent. – Zazel uważnie patrzył na Krzyczącego. – Zaraz coś sprawdzimy. Podaj mi pergaminy Lucretii.

– Ale...

– Daj mi je!

Wzruszywszy ramionami, alchemik zdjął z półki kilka zwojów.

– O, ten będzie dobry. – Chowaniec wybrał jeden, przewiązany wyblakłą wstążką. Dmuchięciem oczyścił go z kurzu i rozwinął. – Powiedz mi, chłopcze, o czym traktuje ta receptura?

– O sporządzaniu odtrutek. – Brune zmrużył oczy, odcyfrowując niezbyt wyraźne pismo. – „Weźmij nieżywego padalca, krwi kurzej dwie łyżki, wrotyczu ususzonego garść, rozetrzyj wszystko razem w móżdżerzu; dodaj uncję nietoperzego łajna...” Cudne. Ten przepis do niczego się nie nadaje, Zazel, to bełkot jakiegoś szarlatana.

Chowaniec zamyślił się, potem pstryknął palcami i sięgnął po kolejny zwój.

– Skoro jesteś taki uczony, zobaczymy, czy potrafisz to przeczytać. Tu, od tego miejsca.

Pergamin zamiast liter pokrywały znaki wymalowane tuszem. Brune powoli, ale bez zająknięcia odczytał skomplikowaną formułę. Jego głos nabrał przy tym chrapliwego brzmienia.

W pomieszczeniu zaszumiało, zahuczało groźnie; ogień w palenisku buchnął wysoko i jakby ożył, przemienił się w chciwego stwora, który wyciągnął macki w kierunku ksiąg i aparatury. Zazel i Mazzarath wstrzymali oddech, ale Brune uniósł rękę i płomień w okamgnieniu cofnęły się, przygasły, powracając do zwykłej postaci.

Mazzarath wyrwał mu pergamin.

– Starczy, na Otchłań! Mogłeś mu kazać przeczytać co innego – zwrócił się z pretensją do chowańca, ale Zazel udał, że nie słyszy. Wpatrywał się w Krzyczącego, ewidentnie oszołomiony.

– Umiesz czytać stare pismo! Ależ... – Urwał w pół słowa, poruszył wąsami, jakby przeżuwał jakąś myśl. – Jedno jest pewne, mój drogi. Kształciłeś się w Zakazanej Sztuce. Jeśli chcesz znać moje zdanie, obstawiam, że najpierw byłeś fałszywym magiem, a potem obudził się w tobie talent i pozbawił wspomnień. Na szczęście nie do końca.

Brune potarł czoło. Po raz kolejny przekonał się, jak dziwne figle płata amnezja; gdy usłyszał pojęcie, od razu przypomniał sobie definicję.

Fałszywy mag to ktoś, kto zgłębia wiedzę tajemną, nie mając daru.

Gdyby fałszywy mag przez tydzień pościł i medytował, a później odurzył się mieszanką aranji i wilczych jagód, mógłby sprawić za pomocą takiej formuły, żeby świeca zapłonęła jaśniej.

Kto to powiedział? I kiedy?

Krzyczący wstrzymał oddech. Miał uczucie, jakby w głowie pękała mu kra. Odwrócił się, żeby po raz kolejny popatrzeć na zagraconą pracownię.

Kolby pokryte kurzem... Pozmywajcie to, chłopcy. Muszą być czyste przed zajęciami.

Półki, które zarwały się pod ciężarem ksiąg. Rozbite słoje na podłodze. Młodzieńcze, pomóż mi posprzątać ten bałagan.

Księgi... pergaminy... Wypchany bazyliszek, z którego wyłazi słoma...

Śnieg na parapecie okna, ciemność na zewnątrz. Księgi... i nuty. Rozrzucone na podłodze pracowni na poddaszu.

Na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami. Gdy się ocknął, leżał na wznak na posłaniu.

– Masz. – Zazel podał mu dzbanek. – To woda. Nasz trunek chyba ci nie posłużył.

Krzyczący napił się z wdzięcznością, choć wiedział, że to nie lucyferia mu zaszkodziła. W głowie kręciło mu się od uwolnionych

wspomnień. Z błyskiem w oku popatrzył znowu na stół, gdzie obrastały kurzem kolby i zlewki. Na rozstawiony pod ścianą sprzęt do destylacji.

– Pamiętam! Przypomniałem sobie. Studiowałem alchemię... Alchemię i muzykę. To było... nie wiem, jak dawno temu. Wszystko wydaje się tak odległe... jak sen...

– Alchemię i muzykę, co? – Mazzarath poskrobał się po głowie. – Na muzyce się nie znam, ale powiedz no mi, chłopcze, o czym trzeba pamiętać, rozcieńczając witriol?

– Że jest żrący i cięższy od wody, a woda w zetknięciu z nim rozgrzewa się do wrzenia. Dlatego zawsze wlewamy witriol do wody, nigdy na odwrót.

– Do czego to służy? – Mazzarath podniósł ze stołu okropnie brudną szklaną rurę, wygiętą w dziwaczny kształt.

– To chłodnica. Podczas destylacji skraplają się w niej pary.

– A po co wrzucam to do kolby? – Alchemik wyjął z pudełeczka kawałek stłuczonej porcelany.

– Żeby mieszanina równomiernie wrzała.

Mazzarath patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Potem zdjął z półki opasłe tomiszczce, otworzył je na chybił trafił.

– Przeczytaj, co tu jest napisane.

– Cyn... – Brune zmrużył oczy, odcyfrowując dziwaczoną, ozdobną czcionkę. – Cynober.

– Co powiesz o tej substancji?

– Używa się go do sporządzania czerwonej farby. Ogrzewany, wydziela pary rtęci. Są one trujące, ale niektórzy twierdzą, że ich wdychanie może wyleczyć syfilityka...

– Jakże jeszcze znasz leki na brzydką chorobę?

– Drewno gwajakowca... Czarna maść z rtęcią, która zasusza wysypkę. Ale są też medycy, którzy zalecają, by zakopać chorego po szyję w gnoju i zostawić na parę dni.

– Podaj przepis na wyhodowanie homunkulusa.

– Pozwól mi pomyśleć. – Brune zamknął oczy. – Trzeba mieszać w kolbie różne składniki... mleko, miód, ludzką krew i coś tam jeszcze, potem inkubować w temperaturze końskiego brzucha... to znaczy zakopać w fermentującym nawozie...

– Ładnie. Bardzo ładnie. Może powiesz mi jeszcze, czym się różni

traktat o ziołach Horviusa od podobnego traktatu, który napisał Flavian z Vanth?

– Traktat Horviusa jest bardziej ogólny, traktat Flaviana skupia się na zastosowaniach medycznych. Uczyłem się z jednego i drugiego.

– Gdzie studiowałeś?

– W... – Brune przycisnęła ręce do skroni. – Nie mogę sobie przypomnieć! Niech to szlag!

Mazzarath klepnął go w ramię.

– Idź spać, synu. Dostyc tych wzruszeń. Jesteś jeszcze słaby.

Krzyczący popatrzył na alchemika, i nagle w jego umyśle pojawiło się paskudne podejrzenie. Jego źrenice błysnęły żółto... Mazzarath zgiął się wpół, z trudem łapiąc oddech.

– Nie! – wrzasnął Zazel. – Nie! Zostaw go! On cię nie wyda srebrnym!

Błysk w oczach zmija zgasł. Alchemik wyprostował się, ciężko dysząc.

– Mazzarath, ty durniu! – pieklił się chowaniec. – Mógł nas pozabijać! Brune, chłopcze, uwierz mi – zwrócił się do zmija. – Możesz nam zaufać. Ostatecznie uratowaliśmy ci życie.

Krzyczący zawahał się. W zamaskowanym Mazzarathu było coś, co mu się nie podobało, i to bardzo. Ale ten sam instynkt podpowiadał zmijowi, że chowaniec nie kłamie.

I cokolwiek by nie mówić, wciąż jeszcze był słaby. Miał dreszcze, kręciło mu się w głowie. Wiedział, że nie zaszedłby daleko w takim stanie.

– Przepraszam – rzucił w stronę Mazzaratha. Zamaskowany mężczyzna machnął ręką.

– Drobiazg, chłopcze. Też byłbym nieufny na twoim miejscu.

– Śpij – powtórzył Zazel. – Z nami jesteś bezpieczny.

* * *

Kiedy Brune się zbudził, w kominku płonął ogień, a na stole leżał nadkrojony bochenek chleba i stały dwie nowe butelki. Mazzaratha nigdzie nie było widać.

Żmij potarł czoło, bezskutecznie próbując sobie przypomnieć sen, z którego pozostały mu tylko mgliste wrażenia. Szum morza, dłoń

dotykająca jego czoła, kobiecego głos...

Czuł się lepiej, osłabienie ustąpiło. Zmieniło się też coś jeszcze.

Pamiętał. Już definitywnie pamiętał nie tylko nauki o alchemii, ale też wiedzę magiczną, na zdobycie której – jak sobie teraz uświadomił – potrzeba przynajmniej kilku lat. Formuły, rytuały, tytuły ksiąg.

Wyciągnął rękę, szepnął odpowiednie słowo i uśmiechnął się, patrząc, jak ogień posłusznie przygasa do czerwonego żaru, a potem ponownie się rozpala.

Drgnął, uchwyciwszy kątem oka ruch, ale to tylko Zazel pojawił się w drzwiach. Poruszał się dość niezgrabnie na sześciu pajęczych łapach, bo w dwu dźwigał lutnię.

– Hej, skąd to masz? – zdziwił się Krzyczący.

– Nieważne. – Chowaniec wyciągnął instrument w jego kierunku. – Powiadasz, że studiowałeś alchemię i muzykę. Zagraj coś.

Brune niepewnie dotknął kołków, potrącił struny. Lutnia wydała smętny, fałszywy dźwięk.

Potrząsnął głową.

– Nie umiem. Nie na tym.

– To na czym grałeś?

– Nie pamiętam! – Krzyczący ukrył twarz w dłoniach. – Jeśli przyniesiesz mi nuty, będę umiał je rozczytać. Chyba. Ale to wszystko.

– Aha. No cóż. Może w takim razie skusisz się na śniadanie? Ja już jadłem.

– A Mazzarath? – Żmij rozejrzał się nieufnie, jakby spodziewał się, że alchemik lada chwila pojawi się wraz z patrolem golemów. Albo z ludźmi Riakina.

– Dogląda zacieru w drugiej krypcie. Wiesz, zarabiamy tu na życie, jak możemy. – Chowaniec uśmiechnął się. – Na bimberk jest spory popyt, nawet jeśli to podle świństwo. Zdrówko! – Odkorkował jedną z butelek i pociągnął łyk.

Krzyczący rozejrzał się za dzbankiem.

– Powiedz mi, jak trafić do studni – powiedział zrezygnowanym tonem. – Zakładam, że jakaś jest w pobliżu.

– Hej, zostało jeszcze trochę wina z lucyferią! Nie lubisz wina?

– Lubię. Ale nie w każdych okolicznościach. I nikt normalny nie pije lucyferii do śniadania.

Zdażył znaleźć studnię, wrócić z wodą i pożywić się chlebem, zanim

pojawił się alchemik. Zazel w międzyczasie paplał o różnych głupstwach. Jego wesołość wydała się Krzyczącemu ewidentnie sztuczna, co jeszcze podsyciło nieufność zmija.

Jednak Mazzarath wrócił sam. Bez golemów, bez żebraków. Wsunął się do pracowni, pokasłując i roztaczając trupa woń.

– Jak się czujesz? – chrząknął. – Odzyskałeś siły?

– Można tak powiedzieć.

– Wypocząłeś? Jadłeś? To świetnie. Widzisz, mam do ciebie sprawę. Jesteś mi coś winien, chłopcze.

Krzyczący wstał, odsuwając krzesło, żeby mieć swobodę ruchów. Instynkt ostrzegał go tak wyraźnie, tak gwałtownie, że nie sposób było tego ostrzeżenia zignorować.

Jego źrenice błysnęły; przywołał moc i czekał.

Mazzarath zdjął ptasią maskę.

Jego oblicze przypominało gnijący owoc o sinej, pokrytej plamami skórze. Brakowało fragmentu dolnej wargi; przez szparę prześwitywały pieńki zębów. W miejscu nosa ział czarny otwór.

– Rzucono na mnie klątwę gnicia – powiedział chrapliwie alchemik.

– Jestem żywym trupem, moje ciało rozpada się, lecz nie mogę umrzeć. Cierpię tak już od pięciu lat.

– A co to ma ze mną wspólnego?

– Nie udawaj, że nie rozumiesz. Jesteś magiem.

– Czy to nie za dużo powiedziane? – parsknął Brune.

– Masz dar i zdaje się, że co nieco umiesz. To znaczy, że obowiązują cię też prawa magów. Odpłacać za pomoc pomocą, za zdradę śmiercią i tak dalej. Krótko mówiąc, powinienes mi się odwdzięczyć za uratowanie życia.

– Dobrze, Mazzarath – powiedział zmij zmęczonym tonem. – Pojmuję. Możesz już założyć maskę z powrotem.

– A więc spłacisz dług? Zdejmiesz ze mnie klątwę?

– Daję słowo maga, że zrobię, co w mojej mocy. Ale wpierw muszę załatwić parę spraw. Jeden dzień chyba cię nie zbawi?

* * *

Na Loss Fomar, pod ścianą namiotu ladacznic, dwóch małych uliczników zajadało skradzioną bułkę. Nagle młodszy z nich

szturchnął kolegę.

– Rikke! Spójrz no, czy to nie czasem...

Dwa stragany dalej obdarty człowiek o twarzy naznaczonej szramami oglądał przedmioty rozłożone na ladzie kramu, gdzie tanio sprzedawano – wbrew prawu rzecz jasna – odzież, buty i biżuterię należące do ludzi, którzy zmarli na niektóre paskudne choroby lub wskutek klątw.

Chłopcy popatrzyli na siebie.

– To on?

– A jak myślisz? Ilu ludzi w mieście ma takie blizny?

– Trzeba powiadomić króla! – Młodszy poderwał się, ale Rikke zmiętygował go.

– Spokojnie, Grzybek. Nie tak szybko. Najpierw zobaczymy, co on tu robi.

Podpełzli bliżej, kryjąc się za sąsiednim straganem.

Krzyczący w zamyśleniu patrzył na wyłożone towary. Jędzowata handlarka obserwowała go bacznie; bez wątpienia miała duże doświadczenie w pilnowaniu swojej własności. W końcu przeszedł do następnego stoiska. Tu również oferowano biżuterię, a także jedwabne chustki, jedno i drugie po podejrzenie niskich cenach. Nietrudno było zgadnąć, że towar pochodzi z kradzieży. Srebrni magowie przymykali oko na ten handel – zgodnie z maksymą, że warunkiem utrzymania Ekwilibrium jest, aby każde miasto miało swoją ciemną stronę.

Dwaj dość zamożnie ubrani młodzieńcy targowali się z właścicielem stoiska. Krzyczący podszedł i stanął obok, przyglądając się naszyjnikom rozwieszonym nad ladą. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Nagle jeden ze sznurów przeciągniętych pod daszkiem straganu odczepił się, a wiszące na nim ozdoby rozsypały się po ziemi z przeraźliwym brzękiem. Kramarz zaklął szpetnie i skoczył je zbierać.

Żmij gdzieś zniknął, jakby się rozplynał w powietrzu. Rikke, nie w ciemię bity, w mig zorientował się, co zaszło. Szturchnął Grzybka.

– Pryskamy – syknął. – Zaraz się podniesie raban.

* * *

Mazzarath chwiejnym krokiem podszedł do stołu i dolał sobie bimbru, po czym usiadł ciężko na posłaniu.

– Może już starczy tego dobrego? – odezwał się chowaniec.

– Pilnuj własnego nosa. – Alchemik opróżnił kubek i czknął. – Gdzie on się podziewa, do stu plugawych zmor?

Drzwi otworzyły się i wszedł Brune, nieco zmoknięty, ze sporym zawiniątkiem pod pachą. Wyglądało na to, że jest w świetnym humorze.

– Hej, Zazel, mam tu coś dla ciebie. Łap! – Rzucił chowańcowi obwarzanka. Zazel zręcznie złapał go w locie i natychmiast ugryzł.

– Dzięki! – odparł z pełnymi ustami.

– Gdzie byłeś? – warknął Mazzarath. Krzyczący dopiero teraz spojrzał na niego.

– Tu i ówdzie.

– Na powierzchni?

– Też.

– Co jest w tym pakunku?

– Parę przydatnych rzeczy.

– Skąd wzięłeś pieniądze?

– Zgadnij.

Zazel przełknął resztę obwarzanka i zmierzył zmija uważnym spojrzeniem.

– No proszę. Nie wyglądałeś mi na takiego, co pójdzie kraść.

Krzyczący wzruszył ramionami.

– Może nie znasz się na ludziach tak dobrze, jak ci się wydaje, Zazel. Jeśli cię to pocieszy, ręczę, że poprzedni właściciel też nie zarobił tych pieniędzy uczciwie. – Rozejrzał się po zabałaganionych półkach. – Jedno pytanie. Macie terpentynę?

– Śmiem twierdzić, że tak. – Zazel zeskoczył ze stołu, powęszył w kącie i wyciągnął spomiędzy rupieci butelkę pokrytą kozuchem kurzu. – Trzymaj.

– Na cholerę ci terpentyna? – Alchemik poderwał się z posłania, ale zachwiał się i oparł o ścianę. – Hola, dokąd się znowu wybierasz?

– Na powierzchnię. Wrócę za parę godzin.

Mazzarath zrobił ruch, jakby chciał go powstrzymać, ale rozmyślił się i zamiast tego usiadł z powrotem, garbiąc ramiona.

– Myślisz, że dotrzyma słowa? – spytał, gdy drzwi się zamknęły. Zazel poklepał go pocieszająco po kolanie.

– Wróci, Mazzarath. O ile znam się na ludziach, wróci.

* * *

Na przedmieściu Shan Vaola wznosiło się wzgórze, które nazywano Szewskim, bo zamieszkiwali je głównie biedniejsi rzemieślnicy. Uliczki były tam wąskie, kręte i błotniste, straszące stertami śmieci. Świnie ryły w kałużach.

W pewnej odległości od innych domów stał stary drewniany budynek. To była tania, dość podła łaźnia, gdzie ruch ożywiał się tylko przed świętami.

Wschodził księżyc. Dzielnica pomału pogrążała się w ciszy; drzwi się zamykały, światła w oknach gasły. Stary, kuśtykający posługacz wciąż jeszcze krzątał się wokół łaźni. Trzeba było wygasić piec, zmyć posadzkę i namoczyć ręczniki, które nazajutrz pojedą do praczek.

Woda, doprowadzona tu rurą z przebiegającego nieco dalej miejskiego akweduktu, z pluskiem lała się do glinianej cysterny za budynkiem. Ostatni tego wieczoru klient siedział na schodkach, cierpliwie rozczesując mokre włosy. Nawet nie przypuszczał, że kąpiel i świeże ubranie mogą do tego stopnia poprawić mu humor.

Marudny, kulawy dziad początkowo w ogóle nie chciał go wpuścić, bo nabrał podejrzeń, że ktoś, kto chce się kąpać samotnie po zmroku, może mieć po temu bardzo konkretne powody. Skłębili się wzajemnie żołnierskim językiem. Brune ściągnął w końcu koszulę, żeby pokazać, że nie ma parchów ani nie jest trędowaty, i wtedy łaźiebny niechętnie ustąpił.

Odzyskanie przyzwoitego wyglądu zajęło Krzyczącemu trochę czasu. Gorąca woda bardzo się przydała, podobnie jak mydło i brzytwa. Niezbędny okazał się również ocet z terpentyną i gęsty grzebień, żeby nareszcie pozbyć się wszy. Najprościej byłoby ostrzyć włosy krótko, ale tego zmij nie zamierzał robić, chyba że w ostateczności.

Stare, śmierdzące łachy spalił. Nowe, kupione na podziemnym targowisku ubranie – koszula z taniego, szarawego płótna, czarna tunika, luźne spodnie i kurtka – leżało na nim zupełnie nieźle. Wybrał jeden z lepszych kramów i rzeczy, choć używane, były czyste, wyprane, a nawet jeśli wcześniej należały do kogoś, kto zmarł na ospę czy tyfus, Brune nie musiał się tym przejmować – dar uodparniał go na większość chorób. Oczywiście nie pamiętał, skąd to wie, ale miał

pewność, że tak właśnie jest.

Zdażył już zauważyć, że w Shan Vaola czarna barwa stroju wbrew pozorom nie wzbudzała uprzedzeń. Wielu ludzi się tak nosiło. Teraz mógł bez przeszkód zajrzeć w różne miejsca – na przykład do biblioteki uniwersyteckiej, żeby sprawdzić w źródłach pewne niuanse, jeśli chodzi o klątwy.

Zdecydowanie przyjemniej było wyglądać jak normalny obywatel niż jak bezdomny, mimo to czuł się nieco dziwnie. Zabawne, jak można odzwyczaić się od czystości. Policzki trochę go paliły, miał też wrażenie, że wciąż jeszcze lekko pachniał terpentyną.

Wsunął dłoń w zanadrze, dotykając schowanej tam sakiewki. Kradzież poszła mu tak gładko, że aż się trochę wstydził. Osłaniając się przez chwilę iluzją niewidzialności, sięgnął po prostu przez ladę kramu z biżuterią i zwinął całodzienny utarg. Złoto się przyda – żmij miał już pewne plany.

Uporawszy się z wieczornymi obowiązkami, kuternoga zamknął drzwi łaźni na kłódkę i podszedł, postukując kulą. Wyjął piersiówkę i pociągnął solidny łyk.

– Trzeba przyznać, że kąpiel ci posłużyła, chłopcze – uśmiechnął się, pokazując zniszczone, brunatne od tytoniu zęby. – Gdzieś ty mieszkał ostatnimi czasy? Na śmietniku? Dobrze już, nie krzyw się, żartowałem. A po czym masz te blizny?

– Pamiątka z morza – skłamał Brune bez mrugnięcia okiem. Stary pokiwał ze zrozumieniem głową. Po marynarzach można było się spodziewać wszystkiego.

* * *

Zazel na widok żmija rozdziawił usta.

– A niech mnie! Wyglądasz, jakby cię podmienili!

– Potraktuję to jak komplement, bo nie mam innego wyjścia. Co z Mazzarathem? – Pytanie było do pewnego stopnia retoryczne, bo alchemik chrapał na posłaniu.

Chowaniec spoważniał.

– Schłał się... Chyba trzeba będzie poczekać do jutra.

– Zaraz się przekonamy. – Brune odchylił maskę Mazzaratha i szepnął coś w języku magów. Po chwili starszy mężczyzna otworzył

oczy.

- A więc wróciłeś, chłopcze – wybełkotał.
- Przecież obiecałem, Mazzarath. Dałem słowo.
- Zdejmiesz ze mnie klątwę?
- Nie tu, na zewnątrz. Chodź, dasz radę.

Mazzarath wstał chwiejnie, zatoczył się. Krzyczący podtrzymał go, tłumiąc obrzydzenie – do trupiej woni dołączył smród przetrawionego alkoholu.

– Zazel, bądź tak dobry, zabierz świecę i kawałek kredy, jeśli macie – zawołał przez ramię.

Wyszli na korytarz. Alchemik chwiał się, mamrotał pod nosem, ale jakoś trzymał się na nogach – być może myśl, że za chwilę zostanie uwolniony od klątwy, dodawała mu sił.

- Dokąd? – spytał Zazel.
- Do pierwszej pustej krypty, wszystko jedno.

Gdy tylko dotarli na miejsce, Mazzarath osunął się na posadzkę. Głowa opadła mu na piersi.

– To nie zrobi różnicy? – spytał niepewnie chowaniec. – Że jest pijany, znaczy?

– Nie powinno. Kredę poproszę. – Krzyczący nakreślił wokół alchemika pentagram. Wyjął z kieszeni kawałek pergaminu i zerkając nań, dorysował na obwodzie pentagramu kilka symboli. Zazel obserwował to z powątpiewaniem.

– Czy ty aby na pewno wiesz, co robisz?

– Wiem, Zazel. Daj mi świecę. – Żmij pstryknął palcami i świeca zapaliła się sama. Ustawił ją na jednym z wierzchołków pentagramu i ukląkł.

– Na powietrze i ogień! – zawołał. Jego głos brzmiał ochryple, dziwnie. – Na milczącą ziemię, na zatruty wiatr i szarańczę, na dziewięć bram podziemnego świata! Wzywam cię, klątwę, opuść tego człowieka, opuść jego głowę, jego członki, jego serce. Ja, Krzyczący w Ciemności, rozkazuję ci! Opuść go!

Mazzarath zadygotał, jęknął. Ściągnął maskę i łapał z trudem powietrze.

W dłoni żmija błysnęła długa srebrna igła.

Zazel patrzył, wstrzymując oddech. Krzyczący ujął pokrytą plamami dłoń alchemika i ukłuł go, niezbyt głęboko, ale do krwi.

Mazzarath nawet nie drgnął; widocznie jego porażone klątwą ciało nie czuło bólu, jak u trędowatego.

Krzyczący uniósł igłę. Na jej czubku widać było pojedynczą czarną kroplę.

– Jestem zdrów! – wyszeptał Mazzarath, uśmiechając się. – Jestem...

Jego głos przeszedł w charkot. Oczy wylazły z orbit, na oszpeconej twarzy pojawił się grymas przerażenia. Z ust pociekło trochę piany.

Krzyczący wstał z klęczek, nadal wpatrując się w igłę.

– Zdjąłem klątwę – powiedział głucho. – No tak, cholera. Wszystko jasne.

Mazzarath już nie oddychał. Jego oblicze zapadało się w oczach. Skóra skurczyła się i odpadła, odsłaniając ohydłą czaszkę z wyszczerzonymi zębami.

– Okłamałeś go! – wykrzyknął chowaniec.

Żmij starannie owinął igłę skrawkiem materiału i schował do przygotowanego wcześniej puzderka, które wsunął w zanadrze.

– Nie. On umarł dawno temu. To klątwa podtrzymywała w nim namiastkę życia.

– Wiedziałeś o tym?

– Domyślałem się. Ale jemu nie można już było pomóc, Zazel. Klątwa nie rzuca się bez powodu. Mazzarath musiał kogoś kiedyś potwornie skrzywdzić, bo trzeba potężnego bólu i pragnienia zemsty, żeby czar wżarł się aż tak głęboko. I tylko ten, kto rzucił klątwę, może odwrócić jej skutki.

Trup gnił w oczach, rozpadał się w ciemną, obrzydliwie cuchnącą maź.

– Zrób z tym coś – jęknął chowaniec.

Krzyczący skinął dłonią i ciało Mazzaratha z sykiem objęły sine płomienie. Gdy po chwili zgasły, na posadzce nie pozostało nic prócz odrobiny popiołu.

– Chodź, Zazel – powiedział żmij. – Czeka na nas robota.

Chowaniec usłuchał z ociąganiem. Po głowie chodziło mu oczywiste podejrzenie, że konsekwencje zdjęcia klątwy nie były tak całkiem niezamierzone, jednak niewiele mógł zrobić. W zasadzie – albo przejść nad tym do porządku dziennego, albo się gryźć.

Szybko doszedł do wniosku, że przynajmniej przy właścicielu, który

jest młody, sympatyczny i kupuje obwarzanki, jego życie nie powinno wyglądać gorzej niż do tej pory. Ta myśl sprawiła, że poweselał.

Chociaż żaden nie powiedział tego na głos, obaj czuli, że teraz trzeba się jak najprędzej pozbyć wszystkiego, co w ponury sposób przypominało o nieżyjącym mieszkańcu kryjówki.

* * *

Uprzątnięcie nowej siedziby okazało się, mówiąc ogólnie, ciekawym zadaniem.

Pod warstwą wiekowego kurzu i pajęczyn kryło się istne muzeum. Brudne szkło laboratoryjne, elementy aparatury, jak również mnóstwo potłuczonych skorup i zardzewiałych części nie wiadomo od czego. Księgi oraz pergaminy, po części zniszczone przez wilgoć. Butle i słoje, a w nich różne paskudne substancje. Imponujących rozmiarów gąsior, do połowy wypełniony bimbrem. Spleśniałe skórki od chleba. Kilka zdechłych myszy. I jeszcze inne ciekawostki, jak chociażby tajemnicza buteleczka z ciemnego szkła, której Brune omal nie stłukł, wycierając półki. Była zamknięta szklanym korkiem na szlif i ponieważ wyglądała jakoś podejrzanie, zmij na próbę kapnął kroplę zawartości na starą szmatę. Okazało się, że buteleczka zawiera – najprawdopodobniej – stężony witriol. Na tej samej półce stał też garnek z malowanej porcelany z przykrywką, pełen zestalonej na kamień szarej substancji, cuchnącej zjełczałym tłuszczem z nutką piżma i tuberozy. Krzyczący najpierw osłupiał na widok zawartości, potem olśniło go, że to pomada do włosów, ale wołał się nie zastanawiać, czy do osobistego użytku Mazzaratha, czy na sprzedaż.

Dużo czasu poświęcił na mozolne sortowanie szkła. Wszystko, co chciał zatrzymać, trzeba było umyć i wytrzeć, aż do ostatniej zlewki.

– Przynajmniej szybko się uczysz – skomentował Zazel na widok miotły dźwigającej wiadra z wodą i szmaty wycierającej czyste kolby. Brune wzruszył ramionami. Było mu trochę wstyd, że używa magii do tak przyziemnych czynności. Ale co miał począć, skoro nie posiadał ani służby, ani uczniów?

Nad śmierdzącymi kocami i siennikiem nie deliberował długo – wszystko trafiło na stertę rupieci przeznaczonych do oddania śmieciarzom. Większy kłopot miał z tajemniczymi substancjami. Nie

wiedząc, co właściwie znajduje się w środku, nie mógł zawartości naczyń ani transmutować, ani wylać. Rozważał wyniesienie całego kramu do jakiejś pustej krypty, ale oznaczałoby to mnóstwo dźwigania, poza tym w przyszłości ktoś mógłby tam na nie natrafić, na przykład bląkające się bezdomne dziecko.

– Nad czym ty się zastanawiasz, chłopcze? – prychnął Zazel, gdy dowiedział się o problemie. – Jesteś magiem czy nie? Od czego są portale?

– Ale ja nie...

– Umiesz, umiesz. Tylko jeszcze o tym nie wiesz. Daj tu zwoje Lucretii, zaraz ci znajdę zaklęcie.

I tym sposobem, po dwóch czy trzech nieudanych próbach, w kominku zakwitło przejście do wymiaru ognia. Po kolei zostały weń wyeksponowane wszystkie słoje i butle. Z oddali słychać było, jak ich zawartość syczy i wybucha.

– Hej! – krzyknął nagle Zazel. – Bimbru nie! Zwariowałeś? Zostaw!

Krzyczący zignorował go. Kominek na chwilę zagotował się niebieskim płomieniem.

– Gdzie twoje maniery, stworze jeden? Trzeba podziękować salamandrom za przysługę. Wydestyluję ci lepszy.

– No, chyba że tak. – Chowaniec usiadł z markotną miną. – Ale trzymam cię za słowo!

Krzyczący zgrabnie wygasił portal, sam zaskoczony, że tak łatwo mu to przyszło. Potem po raz ostatni wysłał miotłę po wodę, żeby się wreszcie umyć z kurzu.

Na zakończenie porządków urządzili sobie małe święto. Ogień w kominku, chleb, wędzonka, dobry pleśniowy ser i herbata z rumem.

Wysprzątana pracownia wydawała się przestronniejsza. W kącie stół z aparaturą i szkłem, naprzeciw kominka – skrzynia i posłanie. Nowy siennik, przykryty płótnem, czyste koce. Po paskudnej woni nie zostało śladu – teraz pachniało tu zupełnie znośnie, dymem i piwnicą. W świetle płomieni nawet stare mury wyglądały jakoś przytulniej.

Zazel rozsiadł się w pobliżu paleniska, gdzie kamienna posadzka promieniowała miłym ciepłem. Był to widok jedyny w swoim rodzaju – głowa na pajęczych nogach, sącząca przez rurkę rum z laboratoryjnej zlewki.

– Całkiem niezły ten piracki trunek – stwierdził chowaniec,

cmokając.

– Miło mi to słyszeć. Zazel?

– Aha?

– Miejmy nadzieję, że salamandrom smakował nasz bimber.

– I pomada. Nie zapominaj o pomadzie.

7. Sekret Rahida

Pieża wznosiła się na północ od portu, wysmukła i biała na tle poszarpanych szarych skał.

Na jej szczycie znajdował się niewielki taras, wyposażony w lunetę do obserwacji astronomicznych. Trzy postacie w białych szatach wpatrywały się w usiane gwiazdami niebo.

– Hiroth świeci coraz jaśniej – powiedziała Iglendis ar Vanth, wyciągając rękę. – Co to oznacza według teorii mistrza Tarvusa, Reohanie?

Jej uczeń przymknął oczy, przywołując z pamięci odpowiednią stronę z księgi.

– Że żywioł ognia dominuje teraz w prądach Zmroczy nad innymi żywiołami. Jest to okres sprzyjający prowadzeniu wojen, wszelkim niepokojom oraz dramatycznym wydarzeniom.

– Do jakiej konstelacji należy Hiroth?

– Do Stosu.

– Co oznacza nazwa tej gwiazdy?

– Smoczy Jeździec.

– Bardzo dobrze. – Iglendis skinęła głową. – Teraz zanotuj pozycje Hiroth, Asel i Melegeris względem Gwiazdy Północnej. Później wyliczysz, w jakiej konfiguracji w stosunku do materialnego świata znajduje się królestwo salamander oraz wytłumaczysz, w jaki sposób wynika to z układu sfer.

Reohan ar Vithanare, wysoki, jasnowłosy młodzieniec, który wkrótce miał przystąpić do trudnych egzaminów na stopień akolity, posłusznie sięgnął po przyniesioną tabliczkę i rysik.

Iglendis popatrzyła na Opiekuna Miasta. Demetheos ar Kel nadal stał bez ruchu, patrząc w niebo.

– Hiroth istotnie świeci wyjątkowo jasno – powiedział cicho. – To niepokojące. Zwłaszcza w połączeniu z pewnymi informacjami, jakie

uzyskałem dzisiaj od salamander. Moja córko, czy patrole w Podziemiach nie zauważyły w ostatnich dniach niczego niepokojącego?

– Nie, mistrzu. – Iglendis natychmiast poczuła, że ogarnia ją napięcie. Teraz już wiedziała, czemu Demetheos wezwał ją razem z uczniem do swojej wieży.

– Zgodnie z tym, co mówią salamandry i co potwierdzają moi szpiedzy, w mieście grasuje co najmniej jeden wysłannik Otchłani – kontynuował sędziwy mag.

– Czy wiadomo, jaką ma misję?

Demetheos zerknął na ucznia, który skończył już notować pozycje gwiazd na tabliczce i przysłuchiwał się rozmowie, wiedząc, że gdyby jego obecność była niepożądana, zostałby odesłany.

– Ty także słuchaj uważnie, uczniu. Zdaniem salamander, Otchłania ma na oku pewien niebezpieczny przedmiot, który znajduje się w mieście, lecz nie wiadomo, gdzie i w czyich rękach. Jest to szklana kula, wewnątrz której uwięziono stado ifrytów.

Reohan westchnął mimo woli. Iglendis zasepiła się.

– Moja córko, dołożyłem starań, aby wyśledzić kulę – podjął Demetheos. – Ponad wszelką wątpliwość znajduje się ona gdzieś w Podziemiach. Homunkulusy gończe poszukują jej na mój rozkaz, lecz istnieje obawa, że wysłannik Otchłani dotrze do niej pierwszy. Dlatego musicie za wszelką cenę go ująć. Jeszcze dziś roześlij po Podziemiach dodatkowe patrole. Niech sprawdzają zarówno zamieszkane, jak i niezamieszkane korytarze. Każda żywa istota, która wyda im się podejrzana, czy będzie to człowiek, czy odmieniec, czy zwierzę, ma zostać pochwycona i sprowadzona do was. Czy chciałeś o coś spytać, uczniu? – Uniósł brew, bo Reohan istotnie wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć.

Młodzieniec lekko się speszył.

– Czy nie lepiej byłoby śledzić wysłannika, kiedy już wpadniemy na jego trop? Wówczas moglibyśmy za jednym zamachem zgarnąć i jego, i kulę.

Demetheos potrząsnął głową.

– Nie, za duże ryzyko. Trzeba jak najszybciej wyeliminować wysłannika, a równolegle szukać kuli.

– Jak każesz, mistrzu. – Iglendis skłoniła się.

Owinęła się szczelniej białym płaszczem. Czowała chłód. I wcale nie

dlatego, że od morza wiał wiatr, szumiąc w gałęziach drzew otaczających wieżę.

Czerwonawa gwiazda Hiroth, Smoczy Jeździec, migotała nad zachodnim horyzontem jak ziarenko żaru.

* * *

Nazwa Doliny Złota na pierwszy rzut oka była myląca – w jej krajobrazie dominowały niegościnne czarne skały, bezwodne kotliny oraz urwiska, gdzie gnieździły się sępy.

Lecz pod górami znajdowały się jaskinie pełne rozmaitych cudów, jakkolwiek niekoniecznie takich, które przypadłyby do gustu śmiertelnikom, choćby i najbardziej chciwym. Charooz, władca Doliny Złota, lubował się w kosztownościach, ale kosztownościach szczególnego rodzaju. Więził dusze w złotych klatkach, wewnątrz rzeźb oraz olbrzymich drogich kamieni. Nawet wśród możnych Otchłani miał opinię snoba.

W swoim dominium najchętniej przybierał postać smoka o karmazynowo-złoty łuskach i czerwonych ślepiach, a mieszkał nie w pałacu, tylko w skalnej pieczarze. Sypiał na posłaniu z monet i klejnotów, a służących nie posiadał, bo im nie ufał.

Pod sklepieniem jaskini unosiła się chmara uwięzionych błędnych ogników. Ich blade światło migotało na piętrzących się pod ścianami skarbach.

Charooz raz jeszcze uważnie przeczytał raport szpiega. Potem odłożył pergamin i zasepił się, myśląc, że chyba jednak nie docenił Sul-Berith i jej niekonwencjonalnych posunięć.

W Otchłani od tysiącleci trwała bezustanna rywalizacja, graniczące ze sobą Doliny stale toczyły boje. Siła każdej z nich zależała przede wszystkim od liczby pochłoniętych dusz, a te trzeba było zdobywać z zachowaniem zasad, tak bowiem funkcjonowała magia spajająca ojczyznę demonów. Nie wystarczyło po prostu zabić śmiertelnika, aby zdobyć jego duszę – to byłoby zbyt proste. Istniały prawa ustanowione dawno temu przez bogów, które chroniły tę hałastrę z ciała i krwi. Dlatego jedna zgrabnie poprowadzona intryga w świecie ludzi mogła znaczyć więcej niż cała kampania wojenna na dole.

Starano się podstępnie nakłaniać śmiertelników do dobrowolnego

zaprzędania się w niewolę. Jednak o wiele efektywniej było wykorzystać kogoś – człowieka lub dowolną istotę niebędącą demonem – do zabijania na rzecz Otchłani. W ten sposób demony obchodziły prawo bogów. Magia Otchłani i magia materialnego świata zazębiały się w wystarczającym stopniu, żeby pozwolić na taką, jakże zdradziecką dla ludzi, furtkę.

Może bogowie po prostu tego nie przewidzieli.

Charooz zamyślił się. Stado ifrytów... Gdyby plan Sul-Berith się powiódł, rywalka bez wątpienia mogła liczyć na duże korzyści w krótkim czasie.

Demon zaczął węszyć wśród stert kosztowności, aż znalazł to, czego szukał – złoty posążek przedstawiający kobietę w długiej sukni. Tchnął nań gorącym smoczym oddechem i trzykrotnie wypowiedział imię.

– Jestem, panie – przemówił posążek głosem jego nowej agentki z materialnego świata. – Słucham cię.

Charooz wydał rozkazy, udzielając tak szczegółowych wskazówek, jak było to możliwe.

* * *

Zazel umówił się ze śmieciarzami, których – jak się okazało – dobrze znał, żeby zabrali z rupieci to, co ich zainteresuje. Brune nie miał ochoty się dekonspirować, więc czekał w laboratorium. Drgnął, słysząc zza drzwi Psiogłowca.

– Oddajecie tyle dobra? Co się stało Mazzarathowi, żeni się, czy jak?

– Nie wasza sprawa – uciał chowaniec. – Do roboty, chłopaki, szkoda czasu.

Odgłosy krzątania ucichły wkrótce. Zazel wsunął się do kryjówki.

– Hej, zmiju, uśmiechnij się. Zabrali prawie wszystko, a w zamian dostarczą nam drewno na opał, tak jak obiecali. Teraz zbieraj się. Idziemy na targowisko.

– Po co?

– Psiogłowiec mówi, że Staruch jest dzisiaj na Loss Fomar, bo ogląda występy kuglarzy. Jak się pospieszymy, mamy szansę jeszcze go tam zastać.

– I?

– Pamiętasz, opowiadałem ci o Staruchu.

– Opowiadałeś. Że to odmieniec, kiedyś pracował dla srebrnych, odszedł od nich, a teraz mieszka tu w lochach i pomaga wszystkim, którzy potrzebują pomocy. Z *ka-ira* włącznie.

– Skąd ten sceptyczny ton?

– Jestem ostrożny. – Brune wyjął z cholewki sztylet i machinalnie zaczął się nim bawić. Na miejsce noża zabranego mu przez ludzi Helshora zdążył już sprawić sobie dwa nowe, których tym razem nie ukradł, lecz kupił; co prawda za kradzione pieniądze. – Taka już moja natura. Nie ufam osobom, których nie znam.

– Ale ja go znam. Staruch jest w porządku. Może cię skontaktować z ludźmi, którzy akurat potrzebują usług maga i nie weźmie ani grosza za pośrednictwo. Nigdy nie bierze. Co tak patrzysz? Nie musisz od razu rzucać klątw na zlecenie. Ludzie potrzebują czarów chroniących od zarazy, od złodzieja, od złego spojrzenia... Zaklęć miłosnych...

– Wykluczone. Tym miastem rządzą srebrni, Zazel. Jeśli nie będę się pilnował, ani się obejrzysz, a wytropią mnie tu i osaczą jak lisa w jamie.

– To z czego chcesz żyć, jak nie z daru? Nie możesz się utrzymywać z kradzieży. To kiepski pomysł na dłuższą metę.

– Wiem.

– No więc? Widzisz jakieś inne wyjście?

– Oczywiście.

Zdaniem Krzyczącego istniała prosta alternatywa. Alchemia. Miał warsztat, aparaturę i książki. Jednak ta opcja również niosła ze sobą widmo kłopotów. Nie wiedział, co będzie, gdy wyjdzie na jaw, że przejął schedę po Mazzarathu. Nie miał ochoty na scysje ani z mieszkańcami Podziemi, ani z miejscowym cechem alchemików, nie mówiąc o konfrontacji ze sługami srebra. Dlatego od jakiegoś czasu chodził mu po głowie pomysł genialny w swej prostocie.

– Chłopcze, ty jesteś jednak całkowicie rąbnięty – stwierdził z przestraczeniem Zazel, gdy ujrzał, co zmij wyjmuje ze skrzyni.

– Potraktuję to jak komplement, bo nie mam innego wyjścia. – Krzyczący położył na stole czarny płaszcz Mazzaratha oraz ptasią maskę i przyjrzał się im krytycznie.

– I bardzo źle, bo to nie był komplement!

– Och, nie marudź. Co, nie wierzysz, że klienci dadzą się nabrać? Ludzie nie są aż tak spostrzegawczy. Maskę trzeba będzie wpierv dobrze wyczyścić, ale...

– Nie ma mowy! Po moim trupie! – Chowaniec cofnął się w kąt, jakby sam widok rzeczy Mazzaratha przyprawiał go o dyskomfort.

– Co jest, Zazel? Czemu się tak boisz? My, żmije, nie zarażamy się klątwami.

– Zarazić się to jedno, a paść ofiarą złego losu to drugie. Te łachy wciąż jeszcze cuchną zgnilizną, nie czujesz? Ściągną na ciebie nieszczęście, jestem tego pewien.

– Nie kracz. Zresztą nawet jeśli, to już moja sprawa.

– Nie, Brune, nie tylko twoja! Do pioruna, jestem twoim chowańcem! Co pocznę, jeśli zginiesz?

– Jak to co? Poszukasz sobie nowego pana.

– To nie jest śmieszne! – obruszył się chowaniec,

– W czym kłopot? Mnie znasz raptem od tygodnia.

– Ale jesteś... – Zazel zawahał się. – No, nie jesteś takim draniem, jak niektórzy. Nie lubię służyć draniom. Przypominasz mi momentami moją Lucretię.

– Ona była żmijką, prawda?

– Tak.

– Jak zginęła?

– A jak sądzisz? Srebrni ją dopadli. W Podziemiach. Ona nie była z tego miasta, uciekaliśmy i trafiliśmy tu trochę przez przypadek... Nieważne. Staruch radził jej, żeby zabrała się stąd pierwszym statkiem. Gdyby go posłuchała, wszystko byłoby dobrze. Ale ona uparła się, że nie, że ma tu krewnych, którzy mogą jej udzielić gościny, pożyczyć grosza... Byliśmy zmęczeni i splukani prawie do cna, więc się zgodziłem. I ci krewni, uważasz, wydali ją srebrnym. Bardzo chciano ją pojmać żywcem, ale nie pozwoliła na to. – Głos chowańca zadrzał. – Gdy walczyła, uciekłem i ukryłem się, ale później wróciłem i czuwałem przy jej zwłokach. Mazzarath nas znalazł... Spalił jej ciało, jak każe Święta Księga, a mnie pomógł się wykurować z ran. I musiałem z nim zostać. – Zazel sposepniał jeszcze bardziej.

– Musiałeś? Przecież mogłeś odejść.

– Nie mogłem. Zgodnie z prawem magów miałem wobec niego dług

wdzięczności.

– I Mazzarath zażądał, żebyś został?

– Najpierw chciał, żebym mu pomógł pozbyć się klątwy, ale nie potrafiłem. Więc zmusił mnie, żebym został, bo towarzysz i pomocnik zawsze się przydaje. – Zazel znowu popatrzył z obrzydzeniem na czarny płaszcz i ptasią maskę. – Brune, proszę! Schowaj te szmaty, a najlepiej spal. Wyobrazasz sobie, jak to jest: mieszkać przez parę miesięcy w takim towarzystwie?

* * *

Stanęło na kompromisowym rozwiązaniu.

– Mabus z Bardon – powtórzył Zazel. – Nie obraż się, imię jest ładniejsze od reszty.

– I o to chodziło. – Brune uśmiechnął się.

Szli podziemnym korytarzem, a raczej żmij szedł, zaś chowaniec biegł przed nim, zwinnie niby pajak. Aby zmienić swój wygląd, Krzyczący użył prostej iluzji, kierując się wskazówkami z jednego spośród pergaminów Lucretii. Uzyskał nie do końca taki efekt, o jaki mu chodziło, jednak po namyśle stwierdził, że tak jest nawet lepiej. Dodał sobie lat – nie tyle, ile pierwotnie zamierzał, ale w zamian jego twarz nabrała paskudnego, chytrego wyrazu, a gęste włosy zmieniły się w cienkie, pozlepiane kosmyki. Z niewiadomego powodu najtrudniej było ukryć blizny – iluzja z początku w ogóle nie chciała się trzymać, utrwaliła się dopiero po kilkakrotnym powtórzeniu zaklęcia.

– Którędy teraz? – zapytał, przystając na rozwidleniu. Powziął już postanowienie, że przy pierwszej okazji postara się zdobyć porządną mapę lochów.

– Na prawo i w górę. Ostrożnie, tu jest ślisko.

W wąskim przejściu walały się gnijące odpadki, mury pokrywał fosforyzujący mech. Zazel przystanął przed okutymi drzwiami, opatrzonymi kołatką w kształcie pokracczej gęby.

– Zakołataj pięć razy, nie za szybko – polecił.

Po dłuższej chwili drzwi uchyliły się na szerokość palca.

– O co chodzi? – spytał gderliwy głos. – Uprzedzam, już niczego nie sprzedaję na kredyt. Dobre czasy się skończyły.

– Wpuść nas, Rahid, chcemy pogadać – rzucił chowanic. Ku zaskoczeniu Krzyczącego, drzwi otwarły się na całą szerokość.

– No już, wchodźcie prędzej, bo zimno leci – zakomenderował gruby mężczyzna, trzymający latarnię wypełnioną świeciwem. Obwisłe policzki nadawały mu smętny, niezdrowy wygląd. Jego podbita futrem oponcza była nadjedzona przez mole, a na głowie miał szlafmycę.

– Witaj, Rahid – odezwał się Zazel. – Co słyhać? Bo mi los sprzyja. Mam nowego pana, jak widzisz. To jest Mabiuz z Bardon, alchemik.

– Powitać. Rahid, sklepikarz. – Grubas skinął Krzyczącemu głową i schylił się, żeby zarygłować drzwi. – Zapraszam na górę.

Wspięli się w ślad za nim krętymi schodkami i przez opatrzony klapą otwór w podłodze weszli do pomieszczenia, które wyglądało na magazyn. Stały tu skrzynie i worki, na półkach połyskiwały pękate, opatrzone etykietkami słoje. Niektóre z nich zawierały tak interesujące obiekty, jak pomarszczona trupia dłoń w zalewie. Powietrze było ciężkie od specyficznego zapachu, kojarzącego się po trosze z apteką, a po trosze z kostnicą.

Rahid postawił latarnię na stoliku, na którym piętrzyły się oprawione w skórę księgi rachunkowe i zmierzył ich spojrzeniem. Oczy miał podkrążone jak po nieprzespanej nocy.

– A więc Mazzaratha w końcu wykończyła ta cholerna klątwa – stwierdził, nie zapytał. – Ale i tak nie dostałby ode mnie następnego zlecenia. Bo o to wam chodzi, prawda? O robotę?

– Nie da się ukryć, że z czegoś trzeba żyć – odparł Zazel.

Rahid wpatrywał się uważnie w żmija, aż Krzyczący przestraszył się, czy przypadkiem czegoś nie pokręcił z tą iluzją. Kątem oka sprawdził swoje odbicie w ścianie najbliższego słoja. Nie pokręcił.

– W czym się specjalizujesz, mości alchemiku?

– A na co jest zapotrzebowanie?

– Hm, no właśnie, dobre pytanie. – Sklepikarz chrząknął. – Mazzarath, kiedy jeszcze dostatecznie często bywał przytomny, destylował dla mnie to i owo. Ale to, szczerze mówiąc, żadna filozofia. Sam mam na zapleczu alembik, tylko brak mi czasu, żeby się przy nim bawić. Poza tym popyt na likierki w starym stylu jest mniejszy niż kiedyś. Ludzie wolą lucyferię, bo tańsza.

– On umie sporządzać trochę bardziej skomplikowane rzeczy od likierków, Rahid – odezwał się Zazel. – Gdybyś był zainteresowany.

– Zainteresowany czym?

– Na przykład czymś takim. – Krzyczący wyjął z kieszeni drewniane pudełeczko. – Sowie maść.

Rahid powąchał żółtą maź, potem nabrał odrobinę na czubek palca i wtarł w powiekę. Ożywił się wyraźnie.

– No, no. Widzę, że znasz się na swoim fachu, mości Mabiucie. Sowie maść, co? To przepis Sigmunda z Tay. Rozumiem, że posiadasz jego księgę?

– Tak. – Traktat Sigmunda był jedną z nielicznych nadających się do użytku ksiąg, jakie Krzyczący znalazł wśród szpargałów Mazzaratha.

– Są tam też przepisy na dwie inne maści, lwią i trupią. Sowie wezmę już dziś, za pięćdziesiąt leri, stoi? A lwią i trupią przyrządzisz mi na jutro, tak po pół uncji każdej.

Żmij zdziwił się. Nie on jeden – kątem oka zauważył, że Zazel aż rozdziawił usta.

– Tak szybko nie da rady, nie wiem, czy zdążę dzisiaj kupić składniki.

– Więc na pojutrze. I dam osiemdziesiąt za każdą z nich, jeśli się wyrobisz.

– Bardzo chętnie. Ale pod jednym warunkiem. – Brune popatrzył twardo na Rahida. – Dostanę zadatek, inaczej nic z tego. Zioła, sole, tłuszcz, to wszystko kosztuje.

Targowali się przez chwilę, ale w końcu handlarz poszedł po pieniądze.

Kiedy wrócił i ze zmarszczonymi brwiami odliczał monety, w pewnej chwili stęknął, po czym skrzywił się, jakby coś go zabolalo. Zazel popatrzył na niego uważnie.

– Rahid, daruj pytanie, ale wszystko u ciebie w porządku? Dobrze się czujesz?

– Nie twoja sprawa – warknął handlarz. Miał minę, jakby pożałował, że w ogóle wdał się w interesy z Zazelem i jego nowym panem.

– Chodź, Zazel, nie będziemy dłużej przeszkadzać – rzucił pojednawczo Krzyczący. Zabrał pieniądze, zgarnął chowańca z podłogi jak kota i uklonił się na pożegnanie Rahidowi, który niechętnie skinął mu głową.

Kiedy wracali na swój poziom, Zazel nagle zatrzymał się, węsząc w powietrzu.

– Szefie... Szefie, uwaga – syknął. – Golemy przed nami.

Krzyczący znieruchomiał. On także to wyczuł – drgnienie aury, przejmujące specyficznym, nieprzyjemnym chłodem.

Z mroku dobiegło dudnienie kroków i chrzęst pancerzy. Żmij pospiesznie podniósł chowańca i wycofał się w najbliższy boczny korytarz. Przystanął we wnęce, spięty, gotów w każdej chwili do ucieczki lub rozpaczliwej obrony.

Korytarzem, którym szli wcześniej, maszerował teraz cały oddział Jednookich. Nie nieśli pochodni ani lamp. Wyglądało na to, że spieszą w wyznaczone miejsce.

Kiedy ich kroki ucichły w oddali, żmij odetchnął i postawił chowańca na ziemi. Zazel gwizdnął cicho.

– Skąd ich tu raptem tylu? Zwykle trzymają się po tamtej stronie rzeki...

– Kto to może wiedzieć? Pies z nimi. – Brune otarł rękawem czoło. – Chodź.

* * *

– Coś się dzieje na dole – oznajmił Riakin. – Wszędzie pełno ślepaków i zakutych. Robią rum na targowisku, jakby szukali nie wiadomo kogo. Aresztowali Lizza za te jego śmieci.

Helshor zasepił się. Wiedział, a w każdym razie podejrzewał, o co może chodzić srebrnym.

Nie był pewien, czy podjął właściwą decyzję, nie komunikując się z Demetheosem w kwestii tajemniczego cudzoziemskiego kupca z czarną brodą. Ponieważ istnienie ciemnej strony miasta było warunkiem utrzymania Ekwilibrium, Opiekun Shan Vaola miał swoje układy z żebrakami i przestępcami, a Helshora dobrze znał. Żebraczy król wiedział, że swoje stanowisko zawdzięcza wyłącznie protekcji sędziwego maga.

Ale nie znosił srebrnych z zasady i nie zamierzał im ułatwiać życia bardziej niż to konieczne.

* * *

Iglendis ar Vanth w ciągu trzech dni kilkakrotnie kontaktowała się przez kryształ z Demetheosem, meldując o wszystkim, o czym doniosły jej patrole. Wieści nie były dobre. Nie udało się wpaść ani na trop kuli, ani wysłannika Otchłani.

Trzeciego dnia Demetheos poinformował ją, że homunkulusy gończe natrafiły na zamurowane przejście nad kanałem, na drugim poziomie od góry. Ich uwagę zwrócił wydrapany na cegłach symbol oznaczający ogień. Z braku lepszych tropów Iglendis wysłała kilka golemów, aby rozkuły mur i sprawdziły, co znajduje się za nim, ale była prawie pewna, że to jedynie zbieg okoliczności. Podziemia kryły wiele zapomnianych sekretów, które dla nikogo nie miały już znaczenia.

* * *

– Sto sześćdziesiąt leri, Zazel. – Krzyczący zważył w dłoni sakiewkę. – Nieźle, co?

– Kto by pomyślał, że Rahid okaże się taki hojny. Ciekawe, po co mu te świństwa.

– Płaci między innymi za to, żebym nie pytał. – Żmij wzruszył ramionami. – Prawdę mówiąc, nietrudno się domyślić. Sowia maść pozwala widzieć w ciemnościach, lwia dodaje sił przed walką, trupia, jak sama nazwa wskazuje, służy do zatruwania broni. Zsumuj to sobie i wyciągnij wnioski.

Zazel zmarszczył brwi.

– Żmiju, ta sprawa zaczyna mnie intrygować. Rahid był jakiś dziwny, kiedy z nim rozmawialiśmy. Przysięgłbym, że zamówił te specyfiki do własnego użytku.

– Myślisz? – Krzyczący uśmiechnął się z powątpiewaniem, ale chowaniec miał zasępioną minę.

– Był jakiś dziwny – powtórzył. – Ja go znam, Brune. Bał się czegoś.

– Nawet jeśli, co z tego? Prowadzi sklep w Podziemiach, to nie jest najbezpieczniejsza profesja. Może ktoś mu ostatnio groził albo domagał się haraczu. Ale nas półświatkowe rozgrywki nie obchodzą.

Żmij schował złoto do skrzyni, a następnie przesunął dłońmi po twarzy, przywracając jej zwykły wygląd. Potem naciągnął kaptur na

głowę.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Zazel.

– Na powierzchnię. Możesz iść ze mną, jeśli masz ochotę. Zakamufluję cię iluzją.

– Nie. Po co ryzykować? – Chowaniec ziewnął i ułożył się na kocu. – Uważaj na siebie.

W Podziemiach nadal roilo się od patroli. Brune nie wiedział i nie dociekał, czemu na przestrzeni ostatnich paru dni rozesłano ich aż tyle. Korzystając z wewnętrznego wzroku maga, kluczył tak, żeby ani razu nie natknąć się na golemy, i dotarł na powierzchnię bez żadnych przygód.

Na starym cmentarzu za miastem jak zwykle panowały pustki, tylko wiatr szeleścił w zaroślach. Żmij usiadł na trawie, opierając się plecami o nagrobek. Cudownie było znów oddychać świeżym powietrzem i spoglądać w usiane gwiazdami niebo.

Rozmyślał o wspomnieniach, które utracił. O przeszłości, która zaginęła w tumanie mgły.

Gdzie się urodziłem, gdzie studiowałem? Kiedy obudził się we mnie dar?

Popatrzył na swoje dłonie – szczupłe dłonie kogoś, kto nigdy nie zajmował się ciężką, fizyczną pracą.

Kim był mój ojciec? Jak wyglądała moja matka?

Dotknął blizn na policzku.

Co odebrało mi pamięć?

Kim jestem?

Księżyc zniknął za chmurami, cmentarz pogrążył się w mroku. Noc i wiatr przyniosły odpowiedź. Żrenice żmija błysnęły żółto.

Jestem czarnym magiem. Nikim więcej. I nikim mniej.

* * *

– Co masz na swoje usprawiedliwienie, Kouremosie? – Oczy władczyni płonęły gniewem. – Nie potrafisz złamać byle sklepikarza?

– Miał ochronny amulet Sirakha, sporządzony przez jakiegoś *ka-ira*. – Kouremos zasyczał wściekle na samo wspomnienie. Jego oblicze pokrywały bąble, jak po opryskaniu wrzącą oliwą. On także nie przypuszczał, że próba przejęcia kontroli nad umysłem grubego

handlarza z Podziemi skończy się tak fatalnie.

Zebraczy król nie kłamał – kula znajdowała się w posiadaniu tłuściocha. Wystarczyło uważniej przyjrzeć się aurze sklepu. Dziwne, że srebrni magowie nie uznali za stosowne zainteresować się, co Rahid ma w swoich zbiorach i czym handluje. Ale oni w ogóle prowadzili dziwną politykę.

Kouremos początkowo wcale nie zamierzał robić Rahidowi krzywdy. Podając się za zamorskiego kupca, chciał go tylko wypytać o artefakt i zaoferować dobrą cenę. Jednak tamten stał się podejrzliwy i odmówił pokazania kuli. Demon stracił w końcu cierpliwość i spróbował przymusić Rahida, a wtedy grubas uaktywnił amulet. Kouremos musiał uciec jak niepyszny, zaś następnych kilka dni spędził przykuty do łóżka, przeklinając słabe, wrażliwe na ból ludzkie ciało. Tak czy inaczej, mógł mówić o szczęściu, bo mało brakowało, a zostałby odarty z materialnej powłoki i przegnany do Otchłani.

– Amulet Sirakha – powtórzyła z obrzydzeniem Sul-Berith. – Te wasze wymówki!

– Klnę się na siedem duchów zemsty, miał amulet. Ale już go nie ma. – Kouremos uśmiechnął się brzydko. – Zużył całą jego moc na to, żeby mnie odpędzić. Widziałem, jak zabawka rozpadła mu się w rękach. Wrócę tam, pani, i tym razem nie zawiodę.

– Oby tak było – wysyczała królowa.

* * *

Rahid skradał się jak kot w ciemnościach. Powieki piekły go od żółtego mazidła, ale teraz przynajmniej nie potrzebował latarni.

W torbie na ramieniu dźwigał zapas jedzenia i pieniędzy. U pasa miał zardzewiały rapier, a w ramionach nasmarowanych lwią maścią czuł gorące mrowienie. Wiedział, że nawet czarodziejska substancja nie jest w stanie przywrócić jego otyłemu ciału młodzieńczych sił, lecz lepszy rydz niż nic.

Przeklinał dzień, kiedy odkupił tajemniczą kryształową kulę od złodziei, którzy ukradli ją z rezydencji pewnego ekscentrycznego arystokraty, zafascynowanego tajemnymi sztukami. Rahid nie wiedział, co dokładnie znajduje się wewnątrz – przypuszczał, że coś niebezpiecznego. Liczył, że w swoim czasie uda mu się odsprzedać

cacko za grube pieniądze.

Kto mógł przypuszczać, że czarnobrody, z pozoru tak obiecujący klient, rychło odsłoni inne oblicze.

Rahid wiedział, że demon wróci. Przez lata sklepikarz ufał swojemu amuletowi, zakupionemu za ciężkie pieniądze od kogoś, kto wiedział wiele na temat Otchłani i jej sług. Lecz gdy przyszło co do czego, czarodziejska tandeta zadziałała raz i rozsypała się w proch. Sklepikarz nie był głupcem; miał świadomość, że wróg został poważnie ranny, ale wkrótce wróci do sił, a kiedy pojawi się ponownie, będzie dyszał pragnieniem zemsty.

Cóż, Rahid też potrafił być mściwy. Znał Podziemia na wylot; lepiej niż ludzie Helshora, może nawet lepiej niż srebrni magowie. Pierwsze, co zrobił, to pozbył się kuli. Albo ściślej – umieścił ją w miejscu uniemożliwiającym łatwe odzyskanie.

Po moim trupie ją dostaniesz, przeklęty pomiole Otchłani.

Następnych parę dni poświęcił na to, żeby poczynić przygotowania umożliwiające mu zniknięcie z horyzontu. Nie po raz pierwszy i, jak sądził, nie ostatni.

Teraz schodził wąskimi, zaśmieconymi gruzem schodami, uważając, żeby się nie potknąć. Gdy był już na dole, ruszył w stronę, skąd ciągnął powiew zimnego, świeższego powietrza.

Nagle serce podjechało mu do gardła, bo w ciemności zaśniła latarnia. Z bocznego korytarza wyłoniły się dwie sylwetki. Jedną z nich znał aż za dobrze.

– Dokąd to, człowieczku? – Głos czarnobrodego ociekał jadowitą słodyczą.

Rahid wydobył rapier.

– Z drogi! – wykrzyknął drżącym głosem.

Tamten tylko się zaśmiał, po czym otworzył usta i dmuchnął. Jego oddech wypełnił korytarz kłębamii gęstej mgły. Gdy tylko opar go dosięgnął, Rahid upadł, miotając się w konwulsjach.

Kouremos ukląkł i ujął głowę sklepikarza w obie ręce.

– Gdzie kula? – spytał, niemal łagodnie.

Rahid wybałuszył oczy, dygocząc, po czym zwisał bezwładnie.

– No, człowieczku. Nie utrudniaj.

Z nosa i ust sklepikarza popłynęła krew. Raz jeszcze zadygotał spazmatycznie i znieruchomiał. Kouremos wstał i skinął na młodszego

demona.

– Idziemy na trzeci poziom. Trzeba się spieszyć, srebrni mogą nam lada chwila wejść w paradę.

* * *

Kanał na trzecim poziomie, do którego farbiarze spuszczały ścieki, przejawiał niejaki podobieństwo do legendarnej rzeki Kah-Ilsoor w Otchłani, tak trującej i ohydnej, że masowo leżały tam bazyliuszki.

Tu bazyliuszków nie było, ale barwa i woń wody – jeśli ten płyn zasługiwał na miano wody – niewątpliwie wzbudziłyby ich entuzjazm. Kouremos zmarszczył brwi.

Wyciągnął ręce i krzyknął rozkazująco w języku Otchłani. Śmierząca ciecz w kanale wzburzyła się, zakipiała. Nagle wyprysnął z niej niewielki przedmiot. Już po chwili Kouremos trzymał szklaną kulę, w głębi której migotały złote błyski, jak ryby przemykające w ciemnej toni. Krótkim rozkazem sprawił, że resztki cuchnącego płynu zniknęły, pozostawiając ją błyszczącą i nieskazitelną.

– Nareszcie! – oznajmił, promieniejąc. – Udało się!

– Cudo – stwierdził z zachwytem Nebbu. – Ciekawe, jak dostała się w łapy tego sklepikarzyny.

– Śmiertelnicy celują w matactwach, to żadna nowość. Mnie zastanawia raczej, kto sporządził to cacko.

– Jakiś mag, bo któż by inny. Musiał mieć nieźle na pieńku z królestwem ognia.

– Zgadza się, ciekawe tylko który. Cóż, i tak się nie dowiemy. To stało się dobre dwieście lat temu, sądząc z aury. – Kouremos z namysłem zważył kulę w dłoniach. – Stado ifrytów, braciszku. Siedzą w środku, czujesz je? Wściekle jak osy. Nic dziwnego po tak długim czasie.

– Gdzie je wypuścimy?

– Myślę, że to ich podziemne targowisko będzie idealnym miejscem.

– Loss Fomar? Nie lepiej gdzieś na powierzchni?

– O nie, nie chcemy spalić całego miasta. To przyniosłoby tylko kłopoty. Co za dużo, to niezdrowo. Pamiętaj, że ci, którzy zginą w pożarze, już się nie liczą. Liczą się tylko ci, których ifryty wykończą własnoręcznie. Zauważ też, że tu, w lochach, są niskie sklepienia i

wąskie korytarze. – Kouremos uśmiechnął się brzydtko. – Trudniej uciekać. Loss Fomar w sprzyjających okolicznościach stanie się piękną pułapką na duszyczki. Ale najpierw musimy się zorientować, jak złamać czary, które chronią kulę przed pęknięciem.

Choć żaden z nich nie mógł o tym wiedzieć, dokładnie w tej samej chwili w Szmaragdowej Dzielnicy, gdzie znajdowały się wille najbogatszych mieszkańców miasta, agentka Charooza ruchem dłoni odesłała przywołaną salamandrę. Kiedy złoty blask wewnątrz nakreślonego na posadzce pentagramu zgasł, wyjęła zza dekoltu talię kart. Przetasowała je i w zamyśleniu przyjrzała się rycinom.

* * *

Marmurowy blat stołu pokrywały symbole nakreślone kredą i różnokolorowym piaskiem. Demetheos ar Kel w skupieniu wpatrywał się w szklaną misę pełną wody. Ujrzał w niej to samo, co wcześniej w gwiazdach. To samo, przed czym ostrzegały salamandry.

Ogień, cierpienie i śmierć. Lecz patrol w Podziemiach mimo poszukiwań nadal nie natrafiły na nic, co budziłoby podejrzenia. Ujęto paru drobnych przestępców, w tym jednego handlarza fałszywymi talizmanami. Wysłannik Otchłani, kimkolwiek był, pozostawał nieuchwytny. Agenci Demetheosa, działający w podłych dzielnicach i wśród mieszkańców Podziemi, nie umieli udzielić żadnych wskazówek co do tożsamości poszukiwanego.

Za oknem wieży, nad zachodnim horyzontem, jak co wieczór płonąła gwiazda Hiroth, ale niebo było spokojne. Ani śladu zaczarowanej łuny. Z pozoru nic nie mąciło równowagi prądów Zmroczy, lecz stary mistrz wiedział, co oznacza ten spokój.

Ciszę przed burzą.

8. Szczurołap

Wracając z powierzchni, Krzyczący nagle zorientował się, że skręcił w nie ten korytarz, co trzeba. Podziemia potrafiły być zdradzieckie, jeśli się dokładnie nie pilnowało trasy.

Zawrócił, ale na pierwszym rozwidleniu stanął zdezorientowany. Z czterech korytarzy wybrał po namyśle ten, który – jak mu się wydawało – prowadził we właściwym kierunku. Okazało się jednak, że nie był to dobry wybór. Korytarz co prawda opadał w dół, lecz wkrótce wypełnił się smrodem ścieków. Minąwszy zakręt, Krzyczący ujrzał przed sobą kanał o wartkim nurcie – jeden z tych, którymi płynęła doprowadzona z rzeki woda, unosząc nieczystości, spływające do morza. Jego brzegiem biegł wąski chodnik, a po drugiej stronie poruszało się kilka białych, niezgrabnych sylwetek. Golemy.

Żmij zamarł, ale po chwili dotarło do niego, że Jednoocy są zajęci pracą. Fragment korytarza był rozkuty i rozkopany; golemi wybierały ziemię łopatami, ładowały ją do koszy i wynosiły.

Brune zawahał się, w końcu jednak zszedł nad kanał. Zdążył już wykalkulować, że mimo wszystko bardziej opłaca mu się iść dalej, niż zawracać i błądzić. Również ta decyzja okazała się błędem.

– Hej, Nils – usłyszał gdzieś blisko znajomy głos, niewyraźny od wódki. – Patrz no, kogo tu lichy przyniosło.

Spod muru wstało chwiejnie trzech mężczyzn. Jednego z nich Krzyczący rozpoznał od razu – był to Riakin, jednooki przyboczny żebraczego króla. Jego dwaj towarzysze – jeden niski, zezowaty, drugi barczysty i wytatuowany od stóp do głów – też wydali się żmijowi znajomi.

Wszyscy trzej byli pijani, ale nie w sztok – raczej akurat w takim stopniu, żeby mieć ochotę na wszczęcie awantury. Krzyczącemu nie spodobały się ich miny.

Rozpoznali go, oczywiście, bo idąc na targowisko nie zadał sobie

trudu, by zakamuflować się jako Mabijs z Bardona, zasłonił iluzją tylko bliźni. Poniewczasie pomyślał, że to był błąd.

– No proszę – wycedził, stając tak, żeby dać do zrozumienia, że się ich nie boi. – Właśnie się zastanawiałem, co tu tak śmierdzi.

Bijąca od podpitych zbirów nienawiść była niemal namacalna.

– Nie lubimy cię, magu – warknął Riakin.

– I wzajemnie.

– Nie powinienes się włóczyć samotnie – ciągnął jednooki z nieprzyjemnym uśmiechem. – Umiesz zabijać czarami, co? Ale teraz sobie nie poczarujesz. Nie na ich oczach. – Wskazał głową golemę.

Krzyczący zacisnął zęby, bo do niego też już dotarło, że jest w pułapce. W tej odległości od Jednookich nie mógł użyć nawet najprostszego zaklęcia – ani zesłać na przeciwników chwilowego pomieszania zmysłów, ani choćby przemienić noża w rapier.

– Teraz się zabawimy – stwierdził Riakin. – Założyłem się z Nilsem, że possiesz mi kutasa. Co ty na to?

Brune ze stoickim spokojem obrzucił go wzrokiem.

– Lepiej zaangażuj do tego mysz.

Ten niski zarechotał, ale Riakin zmienił się na twarzy.

– Ja ci, kurwa... błażnie...

Wszystko potoczyło się tak szybko, że Krzyczący nie zdążył wyjąć sztyletu. Zgubiło go to, że nie spodziewał się błyskawicznego przejścia do rękoczynów. Ale gorzałka dodała zbirom odwagi, zaś obecność golemów przeważała szalę.

Na jego szczęście to były męty, nie wyćwiczeni wojownicy, a on bez magii też potrafił się bronić. Niemniej to, co miało być nieskomplikowanym, niewymagającym filozofii spuszczeniem cięgów, przerodziło się w szamotaninę. Próbowali go zepchnąć do kanału, ale wywinął się. Kopnął któregoś w goleń, sam dostał pięścią w twarz i zobaczył gwiazdy. Poczul, że krwawi; pomyślał przelotnie, że chyba złamali mu nos. Ten niski złapał go z tyłu za ramię. Brune dźgnął na oślep łokciem, z satysfakcją rejestrując jęk bólu; wyrwał się i wreszcie zdołał sięgnąć po sztylet.

Niski typek zawył, a po chwili cofnął się, przyciskając do piersi krwawiącą rękę. Riakin oraz Nils popatrzyli na siebie i też dobyli noży.

Żarty się skończyły. Krzyczący błyskawicznie przekalkulował

szanse. *Dwa noże przeciwko jednemu – bez magii ja zabijam jednego drania, a drugi zabija mnie.*

W tym samym momencie za plecami zmija zabrzmiał ochrypły bas, z takim spokojem, jakby przemawiał do bijących się uczniów.

– Trzech na jednego? Nieładnie, chłopcy. A Helshor wie?

– Nie wtykaj nosa, gdzie nie trzeba, Veljanov – warknął Riakin, ale wyraźnie stracił ochotę do rozwiązywania sprawy za pomocą ostrza.

Krzyczący cofnął się, aby popatrzeć na nowo przybyłego, nie spuszczać jednocześnie oka z przeciwników. Otarł ręką zakrwawioną twarz, zły, że plamił dobrą kurtkę i zły tak ogólnie, że wpakował się jak dureń.

Człowiek, który wyszedł z bocznego korytarza, był wysoki, barczysty i dzierżył okuty kij. W drugiej ręce niósł latarnię i dwie puste, pobrzękujące pułapki na szczury. Chociaż niemłody, wydawał się budzić w zbirach szacunek graniczący z lękiem.

– Won stąd – stwierdził krótko. – Ale już. Inaczej Helshor dowie się, kto nakazał spalić tamten magazyn z sukmem na drugim poziomie, choć mieliście rozkaz, żeby go nie ruszać.

Riakin z zaciśniętymi zębami skinął na towarzyszy.

– Kiedyś się policzymy, dziadu – rzucił przez ramię Nils, ale Veljanov tylko pokazał mu kij, aż nadto wymownym gestem.

– Wszystko w porządku, synu? – spytał szorstko, kiedy tamci zniknęli w głębi korytarza.

– Powiedzmy. – Krzyczący wyjął chustkę i trzymał ją przy twarzy, odchylając głowę do tyłu. Czuł, że rozbity nos spuchł; oddychanie stało się trudniejsze.

Popatrzył w stronę golemów, ale te nadal z mrówczą cierpliwością rozkopywały ziemię i ładowały ją do koszy. W ciągu całego zajścia nawet na chwilę nie przerwały pracy.

Szczurołap przyjrzał mu się sceptycznie, kręcąc w palcach siwego wąsa.

– Po coś tu przyłaził? – odezwał się. – Podziemia to nie miejsce dla takich jak ty. Szukacie wrażeń, taka wasza... a potem, jak co się wydarzy, to zara jest szum.

– Ja mieszkam w Podziemiach. – Żmij wzruszył ramionami.

Veljanov wbił w niego badawcze spojrzenie. Krzyczący bez specjalnego wysiłku mógł się wsłuchać w jego myśli.

Wykształcony, psia jego krew. Albo handluje czymś zakazanym, albo fałszuje pieniądze, albo spiskuje przeciwko władzy... albo jest żmijem. Albo wszystko naraz.

– Chodź – odezwał się wreszcie szczurołap. – Tu niedaleko jest tawerna. Napijem się i pogadamy.

* * *

– Tędy. Uwaga na głowę. – Szczurołap musiał się schylić, żeby zmieścić się pod sklepieniem wąskiego korytarza. Brune z pewnym zdziwieniem odnotował, że choć zeszli głęboko, w tej partii lochów co kilkadziesiąt kroków stoją wypełnione świeciwem lampy.

– Który to poziom?

– Najniższy z użytkowanych. Niżej znajdziesz już jeno gruzy. Tfu, popatrz na to.

Żmij zakrył nos chustką, bo ogarnął ich smród padliny. W rogu korytarza leżał martwy homunkulus. Wyszczерzone w przedśmiertnym grymasie kły nadawały mu upiorny wygląd.

– Pewno coś zeżarł. Dobrze mu tak, gadowi. – Veljanov splunął z nienawiścią. – Widziałem takich, co po pijaku zasnęli pod murem i to tałatajstwo ich zagryzło. Są jeszcze cwańsze od szczurów. Tędy.

Skręcili w szerszy korytarz. Żmij wyczuł nieuchwytną zmianę aury; w pobliżu znajdowali się ludzie.

– Tutaj. – Szczurołap pchnął drzwi, umiejscowione w nieoświetlonej wnęce tak, że łatwo było je przeoczyć.

W obszernej, mrocznej sali unosił się zapach potraw i piwa. W szerokim kominku płonął ogień, przy którym grzał się odmieniec w łachmanach, o obliczu pokrytym sinymi guzami. Kilka innych postaci siedziało przy stołach, rozmawiając przyciszonymi głosami.

– Salon Scaraveshii – oznajmił Veljanov.

Krzyczący w Ciemności rozejrzał się ciekawie. Tawerna, pomijając już trącąca specyficznym humorem nazwę, nie była tak do końca zwyczajna. Świadczyły o tym magiczne znaki wypisane kredą i węglem na murach. W kącie znajdowało się coś w rodzaju ołtarzyka; przed oblażącym z pozłoty posążkiem bóstwa paliła się świeczka. Nie potrafił rozpoznać, którego z bogów przedstawia zniszczona rzeźba. Leżało przed nią trochę przedmiotów, przypuszczalnie wota –

zardzewiały hełm ze znakiem pentagramu, zwiędła róża, popękane gliniane tabliczki oraz martwa, zeschnięta symbiotyczna maska.

Szynkarka, która właśnie nalewała piwa dwóm zbirom, była pokraczną istotą o krzywych plecach i długich, małpich rękach.

– To Scaraveshia – mruknął szczurołap. – Odmieńcy mówią na nią Płosząca Ptaki. Ma układy ze srebrnymi, golemi nigdy tu nie przychodzą. Miasto musi mieć swoją ciemną stronę, uważasz, tak prawią możni magowie. – W jego głosie zadźwięczał sarkazm. – Chodź, synu. Postawię ci łyceczek czegoś na rozgrzewkę.

Przyjrząwszy się dokładniej szynkarce, Brune zobaczył, że to, co w pierwszej chwili wziął za garb, było zwiniętymi nietoperzymi skrzydłami. Odziana nieco mniej podle niż większość mieszkańców Podziemi, Scaraveshia mimo budzącej dreszcz postaci miała normalną twarz; twarz starej kobiety. Fakt, że nosiła dwa imiona, wskazywał, iż nie była typowym odmieńcem, lecz hybrydą stworzoną przez magów.

Na widok Veljanova zagadała pospiesznie, zniżając głos. Szczurołap odpowiedział jej równie cicho. Żmij cofnął się o krok, nie chcąc sprawiać wrażenia, że podsłuchuje.

Na szynkwasię stał pękaty, wypełniony zieloną cieczą słoje, wewnątrz którego unosiło się obdarzone mackami stworzenie o wielkiej głowie. Krzyżący schylił się, zaintrygowany. Stwór poruszył się, podpłynął do ścianki i otworzył wyłupiaste ślepie.

Żmij poczuł uderzenie chłodu, a przed jego oczami zaczęły wirować kolorowe plamy. Ujrzał walczące ze sobą sylwetki, usłyszał szcęk broni, potem nagle przeszył go ból...

– Cagliostro, dość tego! – warknął Veljanov. Dziwne doznania zniknęły. Brune przetarł oczy.

– Co u...?

– To telepata – wyjaśnił szczurołap. – Wychwytuje wspomnienia z głów tych, którzy tu przychodzą, ubarwia po swojemu, a potem opowiada od nowa. Że zaś przychodzą różni, to i historie bywają rozmaite. Chodź. – Zabrał podsunięte przez Scaraveshię kieliszki i zaprowadził żmija do stolika w kącie.

Krzyżący raz jeszcze rozejrzał się po sali. Wiedział, że pozostali goście, choć udają obojętność, obserwują go z zaciekawieniem. Ponownie pożałował, że nie zjawił się tu pod postacią Mabiusa z Bardona.

Zwrócił uwagę, że co najmniej jedna osoba, mężczyzna w płaszczu z kapturem i złotej symbiotycznej masce, wyróżnia się czarną aurą. Towarzysząca mu dziewczyna nie wyglądała na dziwkę.

Żmij z żyłą, idę o zakład. No, no, ładna mi tawerna. I srebrni to tolerują. Co za miasto.

Veljanov łyknął anyżówki. Krzyczący dyplomatycznie obracał w rękę kieliszek; nie lubił tego taniego trunku. Zresztą na co jak na co, ale na alkohol nie miał teraz zupełnie ochoty. Oddychał przez usta, bo opuchnięty i obolały nos zapchały mu skrzepy krwi. Zastanawiał się, czy do kompletu zarobił też podbite oko albo jeszcze lepiej oba.

– Czym się zajmujesz, młodzieńcze? – zagaił szczurołap.

– Jestem alchemikiem, mam warsztat tu na dole.

– W Podziemiach?

– Każdy orze, jak może. Nieco się skłóciłem z cechem.

– Ach, tak. – Veljanov przypatrywał mu się podejrzliwie. Było widać, że nie uwierzył w ani jedno słowo.

Scaraveshia stała bez ruchu za kontuarem, ewidentnie przysłuchując się ich rozmowie. Szczurołap popatrzył na nią znacząco. Odwróciła się natychmiast i zaczęła gorliwie wycierać kufle.

Veljanov łyknął anyżówki i przechylił się przez stół.

– Posłuchaj dobrej rady, mości alchemiku – zniżył głos. – My tu, w Podziemiach, jesteśmy prości ludzie. Każdy, kto nam wyświadcza przysługi, może liczyć na wdzięczność. A nasza wdzięczność może się niekiedy okazać przydatna. Na przykład wtedy, kiedy masz na karku srebrnych.

Krzyczący wzruszył ramionami.

– Czemu miałbym się obawiać srebrnych? Nie łamię prawa. Alchemia, z tego co mi wiadomo, nie zalicza się do zakazanych nauk. Póki co.

– Ano tak. – Stary przyjrzał się pod światło zawartości kieliszka. – Popatrz tylko, co za mętne szczyiny, aż litość bierze. Ty byś pewnie umiał upędzić lepsze, co? Ale nie, tacy jak ty próbują teraz uzyskać złoto z ołowiu i eliksir wiecznej młodości. Prędzej czy później pewnie się wam uda. Tylko że ja już tego nie dożyję. – Zakaszłał. – Wilgoć w tych cholernych Podziemiach zniszczyła płuca silniejszym ode mnie. Chorujemy tu, uważasz, na przeróżne zarazy, na niższych poziomach grasują homunkulusy i umarli, a srebrni nie zniżają się do tego, żeby

nam pomagać. Czasem przydałby się jeden czy drugi czar ochronny, działający amulet, wzmocniona zaklęciem trutka... Jeśli pójdziesz na ten układ, zyskasz kilku przyjaciół, a przyjaciele to przydatna rzecz w dzisiejszym świecie. Zgodzisz się ze mną, mości magu?

– Jestem alchemikiem.

– Prawda, jak mogłem zapomnieć. – Veljanov zniżył jeszcze bardziej głos. – Wszyscy słyszeliśmy, jak było z ludźmi Helshora. Ośmiu z dziesięciu, co?

Krzyczącemu tylko nadludzkim wysiłkiem woli udało się zachować nieprzenikniony wyraz twarzy. Zwalczył odruch, żeby dotknąć policzka. Wiedział, że iluzja nałożona przed pójściem na targowisko nadal trzyma się idealnie.

Blefuje. Skurczysyn blefuje. Nie ma innej możliwości.

Szczurołap zaśmiał się cicho.

– Masz szlachecki szlif, synu, to się rzuca w oczy. Wystarczy posłuchać, jak mówisz. Nie ma tu zbyt wielu takich. Mieszkasz w Podziemiach, ludzie Riakina cię nie lubią. Za stary jestem, żeby wierzyć w zbiegi okoliczności.

Brune milczał.

– Radzisz sobie, co? – Szczurołap obrzucił wzrokiem jego ubranie. – To ci się chwali. Ale lepiej uważaj. Tym miastem rządzą srebrni. Siedzą nawet w Podziemiach, zbudowali tu koszary i laboratorium, gdzie hodują golemy.

– Wiem. Ale to po drugiej stronie rzeki, kawał drogi stąd.

Veljanov cmoknął.

– Ostrożnie, młodzieńcze. Moźni magowie mają długie łapy.

Do mężczyzny w masce i jego towarzyszki podeszła druga młoda kobieta. Rozmawiali przyciszonymi głosami, na stole pojawiła się sakiewka. Krzyczący zanotował sobie w pamięci, żeby sprawdzić, kim też jest żmij, który publicznie umawia się z dwiema żułami.

– Jeśli będziemy mogli na ciebie liczyć, nikt cię nie wyda, jakem Veljanov – podjął stary.

Podjąwszy decyzję, Krzyczący popatrzył mu prosto w twarz. Tak jak przypuszczał, szczurołap nawet nie drgnął na widok żółtych źrenic.

– Dobrze, przejdźmy do konkretów. Czego potrzebujecie?

– Na początek przydałoby się coś przeciwko homunkulusom. Te

cholery mnożą się jak szalone, strach zostawić dzieciaka na chwilę bez opieki, a moje trutki im nie szkodzą.

– Da się zrobić. Coś jeszcze?

Veljanov spochmurniał, jakby uderzyła go niemiła myśl.

– Pamiętaj o jednym. Helshor na pewno też oczekuje twojej pomocy w różnych sprawach, tym bardziej że przez ciebie stracił Sabadiusa. Nie licz, że zapomniał. Nie naraż mu się drugi raz, inaczej twoje życie nie będzie warte funta kłaków.

Brune przyjął tę radę wzruszeniem ramion. Skosztował anyżówki, tylko po to, by się przekonać, że jest jeszcze paskudniejsza, niż sądził.

Do tawerny wsunął się wynędzniały mężczyzna o rozkudłanych włosach i brodzie, odziany we włosiennicę.

– Módlcie się i pokutujcie! – zawołał ochryple. – Już wkrótce nastanie czas zagłady i sądu! Otchłań czyha na nas, albowiem nikt nie jest bez grzechu!

– Chodź tu, Fjell – powiedziała zrezygnowanym tonem Scaraveshia.

– Napij się i nie wrzeszcz. Przeszkadzasz ludziom.

Fjell podszedł do szynkwasu. Utykał; nogę miał obwiązaną brudnymi bandażami. Z kuflem w ręku odwrócił się raz jeszcze.

– Módlcie się i pokutujcie! Koniec jest bliski! Demony rozdrapią nasz świat jak kruki padlinę!

– Kolejny fanatyk. Wszędzie ich tera pełno. – Veljanov z pełną obrzydzenia miną dopił anyżówkę. – No, czas na mnie. Bywaj, synu.

* * *

– Co ci się stało? – zdziwił się Zazel, kiedy zobaczył żmija.

– Trzech idiotów. – Krzyczący wzruszył ramionami. – I do kompletu czwarty, to znaczy ja.

Nalał do miski zimnej wody z wiadra, włożył do niej chustkę i kurtkę, żeby odmoczyć krew, po czym ukląkł i zaczął układać drewno w palenisku.

– Czemu mi nie powiedziałeś, że tu w pobliżu jest tawerna przeklętych? – spytał od niechcienia. Chowaniec wyglądał na zakłopotanego.

– Nie chciałem, żebyś tam spotkał... Nieważne.

– No? O co chodzi?

– O żyły – odpowiedział po chwili wahania Zazel. – Pomyślałem, że lepiej, abyś na razie nie miał z nimi styczności. Skoro dopiero oswojasz się z darem.

Krzyczący w Ciemności tylko potrząsnął głową.

– Zazel, jak ty czasem coś wymyślisz, to nie wiadomo, czy się śmiać, czy ręce załamać.

– Hej, to nie są żarty! Co, nigdy nie słyszałeś o *ka-ira*, którzy pozwalają, by czern przejęła nad nimi władzę? Uzależniają się od siły życiowej do tego stopnia, że łakną krwi i zaczynają mordować?

– Twoja przewidująca troskliwość wzrusza mnie do głębi – wycedził Krzyczący. – No cóż, mogę cię zapewnić, że widoku krwi wystarczy mi na dzisiaj. Teraz łaknę kolacji, herbaty i spokoju. Z naciskiem na to ostatnie.

– Zapomniałeś o zimnym okładzie na nos – podpowiedział życzliwie chowaniec.

Żmij udał, że rzuca w niego butem.

Nastawił wodę na herbatę, ukroił sobie chleba i wędzonej ryby. Następnie ściągnął z półki jeden ze zwojów Lucretii i zagłębił się w lekturze. Zazel wlaź na stół i zajrzał mu przez ramię.

– Co czytasz?

Krzyczący zasłonił pergamin rękawem.

– Przepis na gulasz z gadatliwych chowańców.

– Dobrze! Już o nic nie pytam. – Stwór nadał się.

* * *

– No proszę, nie przypuszczałem, że się uwiniesz tak szybko. Miło z twojej strony. – Szczurołap przyjrzał się pod światło butelce z ciemnego szkła, wypełnionej czarnym płynem. – Jak się tego używa?

– Wystarczy skropić miksturą surowe mięso, może być martwy szczur. I ostrożnie, trucizna jest naprawdę silna.

– Silniejsza niż wroni orzech?

– Silniejsza. Zabije każdego, kto połknie nawet odrobinę. – Krzyczący zawahał się. – Na waszym miejscu używałbym rękawic.

– Pracuję z truciznami od trzydziestu lat, młodzieńcze. – Veljanov schował butelkę do kieszeni kapoty.

Pożegnali się i rozeszli każdy w swoją stronę. Żmij wybrał korytarz

prowadzący w górę. Chciał zajrzeć jeszcze na Loss Fomar.

Z zamyślenia wyrwał go przeraźliwy krzyk, odbijający się echem od murów. Brune zamarł, zaraz jednak skoczył naprzód.

Skręciwszy za róg, ujrzał przed sobą kanał, ten sam, nad którym rozegrała się jego przygoda przyplacona złamaniem nosa. Tylko tym razem na drugim, rozkopanym brzegu nie było widać ani jednego golema. Nad wodą kociogłowa odmianka szarpała się rozpaczliwie z dwoma zbirami, którzy usiłowali zepchnąć ją w dół.

Krzyczący poczuł, że czerń wzbiera w nim jak fala. Nawet jeżeli w zasięgu wzroku nie było Jednookich, nie oznaczało to jeszcze, że nie ma ich w pobliżu, ale nie widział alternatywy.

Jeden ze zbirów nagle wrzasnął, puścił odmiankę i cofnął się, patrząc z przerażeniem na swoje ręce, na których wykwitwały bąble, jak od oparzenia. Drugi po sekundzie też zaryczał z bólu i odstąpił. Pyszczek z kocią zwinnością skoczyła na równe nogi i rzuciła się do ucieczki.

Zanim zdążyli choćby pomyśleć o ściganiu jej, Krzyczący sięgnął ku ich umysłom. Tak jak się spodziewał, byli podpici, akurat na tyle, żeby mu ułatwić sprawę – w przeciwnym wypadku nie zdołałby przejąć nad nimi kontroli z takiej odległości.

Z czystej mściwości sprawił, że obaj sztywnym krokiem weszli do śmierdzącej wody, zanurzając się w niej aż po szyję. Zostawił ich tam, bełkoczących w ogłupieniu. Wycofał się cicho jak duch i pobiegł szukać Pyszcza.

Musiał zdać się na zmysły maga. Przez chwilę wątpił, czy zdoła ją w ten sposób odnaleźć, ale potem wyczuł jej obecność poprzez mury. Pyszczek kuliła się w jakimś ciasnym zakamarku, zupełnie jak przerażony kot.

Po krótkim błędzeniu żmij odnalazł właściwy korytarz i wszedł do pierwszej z brzegu krypty. Zwolnił kroku, próbując wypatrzeć sylwetkę odmianki wśród gruzów zaścielających posadzkę.

– Pyszcuku – zawołał z cicha. – Pyszcuku, nie bój się, to ja.

– Brune?... – usłyszał jej drżący głos.

– Nie bój się – powtórzył. – Gdzie jesteś?

– Tutaj. – Wychyliła się zza zwalonej kolumny. Widząc, że jest sam, wstała chwiejnie, posykując.

– Nic ci nie jest? – zapytał, podchodząc. Zauważył, że jedno ucho

miała rozerwane, a jej sierść tu i ówdzie sklejała krew.

– Nic poważnego. – Zakłęła przez zęby, dotykając ucha. – Ale mało brakowało, psiakrew. Utopiliby mnie, dranie, gdyby nie ty. Wiedzieli, że ci wtedy pomogłam. Założę się, że to Siny mnie wydał, oby go...

Krzyczący nagle znieruchomiał.

– Lepiej zabierajmy się stąd – rzucił. – Później się zastanowisz, co dalej.

– Srebrni? – Ślepia odmianki na nowo rozszerzył strach.

– Srebrni. Ale nie znajdą nas, jeśli się pospieszymy. – Chwycił ją za rękę. – Chodź.

Kilka korytarzy dalej trzyosobowy patrol Jednookich właśnie zatrzymał się na widok dwóch zdezorientowanych typów, którzy nadal stali zanurzeni w ściekach.

Krzyczący zdał się na odmiankę, która lepiej od niego orientowała się w zawiłościach Podziemi. Dość szybko dotarli do schodów prowadzących w górę. W pewnej chwili Pyszczek krzyknęła radośnie, bo z wnęki, którą właśnie mijali, wyrżał stworek o szczurzej mordce.

– Pochrupek?! Dzięki niech będą bogom, tak się martwiłam... Uciekł, kiedy tamci mnie dorwali – wyjaśniła źmijowi.

Pochrupek pisnął prosząco, więc odmianka wzięła go na rękę.

– Odprowadzę was na powierzchnię – zdecydował Brune.

Tak jak poprzednio, drogę wybierała Pyszczek. Nie minął kwadrans, a wyszli kuchennymi drzwiami na cuchnące podwórze kamienicy. Pijak drzemiący koło wychodka zbudził się i obrzucił ich podejrzliwym spojrzeniem. Źmij pospiesznie rzucił na niego zakłęcie zapomnienia, tak na wszelki wypadek.

Zmierzchało, ulice były prawie puste. Niezatrzymywani przez nikogo wspięli się zaułkami w stronę Krzywej Alei.

– Co zamierzasz? – spytał cicho Krzyczący, kiedy stanęli w miejscu, skąd widać już było częstokół. Pyszczek zawahała się.

– Znikam z miasta. Nie mam chyba innego wyjścia. Chcę tylko zostawić Pochrupka z Gorczycą.

Stworek gwałtownie zapiszczał w proteście, wczepiając się łapkami w sierść przyjaciółki.

– Co? Chcesz iść ze mną? – Odmianka popatrzyła na niego, zaskoczona. Pochrupek energicznie potaknął.

– Pyszczku. – Krzyczący sięgnął do kieszeni. W sakiewce miał

trochę srebra; podał jej wszystko. – Weź. Będzie wam łatwiej.

Zawahała się.

– Poradzę sobie... Nie musisz.

– Wiem.

Potrząsnęła głową, ale kiedy nie cofnął ręki, wzięła pieniądze i wsunęła je w zanadrze.

– I jeszcze to. – Drgnęła, gdy dotknął końcami palców jej czoła, nakładając czar ochronny. – Teraz przez jakiś czas będzie was trudno wytropić. Zejdźcie stąd nad rzekę, zaroślami. Do rana macie szansę znaleźć się daleko stąd. Idźcie, póki zakłęcie działa.

Pochrupek zapiszczał smutno. Po chwili wahania Krzyczący mocno przytulił Pyszczek, nie zważając na jej zakrwawione i brudne futro. Liznęła go po nosie.

– Uważaj na siebie, Brune.

– Ty też. Żegnaj.

Pyszczek bezszelestnie zniknęła w krzakach porastających zbocze. Krzyczący czekał, dopóki nie upewnił się, że oddaliła się na bezpieczną odległość i nikt jej nie śledzi.

Kiedy zszedł z powrotem do lochów, drogę prawie od razu zastąpił mu obdarty chłopiec.

– Panie, król was prosi na rozmowę.

Helshor z obstawą czekał w pobliskiej krypcie. Czując ich pełne nienawiści spojrzenia, zmij spiął się wewnątrz, gotów do obrony, gdyby go zaatakowali.

– Mam do ciebie sprawę, magu – oznajmił zebraczy król.

Krzyczący popatrzył na niego zimno.

– Przykro mi za ten incydent nad kanałem. Twoi ludzie próbowali zrobić krzywdę mojej przyjaciółce.

– Mniejsza o tę śmieciarską dziwkę. Jesteś mi potrzebny. Ktoś sprzątnął Rahida, sklepikarza z czwartego poziomu. Chcę wiedzieć, czyja to sprawa. Rahid płacił mi za ochronę.

9. Szalejący ogień

Kartom zdarzało się mylić. Marshia Lavallo, *ka-ira* rodem z Talme, której prawdziwe imię brzmiało inaczej, wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale jeśli treść karcianej wróżby pokrywała się z informacjami zebranymi przez szpiegów Charooza oraz z tym, co mówiły salamandry, należało ją potraktować poważnie.

Wszystko wskazywało na to, że agenci Doliny Cierni zamierzają wypuścić ifryty, żeby zdobyć za ich pośrednictwem tyle dusz, ile tylko się da, zanim srebrni magowie zainterweniują. Plan Marshii był prosty – przechwycić kulę, nie dopuszczając do jej zdetonowania. Teoretycznie mogłaby się pokusić o zmodyfikowanie zaklęć użytych przez wysłanników Sul-Berith, tak aby dusze osób zabitych przez ifryty przeszły nie pod władzę Doliny Cierni, lecz Doliny Złota. Była jednak śmiertelniczką, nie demonem, i nie uśmiechało się jej majstrowanie przy czarach rodem z Otchłani. Posiadała niebagatelne umiejętności, ale miała także instynkt samozachowawczy.

Karty pozwoliły jej przewidzieć przybliżoną datę zamachu, która pasowała do tego, co udało się ustalić sługom Charooza, a ich ustalenia z dużym prawdopodobieństwem były trafne. Marshii nie wtajemniczono nawet w setną część intryg, jakie prowadził władca Doliny Złota, wiedziała jednak, że posiada on szpiegów w Dolinie Cierni, może nawet na samym dworze Sul-Berith.

Sama wydedukowała – do tego doprawdy nie trzeba było geniusza – że idealnym miejscem do wypuszczenia ifrytów jest Loss Fomar. Gdyby zdetonowano kulę na powierzchni, ogień niechybnie zacząłby się szerzyć w mieście, a katastrofa tego kalibru już nie leżała w interesie Sul-Berith. Dolina Cierni miałaby prawo tylko do tych ofiar, które ifryty zabijają bezpośrednio, więc zgodnie z logiką demonów – niedoczekanie, aby dziesięć razy tyle dusz swobodnie uleciało w szarość, jak na kpinę. Nie, lochy były lepsze. Mniej ofiar, ale

skuteczniejsze polowanie.

O ile, rzecz jasna, Dolinie Cierni uda się zrealizować plany.

Chociaż Marshia na co dzień obracała się w świecie salonów i balów, od czasu do czasu musiała w takiej czy innej sprawie wybrać się osobiście do podłych dzielnic, traktując to jak zło konieczne. Umiała, kiedy było trzeba, skutecznie wtapiać się w tło. Również teraz, idąc jednym z korytarzy prowadzących na targowisko, nie przyciągała zbyt wielu ciekawskich spojrzeń. Przewidując, że przy odrobinie pecha może się spotkać z bardzo konkretnym zagrożeniem i nie będą to ani opryszkowie, ani drapieżne homunkulusy, ubrała się odpowiednio. Skórzany kaftan i spodnie, wysokie buty, rękawice, włosy związane w węzeł i schowane pod kapturem. Wreszcie – tania symbiotyczna maska, która nie tylko pozwalała ukryć tożsamość, ale też w razie potrzeby przez kilka sekund mogła ochronić skórę.

Pierwszym, co zmiłce rzuciło się w oczy, gdy tylko weszła na Loss Fomar, były golemi. Stały zgrupowane na pustej przestrzeni pośrodku targowiska, pod słupem zegara. Ich wypukłe oczy świeciły czerwono, czujnie.

Natychmiast domyśliła się, że srebrni również wiedzą. Ale najwyraźniej nie posiadali zbyt dokładnych informacji; mieli świadomość, że istnieje zagrożenie, lecz bez takich konkretów jak data i miejsce. Ograniczyli się do wystawienia straży na targowisku, zamiast prewencyjnie opróżnić je z ludzi i zamknąć.

Marshia zmarszczyła brwi, patrząc na Jednookich. Zgodnie z tym, co mówiły karty, wysłannicy Otchłani prawdopodobnie spróbują wkrótce umieścić kulę na targowisku, zapewne obłożoną całym zestawem zaklęć maskujących. Teraz było jeszcze zbyt wcześnie; do działania przystąpią raczej wtedy, kiedy na Loss Fomar jak co dzień zaroi się od kupujących. Ponieważ agenci Sul-Berith prawie na pewno byli uwięzieni w kruchych ludzkich ciałach, musieli sobie zapewnić dość czasu na ucieczkę z pola rażenia. Przy odrobinie szczęścia Marshia mogłaby przechwycić kulę, gdy tylko demony się oddalą. Ale nie mogła działać praktycznie na oczach sług srebra.

* * *

Na powierzchni świtało. Loss Fomar o tej porze było bardziej ciche i

spokojniejsze niż zazwyczaj. Paliło się mniej lamp, otwarto najwyżej jedną trzecią kramów.

Wokół straganu oferującego gorące potrawy skupiła się grupka ludzi, w tym dwie panienki lekkich obyczajów, handlarka używaną odzieżą oraz uliczny muzyk w połatanej kapocie. Rozmawiali o drobiazgach, jak to osoby, które mijają się codziennie w tłumie i znają z widzenia. Co jakiś czas spoglądali z niepokojem w stronę golemów, które stały pod słupem zegara, nieruchome niczym rzeźby. Jednoocy nie potrzebowali jedzenia ani snu. Sprawowali tu straż od kilku dni, tak jak im rozkazano.

Nikt, ani golem, ani ludzie, nie zwrócił uwagi na dwóch dostatnio ubranych mężczyzn o cudzoziemskim wyglądem, którzy zeszli na Loss Fomar schodami wiodącymi z powierzchni. Ot, przyjezdni, którzy zapragnęli odwiedzić podziemne targowisko.

Kouremos zaklął półgłosem, patrząc na Jednoocy. Ich obecność utrudniała sprawę.

Dyskretnie dotknął ukrytej pod płaszczem kuli. Sam wcześniej starannie zakamuflował ją zaklęciami, tak by nikt niepowołany nie mógł jej wyczuć. Czar detonujący, który w odpowiedniej chwili miał rozsądzić kryształ, został już uaktywniony, podobnie jak formuły gwarantujące, że dusze zabitych będą należeć do Doliny Cierni. Jedyne, co należało teraz uczynić, to umieścić kulę gdzieś, gdzie nie zostanie znaleziona przed czasem.

On i Nebbu przeszli niespiesznie przez plac, udając, że oglądają wyłożone towary. Kiedy mijali stragan z wyrobami cukierniczymi, młodszy demon szturchnął Koureмосa w ramię i wskazał piętrzącą się pomiędzy kramami stertę odpadków.

Kouremos obejrzał się. Od golemów dzieliło ich może ze dwadzieścia kroków, ale ściana straganu zapewniała osłonę.

– Stań tu – mruknął, a sam wszedł za stragan, licząc, że dla przypadkowego świadka będzie to wyglądało tak, jakby potrzebował ulżyć pęcherzowi. Czubkiem buta odrzucił z cuchnącej sterty trochę nadgniłych liści kapusty, umieścił kulę w zagłębieniu i nagarnął na nią śmieci, upewniając się jeszcze, że jest całkowicie przykryta.

Gdy wrócił do towarzysza, Jednoocy trwali w bezruchu.

– Trzeba wywabić stąd tych jegomości, żeby nam nie przeszkadzili w drugiej fazie – powiedział cicho. – Zajmę się tym. Ty miej oko na

kulę.

Wiedział, że z chwilą, gdy zadziała czar detonujący, ifryty uwolnią się w potężnej eksplozji, by niszczyć wszystko, co napotkają na swej drodze. Wcześniej obaj z Nebbu musieli szybko i niepostrzeżenie pozbyć się śmiertelnych powłok, których zabicie przez zewnętrzną siłę zmusiłoby ich do natychmiastowego odwrotu do Otchłani. Potrzebowali energii życiowej tych ciał, żeby się zmaterializować w swojej prawdziwej postaci, odpornej na ogień ifrytów i zaklęcia srebrnych magów. Wtedy będą mogli bez przeszkód rozkoszować się efektami katastrofy.

* * *

Na polecenie Helshora dwóch żebraków poszło z Krzyczącym na piąty poziom, żeby pokazać mu, gdzie leżą zwłoki. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić jedno: od śmierci sklepikarza minęło trochę czasu. Padlinożerne homunkulusy zdążyły odkryć ciało i częściowo się z nim rozprawić; trup nie miał już w zasadzie głowy ani dłoni, a z rozszarpanego brzucha wylewały się wnętrzności.

Powstrzymując obrzydzenie, Krzyczący ukląkł obok zwłok, próbując przywołać swoją stosunkowo skromną wiedzę medyczną. Pamiętał, że istnieją znaki pozwalające określić w przybliżeniu, jak dawno temu nastąpił zgon – sztywność mięśni, plamy na ciele i tym podobne – ale nie potrafił sobie przypomnieć, jak należy je interpretować.

Mógł natomiast zrobić co innego. Zamknął oczy i skupił się, starając się oczyścić umysł ze wszystkich wrażeń i myśli.

Wizja uderzyła go w dwóch przebłyskach, tak gwałtownie, że niemal się zatoczył. Rahid, upadający i wijący się w konwulsjach, otoczony kłębamii sinego oparu. I szalejący ogień; płomienie, z których nie ma ucieczki.

Żmij otrząsnął się, wracając do rzeczywistości. Nie podobało mu się to wszystko.

– I co wy na to? – odezwał się jeden z ludzi Helshora, garbus z bielmem na oku.

– Dlaczego jeszcze nie zjawili się tu srebrni? Nie interesują ich takie sprawy, jak czyjaś nagła śmierć?

Żebracy popatrzyli na siebie.

– Musi nic do nich nie dotarło – zaryzykował ten drugi. – Nie są wszechwiedzący.

– Prawo nie nakazuje ich zawiadomić?

Garbus zarechotał.

– Możesz to zrobić, jeśli chcesz, magu. Na pewno się ucieszą.

Krzyczący puścił zaczepkę mimo uszu. Wpatrywał się w kaftan martwego sklepikarza, na którym w paru miejscach widniały ciemne, tłuste plamy, jak od maści. Zbieg okoliczności?

– No i co powiesz w kwestii Rahida? – zagadnął drugi żebrak. – Kto go sprzątnął?

– Nikt go nie sprzątnął.

– Jak to nikt?

– Prawnicy nazywają to zgonem z przyczyn naturalnych. Był otyły i serce odmówiło mu posłuszeństwa. Zdarza się.

Żebracy mieli miny, jakby spożyli coś wyjątkowo kwaśnego, a Brune zaśmiał się w duchu. Był już pewien, że Helshor wie lub przynajmniej się domyśla, kto zabił sklepikarza. Żmij nie zamierzał pozwolić, by wplątano go w tę sprawę, chyba że żebraczy król pierwszy uzna za stosowne udzielić wyjaśnień – i zapłacić.

Wyjął z kieszeni kredę i nakreślił pentagram wokół zwłok.

– Ejże, co robisz? – spytał podejrzliwie garbus.

– Trzeba się zająć ciałem, tak jak nakazuje Święta Księga. Chyba że chcecie, żeby duch Rahida wrócił i dostarczał wam atrakcji przez parę najbliższych lat. – Krzyczący dopisał obok pentagramu jeszcze kilka znaków. – Radzę wam się ewakuować, panowie.

– Że co? – Garbus zmarszczył brwi.

– Lepiej wynieście się stąd, zanim rozpalę ogień.

Kiedy żebracy oddalili się, Krzyczący sprawdził wewnętrznym wzrokiem pobliskie korytarze, upewniając się, że nigdzie nie czają się Jednoocy. Następnie odszedł na pewną odległość od zwłok i dopiero wtedy skinął dłonią, przywołując moc. Sine płomienie błyskawicznie pochłonęły ciało Rahida.

Upewniwszy się, że echo czaru nie zaalarmowało nikogo niepożądanego, skierował się w stronę najbliższych schodów prowadzących w górę. Pomyślał, że nie zaszkodzi się trochę rozpytać na targowisku – ot tak, żeby się zorientować w pogłoskach.

* * *

W korytarzach wokół Loss Fomar także kwitł handel, choć im dalej od placu, tym gorszej jakości towary oferowano – często były to rupiecie do oddania za przysłowiowy grosz. Czatowały tu też panienki lekkich obyczajów, wyglądające tak, że ktoś nieoswojony z Podziemiami wystraszyłby się na ich widok. Jednak logika nakazywała przypuszczać, że na ich usługi musi być popyt, skoro opłaca im się stać i zaczepiać przechodniów.

Kouremos oddalił się od placu, wypatrując miejsca, które najlepiej odpowiadałyby jego planom. W końcu skręcił w ślepo zakończony zaułek, schylając się, żeby przejść pod rozwieszonymi szmatami, które nie zasługiwały już na miano dywanów i koców – a jednak wisiały tu, wystawione na sprzedaż. W blasku lamp sprzedawcy o zniszczonych twarzach wyciągali ręce, wskazując stare meble, poczerniałe obrazy i zaśniedziałe wyroby z metalu.

Ignorując ich, demon wpatrzył się w mur na końcu zaułka, po czym wyszeptał kilka słów, zawrócił i odszedł, nie zatrzymywany przez nikogo. Chwilę później za jego plecami rozległ się przestraszony okrzyk, do którego dołączyły kolejne. Pod murem pojawił się pełgający, błękitny płomień, choć nie leżało tam nic palnego. Ludzie wyciągali szyje, żeby popatrzeć na dziwne zjawisko, a co strachliwsi handlarze zaczęli pospiesznie zgarniać towary do worków.

Kouremos zatrzymał się u wylotu korytarza, uważając, żeby nie tarasować przejścia tym, którzy wycofywali się z zaułka, i kątem oka obserwował zaczarowany ogień. Zakłęcie generowało wyczuwalne z daleka wibracje aury, tak silne, że wewnętrzny wzrok odbierał je jak jaskrawe, oślepiające światło.

Przynęta.

Tak jak się spodziewał, po chwili rozległ się łomot ciężkich kroków – z Loss Fomar nadchodzili Jednoocy, żeby sprawdzić, co wywołało zakłócenie aury. Demon odczekał chwilę, żeby się upewnić, że wkroczą w zaułek. Rozległy się przekleństwa i przerażone krzyki, ludzie starali się pospiesznie uprzątnąć towar. Potrącona przez golema sterta garnków zwała się z hukiem, potem jeden z dywanów spadł ze sznura, wzbijając chmurę kurzu i potęgując zamieszanie.

Zadowolony z siebie Kouremos wycofał się i skręcił w boczne

odgałężenie, by okreśną drogą wrócić na plac.

* * *

Na Loss Fomar Marshia Lavallo od razu odgadła, co się święci.

Mogła czekać na placu na rozwój wydarzeń albo wytropić tego, kto odpalił przynętę. Wybrała to drugie. Bez pośpiechu ruszyła śladem Jednookich. Znała z grubsza rozkład przejść sąsiadujących z targowiskiem, dlatego szybko zorientowała się, że korytarz, w którym zapłonął czar, kończy się ślepo.

Nie ze mną te sztuczki. Tak możesz sobie mamić golemy, kotku.

Przystanąła w pewnej odległości i czekała.

Tak jak przewidziała, pojawił się po chwili. Cofnął się pod ścianę, żeby przepuścić Jednookich i uciekających z zaułka przestraszonych ludzi, po czym ruszył dalej. Postawny mężczyzna z czarną brodą, odziany jak kupiec. Ktoś słabiej zorientowany mógłby w jego aurze nie wyczuć niczego podejrzanego, ale Marshię nie tak łatwo było zwieść.

Odczekała, aż brodacz nieco się oddali, po czym podążyła za nim, stąpając cicho jak wytrawny myśliwy.

* * *

Gdy w zaułku zapłonęła przynęta, Kouremos telepatycznie odszukał Nebbu.

Zaczynamy drugą fazę – poinformował go.

Wyczuwszy mentalne potaknięcie młodszego demona, przerwał kontakt. Odetchnął głęboko, przygotowując się do rozluźnienia więzi spajających jego jaźń ze śmiertelnym ciałem.

Nagle spał się czujnie, bo zauważył, że ktoś za nim idzie.

Dyskretnie sięgnął umysłem w kierunku tej osoby. Po aurze rozpoznał, że to kobieta, najprawdopodobniej *ka-ira*. Była ostrożna, trzymała się na dystans, ale Kouremos nie miał wątpliwości, że go śledzi.

Nie był w stanie z tej odległości stwierdzić, czy to agentka konkurencji. Nie wierzył jednak w zbiegi okoliczności.

Zwolnił kroku, zastanawiając się, co powinien uczynić – czy zlikwidować ją na wszelki wypadek, czy uznać, że w obliczu zbliżającej

się detonacji nie stanowi już żadnego zagrożenia.

* * *

Iglendis i Reohan zmaterializowali się w ogarniętym chaosem zaułku w odpowiedzi na wezwanie wysłane przez Jednookich. Mistrzynie Elity momentalnie zorientowała się w sytuacji – echo czaru mówiło samo za siebie.

– To przynęta! – krzyknęła do golemów. – Odwrót! Wracać na targowisko, durnie!

Było dla niej jasne, że ktoś odpalił czar, żeby wywabić Jednookich z Loss Fomar. Pożałowała, że nie zdecydowała się na radykalne kroki i nie zamknęła targowiska na kilka dni. Zaburzyłoby to przepływ prądów Zmroczy w mieście oraz wywołałoby protesty mieszkańców, ale mogłoby się w ostatecznym obrachunku okazać mniejszym złem.

Ruchem ręki zgasiła palący się pod murem płomień, po czym upewniła się za pomocą wewnętrznego wzroku, że w pobliżu nie czyha żadne niebezpieczeństwo – na przykład inne czary, dopiero czekające na uaktywnienie.

– Nic wam nie grozi! – zawołała w stronę pakujących pospiesznie dobytek kramarzy. Ludzie uspokoili się od razu.

– Dziękujemy, wasza dostojność – zamamrotał ktoś.

– Na Loss Fomar, Reohanie – rzuciła.

Zmaterializowali się pod zegarem. Golemy już wracały, ze szczękiem i łomotem. Iglendis rozejrzała się po placu, po czym zamknęła oczy i sięgnęła umysłem w przestrzeń, lecz nie wyczuła niczego podejrzanego – tylko myśli ludzi, zajętych drobnymi ludzkimi sprawami.

Nagle przeszył ją dreszcz. Ostrzegawcze ukłucie instynktu.

Tam.

Młodzieniec stojący obok straganu z wyrobami cukierniczymi. Z jego aurą działało się coś dziwnego – wydawała się przygasać, niczym ledwie pełgająca świeczka.

Być może wyczuwając wzrok czarodziejki, podniósł głowę. Ich oczy spotkały się ponad tłumem i Iglendis poczuła zimno, jakby zajrzała w źrenice samej śmierci. Już wiedziała, Reohan też.

Nebbu zrozumiał, że został zdemaskowany. Dokonał błyskawicznej

kalkulacji i zdecydował, że musi za wszelką cenę odciągnąć srebrnych od kuli.

– *Berith a' caripe qa* – zaintonował w języku Otchłani, unosząc ręce, wokół których zaśniła zielonkawa poświata. Jednak Iglendis i Reohan byli szybsi. Rozległ się gwizd i huk – w powietrze wyleciały deski i ciastka z rozbitego straganu. Ludzie zaczęli krzyczeć, a w następnej chwili zasłonili twarze, chroniąc oczy przed rozbłyskiem oślepiającego światła. Chcąc uniknąć ofiar wśród postronnych, Iglendis rzuciła finezyjny czar teleportujący, zgarniając z targowiska siebie, Reohana oraz wroga.

W przestrzeni między wymiarami demon utracił ludzką postać – stał się bestią podobną do lwa z ogonem skorpiona. Rzucił się na srebrnych, kłapiąc paszczą. Iglendis, już otoczona świetlistym nimbem mocy, cisnęła w niego białym ogniem. Demon zawył z bólu i zaczął transformować w ciemny kształt o skłębionych mackach. Równocześnie zakłęcie teleportacyjne przestało działać i ponownie ogarnął ich mrok Podziemi. Iglendis zwinnie opadła na kamienną posadzkę i wykrzyczała egzorcyzm, lecz wróg nie zareagował. Usłyszała jego chrapliwy śmiech, a zaraz potem krzyk swojego ucznia. Wokół Reohana zakwitły syczące błyskawice, a gdy zgasły, na jego szacie widniało kilka rozszerzających się szybko czerwonych plam.

Jedna z macek dosięgła słaniającego się młodzieńca i cisnęła nim o mur. Reohan osunął się bezwładnie na posadzkę.

Iglendis zebrała wszystkie siły, zamknęła oczy i przywołała obraz, który zawsze wykorzystywała podczas medytacji. Jezioro światła, czyste, nieskażone.

Jasność. Doskonałość. Spokój.

Otworzyła oczy, których źrenice rozjarzyły się i wyszeptła egzorcyzm – ten sam egzorcyzm, którego użyła wcześniej, lecz teraz z jej wyciągniętych dłoni popłynęła najczystsza srebrna moc, jak pulsujący, świetlisty strumień.

Trafiony demon zasyczał bezsilnie i oklapł, błyskawicznie tracąc materialność. Przypominał teraz topniejącą figurę z wosku. Zawył rozpaczliwie i już go nie było – zniknął, wypchnięty do swojego wymiaru.

Iglendis uklękła obok ucznia. Twarz miał zakrwawioną i nie poruszał się.

– Reohanie! – Dotknęła jego policzka. – Reohanie, słyszysz mnie?
Nie reagował. Zaciskając zęby, ponownie przywołała moc, żeby przenieść się wraz z nim do koszar.

* * *

Krzywulec obudził się, kiedy reszta rodziny jeszcze spała.

Chwilę leżał, usiłując sobie przypomnieć, co takiego mu się śniło. Było to coś przerażającego, ale nie mógł odtworzyć szczegółów. W pamięci utkwiły mu tylko krzyki oraz ogień, ogień palący skórę, pochłaniający wszystko.

Sen mara – powiedział sobie śmieciarz. Na wszelki wypadek uczynił jednak znak chroniący przed złymi siłami.

Nie budząc reszty rodziny, zabrał swój worek i wyszedł z krypty, utykając, bo ostatnimi czasy męczył go reumatyzm. Spanie na zimnej skale nie wychodziło mu na zdrowie i coraz częściej myślał o przeniesieniu się na powierzchnię.

Czuł głód, więc powędrował na Loss Fomar. Obszedł plac, tu i ówdzie podnosząc z ziemi jakieś ochłapy i wrzucając je do worka. Z błyskiem w oku zgarnął upuszczoną przez kogoś bułkę i pogryzając ją, ruszył dalej. Dwaj wymuszkani młodzicy, ani chybi z powierzchni, zagwizdali na niego i zwyzywali od śmierdzieli, więc Krzywulec pokazał im brzydki gest.

Naraz rozpętał się chaos. Gwizd i huk wybuchów, krzyki przerażonego tłumu oraz oślepiający błysk, po którym świat na chwilę zasłoniły czarne i czerwone kręgi. Kiedy Krzywulec oprzytomniał, zobaczył, że leży wśród roztrzaskanych desek na stercie śmieci. Tuż obok cukiernik Enzo lamentował, patrząc na swój rozbity stragan. Na ziemi poniewierały się rozrzucone ciastka. Kram z używaną odzieżą również ucierpiał, trafiony ognistym, magicznym pociskiem – jego zawalony płócienny dach wciąż jeszcze się tlił.

Krzywulec pozbierał się, ocierając krew z rozciętego czoła, i rozejrzał się za swoim workiem. Nagle spostrzegł wśród rozgrzebanych odpadków błysk złota.

Zerknął, czy nikt nie patrzy. Srebrni gdzieś zniknęli, a ludzie byli zajęci ratowaniem dobytku z uszkodzonych straganów. Odmieniec drżącą ręką odgarnął nadgniłe warzywa i słomę. Zaparło mu dech.

Kula z kryształu, ciemna i gładka. Głęboko pod jej powierzchnią przemykały tajemnicze, hipnotyzujące złote błyski.

Pomyślał, że przypadkowo natrafił na łup ukryty przez jakiegoś złodzieja. Zawahał się – rozsądek podpowiadał, że może lepiej pozostawić tak cenny przedmiot w spokoju – jednak pokusa była zbyt silna.

Podskoczył, gdy za jego plecami rozległy się krzyki, ale to tylko jeden z kramarzy skoczył z pięściami na szabrownika, który korzystając z okazji schował to i owo za pazuchę. Za złodziejem ujęli się kumple i wybuchła bójka.

Krzywulec raz jeszcze rozejrzał się gorączkowo i podjął decyzję. Zgarnął kulę do worka i czym prędzej uciekł chyłkiem z targowiska.

* * *

Krzyczący w Ciemności zatrzymał się na schodach. Dwa poziomy wyżej, na Loss Fomar, coś się działo. Zjawili się srebrni magowie – nawet z tej odległości czuł ich obecność, zimną jak sople lodu, i strach, który nagle ogarnął ludzi. Uderzenie gwałtownych emocji – walka lub ucieczka, wybuch mocy, jak oślepiająca jasność, a potem cisza. Całkowita i szokująca. Walczący musieli się teleportować z targowiska.

Żmij zawahał się, choć rozsądek podpowiadał mu, żeby zawrócić. Właśnie wtedy w górze rozległ się coraz głośniejszy tupot. Krzyczący przezornie rozpląszczył się przy ścianie. Minął go nie kto inny, jak Krzywulec, zbiegający po schodach z obłędem w oczach i tulący do piersi zawiniątko. Brune chciał zawołać za nim, ale odmieniec już zniknął.

Wiedząc, że w Podziemiach za biegnącymi często podąża pościg, żmij odczekał chwilę, lecz na schodach nie zjawił się nikt więcej. W normalnych warunkach Brune mimo wszystko wycofałby się zamiast iść tam, gdzie jeszcze przed chwilą kotłowali się srebrni, teraz jednak ciekawość zwyciężyła. W Podziemiach działo się ostatnimi czasy stanowczo zbyt wiele zastanawiających rzeczy.

W przeblysku ostrożności przesunął dłońmi po twarzy, przemieniając się w Mabiusa z Bardona, po czym ruszył w górę.

* * *

Kiedy na Loss Fomar wybuchło pandemonium, Kouremos spanikował, domyślając się, co zaszło. Srebrni zdemaskowali Nebbu.

Nie tracił już czasu na zastanawianie się, czy idąca jego śladem nieznajoma jest agentką obcej Doliny, czy nie. Prewencyjnie cisnął w nią najpotężniejszym zaklęciem, na jakie było go stać bez wcześniejszych przygotowań, po czym pognął na odsiecz towarzyszowi, przeklinając kręte przejścia, w których łatwo było stracić orientację.

Marshia poczuła eksplozję mocy i instynktownie postawiła tarczę. Rąbnęła o mur z taką siłą, że zrobiło jej się ciemno przed oczami, po czym osunęła się jak szmaciana lalka. Jej gardło i płuca wypełnił palący ból; przez chwilę nie była w stanie oddychać.

Kouremos nie tracił czasu na sprawdzanie, czy zabił żmijkę. Teraz chodziło mu przede wszystkim o Nebbu – i o kulę.

Kiedy wypadł na targowisko, jego oczom ukazały się zrujnowane kramy, wokół których krzątali się sprzedawcy, pakując ocalały towar. Po Nebbu nie było śladu. Kouremos zrozumiał, że rozpaczliwa walka młodszego demona ze srebrnymi magami musiała się zakończyć teleportacją dokądś – i najprawdopodobniej zwycięstwem srebrnych.

Resztką rozsądku zdołał się opanować na tyle, żeby nie ściągać na siebie uwagi, i niezbyt szybkim krokiem zbliżył się do zniszczonych bud. Pomiędzy połamanymi deskami wypatrzył stertę odpadków i omal nie jęknął.

Śmieci były rozgrzebane, a kula zniknęła. Demon rozejrzał się bezsilnie, po czym zaklął. Nie potrafił jej wysledzić czarami – kamuflaż działał znakomicie. Spojrzenie Kouremosa spoczęło na tarczy zegara. Sekundy i minuty mijały nieubłaganie. Jeśli kula nadal znajdowała się na targowisku, lada chwila mogła go czekać bolesna utrata ciała i błyskawiczny powrót do Otchłani, ale tego akurat obawiał się najmniej.

* * *

Zaklęcie było niczym czarny błysk; wybuchło tak blisko i tak nagle, że Krzyczący odczuł jego echo niemal jak fizyczny ból. Zaraz potem do jego uszu dotarł tupot – ktoś oddalał się, biegnąc w kierunku

targowiska.

Brune błyskawicznie pokonał ostatnie stopnie i zawahał się. Golemy z Loss Fomar, też zaalarmowane echem, już tu zmierzały – Żmij nie miał ochoty czekać, aż się pojawią. Ale tuż obok wyczuwał obecność kogoś, kto chyba był ranny. Potem usłyszał kaszel.

Skręcił za róg i zobaczył, że pod ścianą kuli się zakapturzona postać w symbiotycznej masce; raczej instynktem maga niż po wyglądzie rozpoznał, że to kobieta. Kaszłała, trzymając się za gardło.

Krzyczący zamarł. Tyle czerni w aurze zasadniczo mógł mieć każdy, kto regularnie stykał się z cierpieniem; płatny morderca, rzeźnik, kat, a nawet lekarz. Ale kobieta przebrana w męski strój, w tym miejscu...

Marshia Lavallo tymczasem przeklinała swój zbyt powolny refleks; zakłęcie demona rąbnęło w nią na ułamek sekundy przed tym, jak tarcza zdążyła nabrać pełnej mocy. Choć Żmijka wiedziała, że nie odniosła trwałych obrażeń, nogi odmawiały jej posłuszeństwa, a gardło i płuca bolały przy każdym oddechu jak wypełnione tłuczonym szkłem. Właśnie gorączkowo kalkulowała, co gorsze – Jednoocy, kula, która mogła wybuchnąć w każdej chwili, czy wściekłość Charoza z powodu niewypełnionej misji – kiedy pojawił się nieznajomy. Najpierw zarejestrowała jego obecność, a dopiero potem aurę.

– Pomóż mi – wykrztusiła.

Po chwili wahania ukląkł przy niej. Tylko tego potrzebowała – błyskawicznie przycisnęła ręce do jego skroni, chłonąc siłę życiową tak szybko i sprawnie, że gdy się zorientował i chciał postawić blokadę, było już w zasadzie po wszystkim.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję, bracie. Wybacz, musiałam.

Krzyczący nie zaprotestował w momencie czerpania, bo po prostu nie zdążył; zaraz jednak zreflektował się, że damie i siostrze w profesji nie wypadałoby odmówić.

Marshia natomiast przyjrzała mu się i najpierw pomyślała z obrzydzeniem, że dawno nie widziała równie nieciekawego typu, potem zaś, że to raczej nie jest jego prawdziwa twarz. Wygląd mógł kłamać, ale aura i energia życiowa nigdy. Maski nie nosił na pewno – a zatem iluzja. Żmijka nie wyczuwała jej wewnętrznym wzrokiem, lecz to nie był żaden ewenement; iluzje z założenia nie dawały się łatwo wyczuć. Ostatecznie służyły do kamuflażu – również przed

innymi magami.

– Jak się nazywasz? – spytała.

Krzyczący trochę się zdziwił. Sprawdzała go? Jemu sekunda telepatycznego kontaktu podczas czerpania wystarczyła, żeby poznać jej imię, a w każdym razie imię, którego aktualnie używała.

Marshia Lavallo.

– Mabiuz z Bardou – odrzekł. Jeśli wiedziała, że skłamał, nie dała tego po sobie poznać.

– Zabierajmy się stąd – rzuciła. – Za moment będziemy mieli na karku Jednookich. Podaj mi rękę, jeśli łaska.

Pomógł jej wstać. Marshia syknęła, wspierając się na jego ramieniu. Czerpanie wzmocniło ją, ale jeszcze niezbyt pewnie trzymała się na nogach. Nadal drapało ją w gardle, a oddychanie sprawiało ból.

Echo przyniosło łomot kroków; nadchodziły golemy. Krzyczący pospiesznie poprowadził zmiękę w kierunku schodów. Zaczęła szeptać formuły, których nie rozpoznał.

– Może udało mi się ich zmylić – mruknęła, gdy znaleźli się dwie kondygnacje niżej, i ponownie zaniósła się kaszlem.

Właśnie wtedy oboje to wyczuli. Odległe drgnienie aury.

* * *

Gdy więżąca je kula rozpadła się, ogniste duchy rozpierzchły się z wyciem radości. W jednym oślepiającym, niszczycielskim błysku spopielili wszystko, co znajdowało się w ich zasięgu. Potem poleciały dalej, wypełniając mroczne korytarze zabójczą, złotą łuną. Oszalałymi pięknie w swej furii, gotowe pożreć wszystko, co stało im na drodze. Drewno, ciała czy dusze, nie robiło im to żadnej różnicy.

Były głodne.

Ich lot wstrząsnął aurą Podziemi, przeciął ją jak płomienisty nóż. Prądy Zmroczy wokół miasta zadrgały boleśnie, jak napięta struna. Na powierzchni ziemi ni stąd, ni zowąd powiał mroźny wiatr, i ludzie zaczęli krzyczeć, kiedy z bezchmurnego nieba sypnął krwawy grad zachwiania.

* * *

Marshia zakłęta plugawie jak marynarz, kiedy zabrzmiał coraz głośniejszy szum. Zaraz potem mrok rozkwitł kulą ognia, z której wyłoniły się dwa skrzydlate stwory o ciałach jak oślepiające płynne złoto. Z ich ust buchały płomienie.

Widząc nadlatujące ifryty, Krzyczący wyszeptał formułę i odruchowo spał wszystkie mięśnie. Zalała go fala ognia, lecz poczuł zaledwie muśnięcie gorącego powietrza. Zakłęcie tarczy chroniło go.

Usłyszał trzask i kątem oka ujrzał oślepiający błysk – ifryt, który rzucił się na Marshię, zniknął wraz z nią w portalu, który błyskawicznie otwarła. Drugi spikował na żmija, lecz zakłęcie tarczy powstrzymało go; zawisł w powietrzu, łopocząc skrzydłami. Krzyczący popatrzył w nieziemsko piękne oblicze o złotych ślepiach i zachwiał się pod uderzeniem mentalnego ataku. Wiedział, czego pragnie stwór. Obezwładnić, wchłonąć jego duszę, a potem spalić ciało.

Zacisnął zęby, koncentrując się na tym, by postawić blokadę. Lecz nagle, nie wiedzieć skąd, przed jego oczami zjawiły się obrazy.

Popielista równina, wrzeszczący potępieńcy, przykuci do wznoszących się w niebo słupów. Krew spływająca po twarzy, paralizujący ból.

Zebrał siły i telepatycznie cisnął tym wszystkim w ifryta.

Nażryj się.

Ifryt targnął się jak postrzelony i z rozpaczliwym trzepotem opadł na schody. Otaczające go płomienie przygasły, ledwie pełgały. Złota sylwetka stawała się coraz bardziej niewyraźna, a korytarz wypełniły kłęby duszącego dymu. W końcu stwór zniknął z głośnym trzaskiem, wracając do swojego wymiaru.

Krzyczący oparł się o mur, bo na sekundę zrobiło mu się ciemno przed oczami; dopiero teraz uświadomił sobie, że czerpanie, na które pozwolił Marshii, osłabiło go bardziej, niż sądził. Z trudem zdołał utrzymać zakłęcie tarczy, lecz chroniło ono tylko przed płomieniami, nie przed dymem. Zakrztusił się i rozkaszał.

Zaszumiało; szum rósł, aż przemienił się w huk. Ciemność ponownie rozjarzyła się ogniem. Żmij zdał sobie sprawę, że nadlatują kolejne ifryty, pięć czy sześć. Zamknął oczy, zdając się na dar, lecz jak w złym śnie, stał nadal w tym samym miejscu. Aura tych przeklętych

stworów blokowała czar dematerializacji.

To koniec – pomyślał. Wiedział, że nie jest w stanie jednocześnie utrzymywać tarczy i otworzyć portalu.

Zalała go powódź płomieni. Zanosząc się kaszlem czekał na nieuchronny moment, kiedy zabraknie mu sił i tarcza pęknie.

* * *

Rożek nie wiedział, co się stało. Wracał właśnie spod studni, kiedy usłyszał huk, od którego zatrzęsły się mury, a potem dziwny, narastający szum, i poczuł na twarzy gorąco. Instynktownie uskoczył w najbliższy boczny korytarz, wpadł do pierwszej lepszej krypty, skulił się pod zwaloną kolumną. Pierwsze, o czym pomyślał, to że magom z podziemnych koszar nie udał się jakiś eksperyment.

Korytarzem przewaliła się burza ognia. Rożek uświadomił sobie, że to jakieś żywe, demoniczne stworzenia – słyszał ich opętańcze, pełne dzikiej radości wrzaski. Gdy zgiełk ucichł, wojownik odczekał dłuższą chwilę, zanim odważył się wyjść.

Mury były osmalone, śmierdziało spalenizną. Stożące we wnękach lampy w większości rozprysły się, a ich zawartość już nie świeciła, upodobniona do rozchlapanej smoły. Rożek zawahał się – instynkt podpowiadał mu, że na otwartej przestrzeni nie jest bezpiecznie, ale nie wiedział, w którą stronę powinien uciekać. Niepokoił się też o towarzyszy.

Właśnie wtedy zza rogu wyłoniła się postać. Odmieniec w pierwszej chwili wziął ją za ducha. Miała osmalone włosy, ubranie jej dymiło i trzymała ręce sztywno, z dala od ciała. Rożek dopiero po chwili rozpoznał Znajdę, smarkacza od śmieciarzy.

– Na bogów, chłopcze, co się stało?

– Złota kula – wyjąkał Znajda. Dygotał od stóp do głów, zęby mu szczękały i ledwie był w stanie mówić. – Krzywulec ją przyniósł... i wybuchła. U nas. W naszej krypcie.

Wojownik pomyślał w pierwszym odruchu, że dzieciak bredzi z powodu szoku.

– Jaka złota kula? Co ty gadasz?

– Z kryształu, ze złotem w środku, taka piękna... Mówiłem im, że na pewno należy do magów i trzeba ją czym prędzej odnieść z

powrotem! Ale nie chcieli mnie słuchać!

Znajda bezsilnie popatrzył na swoje dłonie. W świetle jedynej ocalałej lampy Rożek zobaczył, jak fatalnie wyglądają – skóra odpadała z nich jak resztki spalonych rękawiczek – i zasępił się. Wiedział, że oparzenia potrafią zabijać z opóźnieniem, oraz że wiele zależy od tego, jak dużą powierzchnię ciała obejmują. Ale wyglądało na to, że ucierpiały głównie ręce chłopca.

– Widziałeś wybuch?

Znajda pokręcił głową i siąknął nosem. Po twarzy płynęły mu łzy.

– Byłem na korytarzu... Wysłali mnie, żebym pilnował, czy nikt nie idzie. Tam, w krypcie, zrobiło się piekło, oni nie mieli żadnych szans... Żadnych... – Teraz chłopiec płakał już otwarcie.

Rożek tylko potrząsnął głową. Domyślił się, że gdy ogniste stwory przeleciały, Znajda pewnie wbiegł do płonącej krypty, może próbował z niej kogoś wywlec... Biedny dzieciak.

Echo znowu przyniosło z oddali przerażający chichot.

– Dranie wciąż hulają. Trzeba się ukryć, dopóki srebrni nie zrobią z nimi porządku. – Wojownik rozejrzał się niespokojnie. – Musimy zejść niżej. Dasz radę?

Gdyby był sam, pobiegłby do najbliższego kanału, ale wiedział, że dla Znajdy ścieki mogą oznaczać bolesną, powolną śmierć, odroczoną o kilka czy kilkanaście dni.

* * *

Iglendis ar Vanth z rozpaczliwym pośpiechem kreśliła na murze czarodziejskie znaki.

Ifryty hulały po Podziemiach, rozniecając ogień wszędzie tam, gdzie znalazły coś palnego, i zabijając każdego, kto nie zdążył w porę uciec. Czują ich szaloną radość z odzyskanej swobody. Wiedziała, że nie starczy jej sił, żeby przywołać je wszystkie z powrotem – nie teraz, po walce z demonem, który omal nie pozbawił jej życia. Czarodziejka zdołała zwabić i przegnać dziesięć, lecz pozostałe nieubłagane zbliżały się do zamieszkanego korytarza na pierwszym poziomie; lada chwila dotrą na Loss Fomar. A potem wyfruną na powierzchnię...

Nagle, z trzaskiem podobnym do uderzenia gromu, nieopodal zmaterializowała się majestatyczna postać w białych szatach. Iglendis

poczuła falę ulgi tak potężną, że ugięły się pod nią kolana. Demetheos.

Wyrzucił w górę ramiona i wykrzyknął jedno jedyne słowo. Rozkaz.

Przez chwilę nie działo się nic; potem rozległ się szum i ciemność rozdarł złoty blask. Całe stado wracało, ściągnięte siłą czaru.

Stary mag skinął różdżką i po jego prawicy otworzył się portal wypełniony kłębiącym się ogniem. Demetheos odstąpił, a ifryty z rykiem radości rzuciły się do swojego wymiaru. Portal zamknął się za nimi i zapadła błogosławiona ciemność.

Iglendis poczuła, że siły ją opuszczają, i oparła się ciężko o mur. Mistrz podtrzymał ją, a widząc, jak bardzo jest wyczerpana, przyłożył ręce do jej skroni. Czarodziejka westchnęła mimo woli, gdy siła życiowa wsączyła się w jej żyły jak orzeźwiający, zimny prąd.

– Chodź – rzekł Demetheos. – Trzeba ugasić pożary i udzielić pomocy rannym.

* * *

W momencie gdy kula wybuchła trzy poziomy niżej, Kouremos zmarł, zrezygnowany. Wiedział, że nie uniknie konsekwencji.

W chwilę później zgiął się wół, targnięty bólem, a otaczająca go rzeczywistość rozprysła się. Naokoło zakwitły barwy jak ze snu – demon został wyrwany ze śmiertelnego ciała i przeciągnięty przez granicę wymiarów. Potem znalazł się w ciemności, wciśnięty w niewygodną, ciasną przestrzeń, która pachniała wypaloną w piecu gliną.

Zrozumiał, co uczyniła z nim Sul-Berith.

Dzban. Jedna z najbardziej upokarzających kar, jakie mogły spotkać syna Otchłani.

10. Ranni i zabici

To nie wygląda tak źle, jak myślałam. – Haru schyliła się, żeby w świetle lampy ocenić, jak daleko sięgają oparzenia. – Podaj mi bandaż, Janis.

Dokończyła opatrywać plecy dziewczynki. Odurzone laudanum dziecko nie reagowało na ból.

– Kolejna, która miała szczęście. – Lekarka wytarła dłonie w kawałek płótna, delikatnie okryła dziewczynkę kocami i wyprostowała się z westchnieniem. – Nie został już nikt więcej, prawda? Sprzątnij tu. I powiedz Andrasowi, żeby na jutro przygotował więcej maści.

Wyszła z sali, odwiązując po drodze fartuch.

Na dole już panował spokój. Służąca zmywała krew z posadzki.

– Bogowie, co za dzień – odezwała się na widok lekarki.

– Mogło być gorzej. – Haru potarła skronie.

Drzwi prowadzące na ulicę otwarły się i wszedł Bernard, blady, w zabłoconym płaszczu.

– Byłem w Podziemiach – powiedział, widząc swoją siostrzenicę. – Srebrni opanowali sytuację na dole, ugasili ogień. Dzięki niech będą bogom, że uznali za stosowne wmieszać się w bieg wydarzeń. Możesz rozmawiać? Masz czas?

– Wyjdźmy na dwór – poprosiła. Potrzebowała świeżego powietrza.

Stanęli w rogu dziedzińca. Noc była bezksiężycowa, ale świat zalewała czerwona poświata – na nocnym niebie drgały szkarłatne pręgi zachwiania.

– Jak wygląda sytuacja? – spytał Bernard.

– Trafiło do nas piętnastu rannych, czworo z nich nie dożyje jutra. Kobieta, którą przygniotły belki, zostanie prawdopodobnie kaleką. Jaki był bilans na dole?

– Jakies czterdzieści trupów, lekko licząc. – Bernard potarł oczy, jakby chciał wymazać zapamiętane obrazy. – Całe szczęście, że te

potwory nie zdążyły dotrzeć na Loss Fomar, inaczej mielibyśmy pięć razy tyle ofiar.

– Na Loss Fomar? To cud, że nie wydostały się na miasto. Cud i łaska bogów.

– Haru, wśród poparzonych był chłopiec z rudymi włosami. Co z nim? Przeżyje?

– Nie jestem wyrocznią – wzruszyła ramionami. – Jeśli nie zabije go zakażenie, ma wszelkie szanse wyzdrowieć. O ile po drodze nie zarazi się u nas tyfusem ani niczym innym. Czemu pytasz?

– To bezdomny. Mieszkał z odmieńcami, z których większość zginęła, a pozostali... szukaj wiatru w polu. Nikt wam nie zapłaci za jego leczenie.

– Elita zapłaci. – Haru wskazała czerwone smugi na niebie. – Dołożą się do kosztów leczenia ofiar, bo muszą dbać, aby Ekwilibrium nie zostało zaburzone jeszcze mocniej. Jutro ma przybyć posłaniec ze złotem.

– Tak czy owak, będziesz mieć kłopoty z Kranzem. Oparzenia są drogie. Opatrunki, dieta...

– Kranz chyba upadł na głowę – syknęła Haru. – Ile ten chłopak ma lat? Dwanaście, trzynaście? Bez leczenia straci palce, zostanie kaleką, będzie się utrzymywał z żebraniny. Możemy temu zapobiec! Co, z Kranzem uważacie, że z dwojga złego lepiej karmić jakiegoś zapijaczanego dziada, bo tak wyjdzie taniej?

– Nie. – Jej wuj westchnął. – Oczywiście, masz rację. Ale będziesz mieć kłopoty z Kranzem.

– Jeśli Kranzowi coś się nie podoba, proszę bardzo, niech przyjdzie z tym do mnie, a ja go odeślę do srebrnych magów. Nasza bezinteresowna dobroczynność ma się podobno przyczyniać do utrzymywania Ekwilibrium.

Bernard nie powiedział nic więcej. Znał swoją siostrzenicę.

* * *

Krzyczący w Ciemności otworzył oczy.

Ukośny drewniany sufit, pobielone ściany. Pomieszczenie wyglądało na kwaterę służby w zamożnym domu. Żmij sięgnął pamięcią wstecz.

Ogień, ogień... Wszędzie ogień... Dym dławi za gardło, gryzie w oczy...

Tutaj! Chwyć mnie za rękę! Błysk portalu i błogosławiona, chłodna ciemność.

Ta szlachetnie urodzona żmijka w symbiotycznej masce. Marshia Lavallo. Ocaliła go przed ifrytami, zabierając... dokądś.

Usiadł na posłaniu, w pierwszej kolejności zauważając brak kurtki, butów i broni. Tunikę miał rozerwaną, a koszulę zachlapaną z przodu krwią, chyba z nosa, ale wyglądało na to, że płomienie nie wyrządziły mu żadnej krzywdy. Krzyczący dotknął włosów, ale nawet one nie były osmalone. Zakłęcie tarczy chroniło go zatem do samego końca. Ucierpiał raczej od dymu i wyczerpania.

Drgnął i spał się odruchowo, słysząc kroki. Nawet bez sprawdzania wiedział, że jego kamuflaż rozwiął się – po Mabiucie z Bardona nie zostało śladu. Nie miałyby teraz siły nałożyć iluzji ponownie, zresztą raczej nie miało to sensu.

Drzwi otworzyły się, wszedł człowiek w odzieniu służącego, a za nim Marshia Lavallo. Krzyczący rozpoznał ją tylko po aurze. Teraz jej włosy były zebrane w kunsztowny kok, męski strój zamieniła na granatową suknię ze złotym haftem. I pozbyła się maski.

Wyglądała młodziej, niż przypuszczał, wręcz dziewczęco. Albo należała do tych *ka-ira*, których Zmroczka uodparnia na upływ czasu, albo czyniła bardzo intensywny użytek z eliksirów odmładzających. Tylko zimne oczy ujmowały jej urody.

Krzyczący zaklął w duchu, bo dopiero teraz do niego dotarło, jak sam się prezentuje. Ręce miał usmolone sadzą, twarz też pewnie usmarowaną niczym u kominiarza i odzież w nie lepszym stanie.

– Daj spokój, nie wstawaj – rzuciła Marshia. – Jeszcze tego brakuje, żebyś mi tu zemdłał. Jak się czujesz?

– Lepiej. – Odkaszlnął. Zachrypl tak, że nie poznawał własnego głosu.

– Świetnie. Sądziłam, prawdę mówiąc, że ratuję kogoś innego – kontynuowała z tym samym czarującym uśmiechem, a żmij zacisnęła zęby. – To jak mam się do ciebie zwracać? Mabiuc z Bardona czy Brune Keare?

– To drugie – stwierdził niechętnie.

– To było bardzo dobre zakłęcie tarczy, Brune. Prawdę mówiąc, chyba jedno z najlepszych, jakie zdarzyło mi się oglądać. – Zawiesiła głos. – Oparzeń zasadniczo udało ci się uniknąć, ale co się nawdychałeś dymu, to się nawdychałeś. Wierz mi, zabrałam cię stamtąd w samą porę.

– Wierzę. I dziękuję – skłonił głowę. – Mam wobec ciebie dług życia, pani.

– Święte słowa – przytaknęła Marshia.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Około dziesięciu godzin.

– Aż tak długo? – zdziwił się.

– Długo? Ty się ciesz, że w ogóle rozmawiamy. Przecież mówię, że nawdychałeś się dymu. Klasyczne uszkodzenie dróg oddechowych. Zacząłeś mi się tu dusić, dostałeś eliksiry gojące, po których ścięło cię jak kłodę. Myśleliśmy, że już po tobie.

Brzmiało wiarygodnie i pokrywało się z tym, co mgliście pamiętał, ale był wściekły na siebie, że omal nie stracił życia i dorobił się długu wdzięczności. Cóż, za nieostrożność się płaci.

– Jak właściwie poznaliście moje imię?

– Przedstawiłeś mi się w malignie.

Pięknie. Cudnie po prostu. Ciekawe, co jeszcze mówiłem. Szlag!

– Gdzie jesteśmy? – spytał, żeby zmienić temat.

– W sferach, w mojej enklawie. Nie musisz się tu niczego obawiać, to bezpieczne miejsce.

Wierzył. Jeśli Marshia Lavallo dysponowała możliwościami, żeby utworzyć sobie enklawę w obcym wymiarze, było logiczne, że potrafi ją też odpowiednio zabezpieczyć.

– Ciesz mnie niezmiernie, że wracasz do sił – kontynuowała. – Zamierzam z tobą dłużej pomówić, Brune, ale żeby prowadzić kulturalną rozmowę, trzeba mieć warunki po temu. Kazałam zagrzać ci wodę do mycia i przygotować świeże ubranie. Jeśli czujesz się słabo, Benoit ci pomoże. – Wskazała głową służącego.

– Dziękuję, nie ma potrzeby – wycedził zmij.

Podniósł się ostrożnie, dzięki czemu udało mu się nie zachwiać. Stanąwszy boso na zimnej posadzce, przypomniał sobie o czymś.

– Moja broń.

Brwi arystokratki uniosły się. Benoit stał bez ruchu, uśmiechając się uprzejmie.

– Moje sztylety – powtórzył z naciskiem żmij.

– Oddaj mu te jego noże – poleciła Marshia, wzruszając ramionami. Benoit wyjął spod kaftana sztylety Krzyczącego i wręczył je właścicielowi z nieznacznym ukłonem.

– Dziękuję, pani – powiedział żmij z lodowatą grzecnością, lecz kolejny atak kaszlu zepsuł mu efekt. Marshia wyraźnie miała na końcu języka złośliwy komentarz, ale darowała sobie.

* * *

W piecu napalono, więc w niewielkim pomieszczeniu o kamiennej posadzce panowało przyjemne ciepło. Zgodnie z obietnicą, Krzyczący zastał tam – oprócz gorącej wody, mydła i ręczników – także czyste ubranie, złożone w kostkę, oraz swoje buty, oczyszczone z błota.

Przed Marshią nadrabiał miną, ale jeszcze bynajmniej nie czuł się dobrze, więc zanim doprowadził się do porządku, minęło trochę czasu. Obok miseczki z mydłem znalazł brzytwę, jednak z goleniem dał sobie spokój, bo trochę drżały mu ręce.

Związał mokre włosy i popatrzył po sobie, wyglądając czarną jak atrament tunikę ozdobioną haftami. Odzież, zbyt elegancka, by należeć do służącego, pasowała na żmija całkiem dobrze. Brune przez sekundę zastanawiał się, czy może to być ubranie samej Marshii, używane, gdy przebierała się za mężczyznę. Doszedł do wniosku, że tak; szczupła i wysoka, mogła bez trudu zamaskować swoją płęć, zakładając luźno skrojone rzeczy.

Sprawdził dla zasady, czy sztylet łatwo daje się wydobyć z rękawa, potem wyszedł na korytarz. Benoit już czekał.

– Pani zaprasza na kolację – poinformował uprzejmym tonem.

Krzyczący poszedł za nim, zaintrygowany i nieco spięty. Nie wiedział, czego się spodziewać – indagacji, próby zwerbowania go na służbę, a może tylko towarzyskiej rozmowy wypełnionej mniej lub bardziej subtelnymi docinkami. Poza tym, co tu dużo mówić, odwykł od takiego otoczenia i takiego stylu.

Marshia Lavallo urządziła swoje schronienie w sferach tak, jakby to była elegancka letnia willa. Nieduży salon pod każdym względem

pasował do reszty domu. Lśniący parkiet, zasłony, obrazy i lustra w złoconych ramach. Przed kominkiem stał stolik nakryty obrusem; blask świec migotał w zastawie.

– Zostaw nas samych, Benoit. – Marshia podniosła się z sofy, szeleszcząc suknią. Zmieniła uczesanie, teraz loki spływały luźno na kark. Na jej szyi błyszczał wąski, lecz niewątpliwie bardzo kosztowny naszyjnik z opali.

Zmierzyła Krzyczącego wzrokiem, ale komentarza się nie doczekał. Usiadła przy stole i gestem zaprosiła, by zajął miejsce naprzeciwko niej.

– Wina? – wskazała karafkę.

– Poproszę.

Nalała mu. Zakręcił kieliszkiem, oceniając pod światło barwę trunku, powąchał, skosztował. Było doskonałe. Upił odrobinę i ze zdziwieniem stwierdził, że zaczyna odczuwać głód.

Kolacja była, jak na taki dom, mało wyszukana, co Krzyczącemu zdecydowanie odpowiadało. Zimne potrawy, minimum ceremoniału. Sałata z oliwkami, pieczona cielęcina, jakieś pasztety. Postanowił nie dać Marshii satysfakcji i specjalnie jadł powoli, z demonstracyjną wręcz elegancją, pilnując się, żeby przy korzystaniu ze sztuców nie popełnić najdrobniejszej omyłki.

Marshia sączyła wino i patrzyła na niego z leciutkim, kpiącym uśmiechem.

– Kto by pomyślał – stwierdziła w pewnej chwili. – Woda jednak działa cuda. Słowo daję, wyglądasz teraz prawie jak szlachcic, jeśli się nie przyglądać zbyt dokładnie.

Westchnął w duchu. *Tak, zapytaj jeszcze, czy to była pierwsza kąpiel w tym roku.*

Wziął z patery brzoskwinię, zawahał się i zamiast ją po prostu ugryźć, pokroił owoc nożykiem na cząstki.

– Myślę, że teraz już możemy porozmawiać jak kulturalni ludzie – odezwała się Marshia w mowie magów.

– Nie mam nic przeciwko temu – odpowiedział płynnie w tym samym języku i z satysfakcją zauważył, że po raz kolejny ją zaskoczył.
– O czym?

– O twoich perspektywach, Brune. Sporo umiesz. Jestem, szczerze mówiąc, pod wrażeniem. Spójrzmy prawdzie w oczy, marnujesz się w

tych lochach.

Wzruszył ramionami.

– Chwilowo nie widzę ciekawszych alternatyw.

– Mogę ci jedną zaoferować. – Uśmiechnęła się. – Współpracę.

– Na jakich zasadach?

– Na prostych. Pracujesz dla mnie.

– W jakim charakterze?

– Wykonawcy rozkazów. – Żmijka obracała w dłoni kieliszek. Z wyrazu jej twarzy Krzyczący poznał, że na razie nie dowie się więcej, i pomyślał, że chyba już wie, czym zajmuje się Marshia Lavallo. Intrygantka, tkająca sieci wśród arystokracji, by realizować własne cele.

– Co miałbym z takiego układu? – spytał jeszcze.

– Różne korzyści. Na przykład... znacząco wyższy poziom życia.

Nie wytrzymał. Wpatrzył się w świecę, skupił się i sprawił, że każdy z płomyków na sekundę przybrał postać kwiatu bądź zwierzęcia. Róża, chryzantema, smok, kot – iluzje tańczyły w powietrzu, złote i ulotne. Potem zgasły.

– Pani, gdyby mi zależało...

Nadal się uśmiechała, ale jej twarz zastygła jak maska.

– Niedostatek ambicji to wstyd dla maga. Tak wielu rzeczy cię nauczono, a tego nie?

– Zależy jakich ambicji.

Przez chwilę sądził, że przeholował. Oczy Marshii zabłyśły, uniosła dłoń, jakby szykując się do rzucenia zaklęcia. Ale zaraz potem roześmiała się swobodnie i dolała sobie wina.

– Punkt dla ciebie. Ale może inne argumenty cię przekonają. Mogłabym ci zapewnić dostęp do ksiąg i pergaminów, do których nigdy nie dotarłbyś na własną rękę. Pisma Mistrzów Elity...

– Nie, pani. To kusząca oferta, ale nie dla mnie.

Patrzyła na niego przez chwilę z taką miną, jakby nie pojmowała jego rozumowania. Potem wzruszyła ramionami.

– No cóż, chcesz pozostać wśród mętów, twoja wola. Mogę jedynie wyrazić ubolewanie, że talent nie idzie u ciebie w parze z rozsądkiem.

– Nikt nie jest doskonały.

Nagle poczuł, że znowu brakuje mu tchu. Demonstracja z iluzjami jednak nie była rozsądnym posunięciem, przecenił swoje siły. Zaczął

kaszleć, zasłaniając ręką usta.

– Dobrze się czujesz? Chcesz wody? Może jeszcze eliksiru?

– Nie trzeba – potrząsnął głową, gdy w końcu udało mu się złapać oddech. Dopił wino, prawie nie czując jego smaku. – Ten obraz nad kominkiem to widok na Zatokę Snów?

– Masz na myśli ten z zachodzącym słońcem i klifami? Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

– Mogę go obejrzeć z bliska?

– Oczywiście.

Potrzebował pretekstu, żeby wstać od stołu. Od zapachu potraw zaczynała go boleć głowa.

Marshia też wstała i podeszła, szeleszcząc falbankami. Stała obok niego, blisko, bliżej niż się spodziewał. Pachniała jaśminem.

Przeczesała dłonią swoje czarne loki, założyła za ucho niesforny kosmyk. Krzyczący stał z założonymi rękoma i pozornie obojętną miną, ale zawiesił wzrok na jej włosach i wyobraził sobie, że wtula w nie twarz.

Musiała wyczuć, o czym pomyślał. Odwróciła się i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Odsuń się. Nawet umyty zalatujesz rynsztokiem.

Drgnął jak uderzony. W dwóch krokach podszedł do okna i otworzył je na oścież, aż stuknęły okiennice. Marshia uśmiechała się z rozbawieniem. Oczywiście kusił w pełni świadomie, tylko po to, żeby móc po raz kolejny pokazać mu jego miejsce.

Oparł się o parapet i odetchnął chłodnym, pachnącym rosą powietrzem. Nie miał już ochoty ani na wino, ani na wysłuchiwanie dalszych złośliwości.

Noc była pogodna, nad drzewami w ogrodzie migotały gwiazdy. Krzyczący odszukał wzrokiem znajome konstelacje – dwie, potem jeszcze trzecią. Nie miał zbyt dobrej pamięci do map nieba, ale po chwili zastanowienia wiedział już, w którym rejonie sfer leży enklawa Marshii. Gdyby się postarał, dałby radę otworzyć stąd portal i to z minimalnym echem. Dematerializacja byłaby szybsza, ale wymagała większego nakładu sił, co zdecydowanie mu się nie uśmiechało.

Czuł się parszywie, psychicznie i fizycznie. Kolacja pomogła, ale tylko odrobinę. Potrzebował odpoczynku, snu.

– Myślę, że wyczerpaliśmy tematy do rozmów – stwierdził. – Jeśli

nie masz nic przeciwko temu, pani, wolałbym nie nadużywać dłużej twojej gościnności.

– Co, chcesz wracać? Nierozsądnie. W Podziemiach zapewne wciąż jeszcze roi się od srebrnych.

– Zaryzykuję.

Marshia zastanawiała się przez chwilę.

– Niech ci będzie. Ale nie wypuszczę cię w takim stanie.

Wezwała Benoita i wydała mu półgłosem polecenie. Służący po niedługiej chwili wrócił z drobną dziewczyną w brązowej sukni i koronkowym czepku.

– Moja pokojówka jest bardzo dobrą żyłą – wyjaśniła Marshia. – Przydatny układ, nie sądzisz?

Przywołała dziewczynę gestem. Krzyczący zawahał się, czując się wyjątkowo niezręcznie. Wiedział rzecz jasna, co powinien zrobić, ale do tej pory konsekwentnie unikał korzystania z żył – dopóki zajmował się tylko alchemią, nie było takiej potrzeby, a czerpanie dla przyjemności mierzilo go. Tym bardziej nie miał ochoty teraz łamać swoich zasad na oczach Marshii. W dodatku ta żyła ewidentnie służyła swojej pani zbyt często, sądząc z bladej cery i podkrążonych oczu.

– Czerp, nie krępuj się – prychnęła Marshia. – Nie po to wyciągałam cię z ognia, żebyś się później rozchorował przez niedobór siły życiowej.

Czując na sobie jej pogardliwy wzrok, przyłożył dziewczynie ręce do skroni. Tak jak się spodziewał, żyła drgnęła i skrzywiła się lekko. Był wygłodniały, więc musiało zabolec, choć starał się czerpać jak najostrożniej.

Okazała się słabsza, niż myślał – pod koniec czerpania nagle zachwiała się, jakby miała zemdleć. Krzyczący podtrzymał ją szybko, pomógł usiąść na sofie.

– Wszystko w porządku? – spytał cicho.

– Zabierz ręce, Brune – poleciła zimno Marshia Lavallo. – Nie życzę sobie, żebyś jej dotykał w taki sposób.

Aż zaparło mu dech. Tego się nie spodziewał. Nawet po niej.

Opanował się z wysiłkiem.

– Pani. – Skłonił się lodowato. – Dziękuję za wszystko. Wracam do miasta, nic tu po mnie. Ubranie oddam ci przy najbliższej okazji.

– Nie zadawaj sobie trudu. – Ton, jakim zostało to powiedziane, nie pozostawiał wątpliwości, że Marshii te rzeczy już na nic się nie przydadzą.

* * *

Ledwie wyszedł z portalu, zmij zamarł. Uderzył go wiszący w powietrzu smród spalenizny. I czarna, niemożliwa do pomylenia z czymkolwiek innym, aura bólu.

Potem wyczuł palącą jak słońce obecność. Srebrni.

Czy nie należało odczekać? Może popełnił fatalny błąd, wracając do Podziemi wbrew temu, co radziła Marshia. Ale Krzyczącego uspokoiła świadomość, że portal już się zamknął, echa prawie nie dawało się wyczuć. A srebrni znajdowali się kilka poziomów wyżej i mieli inne zmartwienia.

Skupił się, sięgając wewnętrznym wzrokiem poprzez mury, i aż go zemdlilo od tego, co wyczuł. Ogień, cierpienie i śmierć. Zacisnął zęby. Nie mógł tam iść ze względu na srebrnych.

Pomyślał, że jest jedno miejsce, gdzie na pewno nie spotka golemów, za to ma szansę czegoś się dowiedzieć. Zszedł na najniższy poziom, do tawerny Scaraveshii. Przy stołach siedziało więcej gości niż zwykle, Płosząca Ptaki uwijała się z tacą pełną kufli i kieliszków, ale nie było słycać ożywionego gwaru. Rozmawiano ściszymi głosami, ponuro.

Krzyczącego ponownie uderzyła czerń w aurze, jaka otaczała ludzi. Stojąc w progu, mimo woli zaczął wyłapywać urywki rozmów.

Marcelo nie żyje, Giassinę zabrano na powierzchnię...

Całe szczęście, że magowie przybyli tak prędko...

Dziękujcie bogom, że stary Veljanov ma układy z medykami...

Nagle usłyszał znajomy głos.

– Brune? Brune, to ty?!

Pod ścianą siedzieli Szczur i Rożek. Krzyczący przysiadł się do nich. Z bliska spostrzegł, że sierść Szczura jest osmalona tu i ówdzie, a Rożek ma rękę owiniętą szmatami.

– Na bogów, co tu się stało? – spytał cicho zmij.

– Ifryty, tak się chyba nazywają te stwory, zjawily się znikąd na naszym poziomie i rozpętały piekło. Dzięki bogom, srebrni postanowili się wmieszać. Gdyby nie oni, byłoby po nas.

– Na waszym... – Brune zamarł.

Odmieńcy Siniego.

Znajda.

Jakby czytając zmijowi w myślach, Rożek ujął go za ramię, posadził na ławie i podsunął mu kufel.

– Napij się i słuchaj.

– Nie chcę – Krzyczący odsunął piwo, więc wojownik sięgnął po nie i kontynuował.

– Prawie wszyscy śmieciarze zginęli. Te stwory zmieniły ich kryptę w piec. Ale twój kumpel, ten chłopak, jak mu tam...

– Znajda.

– Jakimś cudem przeżył.

Żmij pomyślał ponuro, że to niekoniecznie musi być dobra wiadomość.

– Co z nim?

– Pomagałem mu wyjść na powierzchnię. Trafił chyba do szpitala za Rybią Bramą. Po mojemu powinien się wylizać. Miał naprawdę cholernie dużo szczęścia, wierz mi.

Coś w głosie odmieńca sprawiło, że Brune rozejrzał się.

– Siedzicie tu we dwóch. Gdzie Rybi Pysk?

Ich miny powiedziały mu wszystko. Rożek rozłożył ręce.

– Nie zdążył uciec.

Żmij skłonił głowę.

– Przykro mi.

– Takie jest życie. – Szczur opróżnił kufel.

* * *

Błada i z podkrążonymi oczami, ale poza tym wyglądająca już nienagannie, w nieskazitelnie białej szacie, Iglendis ar Vanth wkroczyła do laboratorium. Kłaniający się golem służebny otworzył przed nią drzwi zaciemnionej sali.

Od progu uderzył ją zapach – zgniły i duszący, budzący mdłości.

W rogu pomieszczenia stał zbiornik z grubego szkła. Reohan unosił

się wewnątrz, w zielonkawej, mętnej cieczy. Przywodził na myśl dziecko w łonie matki.

Wystarczyło kilkanaście godzin, żeby symbiotyczna maź zdążyła zaleczyć jego rany. Nie mogła jednak naprawić uszkodzonego kręgosłupa, przywrócić czucia w rękach i nogach. Dlatego konieczne było inne rozwiązanie.

Iglendis mimo woli wstrzymała oddech. Jej uczeń miał zamknięte powieki. Pośrodku czoła zaczynał się już formować ciemny zawiązek trzeciego oka.

Musiła sprawdzić, czy jego mózg pozostał sprawny. Przywołując moc, dotknęła ściany zbiornika.

– Obudź się.

Reohan zobaczył srebrzysty rozbłysk, poczuł przeszywające ukłucie. Powracająca świadomość zalała go falą obrazów i bólu.

Krzyczał długo, bezgłośnie, dławiąc się mazią, która wypełniała jego płuca.

11. Szpital

Haru wprawnymi ruchami zakończyła bandażować oczyszczoną ranę. Rzuciwszy okiem na pozieleniałą twarz pacjenta, opłukała ręce w podsuniętej przez posługacza miednicy.

– Ocućcie go, dajcie łyżeczek wódki i na salę. Janis! Umyj wrzątkiem narzędzia, wytrzyj posadzkę, wywietrz tu i wykadź. Jak skończysz, zawołaj mnie. Będę na dole u położnych.

Gdy tylko znalazła się na korytarzu, podeszła do otwartego okna, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Od zaduchu panującego w pomieszczeniu, gdzie dokonywano zabiegów chirurgicznych, bolała ją głowa.

Zeszła na parter, zamieniając na schodach kilka słów ze służącą. Dowiedziała się, że staruszka z wrzodami na nogach ma się coraz lepiej i zdaniem Kranza to jednak nie jest trąd, a zagłodzony niemal na śmierć kaleki chłopak, którego rano przynieśli strażnicy miejscy, zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

– A, pani dochtór! – krzyknęła za nią jeszcze dziewczyna. – Przy wejściu czeka ktoś ze sprawą!

Machnęła ręką w kierunku drzwi prowadzących na ulicę. Kulawy Grispe, dawny bezdomny, a od kilku lat szpitalny odźwierny, rozmawiał właśnie z młodzieńcem odzianym na czarno. Haru podeszła do przybysza, odwiązując po drodze zakrwawiony fartuch. W pierwszym odruchu pomyślała, że to ktoś z uniwersytetu – studenci medycyny uczyli się zawodu na ubogich.

– Do Bernarda Savin? Znajdziesz go na tylnym dziedzińcu.

Potrząsnął głową.

– Przyszedłem odwiedzić Znajdę. Tego poparzonego chłopca z Podziemi.

Zaintrygowana Haru przyjrzała mu się uważniej. Był ubrany biedniej, niż jej się wydało na pierwszy rzut oka, lecz mówił

poprawnie, bez śladu gwary, którą posługiwało się pospólstwo. Może nie wzbudziłyby aprobaty zamożnych mieszczan, gdyby miał z nimi usiąść przy jednym stole, ale z całą pewnością nie kojarzył się z Podziemiami.

Zatrzymała dłużej spojrzenie na jego twarzy. Wyglądał na jej rówieśnika, może był trochę starszy. Miał śniadą cerę, choć nie tak śniadą, jak ludzie z Nedgvaru, a na policzku trzy szramy. Od razu pomyślała, że skądś je zna. Tylko skąd? Zadziwiające, że tak charakterystyczny szczegół nie wrył się jej mocniej w pamięć.

Blizny wyglądały na ledwie zagojone, a skóra wokół nich była nierówna, z przebarwieniami. Lekarce przypomniały się obrażenia zadane przez szpony harpii, które raz czy dwa razy widziała na stole sekcyjnym. Trucizna niszczyła otaczające tkanki tak, że wokół rany tworzyły się pęcherze, ciało gniło i spadało. Ale Haru nie słyszała nigdy, żeby ktoś przeżył tego rodzaju zranienie, a zresztą nieznajomy sprawiał wrażenie kogoś, kto harpie może znać raczej tylko z ksiąg.

Kiedy spostrzegł, że lekarka mu się przygląda, cofnął się, uciekając spojrzeniem w bok.

– Jak on się miewa? – spytał. – Jest bardzo źle?

– Nie. Ale będzie musiał u nas zostać jakiś czas.

– Jak długo?

– Trudno powiedzieć. Nie wypuszczę go, dopóki rany się nie wygoją.

– Kiedy można będzie się z nim zobaczyć?

– Jesteście jego krewnym? – zmarszczyła brwi Haru.

Brune zawahał się, bo nie wymyślił zawczasu żadnego przekonywującego kłamstwa.

– Przyjacielem.

– Przyjacielem? Bezdomnego? – Lekarka zmrużyła oczy. Poczł falę gniewu i wstydu, bo odgadł, o czym pomyślała.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, po prostu wyjął z torby to, z czym przyszedł – gliniany dzbanek, zapieczętowany woskiem – i wręczył jej.

– Pani, przyniosłem coś, może się przyda. Jak nie dla Znajdy, to dla innych.

Haru podważyła pieczęć i poczuła charakterystyczny, intensywny, lecz przyjemny zapach. Maść na bazie miodu, aloesu i szaławii, na oparzenia i źle gojące się rany.

Spojrzała zaskoczona, ale mężczyzna już zdążył wyjść na ulicę.

Odprowadziła go wzrokiem, myśląc, że w tej pracy niespodzianki nigdy się nie kończą.

* * *

Na odgłos otwieranych drzwi chowaniec wylazł z dziury w ścianie. Minę miał kwaśną.

– Nie spieszyłeś się, co? Gdzieś ty łaził?

– Na targ, między innymi. – Żmij rzucił wypchaną torbę na stół. – Zazel, coś ty taki marudny?

– Bo mi zimno!

Krzyczący przykląkł obok paleniska. Pod warstwą popiołu tliły się jeszcze resztki żaru. Dołożył drewna, szepnął rozkaz w mowie magów i po chwili polana zajęły się płomieniem. Zazel tymczasem oglądał i obwąchiwał zakupy.

– Chleb... ser... wędzona ryba... jabłka... – Z dezaprobatą popatrzył na żmija. – Czy ty kiedykolwiek jesz coś innego? Pasztetu byś raz przyniósł, skąpiradło. Albo ciastek. A to co? – Wyciągnął z torby księgę w zniszczonej skórzanej oprawie z metalowymi okuciami.

– Zostaw! – Krzyczący poderwał się. – Nie dotykaj!

– Czemu? Jeśli są tam gołe kobietki, ja też chcę popatrzeć!

– To grymuar, ty błaznie! Droższy niż cokolwiek, co tu mamy! Nie będziesz go dotykał swoimi brudnymi łapami. Sio! – Przegonił chowańca, usiadł na krześle i sam zaczął przerzucać karty księgi. Obrażony Zazel wgryzł się w jabłko.

– Mam nadzieję, że nie zapominasz o najważniejszym – stwierdził, chrupiąc.

– Hmm? – Żmij ostrożnie rozdzielił strony, które skleića wilgoć. Wpatrzył się w rycinę przedstawiającą demona w kobiecej postaci, odzianego w żebracze łachmany.

– Czary bojowe, Brune. Chyba warto, żebyś poćwiczył co lepsze. Piorun Borseliusa, sine błyskawice, ściana ognia i te sprawy.

– Tak? A czemu?

– Czuję w kościach, że ta cała Lavalie nie pozwoli, żebyś na długo o niej zapomniał, skoro masz wobec niej dług życia. Narobi ci jeszcze kłopotów, zobaczysz.

Krzyczący uśmiechnął się. Blizny jak zwykle sprawiły, że uśmiech

bardziej przypominał grymas.

– Niech próbuje, Zazel.

Wyszedł, żeby przynieść więcej drewna. Kiedy wrócił, z kryjówki chowańca dobiegało chrapanie, a na otwartym grymuarze leżał ogryzek.

* * *

Zazel, rzecz jasna, miał rację. Przyszłość kryła zagrożenia – żeby to wiedzieć, nie trzeba było posiadać daru prekognicji.

Żmij wracał z powierzchni. Zostawił antykwariuszowi kilka buteleczek z tym i owym – druga rata zapłaty za grymuar. Sumienie trochę go gryzło, bo niektóre z tych substancji były niebezpieczne. Ale z drugiej strony, jeśli stary człowiek chce na własną rękę zażywać tak silne środki, to jego sprawa.

Skrećiwszy ze schodów w boczny korytarz, Krzyczący usłyszał łomot kroków. Z naprzeciwka nadchodził patrol golemów. Żmij cofnął się pod ścianę, naciągając kaptur głębiej na twarz, ale Jednoocy nie zaszczycili go nawet spojrzeniem.

Wyszedł na placyk, gdzie świeciło kilka lamp. W jednej, pękniętej, na dnie zostały tylko marne resztki fosforyzującej cieczy.

We wnęce siedziało dwóch włóczęgów, popijając z butelki. Nagle jeden z nich szturchnął towarzysza.

– Hej, Powl, patrz no. Ile może być warta taka kurtka?

Podniszczona, wyszarzała kurtka żmija wyróżniała się wyłącznie tym, że nie była dziurawa ani połatana. Ale to wystarczyło.

Krzyczący podniósł głowę, wyrwany z zamyślenia, kiedy dwie obdarte postacie zastąpiły mu drogę.

– Hej, ty! Rozdziewaj się!

– Co takiego? – zdziwił się.

– To, co słyszałeś. Wyskakuj ze szmat, jeśli nie chcesz stracić zębów.

Krzyczący popatrzył na nich przeciągle.

– Niesamowite – wycedził. – Gdzie wyrabiają takie puste łby?

Powl zamachnął się na niego pięścią. Był to bardzo zły pomysł. Żrenice żmija błysnęły żółto.

* * *

Haru zmieniała właśnie opatrunki chłopcu, któremu kilka dni wcześniej musiano odjąć nogę zmiądzoną przez przewrócony wóz, kiedy do jej uszu dobiegł okropny zgiełk. Pospiesznie skończyła wiązać bandażę i wybiegła na korytarz.

– Co tu się dzieje? Co to jest, do jasnej cholery, szpital czy cyrk?

Czterech posługaczy, w tym Janis, szarpało się z dwójką obdartusów, którzy zachowywali się tak, jakby postradali rozum. Jeden kręcił się na czworakach, pokrzykując nieartykułowanie. Od czasu do czasu z jego gardła wydierał się okropny, żalorny skowyt. Drugi na przemian gdakał i kwakał, to znów wydawał jakieś przedziwne piski.

– Co oni pili? – zadała retoryczne pytanie Haru. – I kto ich przyprowadził?

Janis bardzo starał się nie śmiać, chociaż sytuacja wcale nie była śmieszna.

– Straż miejska ich tu przywlokła. Jak ich prowadzili ulicą, zaraz zrobiło się zbiegowisko, a do nas było bliżej niż do ciupy.

– Czy panowie strażnicy wyobrażają sobie, że mamy tu warunki, pieniądze i czas, żeby zajmować się durkami, którzy się nachlali jakiegoś wynalazku... – Haru potarła zmęczone oczy. – Do piwnicy, pod klucz, niech to odeśpią.

Na dźwięk jej głosu szaleńcy jakby nieco oprzytomnieli. Przycichli i już tylko rozglądali się głupkowato.

– Dalej, panie komediant, słyszeliście, co wam doktor zaordynowała. Idziemy. – Jeden z posługaczy szarpnął za ramię tego od gdańców i pisków.

Haru tylko pokręciła głową; nie było jej do śmiechu. Nagle nadstawiła ucha, bo jej uwagę znowu przykuło zamieszanie, tym razem pod drzwiami na ulicę.

– Co się tam dzieje? Janis, chodź ze mną.

Przed wejściem awanturował się pijany mężczyzna w brudnym roboczym odzieniu.

– Epidemia jakaś czy co? – syknęła Haru, po czym podeszła energicznym krokiem. – Hej! Wy w jakiej sprawie?

Mężczyzna zaczął bełkotać o córeczce, którą chciałby odwiedzić.

– Nie ma mowy! Tu jest szpital, nie karczma! Pijani i w takim stroju nie wejdziecie na pewno. A ty czego chcesz? – spytała ostro, ponieważ ktoś jeszcze zastąpił jej drogę. Złagodniała jednak, gdy ujrzała, że tym kimś jest ciemnowłosy młody człowiek od maści na oparzenia. Skłonił uprzejmie głowę.

– Pani, jeśli to możliwe, chciałbym się zobaczyć ze Znajdą.

– Już. Chwileczkę. – Haru zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. – Drugie piętro. Zaprorowadzę cię.

Brune zdziwił się, że tym razem nie zgłaszała sprzeciwu. Wchodząc za nią po schodach, pomyślał, że lekarka wygląda na przemęczoną. Cóż, taki zawód.

Bezwiednie dotknął policzka. Czuł się nieswojo, przychodząc tu bez iluzji na twarzy. Wiedział, że ryzykuje, ale nie miał wyjścia, Znajda pamiętał go z bliznami.

– Tutaj. – Haru otworzyła drzwi, zza których dobiegały dziecięce głosy.

W ciasnawej salce panował półmrok, przez wąskie okna wpadało niewiele światła. Nie było tu nawet łóżek, tylko zaimprovizowane posłania, ale podłogę wyszorowano, a na siennikach leżała czysta pościel. Krzyczący zadał sobie przelotnie pytanie, czy szpital finansowany jest przez miasto, czy przez Elitę. Zapewne jedno i drugie, a do tego datki od zamożnych dobroczyńców.

Dwie dziewczynki – jedna z opatrunkiem na oku – stały przy oknie, rozmawiając i śmiejąc się. Znajda siedział na posłaniu i przyglądał się, jak drugi, młodszy chłopiec układa na kocu pasjansa. Widać było, że chętnie zagrałiby ze sobą, jednak zabandażowane grubo ręce Znajdy uniemożliwiały mu na razie trzymanie kart. Włosy miał ostrzyżone przy samej skórze, ale – ku uldze żmija – żadnych oparzeń na twarzy; szczęście w nieszczęściu. Na widok wchodzących najpierw zamrugał z niedowierzaniem, potem rozpromienił się.

– Brune?! Co ty tu robisz?

– A jak sądzisz? Przyszedłem cię odwiedzić.

– Zostawiam was – powiedziała lekarka. – Bądźcie grzeczni, i żadnego hazardu, Mati! – Mrugnęła żartobliwie do drugiego chłopca, który pozbierał karty i teraz je tasował z widoczną wprawą.

– Jak się czujesz? – spytał Krzyczący, siadając na posłaniu.

– Ja? Już dobrze, ale... – Znajda posmutniał, patrząc na swoje

dłonie. – Wiesz przecież, co się stało z rodziną – dorzucił cicho.

Rozmawiali przez chwilę, ale choć żaden nie powiedział tego wprost, obaj czuli się niezręcznie. Żmija dręczyły irracjonalne wyrzuty sumienia, że nie mógł w żaden sposób zapobiec tragedii w Podziemiach.

– Czym się teraz zajmujesz? – spytał w końcu Znajda, spoglądając na przyjaciela z ciekawością. – Chyba nieźle ci się powodzi, co?

– Można tak powiedzieć. – Krzyczący, który spodziewał się tego pytania, wykonał dłonią dyskretny ruch, naśladując wyjmowanie noża. – Fevrierowi też dobrze się powodziło.

Znajda chciał coś powiedzieć i zamilkł. Miał minę, jakby odpowiedź wbiła go w ziemię.

– Hej, wujku, ty jesteś z Podziemi? – Mniejsza z dziewczynek zbliżyła się, spoglądając na Krzyczącego z szerokim, śmiałym uśmiechem. Mogła mieć jakieś osiem, dziewięć lat; kiepsko sobie radził z odgadywaniem wieku dzieci. Jej jasne włosy były krótko obcięte, na szpitalnej koszuli nosiła ciepły serdak i poruszała się sztywno, z lekką kulejąc. Jej koleżanka, ta z opatrunkiem na oku, trzymała się z tyłu.

– Z Podziemi – potwierdził, też się uśmiechając. – A ty?

– Ja jestem Giassina, z drugiego poziomu. Mój tata sprzedaje najlepsze ciastka na Loss Fomar!

– Co ci się stało?

– Ifryt mnie poparzył, tak jak jego. – Wskazała głową Znajdę. – Ale my i tak mieliśmy szczęście. Powinieneś zobaczyć tych z sali piętro niżej. Haru mi opowiadała...

– Doktor Haru – poprawił ją karcąco chłopiec od kart.

– Haru! Sama powiedziała, żeby tak do niej mówić! – Giassina usiadła na łóżku i syknęła, uraziwszy się widocznie przy nieostrożnym ruchu. Krzyczący nagle zorientował się, że zupełnie odruchowo sięga umysłem w jej umysł, żeby też poczuć ból. Wypić go, jak krew.

Czerń karmi się cierpieniem. Niech to szlag!

Dopiero teraz uderzyło go, że spędziwszy trochę czasu w szpitalu, czuje orzeźwiające ciepło, jakby napił się rumu. Mimo woli chłonał przesyconą bólem aurę tego miejsca, tak jak roślina chłonie wodę z ziemi.

– Ja... muszę już iść, przepraszam was – powiedział szybko. Nie był

pewien, czy przebywając tu dłużej, może zaszkodzić pacjentom. Pospiesznie pożegnał się ze Znajdą i wyszedł.

Sądził, że aby trafić do wyjścia, wystarczy zejść po schodach dwa piętra w dół i skręcić w lewo, ale ponieważ zorientował się, że w rozkojarzeniu jednak pomylił drogę. Zamiast do głównego przedsionka, trafił do ciasnego korytarzyka, gdzie piętrzyły się różne graty. Były tu drzwi na dziedziniec, ale zamknięte na kłódkę. Wyjrzał przez najbliższe okno, usiłując się zorientować, w którym kierunku znajduje się główne wyjście z budynku, ale udało mu się zobaczyć tylko tylną ścianę jakiejś szopy.

Nagle z sąsiedniego korytarza usłyszał podniesiony, gniewny głos Haru. Zaintrygowany zmij podszedł tam i stanął pod zamkniętymi drzwiami sali, gdzie musiało się odbywać coś w rodzaju narady. Lekarkę najwyraźniej roznosiła wściekłość.

– Nie, Kranz! Nie ma mowy! To skandal! Chorzy nie będą jedli chleba z robaczywej mąki! Co za miasto! Najpierw ci aptekarze, przekłeta banda złodziei, a teraz jeszcze to!

Zachrypnięty męski głos coś zamamrotał.

– Jakie oszczędzanie, na chlebie?! Nie chcę już nic więcej słyszeć na ten temat! Ani słowa!

Inny męski głos przemówił gniewnie, ale Haru natychmiast weszła mu w słowo.

– Że co? Co rada cechu? Rada cechu może mnie pocałować, wiesz gdzie! Zamiast pieprzyć jak ślepy o kolorach, niech nam łaskawie wypłacą te pieniądze, których nie zobaczyliśmy od stycznia!

Zachrypnięty zapytał o coś. W odpowiedzi huknęło; chyba Haru rąbnęła pięścią w stół.

– Tak, żebyś wiedział, że sama pójdę! Pójdę i powiem temu kupcowi, że ma nam na jutro przywieźć dobrą mąkę, a to zarobaczone świństwo może zeżreć osobiście! Że co? Tak, oczywiście, że na kredyt! Inaczej naśle na niego celników. Albo i Elitę!

Okrzykowi towarzyszył głośny stuk, zapewne odsuniętego z rozmachem krzesła. Krzyczący przezornie cofnął się za róg.

Trzasnęły drzwi, zabrzmiały kroki i na korytarzu pojawiła się Haru, ponura jak gradowa chmura. Na jego widok stanęła jak wryta. Zaraz jednak, ku zdumieniu zmija, uśmiechnęła się.

– Brune? Tak się nazywasz, prawda? Mogę cię prosić na słówko? –

Nie czekając na odpowiedź, wyjęła klucz i otworzyła najbliższe drzwi.
– Pozwól do mojego gabinetu.

Pomieszczenie było nieduże, wręcz ciasne, o odrapanych ścianach. Stały tam uginające się pod ciężarem książek półki i prosty sekretarzyk. Na oparciu krzesła wisiał poplamiony krwią fartuch.

– Usiądź, proszę – Haru wskazała zmijowi stary fotel. Sama opadła na krzesło, odchyliła głowę do tyłu i pomasowała skronie. Jej ciemne włosy jak zwykle były niedbale związane, kilka kosmyków wymykało się spod czepka. Brune nie musiał się specjalnie wysilać, żeby odczytać jej myśli, pełne goryczy i troski. Szpital, jak większość tego rodzaju instytucji, tonął w długach.

Przyglądając się lekarce z bliska, zmij przekonał się też, że jest młodsza, niż sądził; mogła mieć dwadzieścia kilka lat, na pewno nie więcej. Zapewne była córką jakiegoś medyka, który nie posiadał synów, więc wykształcił ją. Ale dziwne, że cech wysłał ją do pracy w takim miejscu.

Nie moja sprawa.

Haru tymczasem usiadła prosto. W zamyśleniu złożyła dłonie, po czym popatrzyła na niego bystro ponad stykającymi się czubkami palców.

– Jesteś aptekarzem?

– Alchemikiem.

– Z cechu?

Zawahał się, ale nie było sensu kłamać.

– Nie.

– Tę maść przygotowałeś sam? Znasz się na sporządzaniu leków?

– Można tak powiedzieć.

– Doskonale. Sprawa wygląda następująco: pilnie potrzebujemy paru specyfików. Mamy tu naszego własnego specjalistę, który sporządza proste leki na miejscu, ale rozchorował mi się na tyfus, a chwilowo nie stać nas, żeby zapłacić aptekarzowi z cechu. – Haru zaśmiała się sucho. – Mamy już długi we wszystkich aptekach w mieście. Dzięki Elicie, rzecz jasna. Wymagają pod groźbą sankcji, żebyśmy za darmo pomagali biednym, ale wypłacają nam w tym celu pieniądze tylko wtedy, kiedy – jej usta wykrzywiły się drwiąco, i przez chwilę wyglądała o dziesięć lat starzej – Ekwilibrium im pozwala.

Wściekłość po prostu biła z niej, inaczej zapewne nie powiedziałaaby

takich rzeczy obcemu. A Krzyczący na wpół świadomie chłonał jej złe emocje, jakby ogrzewał się przy ogniu. Kiedy się zorientował, cofnął się z dreszczem, siłą woli nakazując sobie przestać.

Lekarka opanowała się tymczasem.

– Nieważne. Tu jest lista środków, które są nam potrzebne. – Spośród walających się na blacie sekretarzyka pergaminów wyłowiła jeden i podała mu. – Potrafisz je przygotować?

Żmij przebiegł wzrokiem nazwy specyfików. Nie było tego dużo. Chodziło o tanie maści na rany i wrzody, gałki na żołądek, syrop od kaszlu oraz mieszankę żywic do wykadzania.

Aż musiał się uśmiechnąć, oczywiście tylko w duchu. Rozumiał, że właśnie daje się bezczelnie wrobić, ale niehonorowo mu było odmówić ludziom, którzy pomogli Znajdzie.

– Potrafię, jeśli macie przepisy.

– Dostaniesz je. Surowce są na miejscu. Możemy ci udostępnić pracownię Andrasa, oczywiście pod warunkiem, że zastanie ją później w takim samym stanie, w jakim ją zostawił. I jeszcze jedno. – Haru zniżyła głos. – Nikomu o niczym nie powiesz, bo wtedy my moglibyśmy donieść tu i ówdzie, że... w twoich oczach jest coś podejrzanego, Brune. Wiesz, o czym mówię.

Krzyczący znieruchomiał.

Nie lubię, kiedy mi się grozi, pani. Najchętniej wycodziłby to zimno, ostrzegawczo. Ale miał za dużo rozumu, żeby zareagować w ten sposób.

* * *

– Czyś ty zgłupiał? – Zazel wytrzeszczył oczy. – To na pewno pułapka! Wydadzą cię srebrnym!

– Nie wygłupiaj się. To porządni ludzie, a ja jestem im coś winien.

– No dobrze, a co z tamtym zamówieniem, wiesz którym? Jak nie zdążysz na czas, Delilah się wścieknie!

Delilah, młoda skośnooka mistrzyni z cechu alchemików, miała kram na Loss Fomar. Sprzedawała różne dziwne specyfiki; jej specjalnością były nietypowe środki odurzające, jak na przykład szminka o ciekawych właściwościach, popularna wśród prostytutek. Delilah nie miała uprzedzeń do współpracy z kimś, kto nie należy do

cechu, ale strzegła zazdrośnie swoich receptur i u Krzyczącego zamawiała tylko półprodukty, których nie chciało jej się sporządzać samej.

Żmij z westchnieniem wyciągnął spod stołu stary, owinięty w szmaty garnek, pełen podgrzanego nad paleniskiem piasku, który wciąż jeszcze trzymał ciepło. Od godziny inkubowała się w nim zakorkowana kolbka wypełniona bursztynowym płynem.

– Możesz jej to zanieść jutro z samego rana. A jak będziesz wracał, kup sobie obwarzanka i nie marudź.

Stwór wymamrotał coś kwaśno. W oczach Krzyczącego zamigotały wesołe iskierki.

– Ach, ty malkontencie. Zaczekaj, zaraz poprawi ci się humor. Mam dla ciebie niespodziankę.

Wyszedł do drugiej krypty i wrócił, niosąc garnek z przykrywką oraz talerz owinięty w płócienną ściereczkę. Chowaniec zajrzał do garnka i aż się oblizał.

– Nie może być! Pieczony kurczak?! Dzięki, szefie!

– A ciastka są podobno z orzechami. Nie sprawdzałem, ale tak mi powiedziano.

– Do diaska! Już nigdy nie powiem na ciebie złego słowa, przysięgam! – Zazel, nie zwlekając, oderwał udko kurczaka i zaczął je ogryzać. – Z majerankiem, pycha! Zostawić ci trochę? – spytał po chwili, mlaskając.

– Nie trzeba. Jadłem na mieście.

Zazel ze smakiem pożarł całego kurczaka i wylizał garnek z tłuszczu. Krzyczący tymczasem usiadł na sienniku, rozłożył sobie na kolanach grymuar i zatopił się w lekturze.

– O czym czytasz? – zagadnął chowaniec, dłubiąc w zębach wąską kostką.

– O królewskim egzorcyzmie z Anarai.

– Brr! Takie okropności. Pogadałbyś lepiej ze mną.

– Nie ma sprawy.

Żmij skinął ręką i księga pofrunęła przez całą szerokość laboratorium, lądując zgrabnie na półce. Zazel z ciastkiem w łapie odskoczył jak wystraszony pies.

– Niech to szlag, chwilami prawie się ciebie boję – oświadczył.

– Czemu? – zdziwił się Krzyczący. Chowaniec popatrzył na niego

przeciągle.

– Jesteś jeszcze silniejszy, niż z początku sądziłem. Umiesz rzeczy, których nie powinieneś umieć bez lat doświadczenia. Nawet z poprawką na studia i na naturalne zdolności.

– Na przykład?

– Rozgromiłeś ludzi Helshora. Przepędziłeś ifryta. Dorzuć może do ognia, bo zimno się robi.

Żmij rozbił pogrzebaczem żarzące się resztki polan i dołożył drewna.

– Straciłeś wspomnienia, ale zachowałeś wiedzę. To jest zastanawiające – kontynuował stwór. – Do tego masz zadziwiającą zdolność wychodzenia bez szwanku z opresji. I jest jeszcze parę drobiazgów, które mogą budzić niepokój. Jak chociażby twoja twarz.

– Co, niby że blizny? Raczysz żartować. Idź kiedyś i pooglądaj sobie trędownatych, albo złodziei, którym obcięto nosy.

– Nie, nie mam na myśli blizn. Raczej ogólne wrażenie. Wyglądasz młodo, ale oczy... – Zazel zawahał się. – Mów co chcesz, jest w tobie coś dziwnego, Brune.

– I kto to mówi, Zazel? Ty oczywiście jesteś okazem powszedniości, sprzedają was na bazarach po dwa grosze tuzin?

Chowaniec wyglądał na urażonego.

– To nie jest śmieszne. Spytaj tego ifryta, który zwiął przed tobą, aż się kurzyło. Sam mi opowiadałeś.

– Nie przesadzaj. Nie było to znowu aż takie osiągnięcie. – Żmij spochmurniał na wspomnienie Marshii Lavallo i zaciągniętego długu.

– Powiadasz, że to żadna filozofia pogonić ifryta? Pamiętaj, że jeszcze przed trzema miesiącami chodziłeś półprzytomny, masz amnezję i w ogóle. Początkowo sądziłem, że jesteś fałszywym magiem, w którym obudził się dar, odbierając wspomnienia, ale teraz myślę, że równie dobrze mogłeś być w pełni ukształtowanym, wyszkolonym *ka-ira*, któremu ktoś splątał paskudnego figla, wymazał pamięć i na jakiś czas wtrącił w szaleństwo.

– Zezmijenie potrafi odebrać wspomnienia, czytałem o tym.

– Owszem. Aczkolwiek nie zdarza się to zbyt często. Ale są też przecież zaklęcia, którymi można osiągnąć ten sam efekt. No i, rzecz jasna, w sztuce manipulowania umysłem celują demony.

– Nie podoba mi się to, co sugerujesz. – Żmij owinał się kocem,

jakby nagle poczuł chłód.

– A czy ja coś sugeruję? Spekuluję, to wszystko. Spójrz prawdzie w oczy, Brune, sam nie rozwiążesz tej zagadki. Chyba że stanie się cud i spotkasz kogoś, kto znał cię wcześniej. A nie wiadomo, czy i to by coś dało. Twoja twarz... – Chowaniec znowu się zawahał.

– Czego znowu chcesz od mojej twarzy? Też się uczeplił jak rzep psiego ogona.

Ale z jakiegoś powodu Krzyczący poczuł się nieswojo. Zdjął z półki lusterko, którego używał przy goleniu. Zdmuchnął z niego kurz i skonstatował, że z zarostem wypadałoby pomału zrobić porządek, a potem dotknął szram na policzku. Bładły już.

Przemknęło mu przez myśl, że chyba rzeczywiście wygląda na młodszego, niż jest. Ale poza tym odbicie nie powiedziało mu nic.

– No, co właściwie masz na myśli? – spytał niecierpliwie.

Zazel patrzył na niego, z namysłem poruszając wąsikami.

– Są czary, za pomocą których można zmienić wygląd tak, że nikt nie będzie już w stanie cię rozpoznać. Oczywiście zmienić nieodwracalnie, bo taka jest idea – perfekcyjny kamuflaż. Czasem mam wrażenie, że wyczuwam wokół ciebie echo takiego zaklęcia. Sam mówiłeś, że odebrano ci imię...

Żmij miał sceptyczną minę.

– Nie, Zazel. Imię owszem, ale reszta... Nie sądzę.

– No dobrze. Sami nie dojdziemy prawdy.

– Sami może nie. – Brune zamyślił się. – Jak ci się wydaje, czy inny mag mógłby tu pomóc?

– Nie wiem, czy na twoim miejscu ryzykowałbym zwrócenie się do innego maga z tak... delikatną sprawą. To wymaga raczej sporego zaufania, nie sądzisz? Ale swoją drogą, Brune, jedno jest pewne. Ty nie pochodzisz z nad Zatoki Snów. Albo ściślej: za pochodzenie głowy nie dam, ale sztuki magicznej uczyłeś się gdzie indziej.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Posługujesz się biegle starym pismem. Mowa magów funkcjonuje też w transkrypcji na alfabet, więc zna ją wielu uczonych, dawne kroniki były pisane w tym języku. Natomiast znaki... O, to już co innego. Tu, na południu, srebrni magowie przejęli lub zniszczyli wszystkie księgi, które traktowały o znakach. Nad Zatoką Snów stare pismo zna bardzo niewielu *ka-ira*, głównie tacy, którzy przybyli tu z

innych stron. I nie chwalą się oni swoją wiedzą, możesz być tego pewien.

– Jak można praktykować magię, nie znając znaków?! – zdumiał się Krzyczący. – Przecież formuły to podstawa, a nie spotkałem jeszcze grymuaru, w którym inkantacje nie byłyby zapisane starym pismem!

– Nie przesadzaj. Na wszystko są sposoby. Przy prostszych czarach inkantację można pominąć, wystarczy skupienie i gest. W obiegu jest trochę pergaminów, które zawierają zaklęcia w transkrypcji na alfabet, można się też wyuczyć formuł od kogoś, notując je ze słuchu. Jeśli nie wymówisz słów całkiem prawidłowo, czar będzie słabszy, ale zadziała, Zmrocza dostosowuje się do intencji maga. Poza tym istnieje jeszcze ten, no... jak go nazywają, boski głos. Wiesz, trans, w którym wykrzykujesz nieartykułowane dźwięki i one działają jak zaklęcie. Ty z tego nie korzystasz, bo nie musisz.

– I bardzo mnie to cieszy. – Żmij skrzywił się, zdejmując szczypcami czajnik znad żaru, bo woda już bulgotała. Wsypał do wrzątku dwie łyżki suchych ziół i z powrotem nałożył przykrywkę.

– Co chcesz? Przydatna sztuczka. Zmrocza stwarza różne furtki dla tych, którzy mają dar, ale nie umieją posługiwać się nim zgodnie z arkanami sztuki, bo nie mieli jak się tego nauczyć.

– No tak. Z tego co mówisz wynika, że wyuczono mnie wiedzy dostępnej nielicznym. Ciekawe tylko, kto tego dokonał i gdzie. Masz pomysł, jak rozszyfrować tę zagadkę?

– Nie.

– Ja też nie. Co więcej, wcale nie jestem pewien, czy chcę poznać odpowiedź. W każdym razie niekoniecznie dzisiaj. – Krzyczący z westchnieniem potarł skronie. Choć nie zamierzał się do tego przyznawać, cała rozmowa obudziła w nim niejasny niepokój.

Doszedł do wniosku, że przed snem przyda mu się coś na wyciszenie myśli. Zdjął z półki skórzany woreczek i lufkę z bańką na końcu. Włożył do niej grudkę brunatnej żywicy, potem wyczarował z powietrza płomyk, ostrożnie podgrzewając szkło, aż opium zaczęło się topić, uwalniając smużki dymu. Zazel obserwował to z dezaprobatą, ale nic nie powiedział.

Zanim Krzyczący wypalił całą działkę, herbata zdążyła się zaparzyć. Rozlał ją do dwóch kubków, posłodził zawartość jednego łyżką miodu i podsunął naczynie chowańcowi.

– Na, i nie patrz już na mnie z takim wyrzutem. Wolałbyś, żebym się upił jak Mazzarath?

Zazel zaczął siorbać gorący płyn, krzywiąc się trochę, bo miód nie całkiem łagodził gorycz ziół.

– Czemu nie możesz pić czegoś normalnego, tylko to paskudztwo? I do dziś nie wydestylowałeś mi tego trunku, co obiecywałeś, pamiętasz...

– Miałem inne sprawy na głowie. Trochę cierpliwości, Zazel.

Chowaniec tylko wznosił ślepią ku sklepieniu. Potem sięgnął po ciastko i zaczął je chrupać z zadowoloną miną.

– Wiesz co, Brune? – rzucił nagle. – Coś ci poradzę. Zamiast się odurzać opium, znajdź sobie kobietę.

Krzyczący zakrztusił się herbatą.

– Ty to masz podejście, Zazel – wykaszłał, nadal się śmiejąc. – Tylko pozazdrościć.

– A co, źle mówię? Potrzeba ci trochę rozrywki. Więcej radości z życia. Poza tym palenie tego świństwa jeszcze nikomu nie wyszło na zdrowie.

– Na coś trzeba umrzeć. – Żmij wzruszył ramionami. Wyczyścił lufkę, dopił herbatę i wyciągnął się na posłaniu.

Zazel schrupał ostatnie dwa ciastka, ale już nie z tym entuzjazmem co wcześniej. Potem wlaź na siennik, usiadł obok śpiącego żmija i patrzył nań w zamyśleniu. Martwiło go to opium, lufka raz na trzy, cztery dni. Jak na *ka-ira*, może nie było to dużo, ale zdaniem Zazela, stanowczo za dużo.

Zazel przywiązywał się do swoich właścicieli jak kot albo pies. Lubił przebywać możliwie najbliżej nich. Podwinąwszy pod siebie pajęczę łapy, położył się przy głowie żmija, wtulając nos w jego włosy.

Dym, stęchlizna Podziemi i kadzidlana woń makowej trucizny. Ten zapach już paradoksalnie kojarzył się chowańcowi z domem, bezpieczeństwem. Jak niegdyś perfumy Lucretii.

Nawet nie wiedział, kiedy zapadł w sen. Obudził go ruch – to żmij wstał i pospiesznie włożył buty, potem sięgnął po kurtkę.

– Hej, dokąd się wybierasz?! – wykrzyknął chowaniec.

– Do szpitala.

– O tej porze? Po co?

– Tam się dzieje coś złego, Zazel. Czuję to. – Krzyczący zamknął

oczy, przywołując moc, i zdematerializował się bez dalszych wyjaśnień. Zazel mógł tylko zakląć.

12. Interesy i zagrożenia

W lewym skrzydle szpitala, za kwaterami posługaczy, znajdował się ubogo urządzony pokoik, gdzie Haru sypiała, kiedy miała zbyt dużo pracy, żeby wracać na noc do domu wuja. Było to zatęchłe, ponure pomieszczenie, które wcześniej wykorzystywano jako magazyn.

Czarna szata z białymi pasami wisiała na oparciu krzesła. Haru spała na twardym, zbitym z desek łóżku – takim samym jak te, które stały na salach, tylko tam jedno posłanie przypadało na dwóch albo trzech chorych. Potargane ciemne włosy rozsypały się jej na twarz.

Śniła, że stoi na dziedzińcu, na którym jak co dzień tłoczą się błagający o pomoc ludzie, i musi im powiedzieć, że szpital zostaje zamknięty, bo tak nakazali srebrni. Za jej plecami golemi i żołnierze już opróżniają budynek, wynosząc z niego łóżka i sprzęty, które zwalają na jeden piętrzący się coraz wyżej stos. Potem podpalają go i w górę wzbija się wielka chmura dymu, spowijając cały świat.

Haru jęknęła przez sen, lecz nie obudziła się. Nie miała świadomości, co dzieje się na jawie – że w korytarzach szpitala rozsnuwa się i gęstnieje dziwna, cuchnąca mgła, a nikt z chorych nie reaguje. Wszyscy leżą jak martwi.

* * *

Znajda przebudził się, zlany zimnym potem. Najpierw poczuł woń zgnilizny i w panice pomyślał, że leży w kostnicy. Potem uświadomił sobie, że ktoś potrząsa nim z całej siły.

– Znajda? Do cholery, ocknij się wreszcie!

Z wysiłkiem rozkleił powieki. W migotliwym blasku łożówki ujrzał znajomą sylwetkę.

– Co ty tu robisz? – wyjąkał. – I co tak okropnie...

– Ktoś splótł czar usypiający, paląc kość trupa – powiedział cicho Brune. – Uśpił cały szpital. Was ledwie zdołałem dobudzić.

– O czym ty gadasz?... – Znajda zamarł, bo dopiero teraz dotarło do niego, że źrenice Brune’a fosforyzują żółto.

– Później ci wszystko wyjaśnię – szepnął żmij, widząc minę chłopaka. Przemknęło mu przez głowę, że może nie będzie takiej potrzeby, bo prawdopodobnie właśnie traci przyjaciela. Ale nie było czasu teraz o tym myśleć.

– Coś tu b-było, wujku – wyjąkał Mati. Dygotał jak w ataku febry. – Pełzło wzdłuż ściany... Widziałem to, ale nie m-mogłem... wstać...

Brune gwałtownie odwrócił się w jego stronę.

– Jak wyglądało?

– Czarne... ze ślepiami jak p-paciorki... węszyło... I potem tak jakby odplynęło... o, tam...

Wszyscy trzej jednocześnie uświadomili sobie, że kogoś brakuje na sali.

– Mati? – odezwał się niepewnie Znajda. – Gdzie jest ta mała?

– Zostańcie tutaj! Ja pójdę jej poszukać. – Krzyczący poderwał się.

* * *

Światło lamp przygasło, a w powietrzu rozsnuwała się mdląca, ohydna woń. Chorzy na wszystkich salach spali jak zabici; nie reagowali ani na głos, ani na potrząsanie. Porzuciwszy próby obudzenia ich, Giassina w panice biegła korytarzem. Nagle zderzyła się z kimś, kto pachniał dymem i piwnicą. Ten ktoś szybko położył jej dłoń na ustach, żeby stłumić przerażony krzyk.

– Nie bój się, to tylko ja – powiedział cicho ciemnowłosa przyjaciel Znajdy. – Chodź, wracamy na górę. Nie możesz się tu sama błąkać.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała, wpatrując się w niego oczami jak spodki, ale sama obecność dorosłego wydawała się działać na nią uspokajająco. Nie zaprotestowała, kiedy Krzyczący ostrożnie wziął ją na rękę. Pod ubraniem małej wyczuł bandaż – tak jak się domyślał, jej obrażenia były poważniejsze, niż się zdawało na pierwszy rzut oka.

Wrócili na salę. Brune posadził dziewczynkę na sienniku.

– Znajda, pilnuj dzieciaków, dobrze? Ja muszę zejść na dół. Nie wychodźcie stąd!

Chłopak wytrzeszczył oczy.

– Ale...

– To na wszelki wypadek. – Żmij wyjętym z kieszeni kawałkiem kredy szybko nakreślił na ścianie pentagram, a obok kilka znaków. – Tu jesteście bezpieczni, Znajda. Pilnuj dzieciaków i pod żadnym pozorem nie ruszaj się z sali. Pamiętaj! – I już go nie było.

Znajda przez chwilę siedział bez ruchu, z otwartymi ustami. Potem zaklął najszeptniej, jak potrafił, i chciał wstać, ale Giassina złapała go za koszulę.

– On powiedział, żebyś nie wychodził!

Żmij cicho jak duch zbiegł po schodach na parter. Po drodze wyjął sztylet i zaklęciem przemienił go w rapier.

Na dole w powietrzu wciąż jeszcze wisiała mgiełka dymu. Bez trudu wyczuł w pobliżu obecność drugiego *ka-ira*. Zwolnił kroku, ostrożnie podkraść się do wylotu korytarza. Nagle ku swemu osłupieniu usłyszał znajomy głos.

– Tak, chyba już wystarczy. Dziękuję ci, Biss. A ty, Brune, możesz już wyjść z za rogu.

Usłuchał, trzymając rapier w pogotowiu.

Marshia Lavallo, ubrana w eleganckie fiolety, właśnie umieszczała pokrywkę na dużym szklanym słoju, wewnątrz którego kłębiła się substancja wyglądająca jak płynna noc. Koło jej nóg warował czarny stwór o psim pysku i mackach ośmiornicy. Na widok Krzyczącego przymrużył świecące ślepie i zawarczał, odsłaniając kły.

– Oto Biss, mój chowaniec – rzuciła jak gdyby nigdy nic Marshia.

Krzyczący pomyślał, że chyba już nic nie jest w stanie go zdziwić.

– Pani... O co tu chodzi?

Uśmiechnęła się z ironią.

– Hojny sponsor ma prawo zażądać od czasu do czasu przysługi. Zabieram ból chorych. Jest cennym źródłem siły, jak wiesz. – Potrząsnęła słojem. – Nikomu nie robię krzywdy, zaryzykuję stwierdzenie, że wręcz przeciwnie.

Biss wysyczał coś pytająco. Marshia wręczyła mu słoje.

– Zabierz to i wracaj do enklawy – rozkazała. Stwór skłonił się, oplótł mackami naczynie i rozwiął się w strzępy mgły.

– A ty co tak stoisz? – rzuciła. – Biss doniósł mi, że zaklęcie usypiające nie objęło wszystkich sal na górze. Zrób z tym porządek.

Krzyczący skinął głową bez entuzjazmu. Zmarszczyła brwi.

– Ja mogę się tym zająć, jeśli...

– Poradzę sobie – uciął w pół słowa i odszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Dym rozwiewał się, lecz pacjenci szpitala nadal pogrążeni byli w nienaturalnym, budzącym grozę śnie. Wiedział, że nie obudzą się wcześniej niż za kilka godzin.

Wspiął się na drugie piętro i z ulgą zobaczył, że dzieciaki nie odważyły się opuścić sali. Znajda na jego widok poderwał się.

– Brune? Co...

– Zapomnij, śpij – powiedział z naciskiem Krzyczący, patrząc chłopcu w oczy. Spojrzenie Znajdy stało się puste, osunął się bez jęku na posłanie. Wystarczyła sekunda skupienia, aby z Matim i Giassiną stało się to samo. Zmij dla pewności dotknął jeszcze czoła każdego z nich, wzmacniając czar.

Zostawił ich śpiących, okrytych kocami i oddychających spokojnie. Kiedy zszedł z powrotem na dół, ku swemu zaskoczeniu zobaczył, że Marshia czeka przy drzwiach wyjściowych.

– Musimy porozmawiać – oznajmiła. – Czy zechcesz przejść się ze mną kawalek?

Zamknął oczy i sięgnął wewnętrznym wzrokiem w przestrzeń, ale nigdzie w okolicy nie wyczuł obecności srebrnych. Wyglądało na to, że wydarzenia w szpitalu nikogo nie zaalarmowały. Cokolwiek by o niej mówić, Marshia Lavallo znała się na swojej profesji.

Wzruszył ramionami.

– Skoro tak sobie życzysz, pani.

Wyszli na ulicę. Niebo nad dachami już zaczynało szarzeć.

– Nie będę marnować słów – odezwała się Marshia. – Proponuję ci to samo, co poprzednio. Współpracę.

– Czemu akurat mnie?

– Ponieważ jesteś zdolny. Nie mogę patrzeć, jak talent marnuje się w rynsztoku.

– Wzruszając. Nie umiałbym tego ująć tak poetycko.

Wyraz jej twarzy stwardniał.

– Brune, zastanów się. W tej chwili jesteś przestępcą i marionetką przestępców. I prędzej czy później zginiesz marnie.

– To już mój problem – stwierdził, potrząsając głową.

Mógł czytać w jej myślach, nie zadawała sobie trudu ich ukrycia. Wiedział, że choć z pozoru zmieniła front, rozmawiając z nim jak

równy z równym, przez cały czas pozostaje dla niej jedynie pionkiem, figurką na planszy.

– Nikt nie jest w stanie bez końca wymykać się srebrnym – podjęła.
– Ciebie też prędzej czy później osaczą w jakimś ciemnym zaułku. Takich jak my się nie zabija, tylko zabiera do Domu Godnego Odejścia. Czy wiesz, co cię tam czeka? Najpierw otumanią cię lekami, byś nie mógł korzystać z daru. Potem będą zadawać ból, na wszelkie możliwe sposoby. Żelazo, ogień, narkotyki. Co tylko jesteś w stanie sobie wyobrazić. Jesteś silny, więc jeśli zechcą, może to trwać tygodniami. Pozbawiona ujścia czerń zezłościwia się, zaczyna niszczyć umysł i ciało... A na koniec wbiją ci w serce sztylet, na którym wypisano twoje imię, by mieć pewność, że twój duch się nie odrodzi.

Krzyczący machinalnie dotknął szram na policzku.

Więc pozbawiliby mnie zmysłów, a potem życia. Czego tu się bać? Już raz straciłem imię, pamięć, siebie.

– Brzmi fascynująco – stwierdził. – Teraz wyjaśnij mi jedną rzecz, pani. Czemu sądzisz, że służąc ci, mam większe szanse uniknąć takiego losu?

– Bo łatwiej polować na rynsztokowców niż na arystokratów. Nie bądź dzieckiem.

– A na jaki los mogę liczyć, pracując dla ciebie? – Popatrzył prosto w jej oczy, czarne i zimne, podkreślone ostrym makijażem. – Ty też jesteś przestępcą, który potrzebuje marionetki. Jedwabne suknie i złoto niczego tu nie zmieniają.

– A ty jesteś jeszcze większym głupcem, niż sądziłam – westchnęła Marshia. – Szkoda. Ale nie zamierzam cię do niczego zmuszać, Brune. Żegnaj. Ach, i pamiętaj, że nadal masz wobec mnie dług.

– Jakże mógłbym zapomnieć. – Skłonił głowę.

Żmijka zdematerializowała się, prawie nie generując echa. Krzyczący zawahał się. W przeciwieństwie do Marshii nie dysponował żyłą na każde zawołanie i nie miał ochoty marnować więcej sił, niż było to konieczne.

Naciągnął kaptur na głowę, klnąc w duchu z powodu nieprzespanej nocy. Za jakąś godzinę szpital zacznie się budzić do życia, a on musiał tam wrócić ze względu na obietnicę złożoną Haru.

* * *

W enklawie trwała noc. Czas płynął tu inaczej niż w materialnym świecie. Księżyc świecił ponad białą willą, otoczoną ogrodem, w którym zawsze kwitł jaśmin i róże, niezależnie od tego, jaka pora roku była na ziemi.

Marshia Lavallo cichym rozkazem odesłała chowańca. Kiedy Biss oddalił się, zdjęła pokrywkę ze słoja. Ciemna substancja wylała się zeń jak kipiący bezgłośnie płyn.

Żmijka zaczęła szeptać zaklęcia mające wzmocnić granice enklawy. Wiedziała, że w ten sposób tylko opóźnia nieuniknione. Prędzej czy później Dolina Cierni wytropi ją tutaj.

Marshia Lavallo, *ka-ira* rodem z Talme, której prawdziwe imię brzmiało inaczej, przez długie lata ukrywała się w różnych miastach i krajach, przybierając rozmaite tożsamości. Nie bała się nikogo, a już na pewno nie rywali swojego nowego mocodawcy.

Należało zawczasu poczynić plany. Tylko tyle.

Kiedy ostatnie smużki ciemnego oparu ulotniły się ze słoja, wyjęła zza dekoltu swoją zaczarowaną talię kart i przetasowała ją w zamyśleniu. Żmij z bliznami na twarzy intrygował ją. Miała co do niego bardzo konkretne podejrzenia, a karty wydawały się potwierdzać jej zdanie.

Interesujący zbieg okoliczności. Czasem się zdarza.

Wracając z ogrodu, na tarasie willi minęła służącego, któremu wydała półgłosem kilka poleceń. Następnie weszła do swojej pracowni, gdzie ruchem dłoni sprawiła, że okiennice zamknęły się, a stojące na stole świece zapłonęły. Raz jeszcze wyjęła karty i rozłożyła je na marmurowym blacie, po czym długo, w zadumie analizowała wzór. Zastanawiała się, czy powinna swoimi podejrzeniami podzielić się z Charoozem, i doszła do wniosku, że wspomni o nich w następnym meldunku.

Ze skrytki w sekretarzyku wyjęła kryształową karafkę oraz kieliszek. Nalała sobie wina zaprawionego niewielką dawką ekstraktów z lucyferii i rajskiego krzewu. Była to jej prywatna, drobna słabość – nieporównanie mniej szkodliwa od nałogów, jakim potrafili folgować znudzeni życiem arystokraci.

Kordiał sporządzony został tak, żeby gorzkawe, aromatyczne zioła nie psuły smaku ciężkiego, słodkiego wina, wręcz przeciwnie. Marshia sączyła go powoli, rozkoszując się ciepłem, które stopniowo rozlewało

się po jej ciele.

Westchnęła mimochodem, gdy jej spojrzenie padło na miniaturę w złotej oprawie, stojącą na półce z książkami. Portret przedstawiał młodzieńca o falujących jasnych włosach. Fabien Vaneisen – najczystsza błękitna krew, syn wysoko postawionego ojca i jej daleki krewny.

Został jej formalnie przedstawiony na którymś z wielu balów wydawanych na dworze Najdostojniejszego. Niedługo potem Marshia wezwana instynktem maga przybyła do domu Vaneisenów, kiedy Fabien leżał nieprzytomny w gorączce, i uratowała mu życie, bowiem spalająca go choroba została wywołana przez świeżo obudzony czarny dar. Następnie przez kilka miesięcy szkoliła go potajemnie w Zakazanej Sztuce, dopóki – zadenuncjowany – nie wpadł w ręce srebrnych. Nie zdążyła mu przekazać nawet drobnej części swojej wiedzy.

Śmierć ucznia w istotnym stopniu przyczyniła się do jej decyzji, żeby dwa lata później dać się zwerbować Dolinie Złota. Był to ostatni impuls, jakiego Marshia potrzebowała, żeby bez reszty znienawidzić świat śmiertelników, gdzie skażony talent uczynił ją wyrzutkiem, pozbawionym przyjaciół i bliskich, wiecznie ukrywającym się pod maskami.

* * *

Mieszcząca się w piwnicach szpitala pracownia aptekarska była ciasna, zabałaganiona i niezbyt dobrze wyposażona, ale Krzyczącego to nie zmartwiło – miał przygotować proste leki, nie jakieś wymyślne cuda. Podejrzał, iż przy odrobinie wysiłku sama Haru mogłaby sobie z tym poradzić. Ale może nie chciała ryzykować, że coś zepsuje i zmarnuje produkty.

Musiał zacząć pracę od napalenia w piecu, przyniesienia wody oraz porządnego umycia przybrudzonych szklanych naczyń, wychodząc z założenia, że posługacze w tej instytucji mają i tak wystarczająco dużo zajęć. Żałował, że nie może tego po prostu załatwić zaklęciem.

Haru zajrzała do niego po południu. Jak zwykle wydawała się zmęczona i przygaszona.

– Wszystko w porządku? Potrzebujesz czegoś? Powiem Janisowi,

żeby przyniósł ci obiad.

Wzruszył ramionami.

– Nie trzeba.

– Ale czemu masz pracować głodny?

Na sekundę poczuł się zakłopotany jej troskliwością, ale będąc magiem, mógł bez trudu odczytać myśli i uczucia lekarki. Po prostu była miła, z natury – bez żadnych ukrytych intencji.

Wyszła, nie czekając na odpowiedź, a po niedługim czasie wróciła sama, bez posługacza, niosąc tacę, którą postawiła na stole.

– Proszę.

Brune zestawił z pieca garnek, w którym topiła się śmierdząca mieszanka tłuszczu z dziegciem, i umył ręce przy kamiennym zlewie.

Na tacy stała miska zupy oraz talerz z pokrojonym chlebem.

– Szpitalny wikt – stwierdziła przeprasząco Haru.

Dla zmija, który ciepłe posiłki jadał wtedy, kiedy akurat chciało mu się wybrać do tawerny, szpitalna zupa z jarzynami i kaszą była zupełnie przyzwoitym, smacznym daniem. Uśmiechnął się więc tylko.

Haru przez chwilę stała przy drzwiach i patrzyła, jak je, potem wyszła, bo zawołano ją z góry. Wróciła po jakimś czasie, kiedy Krzyczący znowu zajął się przygotowywaniem mikstur.

– Nie skończę wszystkiego dzisiaj – powiedział, uprzedzając jej pytanie. – Przyjdę jeszcze jutro. To wszystko jest gotowe. – Wskazał naczynia ustawione na brzegu stołu. – Maści muszą wystygnąć.

Odniósł wrażenie, że lekarka go nie słucha.

– Powinieneś opuścić miasto, wyjechać gdzieś daleko – powiedziała cicho. – Znałam już takich jak ty, Brune. Też próbowali się wtopić w tłum, ale nigdy nie kończyli dobrze.

– Czy to groźba? – Zmarszczył brwi.

– To troska.

Pokręcił głową.

– Pani, jeśli już idzie o ścisłość, to ściągając mnie tutaj, sama ryzykujesz więcej, niż te smarowidła są warte.

Haru uśmiechnęła się smutno.

– Uwierz, działanie poza prawem to dla nas nic nowego. Dziękuję, że zgodziłeś się nam pomóc.

Nagle pojawił się, co ją popchnęło do tej rozmowy. Współczucie. Miała względem niego te same odruchy, co względem wszystkich innych

zagubionych dusz, jakie miasto wyrzucało na próg szpitala.

Chciała wyciągnąć do niego rękę i nie wiedziała jak, ani czy ma to sens.

Nie, Haru, to nie ma sensu. Żadnego.

– Zapłacimy ci, rzecz jasna – podjęła. – Będę mieć pieniądze dopiero za kilka dni, ale dostaniesz je. Sześćdziesiąt leri, tyle, ile wzięłoby Andras.

Potrząsnął głową.

– Nie trzeba. Potraktuj to jak zwrot długu. Za Znajdę.

– Skąd właściwie znasz tego chłopca?

– To długa historia. Śmieciarze uratowali mi życie jakiś czas temu.

– Nie byłeś u niego dzisiaj – zauważyła.

Popatrzył jej prosto w oczy i westchnął w duchu, kiedy drgnęła na widok żółtego błysku w źrenicach.

– Zreflektowałem się, że to nierozsądne. Ryzykowne dla niego. Zwłaszcza teraz, kiedy ty, pani, zorientowałaś się, kim jestem.

Wyczuł, że w myślach Haru znów pojawiło się paskudne podejrzenie odnośnie tego, jak można odczytać znajomość dorosłego mężczyzny i bezdomnego dziecka. Po raz kolejny poczuł uderzenie wstydu i gorzkiej złości, że coś takiego w ogóle mogło jej przyjść do głowy.

– Nie – wycedził w odpowiedzi na pytanie, którego nie zadała. Haru wyglądała na zakłopotaną.

– Czytasz mi w myślach? Wybacz... Nie chciałam cię urazić.

Brune westchnął. Czuł się do pewnego stopnia odpowiedzialny za dalszy los Znajdy, ale powiedział sobie, że dzieciak na razie znajduje się w dobrych rękach. Jeśli wróci do Podziemi albo na Krzywą Aleję, będzie można próbować coś dla niego zrobić.

– Co z nim będzie, jak już wyzdrowieje? Wróci na ulicę?

– Nie, jeśli tylko zdołam temu zapobiec. Ale sam widzisz, jak tu jest. O wszystkim decydują pieniądze, których nie mamy.

Krzyczącemu przemknęło przez głowę, że ciekawe, kto z lekarzy, wiedziony pragmatyzmem, wdał się w interesy z Marshią Lavallo – czy była to Haru, czy ktoś inny. I ciekawe, jakie inne, równie gorzkie interesy tu prowadzono. Sprzedaż zwłok do sekcji chociażby. Na uczelni bez wątplenia wykładano anatomię, a w mieście musieli być też zamożni pasjonaci zajmujący się nauką z własnej inicjatywy.

– Pani, jeśli pozwolisz, udzielę ci ostrzeżenia – powiedział po chwili wahania. – Wierzę, że nie macie wyboru, ale działanie poza prawem może się dla was kiedyś fatalnie skończyć.

– Czy to groźba? – Uniosła brwi.

– To troska. Dzisiaj w nocy mieliście niebezpiecznego gościa. Dużo bardziej niebezpiecznego niż ja.

Z szoku, jaki odbił się na twarzy Haru, oraz chaosu myśli, które przebiegły jej przez głowę, Krzyczący odczytał to, co chciał. Wiedziała o wszystkim, ale to nie ona miała umowę z Marshią.

– Nie mam z tym nic wspólnego i nie mogę na to nic poradzić. – Westchnęła. – Ona nie krzywdzi chorych. I płaci złotem.

– Wiesz, ile ryzykujecie?

Wyraz jej twarzy starczył za odpowiedź.

– To nie moja decyzja. Nic nie mogę z tym zrobić – powtórzyła z rezygnacją, garbiąc ramiona. Znowu wydała się zmijowi starsza niż w rzeczywistości.

– No cóż, trudno im się dziwić – stwierdził później w kryjówce Zazel, kiedy Krzyczący opowiedział mu o wszystkim. – Pacjenci muszą jeść. Ale kto by pomyślał, że ta Lavallo zniża się do podobnych rzeczy?

– Ból jest najlepszym źródłem siły. – Brune wyjął z cholewki sztylet i machinalnie obrócił go w dłoni, zupełnie nie myśląc o tym, co robi. – Marshia nie jest głupia. Po co szukać ofiar do torturowania, skoro można brać gotowe, mniejszym kosztem i przy mniejszym ryzyku? – Skrzywił się, bo z dreszczem przypomniał sobie, jak on sam reagował na obecność cierpiących.

Chowaniec wskoczył na stół i popatrzył z powagą na żmija.

– Wiesz, że najlepsze, co możesz zrobić, to trzymać się z daleka od całej sprawy?

Żmij westchnął.

– Wiem.

– W ogóle powinieneś bardziej uważać – ciągnął ponuro Zazel. – Masz zadziwiający talent do pakowania nosa tam, gdzie nie trzeba.

– Robisz z igły widły, stworze, wiesz o tym?

– Jestem twoim chowańcem. To mój obowiązek.

* * *

Jednym z wyzwań związanych ze sporządzaniem mikstur było zaopatrywanie się w surowce. Krzyczący wiedział, że wielu alchemików i aptekarzy oszukuje, stosując tańsze substytuty zamiast drogich i trudnych do zdobycia składników. On uważał, że oszukiwanie jest poniżej jego godności. Jednak dokładne trzymanie się receptur oznaczało konieczność długich peregrynacji po targowiskach, aptekach i sklepikach oferujących potajemnie inne towary niż te, które stały na półkach. Wymagało też dużej znajomości rzeczy, bo sprzedawcy nie grzeszyli uczciwością.

Raz jeszcze zanurzył rękę w worku z ciemnymi nasionami i przyjrzał im się podejrzliwie.

– To czarny lotos, panie, najlepszy, nedgvarski – zachrypiął kramarz, ale pod spojrzeniem zmija zająknął się.

Brune tylko westchnął. Na ile się orientował, nasiona były zwykłą fasolą.

Ruszył dalej, rozglądając się od niechcienia. Minał trzech ulicznych akrobatów, wyginających swe ciała w przedziwne figury obok stoiska z owocami morza, i nagle jego uwagę przykuł stragan obwieszony twarzami.

W Podziemiach handlowano wyłącznie maskami pośledniejszego gatunku, tymi cielistej barwy. Już po kilkudziesięciu godzinach noszenia zaczynały one szarzeć i cuchnąć. Rzemieślnicy zwani złodziejami twarzy hodowali je w kadziach, sobie tylko znanymi, pracochłonnymi metodami. Krzyczący nie był pewien, kto częściej je kupuje – ludzie pragnący dodać sobie urody czy ci, którym zależało na ukryciu tożsamości. Z tego, co wiedział, nie wykorzystywano ich w celach przestępczych aż tak często, jak można byłoby sądzić. Ich nietrwałość stanowiła istotny mankament.

Symbiotyczne powłoki lepszej klasy – srebrne, złote i perłowe – wyrabiano w laboratoriach Elity i kosztowały fortunę, ale można je było nosić latami. Złote i perłowe kupowali eleganci z wyższych klas, srebrne mieli prawo zakładać jedynie magowie.

Jeszcze wilgotne od odżywczego płynu, z którego je wyjęto, maski na straganie z pewnej odległości wyglądały jak żywe. Żmij podszedł, żeby przyrzeć się im z bliska. Sprawiały wrażenie sporządzonych według jednego szablonu; wiedział, że do pewnego stopnia dostosowują się do rysów noszącego i że można je pokryć makijażem,

żeby były nie do odróżnienia od normalnej skóry.

Odwrócił się i popatrzył w zamyśleniu na targowisko. Blizny lekko zakłuły go pod iluzją. Przemknęło mu przez głowę, że ciekawe, ilu mieszkańców miasta w taki czy inny sposób ukrywa swoje prawdziwe twarze, jakby znajdowali się na deskach teatru.

Nagle usłyszał krzyki. Spomiędzy kramów wyłoniły się dwa golemy wlokące szamoczącego się mężczyznę. Ludzie odwracali głowy, udając, że niczego nie widzą. Brune zwalczył odruch, żeby naciągnąć kaptur na czoło. Choć wiedział, że jego aura niknie w tłumie i nie ma żadnego powodu, aby Jednoocy zwrócili uwagę akurat na niego, odetchnął z ulgą, gdy się oddalili, prowadząc aresztowanego.

Tej samej nocy przyśnił mu się paskudny sen.

Loch oświetlony pełgającym blaskiem pochodni. Przerażliwy ból kości i ścięgien, rozciągniętych do granic możliwości.

W maźnicy skwierczy wrzący olej.

Człowiek w białych szatach i srebrnej masce rozdziera mi koszulę, zrywa ją. Następnie ze stojaka z narzędziami bierze żelazną chochlę i zanurza ją w maźnicy.

Ocknął się, oddychając ciężko, pełen ulgi, że tylko śnił.

Nadal słyszał skwierczenie tłuszczu. Półprzytomnie przetarł oczy. Kryjówkę wypełniał charakterystyczny, przyjemny zapach. Zazel stał przy palenisku, poruszając patelnią nad rozżarzonymi węglami.

– Hej, zmiju, uśmiechnij się – stwierdził wesoło. – Niespodzianka!

Brune z nachmurzoną miną popatrzył na stół, na którym stały oblepione ciastem naczynia.

– Ty to pozmywasz.

Zazel wyglądał na urażonego.

– Nie ma sprawy. Weź sobie naleśnika.

Naleśniki, ku zaskoczeniu zmija, były całkiem dobre.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

– Od Lucretii, a co myślałeś? Ona przynajmniej umiała gotować, a nie tylko warzyć trujące świństwa. – Chowaniec, któremu apetyt dopisywał jak zwykle, zrećcznie zsunął kolejny naleśnik na swój talerz.

– Spotkałem dzisiaj na naszym poziomie Starucha – oznajmił, kiedy skończyli jeść. – Kazał ci przekazać, że ma ciekawą ofertę, jeśli

tylko zechcesz się do niego wybrać. Byle prędko, bo to sprawa, gdzie trzeba się szybko zdecydować.

– A skąd pomyśł, że mógłbym być zainteresowany?

Zazel pod spojrzeniem żmija poruszył się niepewnie i Krzyczący od razu nabrał podejrzeń, o co może chodzić. Jemu egzystencja w Podziemiach odpowiadała – przynajmniej tak długo, dopóki udawało mu się nie ściągać na siebie uwagi – a do wyrzeczeń, jakie narzucała, już się przyzwyczaił. Wiedział jednak, że Zazel w skrytości ducha tęskni za lepszym życiem.

– No? – ponaglił. – Wiesz coś, czego mi nie mówisz?

– Staruch nic więcej mi nie powiedział. Jest oferta i to wszystko, o resztę musisz go zapytać sam. Czemu robisz taką minę?

Brune zbył pytanie milczeniem. Nadal rozmyślał o swoim śnie. Zazel, nie w ciemną bitą, zauważył to.

– Hej, coś ty taki nie w sosie? Coś cię gryzie?

– Nie. – Żmij z ponurą miną sięgnął po buty. – Daj mi chwilę na ogarnięcie się i pójdziemy.

* * *

Krypta, w której mieszkał Staruch, była niegdyś kaplicą. Wskazywały na to wyblakłe freski na ścianach oraz pozostałości po kamiennym ołtarzu. Pod ścianami stały zniszczone szafy z księgami i szpargałami. W palenisku wesoło trzaskał ogień. Nigdzie nie było widać budzącego odrazę brudu, tak często towarzyszącego schronieniom odmieńców.

Staruch przywitał ich w progu. Miał na sobie kaftan z wyliniałym futrzanym obszyciem i wyglądał tak, jak sugerowało jego miano – po prostu jak stary człowiek o zmierzwionej, siwej brodzie. Widocznie posiadane deformacje ukrywał pod ubraniem. Obrzucił Krzyczącego uważnym spojrzeniem, które ten odwzajemnił. Znali się, jak dotąd, tylko ze słyszenia – dzięki Zazelowi.

Według słów chowańca, Staruch przed laty służył Elicie, potem odszedł albo go wygnano – zdania były w tej kwestii podzielone. Teraz należał do społeczności Podziemi i pełnił rolę duchowego ojca wszystkich, których profesja w jakiś sposób ocierała się o magię, choć ze srebrem nie mieli nic wspólnego. W mieście po cichu uprawiali swój proceder sprzedawcy amuletów i uroków, zamawiacze chorób,

wróźbici i egzorcyci – w praktyce jarmarczni guślarze, nieposiadający nawet cienia daru. Ale nawet ich śmiechu warta działalność wywierała wpływ na prądy Zmroczy. Staruch za wiedzą i przyzwoleniem srebrnych magów miał oko na wszystko, co działo się w tym środowisku. Nie mógł być konfidentem Elity; gdyby nim był, nie pożyłby długo. Pilnował tylko, aby niczyje jarmarczne sztuczki ani guślarskie obrzędy nie przyjęły formy mogącej zakłócić Ekwilibrium. Przy okazji służył zainteresowanym radą i pomocą w rozmaitych sprawach. Musiał odgrywać naprawdę niebagatelną rolę w podtrzymywaniu Ekwilibrium, bowiem srebrni pozostawiali mu wolną rękę i patrzyli przez palce na wiele rzeczy. W tym na konszachty z *ka-ira*.

– Cieszę się, że zechciałeś przyjść, bracie – powiedział Staruch. Miał głęboki, poważny głos; mówił normalnie, nie gwarą pospólstwa ani żargonem odmieńców.

Gestem zaprosił Zazela i Krzyczącego do stołu, przy którym już siedziała kobieta o upudrowanych, upiętych wysoko włosach, w perłowej symbiotycznej masce.

– To jest wielmożna Noeris, twoja siostra w talencie. – Imię, niewątpliwie przybrane, może tylko na potrzeby tego spotkania, w mowie magów znaczyło „ptak o bystrym wzroku”.

Kobieta lekko skłoniła głowę. Prócz tego, że nosiła maskę, osłaniała też iluzją całą swoją postać, tak że wydawała się otulona płaszczem z cieni. Pachniała kosztownymi, ciężkimi perfumami, a kiedy się poruszyła, Brune usłyszał szelest jedwabnych halek.

Widział, jak jej spojrzenie prześliznęło się po jego ubraniu. Leciutko, pogardliwie wydeła usta, całkiem jak Marshia Lavallo.

Też niewątpliwie była arystokratką, tak jak Marshia, tylko bez porównania mniej biegłą w Zakazanej Sztuce – tyle mógł bez trudu odczytać z aury. Przypuszczalnie na co dzień wykorzystywała czarny talent głównie do tego, żeby kamuflować fakt, iż go posiada.

– Herbaty? – zapytał Staruch, kiedy usiedli.

– Chętnie.

Zazel też dostał herbatę i natychmiast sięgnął po dzbanuszek z miodem, żeby ją posłodzić.

– Radzisz sobie – skonstatował stary odmieniec, przyjrząwszy się Krzyczącemu. – To dobrze. Ale czemu, na litość, wciąż jeszcze tkwisz

w tym mieście? Wyglądasz mizernie, chłopcze. Podziemia ci nie służą.

Brune tylko potrząsnął głową. Tak naprawdę nie umiał wytłumaczyć, czemu na samą wzmiankę o wyjeździe odczuwa instynktowny opór, chociaż to niewątpliwie byłoby rozsądne wyjście – podróżować, zmniejszając w ten sposób ryzyko, że ściągnie na siebie uwagę srebrnych.

Może dlatego, że potrzebował miejsca, które mógłby nazywać domem, a do Podziemi przyzwyczał się już wystarczająco, żeby je tak traktować.

– Mam wiadomość, która może cię zainteresować – kontynuował Staruch. – Wielmożna Noeris wybiera się w daleką podróż i może zaoferować jednemu z braci możliwość dołączenia. Od razu pomyślałem o tobie.

– Pewien książę z południa chce zwerbować dwoje szlachetnie urodzonych czarnych magów – podjęła kobieta w masce.

– W jakim celu?

– A w jakim celu władca może werbować magów? Żeby móc liczyć na ich wsparcie we wszelkiego rodzaju trudnych i delikatnych sprawach.

– Czemu nie zwerbujecie srebrnych?

– Bo ich nie lubi. Jak zresztą wielu władców.

– Co ty na to, chłopcze? – wtrącił Staruch.

– Nie jestem zainteresowany.

Kątem oka Brune zauważył, że Zazel wygląda na zawiedzionego. Noeris uniosła brwi.

– Zapłata byłaby wysoka. Przemyśl to. Nie wiem, czy w tym mieście zdołam znaleźć kogoś, kto nadawałby się lepiej niż ty.

Żmij odstawił kubek i skłonił się.

– Widzę, że opowiada się o mnie ciekawe rzeczy – stwierdził, nie próbując ukrywać ironii. W myślach przeklinał długi jezior Zazela.

– A nie są prawdziwe? Co jak co, ale twoje pochodzenie raczej nie budzi wątpliwości, nawet jeśli... – Noeris skrzywiła się wymownie, a Krzyczący poczuł, że ogarnia go irytacja. Tak jak sądził, jeszcze jedna Marshia Lavallo.

Wzruszył ramionami.

– Myślę, pani, że bez trudu znajdziesz kogoś odpowiedniejszego. Jeśli nie w tym mieście, to w innym.

Noeris patrzyła na niego, lecz wyrazu jej twarzy nie sposób było odczytać pod perłową powłoką.

– Uważaj na siebie, bracie. – Zniżyła głos. – Nie dalej jak w zeszłym tygodniu w Podziemiach ujęto szajkę złodziei, którzy włamywali się do bogatych domów. Aktualny stan Ekwilibrium wymusza, aby przestępców karano z całą surowością prawa. Czy widziałeś klatki, które wiszą wzdłuż gościńca za Południową Bramą? Znowu są w użyciu, a mówiło się już, że rada miasta ma od tego odstąpić.

Rzucona mimochodem wzmianka o klatkach przyprawiła Krzyczącego o dreszcz, jakby jakieś skojarzenie próbowało się przebić przez mgłę niepamięci. Znał, oczywiście, ten rodzaj kary. Skazańca zamykano wewnątrz żelaznej konstrukcji umieszczonej na słupie i zostawiano tak, bez pożywienia i wody, na pastwę deszczu i palącego słońca.

Paskudny, powolny koniec. Ale i tak to, co czekało w Domach Godnego Odejścia, było gorsze.

– W Podziemiach nie jest bezpiecznie – przytaknął Staruch. – Zazel na pewno opowiadał ci, jak skończyła jego poprzednia pani. Rozważ wyniesienie się z miasta, chłopcze, dobrze ci radzę. Jesteś zdolny, szkoda cię. Na dworze jakiegoś władcy mógłbyś znaleźć dla siebie dużo lepsze warunki. Zwłaszcza że poza Zatoką Snów wpływy Elity słabną. Coraz więcej się o tym mówi.

Krzyczący, nic nie mówiąc, dopił herbatę. Nagle przyszło mu do głowy, że może gdyby dostał do ręki mapę Siedmiu Krain i popatrzył na nazwy krajów i miast, umiałby sobie przypomnieć, skąd pochodzi. Ale gdy tylko o tym pomyślał, poczuł obezwładniającą pewność, że nie. Choćby nawet wpatrywał się w mapę całymi godzinami, nic by to nie dało. I ta świadomość do reszty zepsuła mu humor.

* * *

Zmierzchało. Na starym cmentarzu wiatr szeleścił w zaroślach. Brune z westchnieniem wyciągnął się na trawie i zapatrzył w niebo, na którym lśniły odległe punkciki gwiazd. Potrzebował samotności dla uporządkowania myśli.

Dręczyła go nierozwikłana kwestia wspomnień, które utracił. Rzeczy, które wracały w snach. Ale kto mógłby mu pomóc, przecież nie

pachnąca drogimi perfumami dama w perłowej masce. Jej umiejętności przypuszczalnie ograniczały się do telepatii, prostych iluzji i tym podobnych sztuczek.

Przesunął dłonią wzdłuż szram na twarzy. *Kiedy zadano te rany, odebrano ci pamięć. Zaklął cicho, bezsilnie.*

Nagle poderwał się, odruchowo sięgając po sztylet. Wydało mu się, że nieopodal, pomiędzy nagrobkami, widzi zgarbioną sylwetkę. Ale zarazem miał świadomość – jego wewnętrzny wzrok nie mógł się mylić – że nikogo żywego tam nie ma.

Z nożem w pogotowiu postąpił kilka kroków w tamtą stronę. Jednak już po chwili prychnął z niesmakiem. To tylko stara, rozsypująca się rzeźba oszukała w półmroku jego oczy.

* * *

W podziemnej tawernie pachniało specjałem dnia – rybnym gulaszem z przyprawami. Scaraveshia uniosła głowę znad wycieranego właśnie kufla i popatrzyła podejrzliwie w stronę jednego z gości. Mężczyzna był smagły i krępy, o chytrym spojrzeniu. Jadł gulasz, maczając kawałki chleba w sosie i pił dobre wino, zapłaciwszy za jedno i drugie z hojnym napiwkim. Coś mówiło Scaraveshii, że to szpicel Elity. Nic konkretnego – po prostu intuicja.

Drzwi zaskrzypiały. Do tawerny wsunął się zezowaty człeczyna w łachmanach. Rozejrzał się, po czym usiadł naprzeciw smagłego mężczyzny. Ten odsunął opróżnioną już miskę i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. W pewnej chwili zezowaty przyłożył dłoń do swojej twarzy, rysując palcami trzy kreski wzdłuż policzka.

Oczy Scaraveshii zwężyły się. Lecz była tylko właścicielką tawerny, starającą się zachować bezstronność w niebezpiecznym świecie, i z doświadczenia wiedziała, że pewne sprawy trzeba zostawiać własnemu biegowi.

* * *

– Zegnij prawą rękę. Świetnie. Teraz lewą. Porusz palcami, zaciśnij pięści. I co, źle?

Znajda tylko zamamrotał pod nosem. Pomimo smarowania maścią

jego pokryte świeżymi bliznami dłonie były zeszywniałe i niezgrabne, a zginanie palców przychodziło z trudem.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła Haru. – Ściągną masz nienaruszone. Ćwicz codziennie, tak jak ci pokazywałam, to zeszywnienie ustąpi z czasem.

Znajda popatrzył na nią smutno. Uśmiech zniknął z twarzy lekarki. Wiedziała, o czym chłopiec myśli. Ona także od dłuższego czasu zastanawiała się nad tym samym.

– Nie martw się. – Poklepała go po ramieniu, starając się, żeby słowa nie zabrzmiały jałowo. Tak naprawdę nie była pewna, ile jeszcze da radę dla niego zrobić.

Zeszła na parter. Wiedziała, że Bernard akurat jest w szpitalu – pojawiał się tam tylko dwa razy w tygodniu, a przez resztę czasu zajmował się pacjentami z miasta. Ponieważ zmierzchało, a tego dnia nie było wiele pracy, domyślała się, gdzie go znajdzie.

Pomieszczenie, w którym przeprowadzano sekcje, znajdowało się na samym końcu bocznego korytarza. Panował tam półmrok, w powietrzu wisiał charakterystyczny zapach, niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym – woń octu, spirytusu i śmierci. Jeden z dużych stołów był pusty, na drugim leżały zwłoki starej kobiety, brzydkie i smutne w swej anonimowości. Zza uchylonych drzwi w kącie dobiegały męskie głosy prowadzące ożywioną rozmowę.

W klitce, gdzie na półkach znajdowały się słoje pełne zakonserwowanych wnętrzności, unosiła się chmura fajkowego dymu. Na stole stała karafka z winem, szklanice oraz przyniesiona przez kogoś miska ciastek. Kilku lekarzy i felczerów rozprawiało o zagadnieniu, które ostatnio zaprzętało uwagę całego środowiska uniwersyteckiego w Shan Vaola – czy Teofrastusa z Cels, ekscentrycznego wykładowcę z katedry farmacji, powinno się dyscyplinarnie zwolnić za publiczne spalenie dzieł kilku dawnych mistrzów.

– To skandal! – grzmiał gruby chirurg Kranz. – Rektor nie może chować głowy w piasek! Uczelnia powinna dawać przykład młodzieży!

– No cóż, ostatecznie te tomy pochodziły z jego prywatnego księgozbioru – stwierdził flegmatycznie Bernard, wystukując popiół z fajki.

Haru wsunęła się między rozmawiających i dyskretnie dotknęła

jego ramienia.

– Wuju? Mogę cię prosić na słówko?

Wyszli na korytarz. Ten i ów odprowadził młodą lekarzkę ciepłym spojrzeniem – Haru była tu powszechnie lubiana. Wszyscy znali tragiczną historię jej rodziny. Siostra Bernarda Savin i jej mąż zmarli przed dwunastu laty podczas zarazy, zaś osieroconą dziewczynkę przygarnął wuj. Ponieważ była bystra, wykształcił ją we własnym zawodzie. Cech medyków w wyjątkowych przypadkach przyjmował kobiety, jeśli wyróżniały się predyspozycjami i miały poparcie członka rodziny.

Sama wybrała pracę z ubogimi, wiedząc, że trudno byłoby jej mierzyć wyżej – nie z niedostatku zdolności, ale dlatego, że prestiż w lekarskim fachu zarezerwowano dla mężczyzn. A może też z poczucia, że ma dług do spłacenia wobec losu. Nikt nigdy jej o to nie pytał.

– No, o co chodzi? – Bernard popatrzył na siostrzenicę.

– Pamiętasz tego chłopca od śmieciarzy?

– Oczywiście. Co z nim?

– No właśnie, dobre pytanie. Jest już zdrow i nie ma dokąd pójść. Wychował się wśród odmieńców, nie ma nikogo bliskiego. Trzeba by go dać gdzieś do terminu, ale boję się, że go tam zamęczą. Szkoda chłopaka, jest niegłupi. Nie chcę, żeby znowu skończył na ulicy.

Bernard zamyślił się. Potem twarz mu się rozjaśniła.

– Ależ niech tu zostanie póki co, jako posługacz. Będziemy mu na razie dawać taką robotę, jakiej może podolać, a potem... Potem się zobaczy. Pogadam z Kranzem i razem pójdziemy z tym do zwierzchnictwa. Co ty na to?

Haru uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Potem zawahała się, zniżyła głos do szeptu.

– Rubius nie może kontynuować swoich interesów. Wiesz których. To już się wydało.

Bernard w okamgnieniu spowaźniał.

– Skąd wiesz?

– Nieważne.

– Kto wie?

– Ktoś, kto tego nie rozpowie dalej. Ale to tylko kwestia czasu, zanim zorientują się też srebrni.

Starszy lekarz zasepił się.

- No dobrze. Co twoim zdaniem powinienem zrobić?
- Uderzyć od razu bezpośrednio do Haggena. Tylko on może to przerwać. Wiesz, że ja od początku byłam przeciw.
- Trzysta leri miesięcznie... Szpital potrzebuje tych pieniędzy.
- Poradzimy sobie. Proszę, wuju, idź do Haggena. Niech każe Rubiusowi rozwiązać umowę z tą... Pieniądze nie są warte ryzyka.
- Dobrze. – Bernard położył jej dłoń na ramieniu. – Zajmę się tym. Nie mów nikomu więcej.
- Oczywiście.

* * *

Golem skłonił się nisko, po czym wybuchnął kaskadą metalicznych odgłosów. Iglendis słuchała w milczeniu. Gdy skończył, odprawiła go.

Chwilę siedziała zamyślona, następnie wstała i uaktywniła leżący na stole kryształ.

– Mistrzu, mam ważne wieści – powiedziała, gdy w kryształach pojawiło się oblicze Demetheosa. – Nasi szpiedzy donoszą, że w Podziemiach pojawił się nowy *ka-ira*. Ma trzy blizny na twarzy, podaje się za alchemika, lecz czerń w jego aurze jest wyjątkowo silna.

– Wiem – odrzekł Demetheos. – Wiem o nim już od wielu tygodni. To na razie bez znaczenia, córko. Czytam wzory zapisane w gwiazdach i nie dostrzegam tu zagrożenia. Wpasował się tak dobrze w ciemniejsze oblicze miasta, że na razie działa na rzecz Ekwilibrium, a nie przeciw niemu. Kiedy równowaga będzie tego wymagała, zapolujemy na niego. Ale nie wcześniej.

Iglendis skinęła głową, choć decyzja mistrza odrobinę ją zdziwiła.

– Co z Reohanem? – zapytał tymczasem stary mag.

– Został już umieszczony w pancerzu.

– Doskonale. Zatem za kilka tygodni powinien być gotów do służby.

– Będzie gotów, mistrzu.

Kiedy rozmowa została zakończona, Iglendis pod wpływem impulsu zeszła na najniższą kondygnację koszar, do laboratorium, gdzie golem słuźebne zajmowały się Reohanem.

Ranny tkwił przykuty do żelaznego rusztowania, opleciony siecią symbiotycznych pnączy, które dostarczały jego ciału substancje odżywcze. Białe płyty pancerza dopiero zaczynały się zrastać ze skórą,

miękką i wrażliwą po pobycie w zbiorniku. Iglendis zadbała o to, żeby zakłęciami wzmocnić jego mięśnie i kości, inaczej ciężar zbroi uszkodziłby szkielet. Kiedy pancerz i skóra staną się jednym, przyjdzie czas na wyczerpujący trening, mający utrwalić efekty czarów. Na razie spojrzenie Reohana było szkliste od narkotyków tłumiących ból.

Trzecie oko zdążyło już rozwinąć się w pełni. Wyglądało jak czarny, połyskliwy klejnot, w którego głębi pełgały czerwone błyski.

13. Czarny szept

Do Shan Vaola zawitało lato. Ciepłe, ale dzięki bliskości zatoki nie upalne. Na targach pojawiły się pierwsze świeże owoce – czereśnie, agrest i wczesne jabłka. Pola za miastem były siwozielone od zboża, które wypuściło już kłosa.

W dniu letniego przesilenia miasto nawiedziła potężna burza z niebieskimi i purpurowymi błyskawicami – znak, że Ekwilibrium zostało zaburzone. Nazajutrz o świcie za Południową Bramą pojawił się oddział żołnierzy w hełmach ze znakiem pentagramu. Dobili ostatniego żyjącego skazańca i opróżnili wszystkie klatki ze szczątków. Nieco później na rynku dokonano egzekucji kilku przestępców, z czego dwóch, oskarżonych o spiskowanie przeciwko Elicie, połamano kołem na oczach ucieszonego widowiskiem tłumu. Krzyczący, który akurat przebywał na powierzchni, wyczuł drgnienie aury, na tyle mocne, żeby przykuć jego uwagę. Ale nie zastanawiał się długo nad jego źródłem.

Z nieba siąpiła mżawka, rynsztoki wezbrały brudną wodą. To był jeden z tych dni, kiedy dzielnice biedoty wydawały się jeszcze brzydsze niż zazwyczaj. Żmij, który właśnie wracał od zaprzyjaźnionego antykwariusza, w pewnej chwili usłyszał za plecami głos.

– Brune? Brune Keare?

Odwrócił się, tłumiąc odruch, żeby sięgnąć po sztylet.

Nieznajomy był korpulentny, odziany w kaftan z czerwonego aksamitu, niezbyt elegancko opinający się na brzuchu. Miał przylizane czarne włosy, przyszczyżoną w szpic brodę i uśmiechał się przyjaźnie.

Wyglądał jak typowy kupczyk, nawet pachniał niczym sklep z przyprawami. Ale jego aura nie całkiem przystawała do tego obrazu. Ku swemu zaskoczeniu, Brune usłyszał telepatyczny komunikat.

Co za niespodzianka! Bardzo chciałem cię poznać, bracie.

– Z kim mam przyjemność? – spytał podejrzliwie na głos Krzyczący.

– Jestem Jacentin Bross, sprzedawca zapachów.

Oraz skażony talent, tak jak ty.

– Mam rozumieć, że handlujesz perfumami?

– Też. – Jacentin uśmiechnął się tajemniczo. – Może chciałbyś rzucić okiem na moją pracownię? Zajmuję się rzeczami, które mogłyby cię zainteresować.

A telepatycznie dorzucił:

I być może podjąłbyś się małego zlecenia? Za stosownym wynagrodzeniem, ma się rozumieć. Sporo o tobie słyszałem od Starucha i od Delilah z Loss Fomar.

Krzyczący uważnie zmierzył brodacza wewnętrznym wzrokiem, lecz nie wyczuł niczego niepokojącego. Wahał się jeszcze, lecz ciekawość wzięła górę.

– Czemu nie.

Po krótkiej wędrówce zaułkami zatrzymali się przed zaniedbaną kamienicą, gdzie nad drzwiami wejściowymi kołysał się zaśniedziały szyld.

– Miałem kiedyś sklepik na Ulicy Zegarmistrzów, ale dałem sobie spokój, za wysokie czynsze – oznajmił przez ramię brodacza. – Tędy, zapraszam. W lewo.

Krzyczący podejrzliwie pociągnął nosem. W korytarzu unosił się, zaskakujący w takim miejscu, zapach perfum.

– Proszę, wejdz. – Jacentin odryglował drzwi znajdujące się na końcu korytarza.

Przekroczywszy próg, Brune stanął jak wryty, bo uderzyła go ściana woni. Róże, werbena, fiołki, piżmo, cywet, a gdzieś pod tym wszystkim nuta siarki, ścieków i padliny.

W pomieszczeniu było dość jasno, światło dnia wlewało się przez wysokie okna. Panował tu malowniczy nieład. Na stole z kamiennym blatem piętrzyły się książki i zasuszone kwiaty, stały też waga oraz duży mózdzierz. Centralne miejsce zajmował sprzęt do destylacji, wyglądający na nowy i kosztowny. Na półkach, jak okiem sięgnąć, połyskiwały szklane butelki i buteleczki.

– Zapachy rządzą ludźmi, pod tym względem nie różnimy się od zwierząt. To stwarza różne ciekawe możliwości. – Jacentin postukał w

brzuch alembika. – Ja umiem wydestylować to, co przyciąga, i to, co odpycha. Mogę sprawić, że dziewczyny nikt nie będzie chciał poślubić. Albo przeciwnie: że nie będzie mogła opędzić się od chętnych. Mogę sprawić, że przyczepi się do ciebie odór, którego ty nie będziesz czuć, ale otoczenie owszem. Lub na odwrót. Czy wiesz, że można kogoś w ten sposób doprowadzić do obłądu?

Krzyczący pomyślał z ironią, że klienci Jacentina z całą pewnością rekrutowali się spośród lepiej sytuowanych. Raczej trudno sobie wyobrazić, żeby na ludziach Helshora takie pomysły zrobiły wrażenie.

– Spójrz tutaj. Zapach złota, zimny i metaliczny. Sprawia, że zaczynasz odnosić sukcesy w interesach. A tu... – Jacentin uniósł fiolkę przewiazaną różową wstążeczką. – Tu mam coś specjalnego. Dziewczyna, która się pokropi tymi perfumami, może być pewna, że ukochany pozostanie jej wierny aż po grób.

Z sąsiedniego pomieszczenia wyjrzał służący, starszy człowiek w poplamionym fartuchu.

– Panie, czy dwie uncje olejku tuberozowego w przepisie Aristida to jednak nie za dużo?

– Przepraszam cię na chwilę. – Jacentin wyszedł za podwładnym.

Krzyczący skorzystał z okazji, żeby rozejrzeć się po pracowni. Obejrzał z bliska alembik, potem zainteresował się stertą ksiąg na stole. Jego uwagę przykuła zwłaszcza jedna. Mohellen z Vanth, *Potęga uczuć*.

Próbując ją wyciągnąć ze sterty, niechcący strącił ustawiony na księgach koszyk, z którego wysypała się górka koronkowej bielizny. Pomyślał z dezaprobatą, że tego już za wiele. Zrobiło mu się wstyd za, bądź co bądź, kolegę po fachu. Nie zniżając się do tego, żeby ich dotykać, zebrał fatałaszki zaklęciem i wrzucił je z powrotem do koszyka.

– Mogę to pożyczyć? – spytał, pokazując traktat Mohellena, kiedy Jacentin wrócił.

* * *

– Co to za paskudztwo? – zmarszczył nos Zazel.

Biaława maź w miseczce intensywnie pachniała olejkiem różanym i mirrą.

– Pewna dama liczy, że wypięknieje dzięki tej maści. Może wypróbujemy na tobie, czy działa?

– Żartowniś się znalazł. – Urażony chowaniec wsunął się z powrotem do nory.

Krzyczący wyszeptał formułę, po czym starannie pokrył maścią niewielką figurkę z wosku. Zawinał ją w kawałek czystego płótna i obwiązał czerwoną nicią, następnie zaś włożył do kasetki, w której zwykle nosił do Delilah fiołki z eliksirami.

– Idę do miasta, wrócę za jakiś czas. Posprzątałbyś tu.

Mina Zazela jasno świadczyła, jak bardzo lubi to zajęcie.

Na powierzchni znowu kropił deszcz, ołowiane chmury zasnuwały niebo. Żmij nasunął kaptur na głowę.

Odnalazł zaułek, gdzie znajdował się warsztat Jacentina; nie bez trudności, bo wszystkie uliczki w tamtej części miasta wyglądały podobnie. Drzwi kamienicy były uchylone, do pracowni wpuścił go służący.

– Pan jest zajęty, bądźcie łaskawi chwilę poczekać – powiedział.

Na stole, wśród chaosu ksiąg, akcesoriów i surowców, leżała tym razem suknia z żółtego jedwabiu i skórzany męski kaftan. Obie części odzieży były wywrócone na lewą stronę i obłożone skrawkami płótna, nasączonymi, jak się zdawało, oliwą. Krzyczący tylko pokręcił głową.

Służący zabrał ze stołu słoje z substancją, która wyglądała jak zmiażdżone płatki kwiatów wymieszane z solą, i wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Po chwili w pracowni zjawił się Jacentin, w niezbyt czystej roboczej szacie i fartuchu. Minę miał ponurą, widać było, że coś go gryzie. Na widok zawiniętej w płótno figurki odrobinę się rozchmurzył. Wyjął pieniądze i odliczył umówioną sumę, a figurkę wsunął do aksamitnego woreczka na półce, z którego już wystawała szyjka zakorkowanej butelki.

– Twoje zaklęcie i moje perfumy wystarczyłyby, żeby rozkochać księcia w bosej chłopce. Pytanie, czy zdołają pomóc tej tłustej flądrze, która je zamówiła. – Skrzywił się. – No cóż, pieniędzy ma dosyć, więc tak czy owak powinna wkrótce złapać drugiego męża.

Służący znowu pojawił się w drzwiach. Wydawał się zaaferowany, ba – wystraszony. Nerwowo wylaamywał sobie palce.

– Panie... Wybaczcie, że przeszkadzam...

– Co jest? – warknął Jacentin.

– Rosetta zasłabła.

Sprzedawca zapachów zmełł w zębach przekleństwo i pospiesznie przeszedł obok podwładnego. Brune, nieproszony, podążył za nim.

Pomieszczenie było ciasne, tylko z jednym małym oknem. Znajdowały się tam stół zastawiony szkłem laboratoryjnym, pełna książek szafa oraz sekretarzyk zarzucony papierami. Jacentin przykląkł obok dziewczyny, która siedziała pod ścianą z opuszczoną głową, półprzytomna.

– Rosetto! Rosetto, słyszysz mnie? – Poklepał ją po twarzy; nie zareagowała. Klnąc, zdjął z półki flakonik, odkorkował go i podsunął dziewczynie pod nos. Przenikliwy zapach soli trzeźwiących sprawił jedynie, że Rosetta jęknęła i wymamrotała coś niewyraźnie, jak pijana.

– Odsuń się – powiedział cicho Krzyczący. Aura Rosetty była przygaszona do tego stopnia, że istniał tylko jeden rozsądny sposób, żeby jej pomóc. Brune ukląkł i położył dłoń na czole dziewczyny, przekazując jej własną siłę życiową – odwrócone czerpanie.

Poczuł chłodny dreszcz, zakłuło go w skroniach. Ale Rosetta poruszyła się i otworzyła oczy.

Była chuda i raczej nieładna, a jej suknia i narzutka pamiętały lepsze czasy. Brune odniósł wrażenie, że zna ją z widzenia, a po chwili przypomniał sobie skąd. Widział ją w tawernie Scaraveshii, rozmawiającą ze zmijem w złotej symbiotycznej masce.

– Panie Bross... – Głos jej drżał.

– Delbens, wyjdź – rozkazał Jacentin służącemu, który skłonił się i wycofał z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Krzyczący przyjrzał się dziewczynie uważniej i rzuciło mu się w oczy, jak śmiertelnie jest blada. Jednak w jej aurze nie wyczuwał choroby. Tylko wyczerpanie, skrajne zmęczenie fizyczne oraz psychiczne. I lęk. Paniczny strach, aż do granic obłądu.

– Panie Bross, błagam, niech mi pan pomoże – szepnęła. – Oni mnie zabijają...

– Nie, Rosetto – odrzekł z kamienną twarzą Jacentin. – Byłaś dobrą żoną i jest mi ogromnie przykro, ale nic nie mogę zrobić. Mówiłem ci już.

– O co chodzi? – wmieszał się Krzyczący.

Sprzedawca zapachów spochmurniał jeszcze bardziej.

– To nie twoja sprawa, bracie.

Rosetta wyjęła chusteczkę i zaczęła cicho szlochać. Dygotała od stóp do głów i było widać, że łzy płyną jej same, bez żadnej kontroli. Krzyczący westchnął.

– Jacentin, masz trochę winiaku albo czegoś podobnego?

Dziewczyna napojona odrobiną trunku nieco się uspokoiła, choć nadal drżała i szczykała zębami.

– Weź się w garść – powiedział zniecierpliwionym tonem sprzedawca zapachów. – No, nie maź się już, wystarczy. – Pomógł jej wstać; Rosetta dźwignęła się chwiejnie. – Nie możesz tu tkwić cały dzień. Mam pracę.

– Czekaj, nie możesz jej wypuścić na ulicę w takim stanie – zaprotestował Brune.

– Więc ty odprowadź ją do domu, proszę bardzo. Ja nie mam czasu.

– Jacentin zniżył głos. – Skoro tak ci jej żal, poproś, żeby ci opowiedziała, w czym rzecz. Ale mnie do tego nie mieszajcie! Nie chcę mieć nic wspólnego z tą sprawą, pojmujesz?

Dziewczyna najwyraźniej wpakowała się w jakąś kabałę, a perfumiarz bał się interweniować. Krzyczący zacisnął zęby.

– Chodź – powiedział, wyciągając rękę do Rosetty. Nie wiedział, czy będzie w stanie pomóc, ale zrobiło mu się jej po prostu żal. Była jeszcze dzieckiem – ile mogła mieć lat? Szesnaście, siedemnaście?

Kiedy wyszli na ulicę, dziewczyna popatrzyła na niego lękliwie.

– Wy jesteście... – uczyniła dłonią nieznaczny znak koło oka, mający oznaczać pionową źrenicę.

– Tak – potwierdził. – Gdzie mieszkasz?

– W portowej dzielnicy.

– Odprowadzę cię. Możesz mi po drodze opowiedzieć, co cię trapi.

Rosetta otuliła się ciasniej zjedzoną przez mole narzutką. W świetle dziennym wyglądała jeszcze mizerniej i biedniej. Brzydkie kaczątko w pocerowanej sukience.

Z wahaniem zaczęła opowiadać. Szeptem, rozglądając się co chwila, jakby bała się, że z pobliskich bram mogą ich obserwować wrogie oczy. Ilekroć ktoś ich mijał, milkła.

Z jej słów wynikało, że pewien *ka-ira*, przedstawiający się nazwiskiem Lorchel, od niedawna prowadził w mieście swój proceder, podając się oficjalnie za kupca od win. Nieoficjalnie oferował

starszym, zamożnym mieszczanom specyficzną usługę – napojenie siłami życiowymi, co na jakiś czas łagodziło objawy wszelkich związanych z wiekiem dolegliwości, dodawało energii, po prostu odmładzało. Werbował niezamożne dziewczęta i upuszczał im krew, z której następnie sporządzał wzmacniający eliksir. Bez trudu znajdował chętne, bo sprzedanie siły życiowej było lepsze niż handlowanie własnym ciałem w bardziej tradycyjny sposób.

– Czy ten Lorchel nosi złotą symbiotyczną maskę? – przerwał jej równie cicho żmij.

– Tak – odparła zdziwiona. – Skąd wiecie?

– Nieważne. Jacentin nie chce się narażać konfratrowi, co? – Brune pokręcił z obrzydzeniem głową. – Mów dalej.

Lorchel, jak wynikało z jej opowieści, płacił za krew uczciwie. I Rosetta popełniła fatalny błąd – kiedy usłyszała od niego, że pewien bogaty klient byłby zainteresowany specjalną usługą po trzykrotnie wyższej cenie, dała się skusić. W sekrecie udała się wieczorem do pewnej willi w Szmaragdowej Dzielnicy.

Tak jak się spodziewała, bogaty klient okazał się arystokratą. I – czego już nie przewidziała – fałszywym magiem, pobierającym od Lorchela lekcje w Zakazanej Sztuce.

W tym miejscu głos Rosetty załamał się. Umilkła. Krzyczący, który domyślał się dalszego ciągu, mimo woli wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej skroni. Aż syknął, gdy uderzyły go wspomnienia.

Tamci robili z nią... paskudne rzeczy. Nie zgwałcili – to by było zbyt prymitywne. Napoili narkotykiem wyostrajającym zmysły, po którym ukłucie igły wydaje się przeszywać ciało aż do kości, i zadawali ból. Cierpienie wzmacnia czerń.

Wszystko w jedwabnych rękawiczkach, elegancko, w taki sposób, żeby zostawić jak najmniej śladów. Można bić tak, żeby nie było sińców, użyć cieniutkich igieł, przyłożyć koniec żarzącego się patyczka w miejscach nierzucających się w oczy.

Doprowadzili ją prawie do śmierci, wysnali z sił do tego stopnia, że po kilku godzinach nie mogła ustać o własnych siłach. Potem napoili ją lucyferią i wzmacniającym eliksirem, żeby trochę doszła do siebie, ubrali i odstawili do domu. Mieszkała sama jedna w wynajętej izdebce na poddaszu; nie miała nikogo bliskiego, kto mógłby się zorientować, że coś jest nie tak.

Lorchel na pożegnanie rzucił na Rosettę czar zapomnienia. Ale zaklęcie nie było nałożone zbyt dobrze, bo po tygodniu rozwiało się. Przerazona, od razu pobiegła do Jacentina, któremu ufała, żeby opowiedzieć o wszystkim i prosić, żeby ostrzegł wszystkie żyły, jakie zna.

Jacentin uświadomił jej, że oprócz czaru zapomnienia rzucono na nią również czar posłuszeństwa. Jeśli Lorchel wezwie ją raz jeszcze, będzie musiała usłuchać.

Rosetta rozejrzała się lękliwie, ale uliczka była pusta.

– Jest bezpiecznie – powiedział cicho Brune. – Mów dalej.

– Wypalił mi znaki – dokończyła, już właściwie samym ruchem warg. – O tu – podciągnęła rękaw. – Zobaczcie.

Musiał użyć wewnętrznego wzroku, żeby je ujrzeć – trzy czerwone jak krew symbole na przedramieniu. Dla zwykłego oka były niewidoczne; zakamuflowane iluzją, wyglądały po prostu jak stara, niewyraźna blizna.

– Rozumiem – syknął Krzyczący. – Chcą cię ściągnąć z powrotem, kiedy odzyskasz siły, bo za drugim razem będzie jeszcze zabawniej... – Narastała w nim wściekłość, że można w ten sposób wykorzystywać dar, pozycję, pieniądze oraz bezbronność ubogiej dziewczyny. Poczuł, że twarz wykrzywia mu tik. Rosetta cofnęła się o krok, przestraszona.

Siłą woli narzucił sobie spokój. Rozejrzał się czujnie, ale nadal byli sami.

– Chodź. – Pociągnął ją w głąb najbliższej bramy. – Daj mi rękę.

Ujął ją za nadgarstek, po czym zaczerpnął tchu, kanalizując gniew i czerń tam, gdzie należało. Zaklęcie posłuszeństwa pękło jak szkło uderzone kamieniem. Znaki zniknęły.

– Lorchel to wyczuje – szepnęła Rosetta. – Będzie mnie szukał...

– Zaradzimy temu. Zaczekaj.

Krzyczący oddał wąskie pasmo materiału od swojej chustki, pomazał je ulicznym błotem i związał w trzy węzły, szepcząc formułę, po czym wręczył dziewczynie tak zaimprovizowany amulet.

– Noś to przy sobie, a dla zaklęć tropiących będziesz się wydawała żebraczką, nikim. I lepiej przez kilka dni nie pojawiaj się tam, gdzie zwykle bywasz. Czy możesz gdzieś się ukryć? U krewnych?

– Tak. Ale Lorchel będzie mnie szukał – powtórzyła z obawą.

– Amulet cię osłoni.

Rosetta potrząsnęła głową; nie wyglądała na przekonaną. Ewidentnie bała się, że sprowadzi zagrożenie na tych, u których się schroni. Krzyczący zasepił się. Wiedział, że dziewczyna ma rację – na dłuższą metę amulet nie wystarczy, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Nagle zaświtał mu pomysł.

– Rosetto, możesz mi dać swoją wstążkę?

– Co takiego? – zdziwiła się.

– Daj mi wstążkę. Albo jakiś inny kawałek materiału. – Pomyślał o podwiązce, ale nie powiedział tego, żeby jej nie spieszyć. Chodziło tylko o przedmiot należący do niej, bez żadnych podtekstów.

Rosetta rozplotła warkocz, wyjęła zeń wyblakłą niebieską wstążkę i podała żmijowi, który związał ją w trzy węzły i wsunął do kieszeni.

– Kiedy Lorchel zacznie cię szukać, w pierwszej kolejności znajdzie mnie.

Uśmiechnął się w taki sposób, że dziewczynę przeszedł dreszcz.

* * *

– Doktorze Savin! – Janis zamachał ręką. – Doktorze Savin, mamy tu mały kłopot. Strażnicy przyprowadzili odmieńca. Nogi ma w ranach i nie umie gadać po ludzku.

Na dziedzińcu pod ścianą szpitala siedział ubrany w łachmany stwór o zniekształconym obliczu, całym w sinych guzach. Łydki miał pokryte krwawiącymi ukąszeniami. Pozostali chorzy z kolejki starali się trzymać od niego na dystans.

Na pytania odpowiadał niezrozumiałym szwargotem i gestykulacją. Bernard szybko dał za wygraną. Przez dwadzieścia lat nie zdołał się porządnie nauczyć żargonu odmieńców.

– Janis, zawołaj tu tego rudego dzieciaka.

Odmieniec na widok Znajdy wyraźnie się ożywił i zagadał na migi. Chłopiec odpowiedział mu w ten sam sposób.

– Spytaj, jak do tego doszło – polecił Bernard, wskazując rany.

– Mówi, że poszczuto go psami.

– No tak. – Lekarz westchnął. Takie historie zdarzały się często. – Janis, przytrzymaj go. A ty, chłopcze, podaj mi płótno i wódkę.

Kiedy alkohol zetknął się z ranami, odmieniec zaszamotał się i zawył. Nie zważając na to, Bernard spokojnie oczyścił i zabandażował

ugryzienia.

– Powiedz mu, żeby przyszedł za dwa dni, to mu zmienię opatrunek. – Rany odmieńców zwykle goiły się szybko, bez zakażeń, więc liczył, że pokąsany wkrótce wyzdrowieje. O ile, ma się rozumieć, psy nie były wściekłe.

Znajda żargonem odmieńców przekazał informację. Bernard lekarskim okiem odnotował, że dłonie chłopca, choć całe w bliznach, odzyskały już pełną sprawność – mógł normalnie zginać palce i zacisnąć pięść.

Następna chora z kolejki, trzęsąca się i kaszląca starowinka, chwyciła lekarza za rękaw szaty i za nic nie chciała puścić. Z jej niewyraźnego mamrotania dało się zrozumieć tyle, że jej syn umarł przed miesiącem, wyrzucono ją z izby, którą wynajmowali razem, i teraz nie ma dokąd pójść ani za co się wyżywić.

– Zaprowadź ją na czwartą salę w lewym skrzydle, jest tam wolne łóżko – polecił Bernard Znajdzie. – Zostanie tu, przynajmniej tak długo, dopóki nie dowiemy się, czy ma jakąś rodzinę.

Patrząc, jak chłopiec cierpliwie prowadzi staruszkę przez dziedziniec, lekarz zamyślił się. Dzieciak był wątpy, niepiśmienny, ale bystry i, z tego co mówili o nim pozostali posługacze, uczciwy. Rzadkie połączenie u kogoś, kto wychował się w rynsztokach.

Bernard Savin ufał swojej intuicji, jeśli chodzi o ludzi. Kiedy już skończył badać pacjentów z dziedzianca, przywołał Znajdę.

– Idę jutro do Podziemi, będę potrzebował kogoś do asysty. Chcesz iść ze mną?

Chłopak się rozpromienił.

– O tak!

* * *

Kiedy odwiedzał zamożnych obywateli, którzy narzekali na migreny, psujące się zęby oraz podagrę wywołaną nadmiarem mięsa i trunków, Bernard nieraz zastanawiał się, czy mają oni świadomość, jak wygląda ciemna strona miasta.

Wszy, świerzb, kołtuny, wrzody wywołane brudem i niedożywieniem. Szkorbut. Tyfus. Ludzie zniszczeni przez wódkę i lucyferię, z padaczką, bredzący od rzeczy. Dziwki chore na syfilis.

Dzieci z krzywicą. Ospa. Gruźlica, która cicho i podstępnie zabijała całe rodziny.

Nauczony doświadczeniem, ilekroć szedł do Podziemi, oprócz torby z akcesoriami i lekami zabierał też żywność. Chleb, ser, masło, kaszę.

Tym razem planował obejść korytarze w pobliżu rzeki, gdzie koczowało wielu bezdomnych. Ludzie znali jego czarną szatę z białymi pasami i wiedzieli, że jeśli potrzebują pomocy, wystarczy podejść i poprosić.

Jako pierwsza zjawiała się niziutka odmianka o małym pyszczku. Zbliżyła się, kulejąc, i na migi pokazała nogę. Na łydce miała wielki, nabrzmiały ropień. Bernard westchnął.

– Wytlumacz jej, że to trzeba przeciąć i oczyścić.

Znajda zagestykułował szybko. Odmianka wyglądała na przestraszoną, ale pokiwała głową.

– Powiedz jej, żeby się położyła i daj to, niech zagryzie zęby. – Lekarz wyciągnął z torby kawałek starego skórzanego paska. – A ty trzymaj jej nogę, tylko mocno.

Znajda spełnił polecenie. Nawet nie drgnął, kiedy spod skalpela popłynęła ropa i krew.

Bernard już powziął decyzję. Pomyślał, że kiedy tylko wróci do szpitala, pogada z Haru.

Oczyścił dokładnie ranę i wypalił ją wódką. Odmianka zaskomlała, łzy płynęły jej po twarzy, ale dzielnie zniosła całą operację.

– Teraz przypatrz się, chłopcze. Bandażujemy tak. Na ukos, i znowu na ukos.

* * *

Wróciwszy do kryjówki, Krzyczący zreflektował się, że może jednak podejście Jacentina było rozsądniejsze. Trudno, stało się.

Zachciało ci się, psiakrew, zgrywać rycerza na białym koniu.

Zazelowi nic nie powiedział, żeby go nie niepokoić, ale na wszelki wypadek przed snem wzmocnił zaklęcia ochronne wokół swojej siedziby. Spał nie niepokojony, dwa kolejne dni także nie przyniosły żadnych nieprzewidzianych wydarzeń. Ale żmija to nie uspokoiło. Intuicja podpowiadała mu, że historia Rosetty nie zakończy się tak gładko.

Przecucia przecuciami – nie uznał ich za dostateczny powód, żeby zaniedbać swoje zwykłe sprawy. Zaniósł Delilah kolejną porcję eliksirów, nabył na targowisku chleb, oliwki i wędzoną makrelę, pokręcił się wśród kramów, słuchając plotek. Zostawiwszy zakupy w kryjówce, wybrał się jeszcze na pierwszy poziom, żeby oddać brudne koszule do praczki. Ponieważ Zazel marudził, że nie ma ochoty siedzieć sam, zmij zabrał go ze sobą. Chowaniec skorzystał z zaproszenia, usiadł na torbie i pozwolił się nieść. Ważył mniej więcej tyle, co naprawdę duży, porządnie wypasiony kocur.

– Jesteś tłusty jak prosię – poinformował go życzliwie Krzyczący.

– Ba! I jestem z tego dumny.

Zmij stłumił uśmiech.

Kiedy wracali, Zazel nagle poruszył się niespokojnie.

– Szefie... – szepnął. – Szefie, coś jest nie tak.

Krzyczący zatrzymał się. On też to poczuł – falę czerni, która w okamgnieniu narosła wokół nich, jakby przekroczyli niewidzialną granicę. Rozejrzał się czujnie i dopiero teraz zobaczył na murze nakreślone kredą znaki.

Zasadzka. Odruchowo, bez zastanowienia przywołał moc i postawił zaklęcie tarczy.

– Szefieeee... – jęknął w przerażeniu Zazel. Z mroku korytarza powoli wyłoniła się postać w ciemnym płaszczu. Spod kaptura błysnęło złoto symbiotycznej maski.

Krzyczący wyjął sztylet i wyszeptanym słowem przemienił go w rapier.

– Niepotrzebnie wtrąciłeś się w moje sprawy, rynsztokowy braciszku – zaszeptał drwiąco Lorchel. Uniósł ręce i wyrecytował zaklęcie. Z jego ust wylała się ciemność – czarny, skłębiony opar, który uformował się w kształt podobny do wielkiego węża.

Brune w ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że zaklęcie tarczy może nie wystarczyć do ochrony przed magicznym stworem, a rapier nie pomoże tym bardziej.

– Trzymaj się, Zazel – szepnął i skupił się, pozwalając, żeby wchłonął ich wielobarwny wir przestrzeni pomiędzy światami.

Lorchel wysyczał przekleństwo, kiedy przeciwnik rozpląnął się w powietrzu jak dym. W bezsilnej wściekłości popatrzył na znaki wyrysowane na murze. Zadbał oczywiście o to, żeby wokół zasadzki

spleść czary blokujące dematerializację, ale tamten przeszedł przez barierę jak nóż przez wodę.

Czarny kształt zafalował i odwrócił się powoli. Lorchel otworzył usta do krzyku, który nie zdążył zabrzmieć.

* * *

Krzyczący przetarł oczy, nieco oszołomiony. Stał na łące porośniętej błękitną trawą, a wokół kłębiła się mgła, gęsta i biała.

– Skoczyłeś w sfery! Tak po prostu! – Zazel rozdziawił usta, zaszokowany. Tutaj wyglądał inaczej – był większy, rysy miał jakby mniej ludzkie, a jego ślepia świeciły niczym dwie zielone latarnie. Rozejrzał się, nie dowierzając, że naprawdę umknęli niebezpieczeństwu. – Masz dar podróżowania! Wiedziałeś o tym?

– Zasadniczo nie. – Krzyczący również rozejrzał się z namysłem, starając się odgadnąć, dokąd właściwie trafili. Do królestwa gnomów, a może sylfów?

Dematerializacja w obrębie świata ludzi należała do prostych czarów, możliwych do uaktywnienia instynktownie nawet przez niedoświadczonego maga. Ale skoczyć na oślep w sfery – to było coś. Tylko nieliczni magowie posiadali naturalną umiejętność podróżowania w ten sposób; zwykle wymagało to wieloletnich żmudnych ćwiczeń. Większość polegała na portalach.

– Będiesz umiał zrobić to samo jeszcze raz? Żeby wrócić?

Krzyczący zamknął oczy, pogrążając się w skupieniu. Po chwili się uśmiechnął.

– Tak, to łatwe. Ale lepiej odczekajmy trochę. Cokolwiek ten drań uaktywnił, echo musiało przykuć uwagę srebrnych. Podziemia już na pewno roją się od golemów.

– Więc nie wracajmy do Podziemi. Zmaterializuj nas póki co gdzieś za miastem. Sfery są niebezpieczne, Brune. Lada chwila może nas tu odnaleźć coś jeszcze gorszego niż srebrni.

Krzyczący skupił się, wizualizując plażę w pewnej odległości od miasta. Ponownie ogarnął ich oszalamiający wir kolorów. Kiedy zmij oprzytomniał, stał dokładnie tam, gdzie chciał się znaleźć, na mokrym szarym piasku tuż poza zasięgiem fal. Za zakrętem zatoki widać było miasto i port.

Sięgnął umysłem w przestrzeń, lecz nigdzie w pobliżu nie wyczuł ewentualnych zagrożeń.

– Ładnie. – Zazel gwizdnął. Zeskoczył na piach i obwąchał leżącą nieopodal muszlę. – Gdyby ten cały Lorchel wiedział, że potrafisz robić takie rzeczy, zastanowiłby się dwa razy, zanim spróbowałby z tobą zadrzeć.

– Co on właściwie takiego zrobił?

– Chciał cię zaatakować czarnym szeptem. Mówi ci coś ta nazwa?

– Tak. – Krzyczący spochmurniał, zdając sobie sprawę, jak niewiele brakowało. Czarny szept był jednym z paskudniejszych zaklęć bojowych, stworzonym specjalnie do walki pomiędzy magami.

– Szept po uruchomieniu zyskuje własną wolę. – Zazel wzdrygnął się na samą myśl. – Dureń nieźle się wkopał.

– Co masz na myśli?

– Nie sądził, że mu uciekniesz, inaczej nie zaryzykowałby użycia szeptu. Jeśli głodny drapieżnik stwierdza, że ofiara zniknęła mu przed nosa, co robi? Szuka innego, łatwo dostępnego celu. – Chowaniec cmoknął. – Obawiam się, że Lorchel już pożałował, że nie był bardziej przewidujący.

– Wiesz, Zazel, z jakiegoś powodu niezbyt mnie to martwi.

* * *

– To już piąty martwy homunkulus – zdziwił się Bernard, kiedy minęli kolejne cuchnące truchło. – Zaraza na nie padła czy co?

Wracali już na powierzchnię. I on, i chłopak nieśli puste torby – rozdali całą żywność. Wizyta w Podziemiach tym razem przebiegła bez sensacji. Żadnych dżum, żadnych trądów, żadnych wyjących opętanych, przykutych do muru w jakimś zaułku.

– Doktorze... – szepnął nagle Znajda, kiedy byli już prawie przy schodach. Chwycił lekarza za rękaw. – Doktorze, tam...

Bernard spojrział we wskazanym kierunku. U stóp schodów leżała postać skrzyta w nienaturalnej pozycji. Nawet w mroku i z odległości było widać, że człowiek ten jest ohydnie zmasakrowany. Wokół niego czerniała kałuża krwi.

– Stój tu, nie zbliżaj się – rozkazał lekarz. Bez pośpiechu podszedł do leżącego i uniósł latarnię. Był przygotowany na to, co może

zobaczyć, ale i tak poczuł mdłości.

Głowa i tułów leżącego zostały obdarte ze skóry. Wyglądał jak zwłoki wypreparowane podczas lekcji anatomii, lecz wciąż jeszcze oddychał, chrapliwie, z wysiłkiem; krew bulgotała mu w gardle.

Tylko mag mógł nadal żyć mimo takich ran.

Bernard cofnął się. Nie mógł w żaden sposób pomóc temu człowiekowi. Tej... istocie, poprawił się w myślach. Srebrni wkrótce się tu zjawią i zrobią porządek.

– Doktorze... – odezwał się ponownie drżącym głosem Znajda.

Idąc za jego wzrokiem, lekarz popatrzył w dół i wstrzymał oddech. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że wdepnął w kałużę krwi i teraz zostawia ciemne ślady. Wiedział, co to znaczy. Był naznaczony – kiedy srebrni się zjawią, wystarczy jedno zaklęcie tropiące, żeby mogli go odnaleźć.

Znał ich sposób rozumowania. Ten, kto ucieka, automatycznie przyznaje się do winy. Ochłonął szybko – znowu myślał spokojnie i trzeźwo.

– Zostaw to wszystko. – Wskazał torby. – Leć co tchu na powierzchnię, do szpitala, i opowiedz Haru, co tu się stało.

– Srebrni was aresztują! – zaprotestował Znajda.

– Wiem. Nie da się tego uniknąć, chłopcze. Ale to nie znaczy, że muszą aresztować też ciebie. Biegnij! – Popchnął chłopaka szorstko w kierunku schodów. Sam stanął pod murem i czekał.

Wkrótce w korytarzu rozległy się ciężkie kroki i chrzęst zbroi, a w mroku zabłysły czerwone ślepie Jednookich. Na ich czele szedł akolita w białym stroju i srebrnej masce, dzierżący różdżkę.

Wydał rozkaz i golemy otoczyły Bernarda, a sam podszedł do leżącego, wyrecytował zaklęcie i trzykrotnie stuknął różdżką w posadzkę. W murze ponad rannym otworzył się portal jaśniejący światłem. Ciało umierającego maga uniosło się i zniknęło w nim.

– Jesteście splamieni czernią – powiedział akolita, odwracając się. – Co macie na swoje usprawiedliwienie?

– Jestem lekarzem. – Bernard wskazał swoją szatę. – Zobaczyłem rannego i chciałem udzielić mu pomocy. *Co jest chyba logicznym odruchem* – dodał w myślach.

Sługa Elity tylko potrząsnął głową.

– Aresztuję was w imieniu srebra – oznajmił.

* * *

– Tylko tego brakowało – jęknął Kranz. – Tylko tego nam, do cholery, brakowało! I co teraz?

– Nie wiem! – Haru rozłożyła ręce. Była przerażona i robiła wszystko, żeby tego nie okazać, bo wiedziała, że jeśli ona zacznie panikować, spanikują wszyscy. – Musimy czekać. Mistrz Haggen zajął się sprawą.

– Jeśli Elita postanowi za karę obłóżyć nas sankcjami... Co mu przyszło do głowy, na wszystkie demony?

– Nie obłóż nas sankcjami, nie ma po temu żadnych podstaw – warknęła Haru. Nagle poczuła, że narasta w niej gorzka wściekłość. Srebrni aresztowali Bernarda, a Kranz zastanawiał się, czy przypadkiem nie ucierpi rykoszetem. Typowe dla niego. – To jakieś fatalne nieporozumienie. Mistrz Haggen powiedział mi, że zrobi wszystko, żeby je jak najszybciej wyjaśnić. Teraz wybaczcie, mam obowiązki. – Odeszła szybkim krokiem, bo bała się, że jeśli jeszcze choć przez minutę będzie przebywać w towarzystwie Kranza, wybuchnie i powie coś, czego nie powinna.

W pomieszczeniu, gdzie dokonywano operacji, unosił się zapach mydlin. Stara posługaczka szorowała posadzkę, a Znajda mył przy kamiennym zlewie narzędzia chirurgiczne. Wydawał się przygnębiony i niespokojny. Na widok lekarki drgnął, jakby chciał coś powiedzieć, ale wystraszył się i zrezygnował.

– Jeszcze te – powiedziała cicho Haru, podając mu pokryte zaschniętą krwią akcesoria z torby Bernarda: skalpel, pęsetę i sondę.

– Doktor Savin nie wrócił, prawda? – spytał z niepokojem chłopak.

– Zamknęli go w areszcie domowym.

– To niesprawiedliwe – szepnął Znajda.

– Wiem. – Haru lekko dotknęła jego ramienia. – Nie zamartwiajmy się na zapas. Władze cechu wstawią się za nim u srebrnych. Wszystko będzie dobrze.

Albo i nie.

* * *

Bernard nerwowo przechadzał się tam i z powrotem po swojej

skromnie urządzonej sypialni. To, że na razie zamknięto go w areszcie domowym, a nie w miejskim lochu, zawdzięczał szlacheckiemu pochodzeniu.

Po raz nie wiadomo który spojrzął na swoją dłoń i stłumił przekleństwo. Naznaczono go – magowie wsunęli mu na palec pierścień z wyrytymi znakami, którego nie dawało się zdjąć. Ponieważ był szlachcicem, użyto pierścienia, zamiast po prostu wypalić mu te znaki na skórze. Chodziło o to, żeby srebrni mogli w każdej chwili sprawdzić, gdzie Bernard jest.

Nie miał innego wyjścia, jak tkwić w miejscu i czekać na wyrok. Wiedział, że nie potrwa to długo. W sprawach, które dotyczyły skazanej magii, srebrni podejmowali decyzję sami, niezwłocznie, bez odwoływania się do świeckiego wymiaru sprawiedliwości.

Kroki na schodach. Głosy. Bernard spał się.

– Doktorze? – Służąca uchyliła drzwi. – Przyszli panowie z cechu.

Z cechu. To obudziło w nim promyk nadziei. *Nie żołnierze, nie golemi.*

– Zapraszam. – Wyprostował się odruchowo, przywołując na twarz maskę spokoju.

Wszedł Kranz, a za nim niski, siwowłosy, lecz krzepki mężczyzna – Lukas Haggen, przewodniczący cechu medyków w Shan Vaola. W rękę trzymał zwój pergaminu opatrzony pieczęcią. Chrząknął.

– Bernardzie, otrzymałem pismo od mistrza Demetheosa ar Kel. Nie wyciągnie konsekwencji za ten... incydent, ale żąda, żebyś niezwłocznie opuścił miasto.

Bernard pozwolił sobie na westchnienie ulgi.

– Wyjedziesz jutro. Napiszę do rady cechu w Ri Talma, mam tam przyjaciół jeszcze ze studiów. Dostaniesz ode mnie list polecający i przyjmą cię na prawach mistrza. W najgorszym razie będziesz musiał ponownie zdać egzaminy cechowe, ale myślę, że obejdzie się bez tego.

– Haggen się zawahał. – Jeśli mogę coś doradzić, zabierz ze sobą chłopca, który towarzyszył ci wtedy w Podziemiach. Widział i słyszał zbyt wiele, tylko patrzeć, a srebrni zainteresują się i nim.

* * *

Z nory Zazela dobiegało miarowe chrapanie. Krzyczący wyjął z

kieszeni niebieską wstążkę z trzema węzłami i popatrzył na nią w zamyśleniu.

Haran i Eresh, dwaj bogowie, którzy ofiarowali ludziom magię, spisali również prawa obowiązujące wszystkich posiadaczy daru. I jedno z nich brzmiało – nic za darmo. Dlatego żmij musiał raz jeszcze skontaktować się z Rosettą.

Nosiła przy sobie jego amulet, więc wysłanie wiadomości było proste. Kładąc się do snu, Brune zacisnęła wstążkę w rękę i wyszeptała zaklęcie.

Poczuł, że odrywa się od swojego ciała i płynie przez mroczną przestrzeń. Na powierzchni ziemi panowała noc; tak jak przypuszczał, Rosetta spała.

Śniła, że karmi gołębie na tarasie białej willi, ubrana w koronki i jedwabie. Krzyżący zjawił się w jej śnie jak czarny duch. Spłoszone ptaki wzbiły się chmarą, z łopotem skrzydeł, przemieniając się w locie w jesienne liście.

Rosetta objęła się ramionami, bo jej piękny strój z powrotem stał się ubogą sukienką. Żmij poczuł żal, że niechcący zburzył sen, który na krótko stał się dla niej ucieczką od jawy.

– Jesteś już bezpieczna, Rosetto. Lorchel nie żyje. Teraz musisz mi zapłacić. Prawo magów.

Skinęła głową. Była żyłą i znała zasady. Ustanowione przez bogów prawa miały to do siebie, że ich złamanie zawsze kończyło się źle.

– Jakiej zapłaty żądacie?

Zawahał się. W pierwszym odruchu zamierzał po prostu poprosić o czerpanie, ale nie odzyskała jeszcze sił w wystarczającym stopniu. Z kolei zażądanie pieniędzy było poniżej jego godności.

– Obetnij włosy i przynies mi. Wystarczy tyle. – Pokazał ręką. – Nie musisz się oszpecać.

Włosy przydawały się jako neutralny rekwizyt do różnych czarów. Istniał rytuał, za pomocą którego można było zdjąć z nich aureę właściciela.

– Dobrze. – Skłoniła głowę.

– Będę czekać jutro o zmierzchu u południowego krańca Krzywej Alei, pod częstokołem. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak.

Nazajutrz dziewczyna zjawiła się punktualnie w umówionym

miejscu.

– Proszę. Tak, jak prosiliście. – Wręczyła mu obcięty warkocz, zawinięty w chustkę.

Krzyczący odniósł wrażenie, że w jej oczach widzi odrazę. Nagle poczuł zmęczenie. Najchętniej wyrzuciłby z pamięci całą przygodę.

– Żegnaj, Rosetto.

14. Szkarłatny księżyc

Pogodny letni dzień miał się ku końcowi. Cienie w zaułkach Shan Vaola wydłużyły się, przekupnie na rynku zwijali kramy.

Stęchły chłód Podziemi trwał w niezmienionej postaci przez całe lato. Sprzedawczyni bułek, która właśnie poskładała towar i zbierała się z wózkiem do domu, jak zwykle miała na sobie kaptur, szal oraz brudny sukienny tułub.

U podnóża schodów prowadzących na ulicę Świątynną odmieniec o białej skórze i wypukłych czarnych ślepiach mocował we wnęce napełnioną świeciwem lampę, na miejsce rozbitej kamieniem przez jakiegoś łobuza. Nagle wzdrygnął się tak, że omal nie upuścił narzędzi.

– Tfu, na psa urok! – splunął.

Dziewczyna, która handlowała kadzidełkami, popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Co się dzieje?

– Nic nie czujesz?

– Nie.

– Ech, wy, ludzie... – Odmieniec rozejrzał się, zniżył głos do szeptu.

– Zbliża się wielkie zachwianie. Może największe w tym roku. Nadciąga od północy. Czuję je w kościach.

– Nie pierwsze i nie ostatnie. – Dziewczyna od kadzidełek lekceważąco wzruszyła ramionami.

Z głębi korytarza doleciało ochryple wołanie. Zza rogu, kuśtykając, wyłonił się wynędzniały mężczyzna we włosiennicy.

– Módlcie się i pokutujcie! Nadchodzi dzień zagłady i sądu!

* * *

Iglendis ar Vanth obudziła się, czując niepokój. Działo się coś złego – prądy Zmroczy falowały i wibrowały w sposób, który budził w niej

napięcie, poczucie zagrożenia.

Komnatę wypełniało chłodne, drżące światło, którego źródłem był kryształ leżący na stole. Czarodziejka wstała, tłumiąc westchnienie, ściągnęła przewieszony przez oparcie krzesła biały płaszcz i owinęła się nim. Boso podeszła do stołu i uaktywniła artefakt, w którym pojawiło się oblicze mistrza.

– W Tay zaczęło się potężne zachwianie – oznajmił Demetheos ar Kel, potwierdzając jej przeczucia. – Wkrótce dotrze i do nas.

– Czy wiadomo, co jest jego źródłem?

Stary mag tylko potrząsnął głową. Zachwiania potrafiły brać się znikąd. Tak jak burze.

– Możemy je powstrzymać? – zapytała jeszcze Iglendis.

– Za późno, rozwija się zbyt szybko. Będziemy się starali skrócić czas jego trwania. Na Wyspie Salamander już trwają przygotowania do obrzędów. Poprowadzę je sam. Ty zostań w mieście. Roześlij patrole i bądź w pogotowiu na wypadek, gdyby coś niebezpiecznego przedostało się ze sfer.

* * *

Krzyczący zamknął księgę i odstawił ją na półkę, po czym wsunął sztylet do cholewki buta. Chowaniec wyjrzał ze swojej nory, ziewając.

– Co szykujesz, szefie? – zagadnął, zaintrygowany. – Dokąd się wybierasz?

– Sprawdzić coś.

Zazel popatrzył na niego nieufnie, ale nie zadawał więcej pytań, wiedząc z doświadczenia, że to nic nie da.

– Uważaj na siebie – westchnął tylko.

Brune miał świadomość, że to, co planuje, jest więcej niż nierozsądne. Ale kusilo go cholernie.

Klucząc trochę, bo wciąż jeszcze nie orientował się w labiryncie korytarzy tak dobrze, jak by chciał, przewędrował Podziemiami spory kawałek drogi i wyszedł na powierzchnię niedaleko portu. Zapadał zmierzch, z tawern dolatywały śpiewy i pijackie krzyki. Było ciepło, więc zdjął kurtkę i przewiesił ją przez ramię.

Na nadbrzeżu panowały pustki. Żmij zszedł na plażę i zmrużył oczy w gęstniejącej szarówce, skupiając się przez chwilę na tym, co widzi

wewnętrzny wzrokiem. Czuł pulsującą aurę miasta, w której tysiące dusz kłębiły się jak świetliki, oraz zimny, ciemny oddech morza. Czuł też coś jeszcze – coś jak aromat wina – nieuchwytny i trudny do opisania, ale jednoznacznie obecny w powietrzu. Prądy Zmrocy wydawały się płynąć i układać inaczej niż zazwyczaj. Ale na niebie póki co nie pojawił się nawet najmniejszy ślad łuny, więc nie było powodów do niepokoju.

Szedł brzegiem morza, dopóki nie uznał, że oddalił się wystarczająco od miasta. Upewniwszy się, że nigdzie w pobliżu nie wyczuwa obecności ludzi, zamknął oczy i skupił się.

Bardzo chciał odwiedzić Ethereę, ojczyznę powietrznych duchów, opisywaną jako najpiękniejsze miejsce w sferach. Spróbował zwizualizować to, co znał z rycin w księgach – drzewa wysokie jak wieże, olbrzymie białe kwiaty i sylfy o motylich skrzydłach. Ale, jak to często bywa, praktyka okazała się bardziej skomplikowana od teorii.

Kiedy otworzył oczy, w pierwszej chwili pomyślał, że w ogóle nie ruszył się z miejsca, bo nadal stał na piasku tuż nad morzem. Potem zorientował się, że niebo nad jego głową jest czarne i płoną na nim nienaturalnie wielkie, świetliste gwiazdy. Powietrze było czyste jak kryształ, fale delikatnie lizały brzeg, a cisza wydawała się dzwonić w uszach.

Nie wiedział, dokąd trafił. Rozejrzawszy się, stwierdził, że to, co wziął za plażę, tak naprawdę jest skrajem piaszczystej pustyni, z wydymami o kształcie półksiężyców.

Miejsce było piękne, lecz ta absolutna cisza obudziła w nim nieuchwytny lęk. Co tak naprawdę wiedział o sferach? Że były... dziwne. Zdradzieckie. Że czas płynął tu inaczej, a większość istot zamieszkujących obce wymiary nie lubiła ludzi.

Ponownie zamknął oczy i skupił się.

W następnej chwili stało się coś złego. Teoretycznie dematerializacja nigdy nie powinna wysłać maga w miejsce, w którym nie będzie mógł bezpiecznie wylądować – nie istniała możliwość, że trafi się w sam środek ściany albo płonącego ogniska. Ale Krzyczący nagle poczuł uderzenie gorąca i bólu, jakby ogarnęła go burza piaskowa, siekająca ostrymi ziarenkami.

Nie wiedząc, co się dzieje, w panice przywołał obraz plaży, z której wyruszył, i skupił się na nim. Otoczyły go wirujące barwy, a potem

runął z wysokości, niedużej co prawda, na twardą ziemię.

Przetoczył się odruchowo, żeby złagodzić impet uderzenia i poderwał się, oszołomiony. Pierwsze, co pomyślał, to że jakiś inny mag wpadł na jego trop i zakrzywił tor podróży. Potem zobaczył, że wieczorne niebo jarzy się teraz feerią kolorów. Zachwianie. Wszystko jasne.

Rozejrzawszy się uważniej, zaklął przez zęby. Znajdował się w materialnym świecie – tyle już potrafił rozpoznać po samym zapachu powietrza – i na brzegu morza, jak najbardziej. Ale to nie była plaża pod Shan Vaola.

I tyle, jeśli chodzi o eksperymenty, do których nie masz dostatecznych kompetencji.

Był tylko ciekaw, czy jego podróż przez obce wymiary w jakimś stopniu przyczyniła się do rozwoju zachwiania. Niewątpliwie istniała taka możliwość. Kiedy zachwianie się rodziło, każdy drobiazg mógł je rozhuścić jeszcze bardziej.

Krzyczący postanowił, że odczeka jakiś czas, żeby dojść do siebie – czuł, że kolejne dematerializacje trochę go osłabiły – a potem po prostu wróci portalem. Portale stwarzały niejakie ryzyko – żaden mag nie lubił ich otwierać bez potrzeby, bo zawsze jakiś stwór ze sfer mógł wykorzystać okazję, żeby się prześliznąć tym kanałem do materialnego świata – ale stanowiły też pewniejszy sposób komunikacji. *Nie wolno ich tylko używać do ucieczki przed srebrnymi – przypomniawszy sobie ostrzeżenie, jakie przewijało się w księgach. Srebrni są w stanie wykorzystać każdy portal przeciwko tobie – wyślą istoty, które cię błyskawicznie odnajdą tą drogą.*

Z braku lepszego pomysłu postanowił się rozejrzeć po okolicy. Miejsce wyglądało zwyczajnie, wręcz nijako. Plaża przechodziła w rzadki sosnowy las.

Żmij szedł zamyślony brzegiem morza, patrząc na kolory jarzące się na niebie. Błękitne i liliowe pasma drgały ponad wodą, oszalamiająco, zdradziecko piękne. Gdy Krzyczący obejrzał się, poczuł dreszcz, bo ujrzał, że nad sosnami wschodzi księżyc barwy rubinu. Tak potężne zachwiania nie zdarzały się często.

Minął kolejny zakręt brzegu, wspinając się po piaszczystym zboczu – pomiędzy krzakami biegła wąziutka, na wpół zarośnięta ścieżka. Kiedy ponownie zszedł na plażę, w poświacie zachwiania zobaczył w

oddali miasto.

Zmrużył oczy. W porcie widać było statki. Miasto posiadało pierścień murów obronnych, a ponad wszystkim górowały białe wieże zamku. Znał ten widok, choć nie pamiętał skąd – przypuszczalnie z jakiegoś obrazu. Tay nad Zatoką Snów. Nie znajdował się wcale tak daleko od domu.

Od miasta dzieliła go może godzina drogi piechotą, ale nie było powodu, żeby się tam wybierać, zresztą o tej porze bramy na pewno już zamknięto. Najchętniej po prostu rozpocząłby przygotowania do otwarcia portalu, jednak zachwianie komplikowało sprawę. Znowu popatrzył w niebo, niechętnie starając się wykalkulować ryzyko. Skoro księżyc stał się czerwony... to nie wróżyło dobrze. Podczas naprawdę silnych zachwian z portalami potrafiły się dziać dziwne rzeczy.

Nie miał jednak ochoty spędzić całej nocy na dworze, nawet jeśli była to pogodna letnia noc. Dlatego upewniwszy się, że nigdzie w pobliżu nie wyczuwa obecności ludzi, wypisał na piasku odpowiednie znaki i wyszeptał zaklęcie, a kiedy w powietrzu utworzył się świetlisty krąg portalu, wkroczył weń.

Ogarnęła go wirująca szarość. Czas się zatrzymał. Krzyczący zawisł w nicości, wśród mgły, i z dreszczem przypomniał sobie, przed czym ostrzegały księgi.

Portal-pułapka, który urywa się w samym środku pustki. Efekt zbyt słabej koncentracji, błędu w formule lub zaburzenia aury.

Podmuch zimnego wiatru rozwiał mu włosy, a wraz z nim z oddali przypląnęły krzyki, wrzaski torturowanych. Przed oczami zmięły nagle zjawyły się obrazy. *Popielista równina, zakrwawione, chwiejące się na nogach postacie, pędzone przez demony wywijające batami.*

Zdał sobie sprawę, że jeszcze chwila i straci przytomność. Pustka wysysała z niego energię życiową, tak jak na mrozie traci się ciepło. Ostatkiem sił dobył sztyletu i skaleczył się w dłoń – z bólem nadeszło otrzeźwienie. Zbierając całą moc, jaką był jeszcze w stanie przywołać, zmij wypowiedział zaklęcie po raz drugi i wirująca mgła rozstała się, tworząc wylot portalu.

Kiedy w końcu otoczyła go znajoma, chłodna ciemność lochów, osunął się na posadzkę i musiał odpoczywać przez dłuższą chwilę.

Przypomniał sobie powiedzenie, które lubiła powtarzać Delilah. Czasem udaje się dokonać niemożliwego tylko dlatego, że wiesz, że

musisz.

Na powierzchni ludzie z obawą spoglądali w niebo. Zachwianie trwało.

* * *

Anavri Vaneisen chodziła tam i z powrotem po swojej sypialni, niespokojna jak zwierzę w klatce. Raz po raz nerwowo nawijała na palec pasmo jasnych włosów. Pamiętała o obowiązku, który musi wypełnić; jednak tego wieczoru dręczył ją dziwny, niewytłumaczalny lęk. W końcu odsunęła atlasowe zasłony i zrozumiała. Za oknem płonął księżyc barwy rubinu.

Zachwianie. Ale to nie zmieniało postaci rzeczy. Musi jechać na grób, jak co roku.

Spojrząwszy w lustro, uświadomiła sobie, że zdążyła już kompletnie zepsuć kunsztowną fryzurę. Rozpuściła włosy i pospiesznie zaczesła je na nowo, w prosty węzeł.

W drzwiach prawie zderzyła się z pokojówką.

– Muszę jechać na cmentarz – wyjaśniła spokojnie, widząc zdziwione spojrzenie służącej. – Ojca nie ma, a jest rocznica.

– Czy to rozsądne, panienko? Trwa zachwianie... Gdyby pan Alain...

– Muszę jechać na cmentarz – powtórzyła Anavri. – Każ zaprząć konie. I przynieś mi pelerynę.

Pokojówka spuściła głowę.

– Tak, panienko.

* * *

– Do pioruna, szefie, coś ty wyczyniał? Potrzebujesz żyły, i to prędko – stwierdził Zazel, ledwie wypełził ze swej kryjówki, wywabiony ciepłem. W kominku płonął uczciwy ogień, jak rzadko kiedy. Zwykle żmij oszczędzał drewno, co prowokowało chowańca do ciągłych narzekań.

– Obejdzie się – warknął Krzyczący. Siedział na posłaniu, otulony kocem i pił jedną ze swoich gorzkich jak piekło ziołowych herbat, grzejąc dłonie o kubek. – Odeśpię to.

– Oszalałeś? Musiałbyś odsypiać przez tydzień. Popatrz tylko na siebie. Ręce ci się trzęsą, pewnie już dostałeś gorączki, bo wyglądasz jak półtora nieszczęścia. Pieniądze są, więc po co się wygłupiać? Chcesz się wpędzić w chorobę?

Brune dopił zioła i wstał. Choć niechętnie, musiał przyznać chowańcowi rację. Zgodnie z tym, co pisano w księgach, wyczerpanie sił życiowych potrafiło dawać różne objawy, ale przede wszystkim wywoływało osłabienie organizmu. Przy odrobinie pecha można było się nabawić powikłań, na przykład złapać zapalenie płuc, nerek albo jakieś inne świństwo. Nie opłacało się ryzykować.

Dygotał od dreszczy, ale herbata trochę pomogła – przynajmniej już nie kręciło mu się w głowie. W pierwszej kolejności skierował kroki do Salonu Scaraveshii, lecz ku jego zaskoczeniu tawerna była zamknięta. Klnąc przez zęby, wspiał się aż na Loss Fomar. Czekala go jednak przykra niespodzianka. Kramy pozamykane na cztery spusty, nikogo w polu widzenia. Jak podczas zarazy.

Dwa skrzyżowania za targowiskiem przysadzista, niechlujna kobieta zamiatała korytarz. Poznał ją – czasem pojawiała się u Scaraveshii. Handlowała amuletami z gatunku paskudnych. Można było u niej kupić na przykład zęby wisielca (jak twierdziła, doskonale do czarów miłosnych). Spostrzegłszy go, pomachała, więc podszedł, patrząc na nią nieufnie.

– Czego szukasz, kotuś? – spytała, taksując go spojrzeniem bezczelnych świńskich oczek. – Najlepiej wracaj tam, skąd przyszedłeś, nic tu po tobie.

– Czemu?

Zaśmiała się drwiąco.

– Idź na powierzchnię, to się przekonasz czemu. Jest zachwianie jak jasna cholera, księżyc poczerwieniał. Dopóki Ekwilibrium się nie wyrówna, za każdy występki grożą przynajmniej pięć razy wyższe kary niż normalnie. Dziwisz się, że nikt nie ma ochoty handlować w takich warunkach?

Krzyczący patrzył na nią przez chwilę z taką miną, że jej uśmiech znikł jak zdmuchnięty. Cofnęła się, nagle blada.

– Wszędzie roi się od golemów – dorzuciła szybko. – Więc lepiej nie kręć się tu za długo.

Odchodząc, zmij wysyczał przekleństwo. Stojąca w najbliższej

wnęce lampa pękła z trzaskiem, a fosforyzujący płyn pociekł na posadzkę.

* * *

Na starym cmentarzu jak zwykle panowała cisza. Drzewa były powykręcanyymi czarnymi kształtami na tle nieba, na którym płonął zatruty zachwianiem księżyc. Wszystko tonęło w szkarłatnej poświacie; świat jak z koszmarów sennych, namalowany krwią.

Anavri szła alejkami bezszelestnie niczym cień, unosząc suknię, żeby rosa nie zamoczyła falban. Znała drogę na pamięć. Nie bała się. Powóz czekał tuż za bramą; zresztą żywi tu nie przychodzili, a umarli nie mogli jej skrzywdzić.

Była już prawie u celu, gdy nagle ujrzała, że nie jest sama.

Na jednym z nagrobków ktoś siedział – skulona sylwetka, której zarys wyglądał znajomo. Dziewczyna najpierw zamarła, potem zbliżyła się ostrożnie, drżąc z emocji. Powiew wiatru przyniósł ślad charakterystycznej, kadzidlanej woni i Anavri z nagłym rozczarowaniem zdała sobie sprawę, co to za zapach. Zjawy z reguły się nie narkotyzują.

W pierwszym odruchu pomyślała, że to włóczęga, ale nie – był zbyt porządnie ubrany. Nie wyglądał na człowieka z marginesu. Nagle uświadomiła sobie coś jeszcze. Jego aura... parzyła czernią. Dawno temu Fabien nauczył ją, jak odczytywać niewidzialne znaki. Teraz Anavri wyczuła osłabienie i ten jedyny w swoim rodzaju, mroczny głód. Tak bardzo znajomy.

Ka-ira podniósł głowę, szkarłatna poświata padła na jego twarz. Źrenice zabłyśły po kociemu.

Nie był podobny. Ani trochę. Ciemnowłosy, kilka lat starszy, z policzkiem zeszeconym przez szramy. Ale i tak wspomnienia przypląnęły same.

Gorączkujący, słaby Fabien po kolejnej nocy spędzonej w odległych wymiarach, w krainach demonów i duchów. Niema prośba w jego oczach. Bolało za każdym razem tak samo, lecz Anavri nigdy się nie przyznała, jak bardzo. Nikomu innemu nie mógł zaufać, a ona... ona mogła mu ofiarować tylko tyle. Z chęcią oddałaby więcej, oddałaby krew i duszę, gdyby to coś mogło zmienić, ale na skazę przecież nie ma

leku...

Otrząsnęła się z wysiłkiem, powracając do terażniejszości.

Wyczerpany *ka-ira* tutaj, na grobie Fabiena. To było jak przeznaczenie.

* * *

Krzyczący siedział na marmurowej płycie nagrobnej, a pomiędzy jego dłońmi świeciła odrobina żaru. Wdychał głęboko słodki dym w nadziei, że opium złagodzi dreszcze. Przyszedł na cmentarz, bo aura tego miejsca miała szansę trochę mu pomóc.

Bardziej wyczuł, niż usłyszał, że ktoś się zbliża. Podniósł głowę i ujrzał postać w pelerynie z kapturem.

Przypomniawszy sobie opowieści o krwiożerczych istotach, które wstają z grobu po śmierci. Przywołał moc, pozwalając, żeby źrenice zamigotały żółto. Mała demonstracja – na to jeszcze starczyło mu sił. Kimkolwiek była nieznajoma, to ona powinna się go bać.

– Nie trzeba. – Uniosła dłoń. Głos miała cichy, matowy. – Nie skrzywdzę cię. Jestem Anavri.

Szarpnęła zapięcia, peleryna opadła na trawę. Krzyczący zastygł z lufką w dłoni.

Nieznajoma miała na sobie czarną, zwiewną suknię i koronkowe rękawiczki, również czarne. Wyglądała jak postać z obrazu: jasne włosy gładko zaczesane do tyłu, aksamitka na szyi. Jej oczy tonęły w plamach ciemnego makijażu.

Dla jego wewnętrznego wzroku aż jaśniała siłą życiową. Cudowne, czyste źródło.

– Potrzebujesz żyły, prawda?... Użyj mnie.

Żmij dobył sztyletów i skrzyżował je przed sobą.

– Kim jesteś, na Otchłań?

– Nie bój się. – Wyciągnęła puste ręce. – Nie służę srebru.

– Nie? Po prostu ofiarowujesz swoją siłę każdemu, kto jej potrzebuje? I to wtedy, gdy świeci czerwony księżyc? Co to za wariactwo?

Spuściła głowę.

– Dwa lata temu złożyłam przysięgę... Pozwól mi ją wypełnić.

Krzyczący podszedł do niej, nadal nieufny. Schował jeden ze

sztyletów, ale drugi trzymał w pogotowiu. Sięgnął wewnętrznym wzrokiem ku umysłowi dziewczyny. Był tak spięty, że wychwyciłby najmniejszy cień fałszu, najlżejszy ślad zagrożenia. Ale wszystko wskazywało na to, że mówiła prawdę.

Szaleństwo.

Zawahał się, lecz wygłodniała czerń już była w jego głowie; nie miał siły dłużej się zastanawiać. Przyłożył dziewczynie ręce do skroni. Wzdrygnęła się, jakby ją uderzył.

– To nic – zapewniła pospiesznie. – Masz bardzo silną aurę... Czerp, nic mi nie będzie.

Usłuchał, zanim jeszcze skończyła mówić. Poczuł, jak przyjemne ciepło napęłnia opuszki palców, potem ręce. Ból głowy odrobinę zelżał.

Anavri jęknęła cicho, przygarbiła się. Żmij siłą woli zmusił się, żeby przerwać czerpanie, zanim wyrządzi jej krzywdę.

– Zaczekaj – szepnęła, zdejmując rękawiczki. Krzyczący poczuł dreszcz, bo paznokcie jej drobnych, bladych dłoni były poobgryzane do krwi. – Mogę ci ofiarować więcej... Nie bój się.

Zanim zdążył zaprotestować, objęła go i przytuliła twarz do jego twarzy. Owionął go zapach drogich perfum. Jej skóra była gładka i zimna jak satyna.

Zalała go powódź emocji, jakby wezbrana rzeka przerwała tamę. Ból, tęsknota, przeraźliwe poczucie pustki. I dzika, zapiekła nienawiść.

Po długiej chwili żmij cofnął się, oddychając głęboko, jakby wynurzył się z wody. Oszołomiony, ale dużo silniejszy. Wreszcie nasycił głód, a ona, przynajmniej przez krótki czas, mogła czuć się oczyszczona. Wolna.

– Dlaczego? – powtórzył, patrząc na nią. – Nawet mnie nie znasz!...

– Znam cię lepiej, niż sądzisz. Przypominasz mi kogoś... – Głos Anavri załamał się; przycisnęła kostki palców do ust. Zaczerpnęła głęboko tchu, uspokajając się. Nagle zakręciło się jej w głowie; nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo czerpanie ją osłabiło. Żmij podtrzymał ją, doprowadził do najbliższego z nagrobków.

– Usiądź – polecił spokojnie. – Usiądź, zanim zemdlejesz.

Usłuchała, choć przemknęło jej przez głowę, że zabrudzi suknię mchem.

Ka-ira stał sztywno, jakby zakłopotany, w końcu przykląkł obok.

Patrzyła ze smutkiem na jego splątane włosy i przekreśloną bliznami twarz. Kim byłby, gdyby przeklęta moc nie zbudziła się w nim i nie zburzyła mu życia?

Podniósł wzrok – ich spojrzenia spotkały się. Anavri zadrżała, ale nie odwróciła oczu.

Krzyczący w Ciemności pod wpływem impulsu pocałował ją w policzek.

– Dlaczego?... – powtórzył po raz trzeci.

– Mój brat był przeklętym, jak ty. Zabili go srebrni. Zamęczyli, twierdząc, że ratują w ten sposób jego duszę i nas. – Wskazała sąsiedni nagrobek, na którym widniał herb i krótki napis. – Nasz ojciec użył swoich wpływów, żeby sprowadzić jego zwłoki z Domu Godnego Odejścia. Pochowano go tutaj, zamiast spalić ciało i rozsypać prochy. Co roku w rocznicę pogrzebu odwiedzamy grób, jak każe zwyczaj. – Dziewczyna spuściła głowę. – Kiedy dowiedziałam się o śmierci Fabiena, przysięgam, że jeśli kiedykolwiek będę mogła pomóc komuś, kogo dotknęło przekleństwo Zmroczy... uczynię to.

Oboje milczeli chwilę.

– Jak się nazywasz? – spytała cicho Anavri.

– Brune.

Mówił jak ktoś wykształcony, ale im dłużej mu się przyglądała, tym wyraźniej widziała, że pomyliła się, oceniając, że nie miał nic wspólnego z marginesem. Wydawał się wynędzniały i zmęczony, ubranie miał bardziej zniszczone, niż początkowo sądziła. Odepchnęła od siebie pytanie, gdzie mieszkał i jak zarabiał na życie. Nie chciała tego wiedzieć.

Wstała – osłabienie już mijało. Podniosła pelerynę i owinęła się nią, nasuwając kaptur na czoło.

– Żegnaj. – Zawahała się. – Uważaj na siebie.

Krzyczący patrzył za nią jeszcze długo po tym, jak zniknęła w mroku. Jego wyczulony słuch uchwycił turkot powozu, który odezwał się w oddali i po chwili ucichł.

Szkarłatny księżyc trwał niewzruszenie na milczącym niebie.

* * *

W domostwie Scypuła, starosty odmieńców, mimo późnej pory jeszcze

nie spano.

Pokój, który niegdyś pełnił funkcję salonu, był teraz norą bez mebli, wyścieloną stertami łachmanów. W kominku tlił się żar, zaś na podłodze siedziała kręgiem grupka starszyny. Pijąc kiepsko sfermentowane piwo własnego wyrobu, odmieńcy rozprawiali posępnie o zachwianiu oraz o tym, co może się wydarzyć, jeśli potrwa ono dłużej.

Na górnym krańcu Krzywej Alei znajdowało się porośnięte chwastami rumowisko okopconych belek. Wszyscy pamiętali, co stało się w tym miejscu przed czterema laty, też podczas zachwiania z czerwonym księżycem. Z powietrza zmaterializował się potwór ze sfer – wielki, skrzydlaty i ziejący ogniem. Zabił kilku odmieńców i spalił dwie chaty, zanim rozlał się w kałużę ektoplazmy.

– Zobaczycie, tym razem wydarzy się coś jeszcze gorszego – perorował Garbaty Marvin, brat Scypuła, pokracyjny stwór o sonej skórze i z trzecim okiem pośrodku czoła. – Może woda w rzece zmieni się w krew albo spadnie deszcz płonącej siarki. Co? Jak myślicie, matko Gorczyco?

Twarz znachorki była posępna niczym grób.

– Srebrni do tego nie dopuszczą, już wy się nie bójcie.

* * *

Na Wyspie Salamander trwały obrzędy mające doprowadzić do przywrócenia Ekwilibrium.

Przy starym kamiennym ołtarzu w północnej części wyspy zaszlachtowano trzy krowy, przywiezione w pośpiechu z lądu. Skóry, kości i tłuszcz wrzucono w ogień. Krew wlano do wykopanego w pobliżu rowu na ofiarę dla umarłych – dziesiątki cieni wciąż jeszcze kłębiły się niczym mgła ponad szkarłatnym błotem.

Grupa biało odzianych akolitów od kilku godzin wirowała w szaleńczym tańcu wokół kotła, w którym gotowało się mięso ofiarnych zwierząt. Kiedy któryś z nich upadał na ziemię ze zmęczenia, jego miejsce natychmiast zajmował inny. Demetheos ar Kel obserwował ich spod ołtarza. Na twarzy miał srebrną maskę, dzierżył różdżkę i srebrny nóż, a jego ręce i szata były czerwone od bydlęcej krwi.

Czekał na znak. I doczekał się.

Grzmot. Fioletowa błyskawica rozdarła bezchmurne niebo. Tancerze zamarli w bezruchu.

– Przeprowadzić ofiarę! – wykrzyknął stary mistrz. Spomiędzy skał wyłoniły się golemy, wlokąc ślaniającego się, nagiego mężczyznę, którego ciało nosiło ślady tortur. Podprowadziły go do ołtarza i zmusiły, by ukląkł.

– Niechaj czerń zostanie oddana czerni. – Demetheos szybkim ruchem poderżnął ofierze gardło. Golemy wrzuciły zwłoki w ogień. Płomienie buchnęły w górę, trawiąc ciało martwego *ka-ira*.

Akolici wznowili taniec, podczas gdy stary mag ochrypłym głosem skandował zaklęcia.

Zachodzący księżyc powoli odzyskiwał normalną barwę.

15. Gemma ze smoczej kości

Głęboko w Otchłani wiatr hulał ponad spopielonym pustkowiem. Potępieni przykuci do wznoszących się w niebo słupów jęczeli i krzyczeli.

Stojąc na blankach wieży, Charooz głęboko wciągnął powietrze, rozkoszując się zapachem dymu i krwi. Spoglądając z wysoka na rozciągającą się aż po zamglony horyzont równinę, spróbował oszacować, ile też dusz ma do dyspozycji jego sojusznik. Z niejaką ulgą skonstatował, że Dolina Popiołów wciąż jeszcze nie dorównuje potęgą Dolinie Złota.

– Jak idą twoje sprawy na powierzchni, bracie? – zagadnął. Demon w zbroi i koronie uczynił wymijający gest.

– Bywało lepiej. Ale bywało też gorzej.

We własnym dominium Spalony Władca najchętniej przybierał kształt potężnej czarnej istoty, zakutej w spiż. To była jego królewska postać, mająca wzbudzać przerażenie i posłuch. Jednak w kontaktach z równymi sobie uznawał za stosowne powrócić przynajmniej częściowo do prawdziwego wyglądu. Dlatego twarz widoczna pod hełmem była teraz ludzka, zwodniczo piękna, o rysach jak wyrzeźbionych w alabastrze. Zimne niebieskie oczy zmierzyły Charooza podejrzliwym spojrzeniem. Sojusze zawierane pomiędzy możnymi Otchłani zawsze były kruche, w każdej chwili należało się spodziewać zdrady.

– Doniesiono mi, że masz nad Zatoką Snów nowego agenta, z którym wiążesz nadzieje – ciągnął z uśmiechem Charooz, który na czas wizyty w Dolinie Popiołów także przybrał swój prawdziwy wygląd i nie był już smokiem, tylko bogato odzianym, złotowłosym młodzieńcem o czerwonych nietoperzych skrzydłach. – Gdyby to była prawda, moglibyśmy się pokusić o jakieś wspólne przedsięwzięcie. Ja posiadam...

– Informacje, które ci przekazano, są mylne – uciął Spalony Władca. – Jeśli pozwolisz, zastanówmy się raczej, które oddziały wysłać na pogranicze. Sul-Berith grupuje swoje siły i niewykluczone, że wkrótce uderzy.

Charooz popatrzył na niego z niechęcią, ale nic nie rzekł. Był pewien, że demon w zbroi kłamie, nie pierwszy raz zresztą. Powrócił myślami do koncepcji, którą rozważał już wcześniej – żeby wycofać się z sojuszu z Doliną Popiołów i zamiast tego zaoferować ugodę władczyni Doliny Cierni. Ale powstrzymała go świadomość, jak bardzo Sul-Berith pragnie jego krwi.

Wiatr ze zdwojoną siłą zaświstał wokół zamku, a wraz z nim z równiny dobiegły jęki i wrzaski.

W dole, u podnóża murów, dziewczyna w szarych łachmanach zadarła głowę. Wyczuwała obecność dwóch władców na szczycie wieży i była ciekawa, czego dotyczy ich rozmowa.

– Ani chybi, będzie wojna – odezwał się stojący obok demon o pysku owcy i długich, nieforemnych kończynach. – Dolina Cierni uderzy na nas, Anyah.

– Co będzie, to będzie. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli się odważą, pożałują. Ale wątpię, żeby się odważyli, dopóki Charooz jest po naszej stronie. Zresztą gdyby naprawdę coś się szykowało, władca kazałby mi zostać.

– Zatem wracasz do świata ludzi? – Demon o pysku owcy popatrzył na nią, nie kryjąc zazdrości.

– Takie otrzymałam rozkazy.

* * *

Brzęk stali odbijał się echem od ścian krypty.

– Hola, hola! Nie uciekaj! – zawołał Szczur. – Nie przedłużaj walki! Gdy się zmęczysz, stajesz się łatwym celem.

Żmij nie odpowiedział. Krążyli wokół siebie, śledząc się zmrużonymi oczami. Upatrzawszy odpowiedni moment, Brune zaatakował i rapier Szczura z brzękiem wylądował na posadzce.

– Dobrze! – pochwalił stary odmieniec. – Ech, miałeś dobrych nauczycieli, to widać.

Potem spoważniał.

– Za szybko słabnie ci ręka, bo za rzadko ćwiczysz, chłopcze.

Brune tylko się uśmiechnął. Już dawno doszedł do wniosku, że bardziej mu się opłaca polegać w walce na magii niż na broni. Szymierkę traktował jak rozrywkę.

Obrócił rapier w dłoni, przemieniając go z powrotem w sztylet, a ten wsunął do rękawa.

– Byłbym zapomniał – dorzucił odmieniec. – Veljanov pytał o ciebie. Na trzecim poziomie, za magazynami, farbiarze znów spuścili do kanału jakieś paskudztwo.

* * *

– Tym razem, psiamac, przeszli samych siebie – stwierdził ze znużeniem szczurołap, odryglowując okute drzwi. – Zaraz się przekonasz.

Wodę w kanale pokrywały tęczowe, oleiste plamy i bił od niej jadowity odór. Na brzegu leżało kilka martwych szczurów. Krzyczący wyjął z kieszeni olejek kamforowy, który zawsze nosił przy sobie właśnie na takie okoliczności, skropił nim chustkę i przyłożył do nosa.

– Pogłupieli czy co? Chcą wytruć pół Podziemi?

– Możesz z tym zrobić porządek?

– W teorii tak. W praktyce... to nie będzie takie proste. Nie chcę tu zwabić golemów, cholera, w tym cały problem.

Żmij przez chwilę kalkulował w myślach, potem wyjął kawałek kredy i zaczął pisać na murze czarodziejską formułę.

– Następnym razem pošlijcie kogoś do cechu farbiarzy ze skargą – poradził przez ramię. – Jeśli nie będą chcieli was wysłuchać, zwróćcie się do rady miejskiej. Jak się narobi wystarczająco dużo szumu, to urzędnicy zareagują, zobaczycie.

– A cóż im rada miejska może zrobić? Grzywnę wlepić, i na tym koniec. Zapłacą, złota przecie mają dość, i dalej będą czynić swoje. – Veljanov splunął. – Powiadam ci, chłopcze, nie ma gorszego nieszczęścia niż głupota ludzka. Prędzej znajdziesz sposób, żeby walczyć z nikczemnością niż z głupotą.

Krzyczący mruknął zdawkowo w odpowiedzi. Nakreślił ostatni symbol, po czym ukląkł, wpatrzył się w wodę i wyszeptał zaklęcie.

Nagle mury i kanał zawirowały mu w oczach. Odniósł wrażenie, że

odrywa się od swojego ciała, unosi się, płynie poprzez mgłę.

Ujrzał kobietę w szarych, postrzępionych szatach, która wyciągała do niego ręce. Potem wizja rozwiała się tak samo nagle, jak się pojawiła.

Zakłęcie już nabierało mocy. Tęczowych plam ubyło z powierzchni wody, a odór zelżał. Żmij otarł rękawem czoło.

– Załatwione. Ten czar wymaga czasu, żeby w pełni zadziałać, ale do jutra wszystko powinno wrócić do normy. O ile przedtem nie wyleją tu czegoś nowego.

Wstając, zachwiał się; musiał się oprzeć o ścianę.

– Hej, dobrze się czujesz? – spytał z niepokojem szczurołap.

– Tak, w porządku. To przez ten smród.

Kiedy wrócili do głównego korytarza, Veljanov wyjął zza pazuchy nieodłączną manierkę.

– Chcesz?

Żmij pokręcił głową, więc stary sam łyknął tego. Otrząsnął się.

– Trza mi do domu – mruknął. – Muszę zobaczyć, co z Melą. Niedomaga mi dziewczyna, złapała jakąś gorączkę i już trzeci dzień leży.

Żmijowi przemknęło przez głowę, że nie brzmi to dobrze. Znał córkę Veljanova ze słyszenia i z tego, co o niej wiedział, była jak większość kobiet z ludu – jeśli kładła się chorować, to znaczyło, że jest już naprawdę źle. Jednak nic nie powiedział, nie chcąc martwić starego.

Pożegnali się i rozeszli każdy w swoją stronę. Krzyczący zasepił się, bo czuł nieokreślony niepokój. Postanowił się trzymać tam, gdzie Veljanov będzie mógł go w razie czego łatwo znaleźć, więc skierował kroki na najniższy poziom, do Salonu Scaraveshii.

O tej porze było tam prawie pusto. Poprosił o grzane wino i kiedy je dostał, swoim zwyczajem usiadł w kącie, blisko szynkwasu.

Grzaniec Scaraveshii nie był rewelacyjny, ale jak na takie miejsce, nie był też zły. Brune sączył go bez pośpiechu, rozglądając się po sali. Pod przeciwległą ścianą zauważył trzy wydekoltowane panienki lekkich obyczajów. Dwie wyglądały okropnie – tandetne jak kolory na jarmarcznej budzie, ale trzecia, o rudych lokach, była nawet, nawet. Pomyślał, że należy im pozazdrościć zdrowia, skoro dzień w dzień wytrzymują w Podziemiach ubrane w te swoje szmatki, bez płaszczy.

Uchwyciwszy jego spojrzenie, ruda nachyliła się do koleżanek i coś

szepnęła. Tamte, chichocząc, przytaknęły. Brune, nagle zirytowany, schylił głowę, żeby włosy zasłoniły mu twarz. Za późno. Ruda wstała i podeszła do jego stolika, kołysząc biodrami.

– Hej, królewiczu, nie miałbyś ochoty spędzić godzinki w miłym towarzystwie? – zagadnęła schrypniętym głosem.

– Dzisiaj nie mam ochoty się niczym zarazić, dziękuję – odparł sarkastycznie. Za jego plecami Cagliostro parsknął w słoju. Z twarzy dziewczyny zniknął uśmiech.

– Tylko żartowałam. Nie poszłabym z kimś, kto ma takie oczy.

Odwróciła się, szeleszcząc suknią, i dołączyła do koleżanek, które teraz wdzięczyły się do jakiegoś potężnie zbudowanego typu. Brune dopił wino, czując, jak narasta w nim złość.

A ja poszedłbym z kobietą, która nie nosi brudnych koronkowych halek, nie maże policzków różem i nie uważa, że perfumy zastępują mydło. I która nie kładzie się codziennie z tuzinem śmierdzących opryszków.

Drgnął, słysząc obok głos szczurołapa.

– Brune? Można się przysiąc czy czekasz na kogoś?

Wiedziałem.

– Proszę. – Żmij przesunął się na ławie, żeby zrobić miejsce. Veljanov usiadł ciężko, zgarbił się.

– Z Melą jest niedobrze – powiedział cicho. – To coś poważnego.

– Co powiedzieli w szpitalu?

– Nic nie powiedzieli, bo nie widzieli jej jeszcze. – Szczurołap wbił wzrok w brudny blat stołu. Oczy Krzyżującego zwęziły się. Biedota często bała się lekarzy, ale stary był rozsądnym człowiekiem. Jeśli obawiał się zaprowadzić córkę tam, gdzie mogła za darmo otrzymać pomoc, nie wróżyło to dobrze.

Ospa albo tyfus. Albo któreś z tych zakaźnych świństw, które nie mają nazwy.

– Brune – Veljanov jeszcze bardziej zniżył głos. – Ty umiesz sporządzać leki... Proszę cię, chodź ze mną i obejrzyj ją.

– Nie wiem, czy będę mógł pomóc. – Żmij zawahał się. – Znam się trochę na leczeniu, ale...

Szczurołap popatrzył na niego. Oczy miał przekrwione, a wzrok błędny.

– Przynajmniej na nią spojrzysz i powiedz mi, co to jest.

Ospa albo tyfus. Ewentualnie coś jeszcze gorszego. Mogę się założyć.

* * *

Domostwo szczurołapa okazało się miejscem mniej przygnębiającym, niż sądził żmij. Izba była obszerna, z kaflowym piecem i, jeśli pominąć piętrzący się pod ścianą stos zardzewiałych pułapek, zupełnie przyzwoicie urządzona. Na stole stał słoć wypełniony świeciwem. Sprzęty, przypuszczalnie zakupione od śmieciarzy, zostały pracowicie wyreperowane i odczyszczane. Wyraźnie dołożono starań, żeby wszystko jak najbardziej przypominało dom ludzi z powierzchni.

Pod ścianą leżał siennik przykryty derkami i baranicą, zapewne posłanie starego. Wejście do drugiego pomieszczenia zasłaniała skórzana płachta.

– Zerlina, jesteś tam? – zawołał z cicha Veljanov.

Zza zasłony wysunęła się kilkunastoletnia, biednie ubrana dziewczynka z ciemnym warkoczem.

– Chodź tu, nie wstydz się – rzucił szorstko stary. – Co z Melą, śpi?

Pokręciła przecząco głową, więc szczurołap wszedł za zasłonę. Było słychać, jak cicho mówi do chorej. Po chwili wyjrzał i dał znak żmijowi.

W mniejszej izbie znajdowały się tylko posłanie, skrzynia i mały ołtarzyk z poślacaną figurką bóstwa, przed którą stał bukietik więdnących kwiatów. Na posłaniu, okryta kocami, leżała córka Veljanova. Patrząc na nią, Krzyczący już naprawdę szczerze się zdziwił. W odróżnieniu od swojego zbirowatego ojca, Mela była śliczna jak z obrazka. Miała urodę arystokratki – delikatne rysy, bujne czarne włosy, teraz splątane i rozrzucone po poduszce. Ale oddychała z wysiłkiem, a jej twarz barwiły czerwone plamy wysypki, która na czole zaczynała już formować się w krosty.

Wiedziałem.

Żeby się upewnić, podszedł i ujął dłoń dziewczyny, mimo woli zauważając, jak okropnie zniszczone i szorstkie są jej ręce. No tak, Veljanov wspominał, że dorabiała jako praczka.

Po wewnętrznej stronie dłoni też zobaczył takie same plamy. Zasepiony, szybko wywołał szczurołapa do większej izby.

– To ospa. Trzeba jak najszybciej ściągnąć tu medyka. Kim jest ta

mała?

– Zerlina? To moja bratanica.

– Nie ma dziobów na twarzy, chorowała na ospę?

– Ona jest odporna.

Żmijowi opadły ręce.

– Jak to odporna? Veljanov...

– Zerlina, pokaż mu rękę – polecił stary. Dziewczyna podciągnęła rękaw, pokazując wgłębioną, nieregularną bliznę na przedramieniu, w otoczeniu kilku mniejszych okrągłych znaków.

To istotnie zmieniało postać rzeczy. Krzyczący machinalnie dotknął ramienia, na którym miał podobne ślady, choć wspomnienie o zabiegu, jakiemu został poddany kiedyś dawno, w dzieciństwie, zagięło bezpowrotnie.

Po zadrapaniu igłą skóry i wtarciu w to miejsce ropy z krost chorej osoby można było przechorować ospę w znacznie mniej niebezpiecznej postaci. Ot, kilka dni gorączki, wysypka, która nigdy nie zostawiała dziobów na twarzy – a odporność zostawała później na całe życie. Co zdziwiło żmija, to widok śladów na ręce Zerliny, ubogiej mieszkanki Podziemi. Zwykle zabiegowi uodpornienia poddawali swoje dzieci ludzie zamożniejsi, których było stać na zapłacenie lekarzowi.

– W szpitalu za Rybią Bramą robili to w zeszłym roku za darmo – wyjaśniła, jakby odgadując jego myśli. – Stryj mnie namówił. Namawiał też Mełę, ale ona wtedy była w ciąży. Poszła i powiedzieli, że nie wolno, dopiero, jak urodzi.

Nagle w kącie izby rozległo się popłakiwanie, które przeszło w pełen pretensji wrzask. Zerlina pospiesznie uklękła obok skrzyni stojącej przy piecu – dopiero teraz Krzyczący zobaczył, że ta rzekoma skrzynia jest w rzeczywistości zbitym z desek dzieciennym łóżeczkiem.

– Cicho, cicho. Mamusia jest chora. No, luli, maleńka, luli.

– Ile ono ma miesięcy? – spytał żmij, podchodząc. Dzieciak przestał płakać i patrzył na niego ciekawie czarnymi jak węgle oczami.

– To jest ona! – odparła z wyrzutem Zerlina. – Nazywa się Mavraiike.

– Wszystko jedno! Pytałem, ile ma miesięcy?

– Dziesięć, a co?

– To, że trzeba ją stąd czym prędzej zabrać! O ile jeszcze się nie zaraziła. Niech to szlag! – Tutaj dzieci na pewno karmiło się piersią

tak długo, jak tylko się dało, ale na szczęście Mavraike była już na tyle duża, że nie potrzebowała mamki.

– Pogadam z Josefem – odezwał się Veljanov. Troska, jaka odmalowała się na jego twarzy, świadczyła, że przynajmniej on nareszcie pojął, jak poważna jest sprawa. – Wyście wszyscy albo chorowali, albo dali się zaszczepić, prawda, Zerlina?

Dziewczyna przytaknęła. Brune zamyslił się. Znał prosty czar, który mógł uchronić dziecko przed chorobą, ale nie chciał go odprawiać na oczach Zerliny.

Szepnął kilka słów szczurołapowi. Ten pokiwał głową i pstryknął palcami na bratanicę.

– Zerlina! Idź po wodę!

– Teraz?

– Teraz, teraz. Wiadra puste.

Mrucząc pod nosem, dziewczyna wyszła. Brune czym prędzej ukląkł przy łóżeczku i wyszeptał zaklęcie, dotykając czoła małej. Patrzyła na niego bez lęku. Zauważył, że choć była otulona kawałkiem złachmanionego koca, włoski miała czyste i wyglądała na nieźle odżywioną. Dbano o nią.

– Brune – odezwał się z wahaniem szczurołap, patrząc w podłogę. – Nie mogę jej zabrać do szpitala, zrozum. Ja widziałem, jak medycy leczą ospę. Robią okłady z takiego płynu, od którego czernieje skóra na całym ciele... Strasznie to wygląda.

– Wiem, co to za płyn. Pali i przysusza. I dobrze, chodzi o to, żeby krosty się nie paprały, żeby jak najszybciej wytworzyły się strupy. To bzdura, że blizny są później gorsze.

Stary tylko potrząsnął głową. Żmij westchnął.

– Ona może umrzeć, może stracić wzrok... Tu trzeba lekarza, Veljanov. Ja nigdy nie pielęgnowałem chorych, o ospie wiem tyle, co z ksiąg.

Wąsy starego poruszyły się, jakby przeżuwał jakąś myśl.

– Jak długo trwa ospa?

– Jeśli nie ma powikłań, krosty zwykle zasychają mniej więcej po dwóch tygodniach.

Chyba że Mela umrze wcześniej. Ale tego żmij już nie odważył się powiedzieć na głos.

Szczurołap zacisnął pięści.

– To moja córka, Brune. Nie chcę, żeby umierała pod cudzym dachem.

Żmij odchylił zasłonę i ponownie popatrzył ze smutkiem na zaczerwienioną od gorączki twarz Meli. Nie wiedział, czy Veljanov i jego bratanica mają jakiegokolwiek wyobrażenie o tym, jak będzie wyglądać opieka nad chorą w lochu bez okien, gdzie wodę trzeba nosić ze studni położonej trzy korytarze dalej. Bał się pytać, czy u tych ludzi znajdzie się więcej niż jedno zapasowe prześcieradło.

Westchnął raz jeszcze.

– Kładźcie jej zimne okłady na czoło. Do jutra gorączka powinna opaść, na czwarty dzień zazwyczaj opada. Zajrzę do was rano.

* * *

Tak jak się spodziewał, nazajutrz krosty uwidoczniły się już w całej okazałości, ale gorączka opadła przez noc i Mela była przytomniejsza. Kiedy Krzyczący wszedł za zasłonę, właśnie kończyła obcinać sobie włosy dużymi krawieckimi nożycami. Na kocu leżało mnóstwo długich czarnych pasm.

– Czemu to robisz? – spytał zaskoczony.

– Tak przecie trza, włosy wyciągają siłę w chorobie. Chcę wyzdrowieć. – Uśmiechnęła się smutno.

Po zastanowieniu pomyślał, że nie było to głupie – gorączka, krosty i długie włosy nie tworzą dobrego połączenia. Przynajmniej Mela nie wyglądała na kogoś, kto ma wszy. O jeden kłopot mniej.

Pomógł jej pozbierać pasma włosów z posłania, potem poszedł spalić je w piecu. Kiedy wrócił, zobaczył, że po twarzy Meli płyną łzy. Wyjął chustkę i podał jej.

– Czemu płaczesz? Wszystko będzie dobrze. Wyzdrowiejesz.

– Nic nie będzie dobrze. Będę brzydka – szepnęła. – I Clementin już nigdy nie zechce nawet na mnie spojrzeć.

– Clementin?

– Ojciec małej. – Spuściła głowę. – To cudzoziemiec. Jest lekarzem. Doktor Savin go tu kiedyś przyprowadził, pokazywał mu Podziemia.

Żmij pomyślał, że oto historia, jakich wiele. Śliczna dziewczyna z ludu i ktoś, kto jej naobiecował złotych gór.

O ironio, pochodzenie Meli miało jedną dobrą stronę. Gdyby była

córką choć trochę zamożniejszego mieszczanina, ojciec pewnie wyrzuciłby ją z domu na bruk. Ale tak, jej reputacja nikomu nie robiła różnicy, zaś Veljanov najwidoczniej podszedł do sprawy rozsądnie i pragmatycznie.

Patrząc na zniszczone od ługu ręce dziewczyny, Krzyżący pomyślał, że w zupełności pojmuje, czemu dała się omamić, choćby i obietnicami bez żadnego pokrycia.

– Ile masz lat? – spytał jeszcze.

– Dziewiętnaście.

Dotknął lekko jej policzka.

– Nie martw się – powiedział cicho.

Mela spojrzała na swoją pokrytą krostami dłoń.

– Będę brzydka – powtórzyła i objęła się ramionami, jakby było jej zimno.

– Nie będziesz. – Brune przykląkł i popatrzył jej wprost w twarz. – Nie będziesz, Melu. Przyniosę maść, która zmniejszy dzioby. Może w ogóle żadne nie zostaną.

Zobaczył, że jej oczy znowu wypełniają się łzami, i pomyślał z rezygnacją, że nie wie, co mógłby jej powiedzieć.

Zerlina odchyliła zasłonę.

– Mela, chcesz pić? Chcesz rosółu? Ugotowałam, jest dobry.

– Nie chcę. Wy zjedzcie. – Mela położyła się i okryła kocem. Żmij chciał odejść, ale chwyciła go za rękaw.

– Panie Keare...

– Brune. Po prostu Brune.

– Czuję się lepiej. Czy to znaczy, że już zdrowieję?

Potrząsnął głową.

– Za dwa lub trzy dni, kiedy płyn w krostach zmętnieje, gorączka znowu się podniesie.

* * *

W palenisku tlił się żar. W garnuszku na stole stygła gotowa maść. Żmij otworzył swój grymuar i popatrzył w zadumie na rycinę przedstawiającą dziewięciu bogów.

Haran, jednooki władca burz, z piorunem w dłoni – król bogów i patron królów. Eresh, jego brat, pan podziemnego świata.

Araya, której imię w mowie magów brzmiało Arethe, Nieskalana. Ta, która zapaliła gwiazdy, zawiesiła słońce i księżyc na sklepieniu niebios.

Leleya, w mowie magów zwana Lylithe. Opiekunka kobiet, zwłaszcza matek.

Proserpis, jej syn – bóg przyrody, który co roku zstępował do podziemi, by powrócić z wiosną.

Merauke, patronka kupców, złodziei i polityków. Ilmar, bóg ognia, który nauczył ludzi kowalstwa i innych rzemiosł.

Sabel, pan snów i marzeń, z pękiem maków w dłoni. I jego siostra, Tanaya, w mowie magów zwana Tanathe, z białą gołębicą na ramieniu.

Brune zamyslił się, przypominając sobie wersety Świętej Księgi.

Orły Harana latają wysoko i widzą wszystko, co dzieje się w świecie śmiertelnych. Podobnie kruki Eresha.

Lecz białe gołębie Tanathe mogą wzbić się jeszcze wyżej, aż do krain poza gwiazdami. Tam właśnie odchodzą dusze śmiertelników, gdy minie ich czas.

Przerzucił kilka kart i zatrzymał wzrok na kolejnej rycinie.

Eresh, Władca Much. Pan zarazy i robactwa, mistrz trucizn i alchemii, patron lekarzy. W czarnym płaszczu, z krukiem na ramieniu, z dwoma wężami owiniętymi wokół stóp. Piękny i majestatyczny, jak na nieśmiertelnego przystało, lecz połowa jego twarzy była zaciemniona. Na kolorowej ilustracji byłaby trupio sina, barwy rozkładających się zwłok.

* * *

Ósmego dnia od początku choroby płyn wypełniający krosty zmętniał i nadeszło pogorszenie, dokładnie tak, jak zapowiedział żmij. Gorączka ponownie się podniosła i Mela zaczęła tracić przytomność.

Nie zapadła na żadną z cięższych, powikłanych postaci ospy. Ale była wątłego zdrowia – ciąża, a później karmienie i opieka nad małą osłabiły ją. Dziewiątego dnia Krzyżący zaczął się poważnie niepokoić, czy córka szczurołapa wygra z chorobą.

Kiedy przemówił do niej na powitanie, Mela po raz pierwszy nie zareagowała. Leżała bez ruchu, ciężko oddychając. Jej twarz była teraz nierozpoznawalna, obrzmiała; krosty przybrały postać okrągłych pęcherzy, a powieki spuchły tak, że oczy zmieniły się w szparki.

Krzyczący wyjął z kieszeni olejek kamforowy i wylał świeżą porcję na chustkę zawiązaną na szyi. Ospa miała swój zapach. Mdły, paskudny, nie do pomylenia z żadnym innym.

Poprzedniego dnia żmij pokłócił się z Zerliną o to, że owszem, trzeba zagrzać wody, ostrożnie umyć chorą i zmienić jej koszulę. Veljanova z jego czarnymi od brudu rękami, którymi codziennie dotykał pułapek i martwych szczurów, nie zamierzał do tego angażować.

Półprzytomna od gorączki Mela nie do końca zdawała sobie sprawę, że obcy mężczyzna pomaga ją myć i przebierać, jakby była dzieckiem. Krzyczący wiedział, że należałoby teraz umyć ją znowu, ale nie miał siły na nową kłótnię z upartą jak osioł piętnastolatką.

Sięgnął po stojący koło posłania słoiczek z żółtawą maścią. Był to preparat z dodatkiem szaławii, kamfory i aranzji, mający chłodzić, łagodzić ból i stan zapalny. Kiedy krosty zaczną zasychać, przyjdzie czas na drugą maść, gojącą. O ile dziewczyna dożyje do tego czasu.

Pokrył świeżą, grubą warstwą maści twarz i dłonie Meli. Na ile się orientował, nie istniał lepszy sposób, żeby zmniejszyć późniejsze blizny.

– Clementin – szepnęła chora. Nagle chwyciła go za rękę. – Clementin, to ty?

Żmij delikatnie uwolnił dłoń z uścisku.

– Śpij, Melaike – rozkazał cicho, instynktownie używając jej pełnego imienia, chociaż – jak po sekundzie sobie uświadomił – nikt mu nigdy nie powiedział, jak ono brzmi.

Głowa Meli opadła na poduszkę, a jej oddech stał się spokojniejszy.

– Brune? – Zerlina wsunęła się do izdebki. – Och, dzięki bogom, że wreszcie zasnęła. Rzuca się bez przerwy, majaczy, pyta o dziecko. Oszaleć można.

Miała dość rozsądku, żeby mówić szeptem, ale żmij i tak gestem nakazał jej ciszę. Wyszli do większej izby, gdzie szczurołap chrapał na swoim barłogu.

– Czuwał przy niej przez całą noc. Mój ojciec dzisiaj poszedł

rozłożyć za niego pułapki – wyjaśniła dziewczyna.

– Trzymaj. – Krzyczący podał jej buteleczkę. – Kiedy Mela się obudzi, daj jej do wypicia trochę tych kropli. Wystarczy odrobinka w kubku wody, można po kilka razy na dzień. To nalewka z aranji, bezpieczniejsza niż laudanum. Złagodzi delirium.

– Nie jest dobrze, prawda? – spytała Zerlina po chwili wahania. Żmij westchnął.

– Martwi mnie, że tak mocno gorączkuje. Odczekaj teraz chwilę, aż maść się wchłonie, i połóż jej znowu zimny kompres na czoło.

– Czy jej ropicją, widziałeś?

– Tak.

– Myślisz, że Mela oślepie?

– Nie wiem. Niewykluczone, Zerlino. Nic nie poradzę. To ospa.

Z goryczą pomyślał, że w jego cennym grymuarze jest tyle przepisów na maści służące do zatruwania broni, zsyłania chorób i szkodenia ludziom na wszelkie sposoby, ale nie ma żadnej, która pozwoliłaby uratować wzrok.

Zerlina wyglądała na wstrząśniętą. Widać było, że nawet jeśli trud zajmowania się chorą przerasta jej siły, szczerze martwi się o kuzynkę.

– Jutro zapalę dla niej świecę w kaplicy Pani Światła.

Krzyczący wzruszył ramionami.

– Jeśli sądzisz, że to coś da...

– Jak myślisz... – zawahała się, nie dokończyła pytania, ale żmij wyczytał je z jej twarzy.

– Nie wiem, kiedy nastąpi przesilenie. Może dzisiaj, może jutro. Ktoś musi przy niej znowu czuwać w nocy, zmieniać kompresy i w razie czego podać aranję.

– Ja nie mogę zostać, matka mnie potrzebuje w domu, a stryj... – Zerlina niepewnie popatrzyła na śpiącego Veljanova, potem na Krzyczącego, który w milczeniu potrząsnął głową. Oboje pomyśleli o tym samym: szcurołap musi pracować, inaczej miasto wypowie mu umowę i zostaną z Melą bez środków do życia.

– Przyjdę wieczorem – obiecał Brune.

* * *

Kiedy wrócił po kilku godzinach, drzwi otworzyła mu Zerlina.

– Stryja nie ma – powiedziała cicho. – Poszli z ojcem sprawdzać pułapki. Nie wiem, kiedy wróci.

– Co z Melą?

Spuściła głowę.

– Jest chyba gorzej... Nie poznaje mnie. Teraz śpi.

– Podawałaś jej aranje?

– Dwa razy po odrobinie w kubku wody, tak jak kazałeś. – Spojrzała lękliwie. – Czy coś zrobiłam źle?

– Nie, wszystko jest dobrze – uspokoił ją. – Możesz iść do domu. Będę przy niej czuwał.

Kiedy został sam, wyjął z kieszeni to, co przyniósł – niedużą gemmę ze smoczej kości. Wyrzeźbiony na niej obrazek przedstawiał boga w długim płaszczu, z krukiem na ramieniu i dwoma wężami owiniętymi wokół stóp.

Jak już się modlić, to przynajmniej do kogoś, kto naprawdę może pomóc.

Mela jęknęła przez sen, targnęła się niespokojnie. Krzyczący zmienił kompres na jej czole. Potem usiadł u wezgłowia dziewczyny, zaciskając w dłoni gemmę z wizerunkiem Władcy Much.

Zamknął oczy, szukając w myślach słów. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek w swoim życiu modlił się do jakiegoś bóstwa. Na pewno nie od czasu, kiedy stał się magiem. Magowie się nie modlą. Mogą pertraktować z nieśmiertelnymi. Mogą prosić z szacunkiem, jak wasal stojący przed władcą, albo rozkazywać, tak jak rozkazuje się demonom.

I pod warunkiem, że mowa o bóstwie, które przynajmniej od czasu do czasu przebywa w materialnym świecie, nie o takim, które opuściło jego granice przed wiekami. Ale nie na darmo istniało przysłowie o tonącym i brzytwie.

Żmij szukał w myślach słów. I znalazł je.

Później nie umiał wytłumaczyć, co właściwie się stało, bo z całą pewnością nie planował wchodzić w trans ani nic podobnego. Nagle blizny zaczęły go palić, jakby wyszedł na słońce, a w następnej chwili uderzyła go wizja. Stał

na spopielonym polu, a ciało powalonego wroga wznosiło się nad

nim niczym góra. Czuł, że połowę ciała obejmuje i trawi upiorny ból. Ubranie przylepiło mu się do skóry; ręka zaciśnięta na drzewcu włócznie była czarna od jadu.

Otworzył oczy, łapiąc z wysiłkiem powietrze, jakby wynurzył się z głębokiej wody. Nie był pewien, ile czasu minęło – najpierw pomyślał, że zaledwie minuta, potem, że jednak dużo dłużej. Był osłabiony, spocony jak mysz i chciało mu się pić.

Położył rękę na czole Meli i przekonał się, że gorączka spadła. Dziewczyna oddychała lżej. Krzyczący popatrzył na gemmę, po czym zamknął ją w dłoni i mocno przycisnął do serca.

Zasłona się odchyliła. Do izby zajrzał Veljanov, zabłocony, śmierdzący z daleka ściekami; widocznie dopiero co wrócił.

– Co z nią? – spytał ochryple.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział cicho żmij. Dopiero teraz dotarło do niego w pełni, jak potwornie jest zmęczony.

* * *

Zazel w najlepsze chrapał w swojej norze. Krzyczący wpatrywał się w płomień, walcząc z pokusą, żeby wyjąć lufkę i woreczek z brunatną trucizną. Po powrocie od szczurołapa umył się porządnie i założył świeżą koszulę, ale nadal miał wrażenie, że czuje wokół siebie mdły smród choroby.

Pomimo zmęczenia wcale nie miał ochoty się kłaść. Przedłużający się kontakt z cierpieniem rozdrażnił w nim dar. Teraz ilekroć zamknął oczy, dręczyły go obrazy. Spalone trupy żebraków. Zwłoki Mazzaratha rozpadające się w ciemną maź.

Zeszpecona krostami, wykrzywiona w męce twarz Meli.

Anavri. Jej aura, zabarwiona bólem i nienawiścią. Jej czarna suknia, perfumy, jej chłodna, gładka skóra.

Najchętniej zapaliłby, i to podwójną dawkę, ale już stanowczo należało zrobić przerwę. Dobrze wiedział, jak zdradzieckie jest opium i że odwyk to żadna przyjemność. Po raz ostatni dołożył do ognia i wyciągnął się na posłaniu.

Nawet nie wiedział, kiedy wyczerpanie wzięło górę nad jego świadomością. Gdy otworzył oczy, ujrzał, że kryjówka wygląda inaczej.

Mniejsza, bez ochronnych symboli na ścianach. W miejscu sklepienia kłębiła się mgła. Jego wzrok powędrował w kierunku nory Zazela, lecz nory nie było.

Śnię – pomyślał zupełnie trzeźwo żmij i tylko dlatego nie zareagował, kiedy drzwi powoli zaczęły się otwierać. Przez próg przeszła, a raczej przepłynęła smukła postać w szarej sukni.

– Kim jesteś?... – wyszeptał, siadając. Jej twarz nic mu nie mówiła. Delikatne rysy, popielate włosy, obcięte krótko, jak po chorobie... Ładne usta.

Nagła myśl sprawiła, że przeszedł go dreszcz.

Szara suknia... Tanathe? Ale czemu teraz, do mnie?

Nie, to przecież niemożliwe. Bogowie odeszli.

Nie sięgnął po sztylet, nie wypowiedział żadnego zaklęcia. Po prostu pozwolił, żeby podeszła.

Z szelestem jedwabiu nieznajoma przyklęła na krawędzi siennika. Pachniała perfumami – brzoskwinie, kwiat pomarańczy. Krzyczący chciał zadać pytanie, ale gdy popatrzył w jej oczy, zabrakło mu słów.

Pocałowała go w oszpecony policzek, potem nakryła dłonią blizny. Serce tłukło mu się jak oszalałe.

Jakaś ty śliczna. Powinienem spytać, czemu zjawiałaś się w moim śnie, kto cię przysłał. Przecież nie jestem aż tak naiwny, żeby uwierzyć... Ale odpędził tę myśl, zanim zdążyła się skryształizować w podejrzenie.

Nieznajoma pogładziła go po twarzy, potem po splątanych jak nieszczęście włosach; zaśmiała się z cicha, przeczesując je dłonią. W palenisku pozostało już tylko trochę żarzących się węgli; Krzyczący pomyślał nagle, że z tak bliska, w tak słabym oświetleniu musiała spostrzec jego fosforyzujące źrenice, a mimo to nie okazała ani odrobiny lęku. No tak, w snach takie rzeczy nie mają znaczenia.

– Za chwilę znikniesz, a ja się zbudzę, prawda? – spytał, uśmiechając się smutno.

Potrząsnęła głową i objęła go, szepcząc coś, z czego zrozumiał jedynie sens. Nie opierała się, kiedy – przełamując w końcu wahanie – pocałował ją, a potem wtulił twarz w jej szyję. I chcąc nie chcąc musiał wreszcie uwierzyć, że ten sen nie skończy się tak prędko.

Była czuła w sposób, który prawie wycisnął mu z oczu łzy – jakby pojmowała i rozumiała wyczerpanie, uczucie wypalenia oraz

straszliwą samotność, którą pociąga za sobą czarny dar. Wszystkie myśli odpłynęły, liczyło się jedynie tu i teraz. Aksamit jej skóry, bicie serca, subtelny zapach perfum.

* * *

Dziewczyna w szarych jedwabiach ostrożnie wyplątała się z objęć śpiącego mężczyzny. Wstała. Westchnął, przesuwając dłoń w miejsce, gdzie siennik zachował ciepło jej ciała, ale nie zbudził się. Po raz ostatni dotknęła szram na jego twarzy, szepcząc słowa, których nie mógł usłyszeć.

Nie drgnęła jej potem ręka, gdy rzucała zaklęcie zapomnienia, kolejny już raz.

* * *

Krzyczący w Ciemności zbudził się.

Leżał, wsłuchując się w ciszę. W oddali szumiała woda, drapał szczur.

Śniło mi się coś cudownego. Tylko tyle pamiętał. Łagodny dotyk, zapach brzoskwiń...

Zadrzał, nagle zupełnie przytomny. Wyciągnął rękę i namacał skłębiony koc, siennik, a dalej zimną posadzkę. Był sam. Ale...

Opium spletało mi figła? Nie, przecież wczoraj nie paliłem.

Usiadł, obejmując się ramionami – choć spał w ubraniu, jak zwykle zmarzł. Z ognia w kominku został tylko popiół.

– Zazel! Hej, Zazel!

Musiał zawołać kilka razy, zanim chowaniec wygramolił się z dziury w ścianie, ziewając i mrużąc ślepia.

– Co jest? – spytał gderliwie. – Miałem taki piękny sen... Śnił mi się pasztet z bązanta. Z truflami. I szparagi... I bezy z bitą śmietaną!

– Zazel... – Krzyczący zawahał się, czując się nagle jak idiota. – Gdyby zjawilo się tu coś... obcego... wyczułbyś to, prawda?

– Hej? – Chowaniec spojrział na niego podejrzliwie. – Obcego w jakim sensie?

– Powiedzmy: ktoś z umarłych? Czy inny nieproszony gość ze sfer? Jakaś larwa?

– Hej, szefie, ty tu jesteś magiem, nie ja. Ty powinieneś wiedzieć, jak skuteczne są te wszystkie bazgroły, które podobno miały nas chronić. – Zazel wskazał symbole wyrysowane na murze. – A czemu pytasz?

– Nieważne.

16. Domek z kart

Dla demonów, które oglądają mijające stulecia, nie starzejąc się ani nie umierając, upływ czasu jest czymś dużo bardziej względnym, aniżeli dla śmiertelników. Jednak każda z chwil spędzonych w ciasnym, glinianym więzieniu wydawała się Kouremosowi wiekiem.

W mroku przed jego oczami zjawiały się obrazy z przeszłości. Kampanie wojenne, w których brał udział, zdradzieckie fortele, z których sływał i które niegdyś zjednywały mu przychylność władczyni. Wspominał to wszystko i bezsilna wściekłość walczyła w nim o lepsze z paralizującym zwątpieniem.

Jednakże kara nie miała trwać wiecznie. W końcu nadeszła chwila, gdy dzban rozpękł się z hukiem, który Kouremosowi wydał się ogłuszający. Oszołomiony demon skulił się na ziemi, mrużąc ślepią przed blaskiem pochodni. Szybko jednak oprzytomniał na tyle, żeby powstać i złożyć przed władczynią ukłon, chwiejny co prawda i niezgrabny.

Sul-Berith skinęła na jednego z towarzyszących jej niewolników, pomniejszych duchów o szpetnej, pokracznej postaci.

– Daj mu jeść.

Niewolnik wręczył Kouremosowi pęk wnętrzności wydartych z potępieńca. Niedawny więzień pochwylił je drżącą ręką i połknął, prawie nie czując smaku. Po chwili poczuł, że ogarnia go fala ożywczego ciepła. Wyprostował się i kilkakrotnie machnął na próbę skrzydłami.

– Vermigeris sporządził dla ciebie wzmacniające kordiały – oznajmiła władczyni. – Udasz się do niego niezwłocznie, czeka w swojej wieży. Chcę, abyś jak najszybciej wrócił do pełni sił.

Wyjęła zza dekoltu zwój pergaminu, pokryty symbolami i schematami, w których Kouremos rozpoznał fragment mapy sfer.

– Znamy już tożsamość agentki Charooza w Shan Vaola.

Vermigeris po wielu wysiłkach zdołał namierzyć jej enklawę. Gdy tylko odzyskasz siły, wyruszysz tam i zabijesz ją.

Demon o głowie ibisa skłonił się aż do ziemi. Perspektywa zemsty – jakże słodkiej zemsty – nappełniła go radością, jaką znają tylko mieszkańcy Otchłani. Lecz piękne oblicze Sul-Berith pozostało nieruchome niczym kamień.

– To twoja ostatnia szansa, by się zrehabilitować, Kouremosie. Nie zawieź mnie.

* * *

Na odgłos otwierających się drzwi Zazel wylazł z nory.

– Szefie, coś ty taki ponury? – zdziwił się. – Gdzie byłeś?

– U Jacentina, oddać księgę.

– Dał ci jakieś nowe zlecenie?

– Chciał. Ale nie byłem zainteresowany.

– Czemu?

– Dotyczyło używanej bielizny.

Chowaniec parsknął, ale błyskawicznie spowaźniał, widząc, że żmij zdejmuje z półki puzderko z trupa maścią i wyjmuje z rękawa sztylet.

– Ejże, co ty wyprawiasz?

Krzyżący zanurzył szmatkę w puzderku, a następnie przetaił nią kilka razy ostrze, aż stal nabrała ciemnej barwy.

– Marshia Lavallo wzywa mnie do swojej enklawy – odrzekł, nie podnosząc głowy. – Żeby dać mi okazję do spłacenia długu, jak raczyła to dyplomatycznie ująć.

– Skąd wiesz?

– Przysłała list. – Brune wyjął z kieszeni złożony arkusik pergaminu. – Znalazłem go na progu.

Chowaniec wytrzeszczył ślepie.

– Skąd się tu wziął?

– Spytaj ją przy najbliższej okazji. Podrzuciła go portalem, jak przypuszczam. Nie mam pojęcia, co ona knuje, Zazel. Ale zamierzam tam iść przygotowany.

Odłożył sztylet, po czym zdjął rękawiczki i wyjął z cholewki drugi, jeszcze nie zatruty. Podciągnął rękawy i samym czubkiem ostrza przesunął po wewnętrznej stronie przedramienia, rysując na skórze

krwawy znak, potem powtórzył to samo z drugą ręką. Sięgnął po butelkę z winiakiem i zwilżył nim chustkę, a następnie przetaił nią skaleczenia, tak że zaczęły mocniej krwawić.

Zazel obserwował to z coraz bardziej wstrząśniętą miną. W końcu nie wytrzymał.

– Jesteś rąbnięty, wiesz? – wybuchnął. – Mógłbyś po prostu iść i poszukać sobie żyły, naczepać się na zapas. Ale ty...

– Uspokój się, stworze. Czasem trzeba zapłacić bólem, żeby czar zadziałał. Dotyczy to zwłaszcza zaklęć ochronnych. – Krzyczący z ponurą miną założył z powrotem rękawiczki i starannie nasmarował trucizną drugi sztylet. – Cokolwiek się wydarzy, zamierzam tu wrócić żywy.

Zazel zawahał się, przeżuując jakąś myśl.

– Chcę iść z tobą – oznajmił nieoczekiwanie.

– Nie decyduj się pochopnie, Zazel. – Żmij spojrzał na niego z powagą. – Coś mi mówi, że to będzie naprawdę paskudna draka.

– No i dobrze. Nie mam siły tu tkwić i zastanawiać się, czy wrócisz. Jestem twoim chowańcem, do stu śmierdzących... Mam prawo ci towarzyszyć.

– Zgoda.

* * *

Enklawa powitała ich ciszą. Na nocnym niebie trwał księżyc, milczący i zimny. Po ziemi kładły się długie czarne cienie cyprysów.

Marshia Lavallo czekała na nich.

Stała na dziedzińcu, ubrana w męski strój oraz buty do konnej jazdy. Krzyczący zauważył, że w oknach willi nie pali się ani jedno światło. Przymknął oczy, sięgnął w przestrzeń zmysłami maga i utwierdził się w swoich podejrzeniach: w domostwie nie było żywej duszy. Jeśli Marshia odesłała zarówno służbę, jak i Bissa, świadczyło to dobrze o niej, ale źle o sytuacji, w jakiej się znalazła i w jaką wciągnęła Krzyczącego.

Na widok Zazela żmijka uniosła brew, ale nic nie powiedziała. Skłoniła lekko głowę, a chowaniec odwzajemnił ukłon.

– Co się dzieje? – zapytał zwięźle Krzyczący. Arystokratka się zawahała.

– Mamy niewiele czasu, więc nie będę marnować słów. Służę potężnym panom, Brune. Czy mówi ci coś nazwa: Dolina Złota?

Zamrugnął. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewał.

– Zawsze sądziłem, że prehandlowanie własnej duszy to nie najlepszy interes. – Tylko na taki komentarz było go stać.

Marshia wzruszyła ramionami.

– Wszystko zależy od warunków i okoliczności. Posłuchaj, sprawy mają się tak. Mój mocodawca ma rywali, potężnych rywali. Bardzo im zależy na wyeliminowaniu mnie z gry. Ukrywałam się, ale wysledzili mnie. To było nie do uniknięcia prędzej czy później. Ta enklawa straciła użyteczność jako schronienie, porzucam ją zatem. Moi wrogowie już tu zmierzają. – Popatrzyła mu prosto w oczy. – Brune, masz wobec mnie dług życia. Opóźnij pościg, a uznam, że spłaciłeś dług.

Krzyczący miał na końcu języka cierpki komentarz, ale go nie wypowiedział. Spokój Marshii mimo wszystko wzbudził u zmija niechętny szacunek.

Zazel chrząknął.

– Jeśli wolno mi zapytać, kogo się spodziewamy? – zapytał takim tonem, jakby chodziło o spotkanie towarzyskie.

– Spodziewamy się demona – odparła chłodno arystokratka. – Pojawi się tu lada chwila.

– Jeden demon? – zdziwił się chowaniec. – Nie cały oddział?

Marshia wyglądała na poirytowaną.

– Wyposażyłam enklawę w sieć czarów ochronnych i maskujących. Bariery Sartoriana, zaporę Krussa, pajęczyny astralne. Tylko pojedynczy demon ma szansę się przez nie przebić, nie uruchamiając ostatniej linii obrony, którą jest... – Uśmiechnęła się leciutko. – Zmierzch z Rikos. Gdyby pojawił się cały oddział, enklawa wpuściłaby ich bez walki, po czym uległaby zniszczeniu razem z nimi. Moi wrogowie wiedzą, jakiego rodzaju strategie preferuję.

Krzyczący zmrużył oczy, patrząc w niebo. Kiedy się skupił, był w stanie wychwycić nieznaczące echo czarów wplecionych w strukturę enklawy, a to, co wyczuwał, pokrywało się ze słowami Marshii. Znowu poczuł niechętny szacunek dla jej kunsztu. Używała zaklęć, o których on zaledwie kiedyś słyszał. Chętnie poznałby odpowiedź na pytanie, czemu zdecydowała się porzucić enklawę, zamiast osobiście stanąć do

walki z intruzem. Nie miał wątpliwości, że wybrała rozwiązanie najbardziej korzystne dla siebie, i nie podobało mu się to. Rzut oka na minę chowańca powiedział mu, że Zazel myśli o tym samym.

Marshia ponownie przetasowała karty, wyszeptała coś w języku magów, po czym wręczyła talię Krzyczącemu.

– Zatrzymaj je. Zdjęłam z nich moją aurę, należą teraz do ciebie.

– Czemu? – zdziwił się szczerze. Nie trzeba było znawcy, żeby zorientować się, jak unikalny i cenny jest to przedmiot; talia wróżebna z Talme, licząca sobie na pewno ponad wiek.

Marshia zaśmiała się sucho.

– Od jakiegoś czasu z uporem przepowiadają mi śmierć. Zmiana właściciela dobrze im robi.

Wyjęła zza dekoltu drugi przedmiot: okrągłe puzderko, chyba z malachitu. Sypnęła wokół siebie magicznym proszkiem i w okamgnieniu otoczył ją krąg seledynowego ognia. W zimnym blasku jej twarz nabrała upiornego wyglądu.

– Jeśli zajdzie taka konieczność, obudź zmierzch z Rikos i zniszcz enklawę. Nie potrzebuję jej już.

Uczyniła dłonią skomplikowany gest i zniknęła w oślepiającym błysku.

– No to ładnie – stwierdził Zazel. Wpatrywał się w krąg, jakby chciał siłą woli ściągnąć zmijkę z powrotem. Seledynowe płomienie dogasały, sycząc. – Demon – powtórzył ponuro. – Dam głowę, że zmierza tu po zaklęciach tropiących. Lepiej przygotuj mu powitanie. Na początek spróbuj wzmocnić te Sartoriany i Krussy, a nuż to coś da.

– Nie sądzę – mruknął Krzyczący, ale wyjął z kieszeni zabraną z kryjówki kredę oraz jeden ze zwojów Lucretii. Zaczął kreślić symbole na płytach dziedzińca, odwzorowując je na podstawie rycin z pergaminu. Perspektywa starcia z wysłannikiem Otchłani nie podobała mu się ani trochę.

Zazel odszedł na skraj dziedzińca i wpatrywał się w ciemność, węsząc jak pies myśliwski. Po jakimś czasie wrócił, z lekka blady.

– Szefie, zaczyna się. Drań już tu jest. Przebija się przez te jej zapory jak dzik przez żywopłot.

– Wiem. Czuję. – Krzyczący szybko nakreślił ostatnich kilka znaków. – Chodź tu. – Wyciągnął rękę; chowaniec wskoczył mu na ramię.

Nad horyzontem enklawy załśniło czerwone pasmo, z początku wąskie, lecz rozszerzające się szybko. Wkrótce łuna objęła całe niebo. Brune wpatrzył się w wyrysowane symbole, przywołując moc, i wyszeptał formułę. Rysunki zaczęły się jarzyć delikatnym złotym światłem. Ale czerwień w górze nie przygasła. Przeciwnie, rozpalala się coraz jaśniej.

– Nie zatrzymam go, Zazel – powiedział cicho. – Jest za silny, przedrze się.

Niebo enklawy miało teraz barwę krwi. Pełzły po nim cieniutkie języki płomienia, zupełnie jakby ogień lizał teatralne dekoracje.

Na czole Krzyczącego pojawiły się krople potu. Nie było szans, żeby długo utrzymać razem sploty bariery, którą agresor przepalał nieubłaganie, jak rozżarzony grot. Za to zmij mógł ocenić, trzeźwo i realistycznie, jakie są możliwości przeciwnika.

– Zazel – odezwał się z całym spokojem, na jaki było go stać. – Uciekaj. Ratuj się.

– Co ty bredzisz? Jestem twoim chowańcem...

– Wiem, co mówię. Nie pomożesz mi. Wiej do twojego świata.

Zazel chciał protestować, ale słowa zamarły mu na ustach. Obaj poczuli to samo; drgnienie, jakby świat poruszył się w posadach. Zapory pękły.

Krzyczący, który dobrze wiedział, że przeciwnik spróbuje zaatakować, gdy tylko przedostanie się do wnętrza enklawy, przywołał z pamięci nieliczne zaklęcia, jakie zgodnie z jego wiedzą mogły zranić demona Otchłani. Wiedział, że pojedynku z tak potężną istotą raczej nie wygra – co innego, gdyby stali tu we dwójkę z Marshią – ale zamierzał drogo sprzedać skórę. Nie docenił jednak, mimo wszystko, umiejętności tamtego. Zanim zdążył wypowiedzieć choćby jedno słowo, uderzyło w nich wyładowanie magicznej energii; tak zwany cichy atak, niewidoczny i niewyczuwalny, dopóki nie sięgnie celu.

Żmij zdążył usłyszeć tylko przerażony wrzask chowańca, urwany gwałtownie. W następnej chwili Krzyczący zbierał się z ziemi, oszołomiony i potłuczony. Przedramiona paliły; wiedział, że ochroniły go wycięte na nich znaki.

Zaraz też zauważył, że łuna zgasła – niebo na powrót ściemniało do czerni. Potem dotarła do niego straszna, zimna świadomość, że

nigdzie nie wyczuwa obecności Zazela. Nie wiedział, czy chowaniec zginął, czy w ostatniej chwili zdążył się teleportować do swojego macierzystego wymiaru.

Nieopodal rozbłysło jaskrawe światło. Z hukiem, od którego zatrzęsła się ziemia, demon zmaterializował się na dziedzińcu willi. Wyglądał jak ożywiona rycina z grymuaru – czarna sylwetka z głową ibisa, rozjarzone ślepie.

Prawie od niechcienia cisnął w żmija strumieniem fioletowych płomieni. Krzyczący jakimś cudem zdołał się osłonić zaklęciem tarczy. Wyczerpany nieudaną próbą wzmocnienia osłon wokół enklawy, wiedział, że nie wytrzyma długo.

Wyszeptał odpowiednie słowo i trawa wokół stóp przeciwnika zapłonęła, lecz ogień zaraz zgasł, stłumiony wołą wroga. Demon wyszczał coś, co mogło być równie dobrze inkantacją, jak obelgą, i z jego palców strzeliły czerwone, niemal niewidoczne w ciemności błyskawice. Tym razem tarcza pękła, a zaklęcie uderzyło w Krzyczącego, powalając go na ziemię ze straszną siłą. Oszołomiony próbował wstać, ale nie mógł złapać tchu i tylko kaszłał, sparaliżowany bólem.

Wysłannik Otchłani z zadowoleniem patrzył na walczącego o oddech żmija. Mógłby go teraz zabić bez trudu, lecz szybka śmierć byłaby niemal aktem łaski, a łaskawość nie leżała w naturze demonów.

Pozwolił przeciwnikowi na kilka płytkich, rozdygotanych wdechów, po czym podszedł i z rozmachem kopnął go w żebra, raz, potem drugi.

– No, śmieciu? – zaszydził. – Pojąłeś już? – Kopnięcie w biodro. – Nie należało wchodzić mi w drogę.

Ukląkł obok żmija i lekko uniósł mu głowę, zmuszając do popatrzenia sobie w oczy. Brune zdał sobie sprawę, że nie może się poruszyć – czerwone ślepie hipnotyzowały go, odbierając władzę nad ciałem.

Wróg delikatnie powiódł szponem wzdłuż szram na jego policzku. Zabolało niczym dotknięcie rozżarzonego żelaza.

– Ejże, przecież ja cię znam – syknął demon. – Widziałem już te blizny. Jesteś z Shan Vaola, prawda? Z Podziemi? No proszę, kto by pomyślał, że cię spotkam w enklawie tej dziwki od Charooza. Może ty też służysz Charoozowi? Zaraz się przekonamy.

Brune poczuł świdrujący ból w skroniach, przed oczami zawirowały mu czarne kręgi. Demon sondował go telepatycznie, nie bawiąc się w subtelności.

– Nie, chyba jednak nie – stwierdził z rozczarowaniem. – Ale i tak zabiorę cię do królowej, kiedy już załatwię tutaj wszystkie sprawy.

Kouremos. Kouremos z Doliny Cierni. Imię wroga pojawiło się w umyśle żmija i obudziło w nim nagły płomyczek nadziei, która jednak równie szybko zgasła. Tamten na pewno zdawał sobie sprawę, że poprzez telepatyczną ingerencję może niechcący zdradzić swoją tożsamość, tylko uznał, że nie należy się przejmować, skoro pokonany przeciwnik nie może w żaden sposób wykorzystać tej wiedzy.

– Z Podziemi – powtórzył tymczasem z namysłem Kouremos. – Jakiś czas temu w Podziemiach pokrzyżowano mi plany, kradnąc z targowiska śliczną złotą kulę. Może ty wiesz, kto maczał w tym palce?

Kradnąc z targowiska śliczną złotą kulę.

Krzyczący wstrzymał oddech, bo w przebłysku olśnienia skojarzył trzy fakty i wiedział już, w jaki sposób mógłby w sprzyjających okolicznościach ściągnąć zgubę na Kouremosa z Doliny Cierni.

Za późno. Teraz nie mógł uczynić absolutnie nic.

– Odpowiesz mi na to i na inne pytania, śmieciu. Gdy już znajdziemy się w Otchłani, z przyjemnością zmuszę cię do mówienia – zasyczał Kouremos. – Zedrę skórę z tej twojej poharatanej gęby, kawałek po kawałku. Wypalę ci oczy, a na końcu pożrę serce. Ale to w swoim czasie.

Wstał, wykonał niedbały gest i czerwone błyskawice ponownie uderzyły w żmija.

Brune przez huk w uszach nie słyszał nawet własnego krzyku. W końcu wróg przerwał torturę. Na razie.

Wstrząsany dreszczami żmij leżał na wznak, z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Wysoko w górze widział niebo enklawy; odległe, lodowate punkciki gwiazd. Gdzieś tam, w sąsiednim wymiarze trwał materialny świat, gdzie czas płynął swoim rytmem i wszystko było tak, jak być powinno. Może nad Shan Vaola właśnie wschodziło słońce. Starał się ucześcić tej myśli, żeby odepchnąć strach, który go ogarnął – paskudny, niegodny maga.

Kroki przeciwnika zachrząściły po trawie. Czarna sylwetka wyrosła nad Krzyczącym, na gardle powalonego spoczął ciężki but.

– Boli, prawda? – zapytał szyderczo demon. Ze szponiastej ręki wystrzeliła ostatnia, niewielka błyskawica i Brune jęknął cicho. Jęk przeszedł w charczenie, kiedy but przydeptał gardło mocniej, niemal miażdżąc krtań; Kouremos przez chwilę patrzył, jak ofierze oczy wychodzą z orbit, potem puścił.

Pochylił się i wyjął z kieszeni zmija zaczarowaną talię kart. Przetasował ją z drwiącym uśmiechem, po czym cisnął w powietrze. Karty rozsypały się wokół. Jedna opadła tuż obok twarzy Krzyczącego, lecz nie mógł zobaczyć, co przedstawia rycina. Oddychał z wysiłkiem – tortura z błyskawicami osłabiła go tak, że wszystko zaczynało mu się zamazywać przed oczami.

– Poigralibyśmy dłużej, ale czas ucieka. – W ręku demona znikąd pojawiła się włócznia o długim, wąskim ostrzu. Wziął lekki zamach i wbił ostrze tuż pod prawym obojczykiem ofiary, przyszpilając zmija do ziemi.

Ból, choć straszny, był niczym w porównaniu z poprzednią męczarnią.

– Nie umieraj za szybko – zasyczał demon na pożegnanie. – Kiedy załatwię porachunki z suką Charooza, wrócę po ciebie.

Ciemność zawirowała, gdy zniknął. Brune został sam, unieruchomiony i bezbronny. Czuł, jak krew wsiąka w ziemię, wyciekając razem z życiem.

W końcu stracił przytomność.

* * *

Marshia Lavallo zmaterializowała się w skalnej pieczarze, wypełnionej stertami kosztowności. Bez lęku spojrzała w ślepią potężnego smoka o karmazynowo-złoty łuskach.

Skłoniła się i zwięźle złożyła raport. Kiedy skończyła, Charooz z aprobatą skinął głową.

– Bardzo dobrze, moja droga. Jeden bez wątpienia wykończy drugiego, a przy odrobinie szczęścia wykończą się nawzajem. Niech Spalony Władca sam się martwi o swoich ludzi. – Uśmiechnął się drapieżnie, ukazując kły. – Czy posiadasz w materialnym świecie miejsce, do którego możesz bezpiecznie wrócić?

– Oczywiście.

– Więc udaj się tam. Czekam na wieści z Yadhmaru. Wygląda na to, że srebrni zabili tam naszego agenta. Jeśli to się potwierdzi, zajmiesz jego miejsce. Widzę, że pozbyłaś się mojego podarku – dorzucił, przypatrując się jej uważniej.

– Masz na myśli karty, panie? Już nie przepowiadają przyszłości w sposób wiarygodny. Możliwe, że ich moc się wyczerpuje.

– Przykro mi to słyszeć. – Charooz nie dał po sobie poznać, jak bardzo zaintrygowała go ta informacja. – Wracaj do materialnego świata, Marshio. Skontaktuję się z tobą, gdy tylko wyjaśni się kwestia yadhmarskiego agenta. Na razie oto mała rekompensata za enklawę, którą musiałaś porzucić. – Poruszył od niechcenia skrzydłem i z najbliższej sterty uniosło się kilka kunsztownie wykonanych naszyjników, które same opadły na szyję żmijki. Marshia z błyskiem w oczach ponownie skłoniła się nisko, po czym rozplynęła się w powietrzu.

Charooz zamyślił się. Wróżebne talie z Talme, jak wiele zaczarowanych przedmiotów, uznawały za stosowne służyć tylko najlepszym. Zdarzało się, że postanawiały nagle zmienić właściciela, jeśli uznały, że na horyzoncie pojawił się ktoś ciekawszy.

A więc karty Marshii Lavalles nagle stały się kapryśne, do tego stopnia, że żmijka straciła wiarę w ich użyteczność. Może to coś znaczyło, a może nie.

* * *

Enklawa zamarała w napięciu. Najłżejszy podmuch wiatru nie poruszał liśćmi.

Kouremos szalał w willi. W bezsilnej furii tłukł lustra i niszczył meble, bo wreszcie dotarło do niego, że agentka Charooza wystrychnęła go na dudka. Zniknęła, nie pozostawiając żadnych śladów, tak po prostu, porzucając enklawę na pastwę losu. Wcześniej zadbała o to, żeby usunąć z domu wszystkie swoje stroje, biżuterię, przybory do makijażu – wszystko, na czym miała szansę utrwalić się jej aura. Nie przeoczyła nawet jednego drobiazgu, który mógłby posłużyć do ściągnięcia jej z powrotem.

Gdy demon nieco ochłonął, wyjął z zanadrza lusterko służące mu do kontaktowania się z władczynią. Zawahał się, bo wiedział, jaka będzie

reakcja Sul-Berith na wieści, które musiał jej zakomunikować. Ale nie miał wyboru – odwlekanie rozmowy nie mogło poprawić sytuacji, wprost przeciwnie. Chuchnął w zwierciadełko.

Z tafli chlusnął złoty blask, prawie go oślepiając. Sul-Berith domyślała się już, co usłyszy, i była jeszcze bardziej wściekła, niż przypuszczała.

Zajęty składaniem możliwie dyplomatycznego meldunku, Kouremos nie miał świadomości, co dzieje się na zewnątrz.

Przez pogrążony w mroku ogród bezszelestnie płynęła postać w szarych szatach.

* * *

Brune ocknął się.

Leżał bez ruchu, oddychając ciężko. Żałował, że został wydarty z przyjaznej ciemności i przywrócony światu. Miał mdłości i wszystko go bolało. Prawa połowa twarzy zdrętwiała jak maska; czuł na policzku skorupę zakrzepłej krwi, blizny musiały się otworzyć.

Rany pod obojczykiem nie odczuwał w ogóle. Nie wiedział, czy to oznacza, że jest na granicy śmierci. Powoli docierało do niego, że chyba jednak nie.

Otworzył oczy i zobaczył, że włócznia, która przyszpilała go do ziemi, zniknęła. Chciał usiąść, ale opadł z powrotem na wznak, walcząc z zawrotami głowy.

Raz, dwa, trzy, cztery. Spokojnie. Już lepiej.

Dźwignął się na klęczki, popatrzył po sobie i oniemiał. Miał rozdartą, zakrwawioną kurtkę i koszulę, ale po ranie nie został nawet ślad.

Przez chwilę tylko się gapił, kompletnie ogłupiały. Jedyne wytłumaczenie, jakie przyszło mu do głowy, było takie, że demon głęboko się przeliczył – nie docenił siły, jaką dawał skażony talent. *Ka-ira* słynęli z żywotności, odporności na rany i wrogie zaklęcia.

Źmij przesunął palcami po symbolach wyciętych na przedramieniu. Na jego twarzy pojawił się brzydki uśmiech, właściwie grymas.

Cierpienie wzmacnia czerń. Należało mnie zabić od razu, durniu.

Zacisnął pięści. Był obolały i osłabiony, ale jedna myśl dodawała mu sił. Kouremos popełnił poważny błąd, zdradzając, że był uwikłany

w historię z ifrytami.

Krzyczący przywołał moc i prawie od razu poczuł, jak czerń budzi się w nim, posłuszna wezwaniu. Ogrzewała go od wewnątrz jak wino, jak ciemny płomień.

Wstał i ruszył przez zniszczony ogród w kierunku willi, nieco utykając. Tak jak się spodziewał, w jednym z okien migotało złote, nieziemskie światło. Demon nawiązał kontakt ze swoją mocodawczynią – prawdopodobnie po to, żeby jej zameldować, że Marshia Lavallo zdołała zbiec, i zapytać o dalsze rozkazy.

Było niewiele czasu. Brune pospiesznie zakreślił wokół siebie ostrzem sztyletu krąg na ziemi. Wiedział, czyj ból – między innymi – wykorzystwała Marshia, żeby wzmocnić granice enklawy. I to w połączeniu z faktem, że znał imię demona, stwarzało ostatnią szansę.

Kouremos musiał wyczuć, co się święci. Światło w komnacie zgasło, a chwilę później nad trawą zaczęła się materializować sylwetka demona. Lecz żmij był już gotów. Jego oczy zapłonęły żółto.

Przywołał z pamięci Podziemia po ataku ifrytów. Ogień, cierpienie i śmierć. Zmarłych i rannych, których znał. Szpital, zabandażowane ręce Znajdy, małą Giassinę. I na koniec własny ból, kiedy czerwone błyskawice przeszywały jego ciało.

Przemówił w mowie magów, zmienionym, chrapliwym głosem.

– Krew domaga się krwi, ogień ognia, a popiół popiołu. Kouremosie z Doliny Cierni! W imię tych, których zabiłeś i których okaleczyłeś, ja, Krzyczący w Ciemności, niszcę cię i pozbawiam mocy!

Rozległ się grzmot, enklawa zadrżała w posadach i z mroku strzeliły płomienie. Spadły na demona jak węże i oplotły go od stóp do głów, przemieniając w żywą pochodnię. Kouremos wrzasnął rozpaczliwie, targnął się niczym epileptyk. W ostatnim porywie wściekłości chciał rzucić się na żmija, ale nie mógł przekroczyć granicy kręgu.

Wrzeszcząc potępieńczo, zaczął tarzać się po ziemi. Próbował się zdematerializować – bez skutku. Enklawa nie chciała go wypuścić.

Był demonem, więc nie mógł umrzeć, może nawet nie czuł bólu jak człowiek, ale wraz z materialną powłoką tracił też moc. Krzyczący patrzył na to beznamiętnie, wiedząc, że osiągnął cel.

Kouremos, nadal płonąc i miotając się na oślep, w końcu zniknął w willi. Enklawa tylko na to czekała. Willa zaczęła się walić jak domek z

kart, potem z ruin strzelił ogień i buchnął wysoko. Z pożaru nadal dobiegał przeraźliwy wrzask demona. Nie mogąc uciec do swojego wymiaru, sługa Otchłani słabł z każdą chwilą, w miarę jak zaczarowane płomienie trawiły ciało, jakie przybrał.

Krzyczący, śmiertelnie wyczerpany, osunął się na kolana. Przed oczami zawirowały mu czarne płatki.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim ponownie się ocknął. Tak jak się spodziewał, z domostwa Marshii zostały zwęglone ruiny. Enklawa skurczyła się – tam, gdzie wcześniej znajdował się ogród, teraz widać było ścianę mgły. A demon wciąż gdzieś tu był. Został pokonany i wydrenowany z mocy, lecz unicestwienie go przekraczało możliwości śmiertelnego maga.

Żmij sięgnął umysłem w przestrzeń i drgnął, kiedy wyczuł aurę wroga. Tak jak podejrzewał, stwór kulił się w ruinach. Doszczętnie złamany, zbyt słaby, żeby jeszcze kiedykolwiek przybrać materialną postać.

Krzyczący zawahał się. Mógł zrobić już tylko jedną rzecz, żeby utrudnić demonowi wydostanie się z enklawy. Wyjął sztylet i nakreślił na ziemi kilka symboli. Kiedy z ruin dobiegł przeciągły, rozpaczliwy wrzask, żmij nie znalazł w sobie dość energii, żeby poczuć radość czy choćby satysfakcję.

Pozbierał rozsypane karty i wsunął je w zanadrze. Choć jedna korzyść z tego całego bałaganu.

Ukłuło go w sercu, gdy przypomniał sobie o chowańcu. Zmusił się, żeby o tym nie myśleć. *To nie była twoja wina. Nie mogłeś nic zrobić.*

Zaciskając zęby z bólu – całe ciało protestowało przeciw temu wysiłkowi – bardzo ostrożnie przywołał moc. Nie był pewien, jak długo leżał w omdleniu, ale wystarczyło, żeby organizm odrobinę wrócił do siebie.

Jakoś zdołał otworzyć portal do Podziemi i wrócić do kryjówki. Wiedział, że odchoruje swoje, i nie pomylił się.

Nazajutrz obudził się ledwie żywy, z gorączką, wstrząsany dreszczami. Miał świadomość, że bez pomocy żyły będzie dochodził do siebie długo i boleśnie, ale sytuacja była patowa – łażenie po lochach w tym stanie nie wchodziło w grę. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko napatoczenia się golemów.

Przez następne dni wegetował jak chore dzikie zwierzę w jamie,

prawie nie jedząc; wychodził tylko do studni po wodę. Miał jeszcze dość rozsądku, żeby w tej sytuacji nie tykać opium, więc pił aranję, ale nie pomagała. Gdy zasypiał, dręczyły go koszmary, w których znów widział siebie przy ognisku śmieciarzy, obdartego i mamroczącego niezrozumiale.

Trzeciego dnia, nie widząc innego wyjścia, sięgnął po traktat Sigmunda i odnalazł tam przepis na miksturę, którą – jeśli wierzyć autorom – stosowano jako alternatywę dla czerpania. Nie wzbudzała w nim zaufania, bo co najmniej jeden ze składników był trujący, ale uznał, że zaryzykuje. W końcu teoretycznie dar miał uodparniać na niektóre niebezpieczne substancje i łagodzić wpływ innych. Szczęśliwie przepis nie był skomplikowany. Wystarczyło zmieszać kilka tynktur, które zmij miał na podorędziu. Gotową miksturę przelał do buteleczki i zgodnie z przepisem wstrząsnął dziewięć razy, po czym odstawił na chwilę, żeby nabrała mocy.

Zauważył swoje odbicie w lusterku, które leżało na stole, i aż się wzdrygnął; wyglądał jak trup, blizny uwydatniły się na wymizierowanej, ziemistej twarzy. Nagle przypomniał sobie zdanie z grymuaru.

Siła maga jest tym większa, im lepiej mag zna samego siebie.

Wyjął z kieszeni kurtki zaczarowaną talię Marshii i rozłożył karty na stole. Wybrał spośród nich jedną i po namyśle drugą. Przez chwilę wpatrywał się w ryciny.

Mag w czarnej szacie, wznoszący ręce ponad ołtarzem, na którym znajdowały się miecz, laska, kielich i medalion w kształcie gwiazdy.

Błazen o pomalowanym na biało obliczu i pustym uśmiechu.

Brune ostrożnie złożył je razem, obrazkami na zewnątrz, i wsunął do pustego woreczka po ziołach. Związał go rzemykiem i zawiesił na szyi, pod ubraniem.

Talizman.

Odmierzył dwadzieścia kropli leku do kubka z wodą i wypił, trochę się krztusząc od przeraźliwie gorzkiego smaku. Tym razem, kiedy się położył, usnął od razu. Głęboko i bez snów.

17. Cena daru

Jesienna mgła spowijała Shan Vaola. Siąpił deszcz; ulice pokrywało błoto, rozjeżdżone przez wozy.

W znajdującej się przy rynku kaplicy Pani Światła jak zwykle panowała cisza. Blask świec wydobywał z mroku rzeźby i złocenia; bogato zdobiona szata posągu skrzyła się dziesiątkami ogników.

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Minęło ponad osiemset lat, odkąd Araya po raz ostatni uzdrowiła chorego, przywróciła ślepcowi wzrok, wskrzesiła dziecko. Lecz ludzie wciąż jeszcze przychodzili się do niej modlić, prosić o pomoc. Może dlatego, że nadzieja umiera ostatnia. A może dlatego, że w naturze śmiertelników leży poszukiwanie pociechy i oparcia, choćby i urojonego.

Haru Savin wrzuciła monetę do skrzyni na datki i uklękła, żeby jak co tydzień postawić u stóp ołtarza zapaloną świecę w intencji tych wszystkich, którzy cierpieli i umierali w szpitalu za Rybią Bramą, zapomniani i odrzuceni przez świat. Odmówiła cicho modlitwę za ich dusze.

Za chorych, którzy mieli jeszcze szansę wyzdrowieć. Za tych, którym można było ofiarować tylko chwilę ulgi w cierpieniu. I za tych, którym już nikt ze śmiertelnych nie mógł pomóc. Za dzieci niedożywionych matek, zbyt słabe, by przeżyć, za dziesięć kolejnych ofiar ospy, za ślepego żebraka, zatłuczonego na śmierć przez nieznaną sprawców. Za chłopca, którego stratowały rozszalałe konie, za dziewczynę, która otruła się wywarem z cisu, próbując spędzić nieślubną ciążę.

Lećcie z wiatrem, odejdźcie tam, gdzie czeka cisza.

Na dobrą sprawę z modlitwą za zmarłych należałoby się udać gdzie indziej, bo to nie Araya była ich boginią. Lecz w Shan Vaola nie ostała się ani jedna świątynia poświęcona Tanathe i jej białym gołębiami. Srebrni magowie nigdy nie byli życzliwi temu kultowi.

Zamyślona lekarka wyszła z kaplicy. Jej uwagę rychło przykuł zgiełk, odmienny od zwykłego gwaru targowiska. Po przeciwnej stronie rynku ludzie tłoczyli się wokół wzniesionego naprędce szafotu, na którym dymił kocioł, zapewne z wrzącym olejem. Obok czekał kat w szkarłatnym stroju oraz akolita w białych szatach i srebrnej masce. Najwyraźniej szykowała się egzekucja kogoś, kto popełnił przestępstwo przeciwko Elicie.

Haru wzdrygnęła się i szybko odeszła z rynku.

W jej myślach pojawił się *ka-ira* z trzema bliznami na twarzy, podający się za alchemika. Odpędziła to wspomnienie. Nie chciała się zastanawiać, co się z nim teraz dzieje – czy wyjechał z miasta, tak jak mu radziła, czy może schwytano go i teraz umiera w męczarniach w jednym z tych upiornych miejsc, które zwano Domami Godnego Odejścia.

Srebrni mieli swoje powody. Nie chciała się zastanawiać, czy słuszne.

* * *

Żebraczy król lubił podziemną tawernę, choćby dlatego że podawano tam dobre piwo.

Razem z przybocznym siedzieli przy stoliku w kącie, popijając z kufla i rozmawiając przyciszonymi głosami. Pozostali goście starali się nie spoglądać w ich stronę.

– Słyszałeś, panie? Podobno Krzyczący w Ciemności kiepsko się miewa.

– O proszę, to coś nowego. – Helshor wsunął do ust kawał wędzonego węgorza. – Niezła ryba, spróbuj. Co takiego dzieje się z Krzyczącym?

– Ludzie gadają, że zabito mu chowańca, a on sam choruje, może niezadługo też się przekręci.

– Ciekawe rzeczy opowiadasz. – Helshor wypluł ość. – Tym ciekawsze, że na dzisiaj miał mi dostarczyć to i owo.

– Idę o zakład, że zawali zlecenie – skrzywił się Riakin.

Przez oblicze żebraczego króla przemknął uśmieszek.

– Zakład, że wyrobi się w terminie? O dukata?

– Stoi. – Riakin pociągnął nosem i też się uśmiechnął, bo właśnie

podeszła do nich Scaraveshia z półmiskiem parującej kaszanki.

Do tawerny wsunął się obdarty chłopiec, trzymający drewnianą kasetkę. Rozejrzał się niepewnie. Helshor zamachał na niego.

– Tutaj!

Chłopiec kłaniając się nisko postawił kasetkę na ich stole, po czym cofnął się. Riakin spochmurniał.

– Otwórz – polecił żebraczy król.

Riakin podniósł wieko i zaklął na widok fiolek z ciemnym płynem, starannie zabezpieczonych sianem, żeby się nie potłukły.

Helshor pociągnął z kufla i zabrał się do kaszanki.

– Wisisz mi czerwońca – oznajmił z pełnymi ustami.

* * *

Od wyzdrowienia nie mógł wytrzymać w zamknięciu. Ani w czterech ścianach swojej kryjówki, ani w zatęchłych korytarzach Podziemi. Dlatego całymi nocami wędrował po mieście niczym posępny duch, z kapturem nasuniętym na twarz. Po zapadnięciu zmroku ulice nie były bezpieczne, ale zmija nikt nie zaczepiał – sam błysk żółtych źrenic wystarczył, żeby zniechęcić rzezimieszków.

A potem przytrafił mu się drobny, lecz dający do myślenia incydent.

Zaczął się od tego, że wyszedłszy o zmierzchu na powierzchnię, Krzyczący poczuł na twarzy krople deszczu. Padało dość intensywnie. Nie miał ochoty wracać z tego powodu pod ziemię, ale nie chciało mu się też moknąć, więc usiadł po prostu w pierwszej lepszej bramie. W kieszeni jak zwykle miał trochę dobrego nedgvarskiego opium i z braku lepszego pomysłu zapalił odrobinę, swoim zwyczajem wyczarowując płomyk wprost z powietrza. Jednak bez oczekiwanego skutku. Organizm przyzwyczałał się już do brunatnej trucizny. Nie natchnęło to zmija optymizmem.

Słuchał szumu ulewy i patrzył, jak niebo nad dachami pomału ciemnieje do granatu. W końcu nedgvarskie opium jednak zadziało. Z opóźnieniem, ale za to jak. Odpłynął, nawet nie wiedząc kiedy – oparł głowę o mur, przymknął oczy i zatonął w ciepłym kokonie. Do kamienicy od czasu do czasu wchodzili ludzie, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Otrzeźwiło go potrząśnięcie za ramię. W ostatniej chwili

powstrzymał odruch, żeby dobyć noża. To była młoda kobieta, ubrana po domowemu, w wełnianej narzutce na ramionach. Trzymała lichterz i pochylała się, osłaniając świecę dłonią.

– Hej, wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

– Tak – mruknął, zły na siebie, że do tego stopnia stracił kontrolę.

– Co tu robisz? Widziałam cię już, kiedy wracałam z miasta godzinę temu. Chcesz, żeby cię zgarnęła straż?

Krzyczący potarł czoło, przytomniejąc na tyle, żeby wyczuć, że nie musi się obawiać dziewczyny. Wychwycił zdziwienie, troskę i nic poza tym. Musiało jej się rzucić w oczy, że nie ma do czynienia z pijakiem ani włóczęgą.

– Posłuchaj, mam propozycję – stwierdziła po namyśle. – Chodź do mnie, mieszkam na górze. Zrobię ci herbaty, ogrzejesz się. Masz ręce zimne jak lód. Musimy sobie pomagać, inaczej co byłby wart ten świat?

Teraz to zmij się zdziwił. Ale instynktem maga nie wyczuwał żadnego zagrożenia, więc w sumie – dlaczego nie? Otrząsnął się już z odurzenia i wiedział, że gdyby coś się działo, zdążyłby zareagować w porę.

Wszedł za nią po schodach aż na poddasze.

Izdebka z ukośnie opadającym sufitem była uboga, ale czysta. Nad piecykiem schło rozwieszona pranie. Dziewczyna gestem zaprosiła, by Krzyczący usiadł na łóżku, i zakrzętnęła się wokół samowara.

– Jestem Liliane – rzuciła przez ramię.

Kiedy woda się zagotowała, zmij z wdzięcznością przyjął parujący kubek.

– Chcesz coś do jedzenia? Mam chleb, ser i trochę placka.

Potrząsnął przecząco głową. Liliane przysunęła sobie krzesło i usiadła. Krzyczący zatrzymał wzrok na jej włosach – były ostrzyżone krótko, jak po chorobie. Wzięła jego spojrzenie za ciekawość, może litość.

– Kaprys stałego klienta – zaśmiała się, mierzwiąc czuprynę dłonią.

Rozejrzawszy się po izbie, zmij zrozumiał, czemu Liliane nie widziała niczego niestosownego w tym, żeby zaprosić obcego mężczyznę do domu na herbatę.

Na drzwiach od szafy wisiała suknia o wyzywającym kroju, bordowa z czerwoną szarfą. Na parapecie stały słóiczki z

kosmetykami i leżały przybory do makijażu, zaś na sznurze nad piecykiem suszyły się koronkowe fatałaszkę, kojarzące się nieodparcie z jednym zawodem.

– No, co tak patrzysz? – rzuciła, widząc jego minę. – Z czegoś muszę żyć. Darmo jeść nie dają.

Uniósł dłoń w obronnym geście.

– Przecież nic nie mówię.

Miała niebieskie oczy. Z jakiegoś powodu ten fakt przyprawił go o dreszcz.

– Znalazł się niewinny – dodała, krzywiąc się. – Już ja was znam. Co, sam nie chodzisz na panienki, jak cię najdzie chęć?

– Nie.

– Tym gorzej. Dałbyś dziewczynom zarobić.

Normalnie uśmiechnąłby się, doceniając jej poczucie humoru, ale teraz czuł się coraz bardziej nieswojo. Miała w sobie coś tak boleśnie znajomego. Niebieskie oczy, krótkie włosy...

Nagle zakreśliło mu się w głowie. Przycisnął rękę do czoła, czując, że zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością. *Błagam, nie teraz.*

Na chwilę ujrzał szarą równinę pod zachmurzonym niebem i postać w postrzępionych szatach. Usłyszał kobiecy głos, dobiegający z oddali, niesiony wiatrem.

Jesteś nasz...

Oprzytomniawszy, zdał sobie sprawę, że bawi się sztyletem, podrzucając go i łapiąc. Liliane obserwowała to z przerażeniem.

– Proszę... nie rób mi krzywdy – szepnęła.

– Wybacz – powiedział cicho. Patrzył na ostrze noża, nie na nią. W błyszczącej stali zobaczył odbicie swoich złotych źrenic.

Może jej westchnienie, może gwałtowniejszy ruch zdradziły, że wiedziała już, kogo zaprosiła pod swój dach. Krzyczący zacisnął zęby. Przywołał moc i zanim Liliane zdążyła zareagować, zgasił jej świadomość. Krótkie omdlenie, nic niebezpiecznego.

Chwycił ją, zanim upadła, i złożył ostrożnie na posłaniu. Dotknął jej twarzy, szepcząc zaklęcie zapomnienia – gdy się zbudzi, pomyśli po prostu, że spała. Potem zdmuchnął świecę i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nad miastem trwała noc. Zszedł na bulwar, usiadł na pierwszej z brzegu ławce i zapatrzył się w płynącą leniwie wodę. Rzeka ginęła we

mgłę, światła na drugim brzegu prawie nie było widać. Nagle Krzyczącego ogarnęło przeraźliwe uczucie pustki. Jakby znalazł się w krainie widm.

Kiedy zaczął marznąć, wstał i jakiś czas błąkał się bez celu po ulicach. W końcu zszedł do Podziemi, wrócił do kryjówki, gdzie oczywiście przywitała go tylko cisza. Nie chciało mu się rozpałać ognia, więc usiadł na sienniku, narzucając na ramiona koc. Wziął ze stołu grymuar, ale zatrzasnął go, kiedy zorientował się, że czyta to samo zdanie piąty raz.

Nedgvarskie opium kusiło go. Jak cholera. Ale wiedział, że brnięcie głębiej w nałóg może mu tylko przysporzyć kłopotów.

Wyjął woreczek z kieszeni, patrzył nań przez chwilę i niechętnie odłożył go na półkę. Rozsądek podpowiadał mu, że jeśli będzie dłużej siedział w kryjówce, to w końcu jednak się złamie i zapali kolejną lufkę. Lepiej wyjść znowu i łązić po zimnie do momentu, gdy będzie mógł wrócić, wypić herbatę i usnąć bez narkotyków.

I tak też zrobił. Wspiął się na powierzchnię, powędrował na rynek, o tej porze cichy i pusty. Przespacerował się główną ulicą, potem zszedł na bulwar. Mgła nadal spowijała rzekę. Niebo już szarzało, ptaki zaczynały poćwierkiwać. I właśnie na bulwarze Krzyczący ni stąd, ni zowąd spostrzegł znajomą sylwetkę. Z naprzeciwka szedł nie kto inny, tylko Mela Veljanov, w niezgrabnym sukiennym tułubku i za dużych, chyba męskich trzewikach. W chuście na biodrze niosła córeczkę.

– Melaike! – zawołał z cicha zmij. Jakoś zręczniejszy było mu użyć jej pełnego imienia.

Przystanęła.

– Witajcie – powiedziała niepewnie.

Była blada jak płótno, jej twarz szpeciły brązowawe ślady po krostach. Ale były to tylko przebarwienia, które zejdą za kilka miesięcy, a nie dzioby. Wyglądała lepiej, niż przypuszczał, jednak zauważył też, że wydaje się przygaszona i jakby starsza.

– Dokąd idziesz tak wcześnie? – zapytał, starając się, żeby jego głos brzmiał ciepło.

– Do szpitala, do pracy. Ojciec mnie namówił, bo tam na okrągło potrzebują praczek, dzień w dzień. Na szczęście pozwalają mi zabierać dziecko.

Żmij zdziwił się, że Veljanov nalega, aby jego córka krótko po wyzdrowieniu znowu spędzała dni na ciężkiej harówce przy baliach. Potem zreflektował się, że w takim układzie przynajmniej obie z małą przebywają na świeżym powietrzu, a Mavraike może się bawić w słońcu, w mniejszym lub większym stopniu pod okiem matki.

– Jak się czujesz?

Spuściła głowę, skubiąc róg chusty.

– Już dobrze.

Nie wyglądała jak ktoś, kto miewa się dobrze. I widać było, że zamiast z nim rozmawiać, najchętniej odwróciłaby się na pięcie i odeszła. Najpierw pomyślał cierpko, że kto jak kto, ale ona nie powinna się go bać. Potem dotarło do niego, że dziewczyna ma prawo ogromnie się wstydzić, bo przecież pomagał ją myć i przebierać podczas choroby, a ona była wtedy tak ogłupiała od gorączki, że przez większość czasu brała go za Clementina lub za swojego ojca.

Z dreszczem uświadomił sobie również, że prawdopodobnie przeżył starcie z demonem po części dzięki tym długim godzinom, które spędził, czuwając przy łóżku chorej, nasiąkając jej cierpieniem... Była to upiorna myśl i nie potrafił jej odepchnąć.

Mała zaczęła popłakiwać i szarpać matkę za rękaw. Mela dźwignęła córeczkę wyżej i przytuliła.

– Sza, Mavraike. Nie bój się pana. Zaraz idziemy, już.

– Nie zatrzymuję was. Melaike, bądź zdrowa, uważaj na siebie i na małą – powiedział Krzyczący, po czym uśmiechnął się, starając się ze wszystkich sił, żeby tik nie wykrzywił mu twarzy. Prawie się udało.

– Żegnajcie – odrzekła sztywno Mela, po czym oddaliła się tak spieszenie, jak tylko pozwalały jej osłabienie i ciężar dziecka.

* * *

Delilah roztarła grudkę białego proszku między palcami. Powąchała, a potem wzięła odrobinę na język. Kiwnęła głową i odliczyła należność.

– Miałeś przyjść wczoraj – zauważyła. – Na drugi raz mnie uprzedź.

Żmij mruknął przeprosiny. Alchemiczka machnęła ręką.

– Drobiazg. Marnie wyglądasz, wszystko u ciebie w porządku?

Potwierdził. Delilah zmierzyła go uważnym spojrzeniem, ale nie

kontynuowała temat.

Wracając z podziemnego targowiska, Krzyczący w pewnej chwili stanął jak wryty, widząc przed sobą siwą chmurę dymu. Poczuł, że ogarnia go chłód.

Spopielona równina od horyzontu po horyzont, osnuta mgłą...
Kobieta w szarych szatach bierze mnie za rękę.

Otrząsnął się. Dopiero teraz dotarło do niego, że słyszy pokrzykiwania; to tylko grupka bezdomnych dzieciaków ogrzewała się wokół ogniska rozpalonego na skrzyżowaniu korytarzy.

* * *

W siedzibie Jacentina tym razem królowała woń piżma, ciężka i oszołamiająca. Na stole piętrzyła się sterta podobnych do żywicy bryłek.

– Marnie wyglądasz, bracie. – Sprzedawca zapachów zawahał się na moment. – Wszystko gra?

Krzyczący nie odpowiedział. Siedział przygarbiony, wpatrując się w posadzkę.

Jacentin pomyślał, że oto ma przed sobą żywy przykład ceny, jaką trzeba zapłacić za talent. Przy odrobinie pecha skażony dar potrafił zrobić z ludzką psychiką nieciekawą rzecz. I Brune Keare – cóż za niespodzianka – nie był odporny na niszczycielskie działanie skaży. Zwężone źrenice oraz zalatujące słodkawym dymem ubranie stanowiły tego najlepszy dowód. Jacentin odnotował jedno i drugie nie bez satysfakcji.

Zobaczymy, jak będziesz wyglądał za pół roku.

– Jeśli czegoś potrzebujesz albo masz jakiś kłopot, mów – zachęcił na głos. – Bo nie uwierzę, że zjawileś się u mnie ot tak, byle pogawędzić.

Krzyczący otulił się ciasniej kurtką, chociaż w laboratorium nie było chłodno. Zastanawiał się, czy rozsądnie zrobił, przychodząc po radę do Jacentina. Ale ostatecznie byli braćmi w profesji.

– Owszem. Jest sprawa, która mnie niepokoi – powiedział cicho. – Może ty będziesz umiał wyjaśnić, o co w tym chodzi. Od jakiegoś czasu

prześladuje mnie... coś w rodzaju wizji. Widzę na jawie obrazy jak ze snu. Kobieta w szarych szatach...

Przerwał, bo Jacentin chrząknął z niejakim zakłopotaniem.

– My, przekłęci, jesteśmy pod wieloma względami silniejsi od zwykłych śmiertelników. Ale istnieje jedna choroba, na którą zapadamy częściej od nich. To choroba umysłu; na pewno o niej czytałeś. Sprawia, że zaczynasz tracić kontakt z rzeczywistością, słyszeć głosy, widzieć postacie, których nie ma...

– Wiem, co sugerujesz. – Krzyczący zmarszczył brwi. – Nie jestem obłąkany.

– Nie powiedziałem, że jesteś. Zwracam tylko uwagę, że objawy, które opisujesz, są dość charakterystyczne. I poddaję pod rozwagę, że istnieją leki na to. Skuteczniejsze niż opium. Narkotyki niczego nie wyleczą, mogą co najwyżej pogorszyć sprawę.

Tłumiąc złość, Krzyczący pożegnał się zimno. Wrócił do kryjówki, otworzył grymuar i po raz kolejny odszukał rozdział, który czytał już wielokrotnie, o zagrożeniach płynących z czerni. Przygryzł wargę.

Znakiem szkodliwego wpływu skazy na umysł mogą być nawracające zaburzenia świadomości, halucynacje, urojenia. Leczy się je środkami wytłumiającymi dar.

Zatrzasnął księgę.

Więc dobrze, niech będzie, mam zwidy. Ryzyko zawodowe.

A potem zmroziła go myśl, że przecież choroby umysłu są nieprzewidywalne i za jakiś czas może go czekać kolejny atak szaleństwa, po którym albo znowu ocknie się na samym dnie, albo nie ocknie się wcale. Przemknęło mu przez głowę, że chyba wolałby to drugie.

18. Żywi i cienie

Ponad spopieloną krainą hulał wiatr, niosąc krzyki, jęki, przekleństwa i daremne błagania.

– O, kuzyneczko, wróciłaś. – Demon o pysku owcy podszedł do postaci w szarych łachmanach, która siedziała na murze, spoglądając w zamyśleniu na równinę. – Co tam słyhać w świecie ludzi?

Anyah milczała.

* * *

Na powierzchni świeciło słońce. U wylotu schodów było widać błękitne niebo, lecz dziewczyna, która handlowała kadzidełkami niedaleko wyjścia przy Rybiej Bramie, owinęła się szczelniej podartym płaszczem. Drżała z zimna.

Umarli gromadzili się na najwyższym poziomie Podziemi, niewidzialni dla zwykłego oka. Przyciągały ich czarne vibracje aury.

W jednym z podziemnych domostw zagościła rozpacz i śmierć.

* * *

Żmija od kilku godzin dręczył trudny do wytłumaczenia niepokój. Intuicja maga mówiła mu, że dzieje się coś złego.

Spróbował rozłożyć karty, ale wróżba wyszła niejasna. Na wszelki wypadek postanowił nie ruszać się na razie z kryjówki. Żeby zająć czymś ręce, zabrał się do sprzątanía. Uporządkował chaos panujący na stole, starł kurze, zamiótł posadzkę, a teraz usiłował wykalibrować starą wagę, bo szwankowała już do tego stopnia, że przy sporządzaniu eliksirów odmierzał porcje raczej na wycucie.

Cisza panująca w kryjówce wciąż jeszcze budziła w nim smutek. Podświadomie oczekiwał, że lada chwila z dziury w ścianie wychyli się Zazel, pytając gderliwie, czemu, do cholery, jest tak zimno, i kiedy

będzie obiad.

Krzyczący otrząsnął się, odpędzając wspomnienia. Szczypczykami dołożył kolejny ciężarek i zaklął cicho, kiedy szalka przechyliła się, prawie dotykając stołu. W tym samym momencie rozległo się łomotanie do drzwi. Żmij drgnął, a potrącona szalka odczepiła się. Ciężarki potoczyły się po stole, jeden spadł na posadzkę. Brune przełknął kolejne przekleństwo.

Podszedł do drzwi i otworzył.

– Co u... – zaczął gniewnie, ale głos zamarł mu na ustach. W korytarzu stał Szczur, a za nim... Zerlina, blada, w poszarpanym odzieniu i ze śladami łez na twarzy.

– Mówi, że szła do ciebie – oznajmił ponuro wojownik. – Dwóch łobuzów od Helshora próbowało ją napaść, całe szczęście, że byłem akurat w pobliżu.

Dziewczyna zamamrotała potwierdzająco, ocierając nos rękawem. Na jej policzku nabrzmiewał brzydki siniec.

– Czyś ty oszalała? – spytał ostro Krzyczący. – Po cholere schodziłaś tu sama?

Jej oczy na nowo napełniły się łzami. Próbowwała coś wykrztusić, ale tylko zaszlochała.

– Sza, cicho, już dobrze. – Niezgrabnie dotknął jej ramienia. – Zerlino, co się stało?

Dziewczyna wzięła głęboki, roztrzęsiony oddech.

– Mela... Mela otruła się...

– Jak to? – Krzyczący poczuł się tak, jakby Podziemia waliły mu się na głowę. – Jak? Dlaczego?

– Nie wiemy! Wróciła pono z miasta zapłakana, przepłakała cały wieczór, a w nocy połknęła tru... trutkę...

Głos dziewczyny na chwilę utonął wśród płaczu, ale opanowała się z wysiłkiem, pociągnęła nosem.

– Stryj mnie wysłał do was, po pomoc...

Minęła chwila, zanim znaczenie tych słów dotarło do żmija. Nadal w oszołomieniu, prawie nie myśląc, co robi, Krzyczący ściągnął z półki skrzynkę, w której trzymał swój prywatny zestaw leków i innych przydatnych środków.

Nie wierzył w cudowne właściwości odtruwające bezoarów ani teriaku, ziołowej mikstury wzbogaconej o krew, mięso i skórę węża.

Nie posiadał w swoich zapasach ani jednego, ani drugiego. Spośród znajdujących się w skrzynce buteleczek wybrał dwie – belladonę i ekstrakt z nasion białego ostu. Belladona, sama w sobie trująca, stanowiła antidotum na niektóre trucizny. Biały oset chronił wątrobę.

Wiedział, że te środki prawdopodobnie nie okażą się pomocne. Kiedy zamykał kryjówkę na klucz, uświadomił sobie, że trzęsą mu się ręce.

– Szczur, wyświadczyć mi przysługę, odprowadź ją do domu – rzucił, wskazując Zerlinę, i nie czekając na odpowiedź, pobiegł w kierunku schodów.

Zachował dość przytomności umysłu i się nie teleportował. Jeszcze tego brakowało, żeby echo czaru zwabiło golemy pod same drzwi Veljanova. Choć spieszył się, jak mógł, dotarcie pieszo na najwyższy poziom zajęło mu trochę czasu. Już prawie pod domostwem szczurołapa musiał przystanąć, żeby złapać oddech, i ponownie uderzyła go lodowata myśl.

Od momentu, gdy zażyła truciznę, minęło kilka godzin. Nie uratujesz jej.

Drzwi otworzył mu szary na twarzy Veljanov. Za jego plecami rozbrzmiewał głośny, rozpaczliwy dziecinny płacz – mała Mavraike nie rozumiała, co się dzieje, i chciała do mamy.

Krzyczący wiedział, że szczurołapowie do sporządzania trutek zwykle używają najsilniej działającej substancji, jaką można dostać po stosunkowo niskiej cenie – dekoktu z wroniego orzecha. Spodziewał się, że na twarzy Meli ujrzy upiorny uśmiech, wywołany skurczem mięśni. Wroni orzech powodował napady bolesnych drgawek, aż do momentu gdy otruty nie był w stanie zaczerpnąć oddechu i dusił się. Ale Mela leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Jej usta były sine, puls ledwie wyczuwalny, skóra zimna jak lód.

– To była twoja mikstura – powiedział cicho Veljanov. – Ta czarna.

Krzyczący tylko potrząsnął głową. Na truciznę, którą sporządził przeciwko homunkulusom, nie istniało żadne antidotum.

Szczurołap nagle chwycił go za kurtkę.

– Na co czekasz, na bogów, ratuj ją! – zawołał ochryple. Ale równie nagle zreflektował się, puścił zmija, odstąpił. – Wybacz. – Jego głos drżał. – Jeśli nic nie możesz zrobić, idź stąd. Idź, Brune, proszę cię.

Krzyczący usłuchał bez słowa.

Na korytarzu nagle ugięły się pod nim nogi, musiał oprzeć się o mur. Stała mu przed oczami ostatnia rozmowa z Melą, wtedy kiedy spotkał ją na powierzchni. Przypomniawszy sobie jej pozbawioną wyrazu twarz, martwy głos, i aż przycisnął pięść do ust.

Jestem magiem, czytam w myślach, czytam aury... Mogłem się zorientować. Mogłem już wtedy poznać, że nie jest z nią dobrze... Po ospie, z małym dzieckiem... Była inna niż ludzie tutaj, wrażliwsza. Słabsza.

Co za idiota ze mnie.

Potem uderzyła go jeszcze straszniejsza myśl.

Nic za darmo.

Nie uzdrowił Meli czarami, więc nie sądził, że prawa mają tu zastosowanie. Ale teraz zmroziły go wątpliwości. Nie użył daru, to prawda, ale sporządził maści, czuwał przy niej... modlił się za nią...

Czy to możliwe, że Eresh zemścił się na niej, bo nie dopełniłem prawa?

Odruchowo dotknął owiniętej w jedwab gemmy, którą nadal nosił w kieszeni. Myślał tylko o jednym – czy aby na pewno to przypadek, że Mela popełniła samobójstwo właśnie za pomocą trucizny.

Jego trucizny.

Gdy wyteżył słuch, wydało mu się, że na skraju świadomości słyszy drwiący chichot umarłych.

Wróciwszy do kryjówki, nie zastał pod drzwiami ani Zerliny, ani Szczura. Przyjął to z ulgą – nie miał siły z kimkolwiek rozmawiać.

Odepchnął pokusę, żeby zgłuszyć się makiem. Wbrew temu, co sądzili niektórzy, nie był jeszcze fizycznie uzależniony i sięgnięcie akurat teraz po narkotyki wydało mu się niestosowne, niegodne. Rozdmuchał żar w kominku, otulił się kocem i zapatrzył w płomienie.

Po kilku godzinach, tak jak się spodziewał, usłyszał stukanie do drzwi. Niechętnie wstał i wyjrzał na korytarz. Zobaczył Zerlinę oraz Szczura, trzymającego się nieco z tyłu.

– Czego chcecie? – Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzał.

– Mela... Mela nie żyje – wyjąkała dziewczyna. – Jutro mają ją grzebać.

Wiem, że nie żyje. Cuda zdarzają się głównie w Świętej Księdze.

– Po co tu przyszedłeś?

– Brune, boję się o stryja. Poszliśmy do niego, mama i ja, ale

wyrzucił nas za drzwi. – Zerlina znowu zaniósła się szlochem. – Teraz będzie pił przez całą noc i strach pomyśleć, co może mu przyjść do głowy... Też jeszcze gotów się otruć albo powiesić... Proszę cię, idź tam.

Żmij tylko pokręcił głową. Rozumiał obawy Zerliny, bo też znał Veljanova. Jednak nie miał siły kolejny raz spojrzeć w oczy staremu, ze świadomością, że – choćby i bezwiednie – przyczynił się do tego, co zaszło.

– Ona ma rację, ktoś tam musi pójść – odezwał się Szczur. – Ty ją leczyleś...

Krzyczący przetarł twarz ręką, odpychając dręczące go myśli. Popatrzył na odmieńca, potem na zapłakaną dziewczynę, której oczy wyrażały niemą prośbę.

– W porządku, pójdę. – Zawahał się. – Dajcie mi chwilę.

* * *

Domostwo szczurołapa zostało sprzątnięte – posadzka zamieciona, derki poskładane. Nie będzie się wstydził przed żałobnikami.

Veljanov siedział przy kuchennym stole. Zasłona była odsunięta, a leżąca na swoim posłaniu w mniejszej izbie Mela wyglądała, jakby spała. Szczurołap sam ją umył, ubrał w odświętną sukienkę i zawiązał czepek na ostrzyżonych włosach.

Cisza wydawała się dzwonić w uszach. Bratowa zabrała małą do siebie.

Nalał sobie kieliszek gorzałki, wychylił go jednym łykiem i nalał drugi.

Gdyby mógł, poszedłby i zatłukł tego drania, Clementina, jak psa. W szpitalu zdążył się już dowiedzieć, że młody medyk żeni się wkrótce z córką kupca. Nietrudno było zgadnąć, że ta sama plotka dotarła do Meli.

Veljanov mógł się tylko domyślać, co się stało – że dziewczyna poprzedniego dnia poszła do niego. Płakać pod drzwiami, prosić, przypominać, że ma córeczkę. Może Clementin kazał służącemu ją przepędzić, może zagroził, że wezwie straż.

Stary znał Melę. Była zbyt wrażliwa. Zawsze wszystkim za bardzo się przejmowała.

Siedział, patrząc niewidzącym wzrokiem na stertę pułapek. Myślał o małej Mavraike. Bratowa już i tak miała na głowie pięcioro drobiazgu, a Josef pił. Nie od czasu do czasu, tylko na okrągło.

Otrząsnął się, słysząc stukot kołatki. Najchętniej nie otwierałby, ale domyślił się, kto to może być. Po chwili wahania wstał ciężko, odryglował drzwi i otworzył je.

W progu stał Brune Keare. Ubrany tak schludnie, jakby wybierał się na powierzchnię, z porządnie związanymi włosami, bardzo poważny.

– Przyszędłem... do Melaike. Do Meli.

Veljanov patrzył na niego, jakby nie rozumiejąc. W końcu jednak w milczeniu uczynił zapraszający gest.

Brune na moment zatrzymał się przed ołtarzykiem, szepcząc coś. Potem usiadł u wezgowia Meli i zapatrzył się w jej nieruchomą twarz. Tak jak czuwał przy niej w ciągu tych długich nocy, kiedy chorowała.

Stary wrócił na swoje miejsce za stołem. Wskazał butelkę, ale żmij podziękował ruchem głowy. Veljanov dopił zawartość kieliszka i nie nalał już sobie kolejnego.

Siedzieli tak przez całą noc. Żaden nie odezwał się ani słowem.

* * *

W podziemnej tawernie pachniało duszoną rybą i czosnkiem.

Krzyczący pomyślał przelotnie, że może warto byłoby zjeść obiad, ale na myśl o ciepłej strawie zrobiło mu się mdło. Pociągnął łyk grzanego wina. Trunek smakował gorzkawo, pewnie od tanich, fałszowanych przypraw.

Przed oczami po raz kolejny stanęła mu blada twarz Meli, podobna do rzeźby nagrobnej. Zamknięte oczy. Czarna aura cierpienia wypełniająca domostwo szczurołapa, przyjemnie rozgrzewająca, dodająca sił.

Wyjął woreczek z opium i lufkę, ignorując ukłucie sumienia.

– Hej, brachu, nie użyczyłbyś odrobinki towaru? – usłyszał nagle. Do jego stolika podszedł wynędzniały mężczyzna w łachmanach.

Żmij westchnął w duchu. W woreczku zostało mu zaledwie kilka grudek, więc wytrząsnął na stół wszystkie.

– Ostrożnie, jest mocny – ostrzegł tylko.

Tamtemu zabłysły oczy. Zgarnął opium brudną ręką, podziękował i odszedł, powłócząc nogami. Brune wystukał z lufki niedopalone resztki. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, mimo świadomości, że jest *ka-ira* i trucizny nie działają na niego tak, jak na zwykłych śmiertelników.

– Hej, chłopcze! – zabrzmiał znajomy głos. Żmij ku swojemu zdumieniu zobaczył wychodzącą zza szynkwasu Gorczycę. Niosła kufelek i ćmiła nonszalancko fajkę, jak stary marynarz. Przypomniał sobie mgliście, że rzeczywiście ktoś mu chyba kiedyś wspominał, że Gorczyca i Płosząca Ptaki się przyjaźnią.

Skinął jej głową. Nie miał ochoty rozmawiać. Ale Gorczyca nie dała się tak łatwo zbyć. Przysiadła się do niego.

– Płosząca Ptaki opowiedziała mi o córce Veljanova – powiedziała cicho. – Biedna dziewczyna. Szkoda, że musiała się zadać akurat z takim Clementinem. Jak się teraz miewa stary?

– No cóż, ciężko przeżył jej śmierć. Ale myślę, że otrząśnie się z czasem.

– A ty siedzisz tu i palisz mak.

Żmij nie odpowiedział. Tik wykrzywił mu twarz – wtedy zakrył policzek ręką, ale nadal milczał.

Gorczyca zakaszła ochryple. Pociągnęła z fajki i wydmuchnęła eleganckie kółko dymu.

– Opowiem ci coś – oznajmiła. – Słuchaj uważnie. Tej historii nie znajdziesz w Świętej Księdze ani w żadnym z grymuarów.

Wydmuchnęła kilka kolejnych kółek. Potem wyjęła fajkę spomiędzy zębów, odchrząknęła.

– Wojna z Wrogiem trwała przez wiele długich lat i obróciła materialny świat w ruinę. Żaden z dziewięciu bogów nie wyszedł z walk bez szwanku. Haran, najpotężniejszy i najmądrzejszy ze wszystkich, stracił oko. Eresh został obryzgany jadem Wroga, przez co połowa jego ciała na zawsze stała się sina i martwa. Araya, Pani Światła, straciła wszystkie swoje dzieci. Wszystkie anioły, które powołał do życia jej śpiew, umarły zatrute ciemnością Wroga.

Łono Leleyi, patronki matek, stało się jałowe. Jej jedyny syn, Proserpis, opiekun lasów i pól, został tak ciężko ranny, że odtąd na trzecią część każdego roku musiał zstępować do podziemnego świata, aby Eresh, który jest mistrzem uzdrawiania, uwolnił go od bólu.

Dlatego na jesieni liście opadają z drzew i przyroda zamiera – tak już pozostało, choć Proserpis odszedł z tego świata razem z innymi bogami.

Bystrooka Merauke, która wcześniej była najweselsza spośród nieśmiertelnych, już nie potrafiła się śmiać. Ilmar został okulawiony i oszpecony, i odtąd wiódł żywot pustelnika w swej kuźni, tylko w otoczeniu golemów. Sabel, władca snów, zaczął cierpieć na napady melancholii i szaleństwa, z których mógł go uleczyć jedynie śpiew jego siostry Tanayi, przez magów nazywanej Tanathe. I ona, najcichsza i najłagodniejsza spośród bogów, ucierpiała również. Straciła boską jasność, po której zawsze rozpoznawano nieśmiertelnych. Jej skóra i włosy stały się teraz szare jak popiół.

Ona jako jedyna nie brała udziału w ostatniej wielkiej bitwie. Obserwowała walczących z oddali. Ale później, kiedy już wszystko było skończone, Tanaya przez całą długą noc chodziła pomiędzy ciałami poległych, uwalniając ich dusze, które ulatywały w postaci białych gołębi.

Na koniec podeszła również do Wroga, który spoczywał jak góra pośród jeziora cuchnącej, trującej posoki. Ani Haran, ani Eresh, ani nikt z pozostałych nie odważył się zaprotestować, kiedy Tanaya pochyliła się nad martwym potworem i pocałowała go w czoło. Wśród ciszy pozostali bogowie ujrzeni, że znad zwłok Wroga podniósł się piękny, czarny łabędź. Rozpostarł skrzydła i wzbił się w niebo, odlatując do krain ponad gwiazdami.

Gorczyca umilkła.

– Co to znaczy? – przemówił cicho Krzyczący.

– Wężu, ja tylko opowiedziałam ci historię. Jeśli na własny użytek chcesz dopisać do niej morał, zrób to, ale nie pytaj mnie o zdanie. Nie jestem zwolenniczką morałów.

Zrobiła pauzę, ale żmij milczał, więc kontynuowała.

– Dobrze, że cię spotkałam, bo mam do ciebie sprawę. Trzeba zabezpieczyć kryptę pochówkową pod naszym wzgórzem. Sklepienie się zawaliło, zrobiło się zapadlisko i umarli wychodzą nocą na powierzchnię. Żeby ich tego oduczyc, potrzeba kogoś silniejszego niż stara Gorczyca.

* * *

Dzień był pochmurny, więc Krzyczący mógł bez przeszkód wyjść na powierzchnię. Miał zresztą wrażenie, że słońce przeszkadza mu już mniej niż kilka miesięcy wcześniej. Może to kwestia oswojenia się z darem. Z ksiąg wiedział tylko tyle, że uboczne skutki czerni mogą być rozmaite w zależności od osoby.

Zapadlisko znajdowało się na podwórzu za domostwem Scypuła. Nie było rozległe – ot, jama w ziemi, ukryta wśród pokrzyw. Ale zaburzenie aury wyczuwało się z daleka.

– To przez te deszcze w ubiegłym miesiącu – stwierdził starosta odmieńców, chudy stwór porośnięty rudym jak u lisa futrem. Zalatywało od niego też jak z hodowli lisów. – Ostrożnie, patrzcie pod nogi. Ziemia cały czas się osuwa.

Podeszli w pobliże dziury, brodząc po kolana w chwastach. Krzyczący ukląkł, żeby zajrzeć w ciemny otwór. Przeszedł go lekki dreszcz.

Czuł ich. Tak blisko, nawet w biały dzień.

Obserwowali go. Mimo woli dotknął ukrytej w rękawie rękojęści sztyletu.

– Umarli wyrządzili wam już jakąś krzywdę? Sprowadzili na kogoś chorobę, zniszczyli coś?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Tylko się snują i szepczą, jak to oni. – Scypuł podrapał się po głowie. – A prawda, Łuska się skarży, że coś jej dusi kury.

– Żaden dzieciak nie dostał ostatnio padaczki?

– Nie. – Odmieniec przestąpił z nogi na nogę. – Cienie mogą powodować takie rzeczy?

– Mogą powodować różne rzeczy.

Słońce przebiło się przez przerwę w chmurach i żmij poczuł, że bliźni zaczynają go lekko palić. Cofnął się pod ścianę domu, w cień.

– Gorczyca was tu ściągnęła? – zagadnął starosta.

Przytaknął. Scypuł skrzywił się.

– Niepotrzebnie was fatygowała. Trza zasypać tę dziurę, ot co, tylko chłopaki się lenią.

– Zasypanie dziury nie pomoże. To trzeba załatwić na dole. Zajmę się tym. – Krzyczący zastanowił się. – Potrzebuję mięsa na ofiarę. Może być świeżo zabita kura.

– Szczur się nada?

Żmij westchnął.

– Powiedziałem: kura. Chcecie mieć spokój w nocy czy nie?

* * *

Z kurą w ręku zszedł do piwnicy jednego z domów, skąd można było dostać się do Podziemi. Garbaty Marvin zaproponował, że pokaże żmijowi najkrótszą drogę do zawalonej krypty.

Na dole zaburzenie aury wyczuwało się jeszcze silniej. Gdy mieli już kryptę w zasięgu wzroku, Krzyczący wyjął sztylet i wyszeptanym słowem przemienił go w rapier.

– Czekaj tu – polecił odmieńcowi. – Pod żadnym pozorem nie podchodź bliżej. Jakby co, po prostu uciekaj i nie oglądaj się.

Marvin zbladł, ale skinął posłusznie głową.

Przed wejściem do krypty Brune rozwiązał włosy, pozwalając, żeby opadły mu na twarz.

Tak jak przypuszczał, zarwał się fragment sklepienia – na posadzce piętrzyła się sterta gruzu i ziemi. Przez wyrwę do wnętrza wpadała smuga dziennego światła, w której wirowały pyłki. Zaklęcia zabezpieczające na grobowcach prysły, umożliwiając umarłym swobodne oddalanie się od miejsca pochówku. Aż dziwne, że srebrni nie uznali za stosowne zainterweniować. Widocznie wychodzili z założenia, że dopóki cienie straszą tylko na Krzywej Alei, problemu nie ma.

Żmij położył kurę na posadzce i nakreślił wokół niej krąg kredą. Następnie dotknął kart ukrytych w woreczku na szyi. Przed oczami stanęło mu spokojne oblicze odzianego w czarne szaty Maga, a potem biała twarz i puste spojrzenie Błazna.

– Na dziewięć bram podziemnego świata – zaintonował cicho. – Cienie, słuchajcie mnie! Ja, Krzyczący w Ciemności, ofiarowuję wam pożywienie i wzywam, byście opuścili to miejsce. Nie trapcie więcej żywych, lećcie z wiatrem, odejdźcie tam, gdzie czeka cisza.

Nie musiał podnosić głowy, żeby wiedzieć, że się pojawili. Przybywało ich w zastraszającym tempie – wypełnili całą kryptę jak zimny opar. Szare, podobne do dymu sylwetki. Ich szepty zwiększały natężenie, aż zlały się w chór.

Za późno pojął, że – jak zwykle nastawiony w pierwszej kolejności

na dyplomację – wybrał niewłaściwy rytuał. To nie był pierwszy lepszy cmentarz z uszkodzonymi grobami. Tu nie należało liczyć na dobrą wolę duchów. Nie w Podziemiach.

– Niepotrzebnie zakłóciłeś nasz spokój, magu – zaszeptały drwiąco cienie. – Aż dziw bierze, jaki potrafisz być nierozsądny. Co na to twoja dama w szarej sukni?

Poczuł, że krew w żyłach ścina mu się lodem.

– Nie wiem, o czym mówicie.

– Nie kłam, przyjacielu. Czyżbyś nie wiedział, kto pilnuje twoich snów? Kto zabrał twoje wspomnienia? Czyżbyś nie wiedział, komu służysz?

– Nie służę nikomu.

Śmiech umarłych był jak zgrzyt noża po szkłe.

– Biedny głupcze, biedny błaznie! Należysz do Otchłani. Twoich kroków strzeże demonessa o dłoniach z popiołu.

– Kłamcy! – W oczach zmija zamigotały ogniki. – Przyjmijcie ofiarę i wynoście się do swojego wymiaru, jak nakazuje prawo.

– Nie chcemy twojej ofiary – zasyczeli. – Chcemy ciebie.

Z rapierem w pogotowiu cofnął się pod mur. Dobrze wiedział, że jeśli cienie rzucą się na niego, stał mu nie pomoże.

Szary tłum kłębił się i gęstniał, gotując się do ataku.

Królewski egzorcyzm z Anarai – pomyślał Krzyczący. Najskuteczniejszy przeciwko umarłym.

Znał go na pamięć, podobnie jak osiem pozostałych egzorcyzmów ze swojego grymuaru, lecz nie wiedział, czy wystarczy mu siła, by użyć zaklęcia z Anarai przeciwko takiej liczbie duchów.

Zamknął oczy, koncentrując się, przywołując moc.

Haran! Eresh! Wasza siła jest moją siłą.

Nie znam lęku. Jestem synem mroku, władcą nocy, panem wicheru.

Nie znam lęku.

Nie znam lęku.

Otworzył płonące żółto oczy i wypowiedział egzorcyzm, czując, że słowa parzą mu usta niczym płynny ogień.

– Precz! – krzyknął na koniec; głos załamywał mu się z wysiłku. Umarli syczeli z nienawiścią, lecz cofali się. Ich sylwetki bladły,

zanikały, wsysane z powrotem do szarego wymiaru, który stanowił ich dom.

Żmij przemienił rapier z powrotem w sztylet, schował go i oparł się o mur. Wymamrotał niemające nic wspólnego z magią ordynarne przekleństwo. Gardło paliło go, czuł ból przy każdym oddechu. Przycisnął dłonią blizny, bo policzek i powieka niepohamowanie drgały mu w tiku.

Nie służę nikomu. Przepędzam demony, gdy wejdą mi w drogę.
Jestem wolny. Jestem czarnym magiem. Wszystko inne to kłamstwa.

Zanim wyszedł z krypty, musiał odczekać, żeby dojść do siebie. Marvin na widok jego twarzy wstrzymał oddech.

– Wszystko w porządku?

– Tak – wycedził Krzyczący.

Był bardziej osłabiony niż sądził – nagle zachwiał się; musiał chwycić się ściany. Marvin skoczył, żeby mu pomóc, ale żmij odsunął jego ręce.

– Poradzę sobie. Zostaw mnie.

* * *

Krzyczący w Ciemności miał w pewnych kwestiach sprecyzowane poglądy. Uważał na przykład, że upicie się nie licuje z godnością maga. Jednak opium, nawet w dużych dawkach, nie dawało już efektu, którego potrzebował.

W kryjówce było przeraźliwie zimno, ale nie rozpałał ognia. Obszedł każdy kąt, sprawdzając, czy wypisane na ścianach formuły działają, i dorysował węglem kilka nowych znaków. Miał dreszcze i ledwie trzymał się na nogach z wyczerpania, ale wolał poświęcić jeszcze odrobinę sił, niż ryzykować, że zaklęcia ochronne nie spełnią swojej funkcji.

Już pewien, że kryjówka jest odpowiednio zabezpieczona, nalał do kieliszka nieco laudanum, a następnie z aptekarską starannością odmierzył doń odpowiednią ilość trzech kolejnych tynktur. Aranja. Czarny lotos. Księżycowy nektar.

Czekał, licząc cicho do stu. Mikstura przybrała purpurową barwę,

potem stała się przezroczysta jak kryształ. Pachniała liliami, smak miała zdradziecko słodki.

Utalhixtal, esencja snów.

Żmij wypił wszystko do ostatniej kropli. Następnie wyciągnął się na posłaniu, okrył kocem, i czekał.

Kontury laboratorium wkrótce rozmazały mu się w oczach. Szybował przez przestrzeń wypełnioną czarodziejskimi mirażami – kwiaty, maski i zjawy opadały wokół niego, mieniając się barwami tęczy. Potem zapadła ciemność i powrócił obraz, który Brune tak bardzo chciał ujrzeć.

Resztki żaru tliły się w palenisku, a dziewczyna ubrana w szary jedwab łagodnie dotknęła jego twarzy. Ciepła i żywa, nie opierała się, kiedy ją objął.

Rozpaczliwie potrzebował dowodu, że umarli okłamali go, wiedział jednak, że ona nie pomoże mu poznać prawdy. Była jedynie cieniem przywołanym z głębin świadomości, iluzją wykreowaną przez zioła.

Ale mogła mu ofiarować to, co daje każdy narkotyk – zapomnienie. I ponieważ miał świadomość, że to tylko sen, pozwolił jej.

* * *

W znajdującej się przy rynku kaplicy Pani Światła jak zwykle panowała cisza. Pachniało kadzidłem i rozgrzanym woskiem.

Veljanov wrzucił miedziaka do skrzyni na datki i ukląkł przed ołtarzem, żeby postawić swoją świeczkę obok wielu innych. Potem cofnął się o krok i patrzył na pełgające płomyki. Jego stare oczy zaczęły piec i wiedział, że to nie od dymu.

Stał tak, aż przez mgłę łez zdał sobie sprawę, że do kaplicy wszedł ktoś jeszcze i stoi w milczeniu obok. Szczurołap odsunął się nieco, obrzucając nieznanego podejrzliwym spojrzeniem. Choć przybysz nie wyglądał staro, jego długie, związane z tyłu włosy były prawie zupełnie siwe. Nawet w półmroku dało się dostrzec, że jego kaftan uszyto z kosztownej jedwabnej materii, a koszula ma koronkowe mankiety.

– Za kogo ta świeca, przyjacielu? – spytał cicho. Szczurołap zawahał się, potem odpowiedział.

– Straciłem córkę.

Mężczyzna w jedwabnym kaftanie patrzył na niego przez długą chwilę.

– Dwa lata temu srebrni zabili mojego syna.

Veljanov pokiwał głową, nie wiedząc, co mógłby odpowiedzieć.

Arystokrata położył mu rękę na ramieniu. W milczeniu wpatrywali się w piękną, spokojną twarz bogini.

* * *

– Imponujące, prawda? – odezwał się cicho akolita w srebrnej masce. Iglendis w milczeniu patrzyła na owoc ich wielotygodniowych wysiłków, zaklęć i treningu.

Biała zbroja Reohana, trwale spojona z jego magicznie wzmocnionym ciałem, lśniła w sieniej poświacie wypełnionych świeciwem lamp. Każdy jego krok rozbrzmiewał w krypcie echem.

Golem ćwiczył skomplikowane układy szermiercze. Mimo ciężaru pancerza poruszał się z zadziwiającą, straszną gracją drapieżnika. Jego twarz była teraz blada jak smocza kość i beznamiętna niczym rzeźba. Trzecie oko lśniło czerwienią.

Z człowieka, którym był kiedyś, nie pozostało prawie nic. Pobyt w zbiorniku wypalił w nim wspomnienia, a wraz z zaklętą zbroją Reohan otrzymał nową tożsamość. Był teraz wojownikiem srebra, przystosowanym do tego, by wykonywać rozkazy, nie kwestionując ich.

Iglendis wyszła zza kolumny i niespiesznie zbliżyła się do Trójokiego, który najpierw znieruchomiał, następnie z chrzęstem stanął na baczność.

W umyśle Reohana widok jasnowłosej kobiety w białej szacie obudził mgliste skojarzenia oraz niesprecyzowany, obcy naturze golemów niepokój.

Znał ją, choć nie wiedział skąd. Emanowała światłem, widocznym jedynie dla jego trzeciego oka.

– Czy pamiętasz, kim jesteś? – spytała.

Reohan skłonił się nisko, chrzęszcząc pancerzem.

– Twoim sługą, pani.

Nie potrafił odczytać ani pojąć smutku, jaki pojawił się na jej twarzy.

* * *

Znajda nigdy nie był równie szczęśliwy, jak w dniu, kiedy Bernard oznajmił, że zamierza go kształcić na swojego pomocnika. Prawie na każdym postoju okazywało się, że w oberży jest ktoś, komu przydałyby się usługi medyka, więc okazji do nauki nie brakowało.

Lekarz uparł się też, że nauczy go czytać i pisać. Z czytaniem poszło dość gładko, pisanie było dla chłopaka mordęgą. Zdecydowanie lepiej radził sobie z czyszczeniem instrumentów, zakładaniem opatrunków, przystawianiem baniek i pijawek.

Jeśli dał się przyłapać z brudnymi paznokciami, dostawał w ucho. Czasem tęsknił za starym, beztroskim życiem w Podziemiach. Ale potem przypominał sobie, jakie to paskudne uczucie być głodnym.

No a długa podróż powozem była dla niego wspaniałą przygodą. Te wszystkie nowe miejsca...

W Kahdin, niedużej mieścinie na skrzyżowaniu traktów, zatrzymali się na dwa dni, bo Bernard przeciął jakiemuś kupcowi wrzody na plecach i zdecydował, że nie ruszy w dalszą drogę, póki nie okaże się, czy nie trzeba ciąć pacjenta jeszcze raz. Ponieważ w miasteczku akurat trwał jarmark, z samego rana wysłał chłopaka po sprawunki, a sam został w zajeździe.

Na rynku było gwarnie, mnóstwo towarów wabiło oko. Prawie jak na Loss Fomar. Tylko tutaj z góry lał się blask słońca, a w tłumie nie było widać odmieńców ani golemów.

Znajda kupił to, co miał kupić – chleb, wędzony ser, cebule, oliwę i sól. Poczul ukłucie w sercu, kiedy na straganie z pieczywem zauważył obwarzanki posypane kminkiem, dokładnie takie same jak w Shan Vaola.

Nagle jego wzrok przykuła niezwykła scena. Na odwróconym do góry cebrze, pobrzękując dzwoneczkami na przegubach, tańczyła ubrana w kolorową chłopską tunikę dziewczyna z głową kota. Wykonywała akrobatyczne figury z taką gracją, że ludzie zatrzymywali się mimo woli, a do ustawionej przed cebrem miseczki co chwila ktoś wrzucał monetę. Chłopak na chwilę zaniemówił, potem zaczął się przepychać przez ciżbę.

Odmianka wśród oklasków zakończyła występ, zeskakując z cebra pięknym saltem. Znajda zamachał ręką.

– Pyszczek?! Hej, Pyszczek!

Pyszczek zobaczyła go wreszcie i w następnej chwili aż jęknęła, porwany w miękkie, futrzaste uścisk. Odmianka delikatnie polizała go po nosie i odsunęła na odległość ramienia.

– Niech na ciebie popatrzę. Ależ urosłeś!

Jej samej życie na powierzchni wyraźnie służyło. Wyglądała bardzo ładnie, z zadbaną, lśniącą sierścią.

– Pyszcuku, tak się cieszę, że cię widzę. Pochrupek jest z tobą?

– Oczywiście, że Pochrupek jest ze mną. Hej, mały, chodź tu! – Pyszczek gwizdnęła na palcach i stworek wybiegł z tłumu. Na widok Znajdy zaskomlał ekstatycznie i przewrócił się na grzbiet. Chłopak przykląkł, żeby pogłaskać go po brzuszku.

Odmianka przypatrywała mu się uważnie, jej uśmiech nieco przygasł.

– Młody, nie chcę być wścibska, ale co ty tu właściwie robisz?

Wyjaśnił jej pokrótce.

– A wy dokąd zmierzacie? – zapytał na koniec.

– Od wioski do wioski, od targu do targu i jakoś się to kręci, prawda, Pochrupku? Zamierzamy się przyłączyć do jakiejś trupy, tylko na razie nie spotkaliśmy odpowiedniej.

Pochrupek zapiszczał, Pyszczek uciszyła go drapaniem po łebku.

– Powiedz, a nie ma z wami kogoś jeszcze? – zagadnęła, zniżając głos.

Chłopiec potrząsnął głową. Odmianka wyraźnie posmutniała.

– Tak tylko pytałam.

* * *

Na powierzchni zbliżało się południe, lecz głęboko w trzewiach Podziemi nieprzerwanie trwała noc.

Kouremos szybował przez milczące korytarze. Pozbawiony materialnej postaci, wyglądał jak strzęp dymu, lecz jego ślepie jarzyły się czerwono. Nienawiść dodawała mu sił.

Po długich wysiłkach udało mu się przełamać zaklęcia, które więziły go w zniszczonej enklawie. Wiedział, że nie ma to większego znaczenia. Mag z bliznami na twarzy okaleczył go, pozbawił mocy i permanentnie odciął od Otchłani. Kouremos miał świadomość, że

skoro Sul-Berith do tej pory nie wysłała mu nikogo na pomoc, to znaczy, że wykreśliła go spośród swoich sług. Był równie słaby jak cienie umarłych, które snuły się po tych lochach, i wiedział, że wkrótce rozpadnie się w nicość jak one.

Ale przedtem chciał jeszcze sprawdzić jedną rzecz. Upewnić się w swych podejrzeniach.

Dotarł wreszcie do krypty, u krańca której znajdowały się okute drzwi. Na progu pod nimi siedziała skulona postać. Młoda kobieta w wystrzępionej szarej szacie i chuście narzuconej na ramiona, z włosami ostrzyżonymi jak po tyfusie.

W jej mizernej twarzy żyły tylko oczy. Błękitne, zmrużone i zimne.

– Ani kroku dalej – rzuciła na jego widok, prostując się.

Kouremos przystanął, taksując ją wzrokiem.

– Niech zgadnę. Dolina Popiołów? I masz coś wspólnego ze śmiertnikiem, który mieszka za tymi drzwiami?

– Zgadza się. Jestem jego stróżem.

– Stróżem, ach tak. – Demon zasyczał drapieźnie. – To wiele wyjaśnia. Więc ty go ocaliłaś od śmierci, wtedy w enklawie. Oddałaś mu część własnej mocy, tylko dzięki temu przeżył i był w stanie mnie pokonać. To musiało cię mocno osłabić, prawda?

– Tak. – Dziewczyna zgarbiła się, jakby wspomnienie przygniotło ją ciężarem.

– Rozkazujesz mi?

– Nie. Na razie tylko go strzeżę.

– I wyciszasz w nim czerń, żeby nie oszalał.

– Zgadza się.

– A kiedy zabija, zabija dla was...

– Oczywiście.

– Sprytnie, sprytnie. Wyjaśnij mi jedno. Jakim cudem nie zorientował się dotąd, że go śledzisz?

– Ja także umiem to i owo. – Niebieskooka uśmiechnęła się leciutko. Dotknęła naszyjnika z ciemnego metalu, przypominającego obrożę. – Jestem córką Spalonego Władcy, księżniczką Otchłani.

– No proszę, kto by pomyślał. Zlecić własnej córce, żeby pilnowała agenta... – Kouremos chytrze zmrużył ślepie. – Spalony Władca musi sobie po nim dużo obiecywać, tylko czy słusznie?

– Czy słusznie? Czas pokaże.

– Na twoim miejscu nie liczyłbym na zbyt wiele. – Demon cmoknął drwiąco. – Prędzej czy później skończy jak każdy agent. Albo zginie, albo stanie się jak my, ale szybko go to wypali. Nie warto przywiązywać się do agentów, wierz mi, córko Spalonego Władcy.

– Anyah – poprawiła go cicho demonessa.

– Co takiego?

– Nazywam się Anyah. A ty popełniłeś błąd, zjawiając się tutaj. Jesteś zadziwiająco nierozsądny, biorąc pod uwagę, co cię spotkało.

Wstała, i bez wysiłku wzbijała się pod sklepienie; niewidzialny wiatr załopotał jej szatami, a z oczu strzelił błękitny ogień.

– Twoja władczyni nie uznała za stosowne przyjść ci z pomocą, co? Ale nam możesz się jeszcze przydać. Chodź tu.

Uniosła rękę; kryptę na moment rozjaśniło sine światło. Kouremos poczuł przeszywający ból i otoczyła go ciemność.

Gdy się ocknął, wisiał przykuty do słupa pośród szarej, jałowej równiny. Nagi, spętany żelaznymi łańcuchami.

Krzyczał aż do utraty tchu, lecz nikt nie mógł go usłyszeć. Wokół nie było nikogo.

Tylko popiół.

Text copyright © by Agnieszka Hałas 2011, 2017
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor tego wydania: Agnieszka Horzowska

Projekt serii oraz ilustracja na okładce: Paweł Stepanow
Opracowanie graficzne okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Dwie karty*, wyd. II, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-849-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**